

48

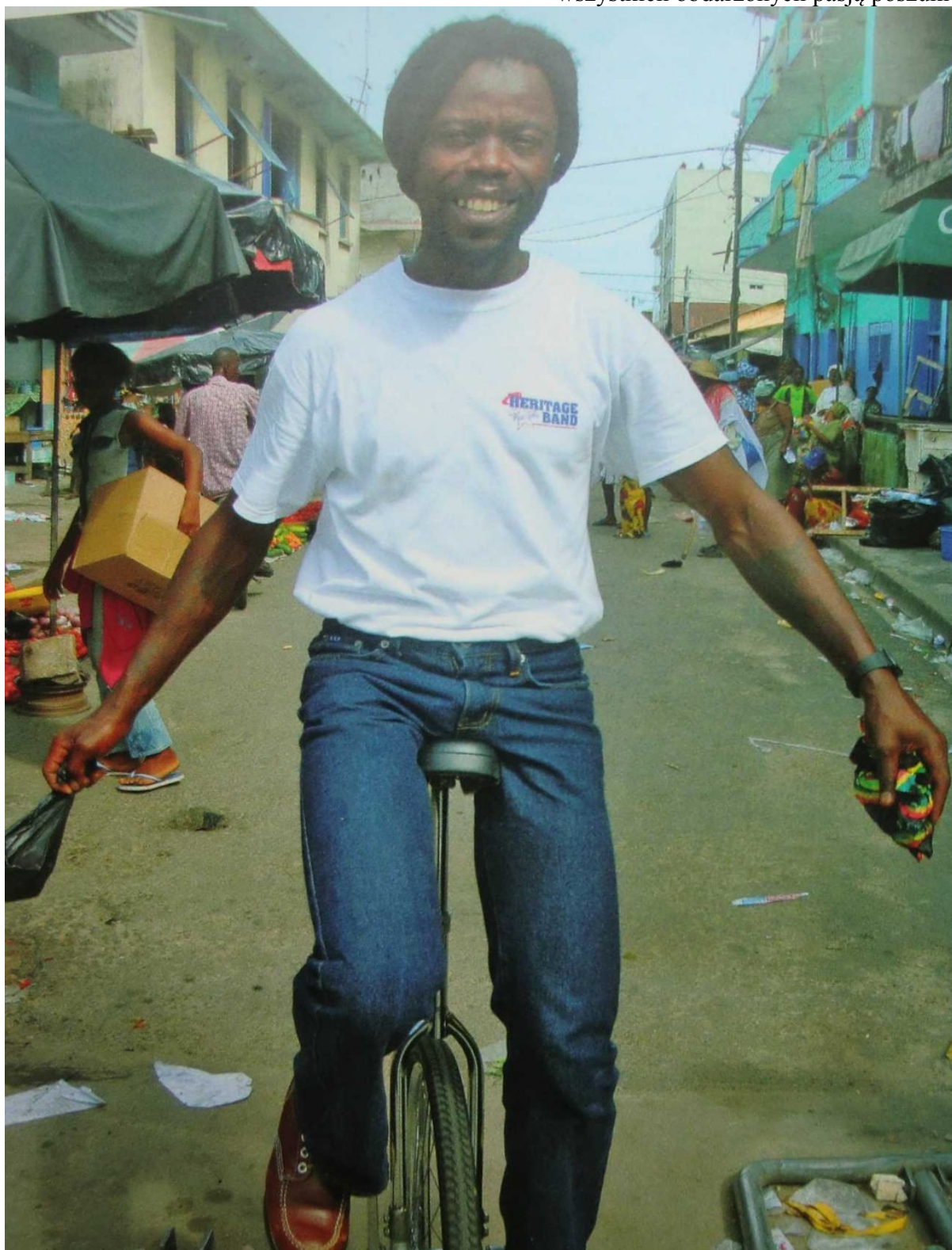
KINGA CHOSZCZ

MOJA AFRYKA

PELPLIN 2008



Książkę tę dedykujemy
Wszystkim, którzy pragną, aby wędrująca jak wiatr podróżniczka dodawała siły i wciąż
inspirowała do czynienia życia lepszym i szczęśliwszym.
Wszystkim, którzy chcą dostrzegać piękno i magię życia w każdej sekundzie najmniejszym
detalu... chcą odkrywać z nami co jest tak naprawdę ważne w życiu.
Wszystkim, którzy mają odwagę realizować swoje marzenia i inspirować do działania
wszystkich obdarzonych pasją poszukiwania.



Ona zrobiła to za nas. Parę miesięcy ostrej pracy. Z żelazną konsekwencją przeforsowała prawie wszystkie swoje, czasem zrazu wątpliwe dla nas pomysły. Odkrywaliśmy ją na nowo: delikatna wrażliwa dziewczyna - a tak dokładnie wiedząca> czego chce. A potem, gdy już miała tę książkę - dwa razy grubszą niż planowało wydawnictwo! - z jej angielskojęzyczną wersją sama za kierownicą żółtego busa, objechała pół Europy. Właściwie - chciała zrobić to w Ameryce, powtarzając trasę przebytą z Chopinem, ale... nie dostała wizy... Ona! Ponury paradoks i ironia losu.

„Świat niemal cały objechany...” Ale nie Afryka! Wkrótce już wiedzieliśmy, że nie odpuści chociażby tym razem miała tam pojechać sama.

No i tak się stało. Żegnaliśmy ją z niepokojem. Czy to było przeczucie? Nie, raczej świadomość ryzyka. I ona przecież była go świadoma, ale... skoro dotąd zawsze tak szczęśliwie prowadził ją los...

Przez jakiś czas wyglądało na to, że tak jest i tym razem. W tym co pisała, czuło się, że jest szczęśliwa. Ale...

Nie ma Kingi.

Nie ma?! Jest przecież! Prochy jej na wietrze, w morskich falach. Wraca w uśmiechu Malaiki. Żyje w pamięci przyjaciół rozrzuconych po całym świecie. I w myślach, i w czynach - tych wszystkich, wciąż nowych, których inspiruje do pójścia Jej drogą. Z wiarą w ludzi i łaskawość losu.

Nie, nic się nie zmieniło. Przesłanie tej książki jest takie samo jak poprzedniej. Nie bójmy się marzyć. I marzenia te spełniać. Naprawdę, wystarczy chcieć...

Janusz Czerwiński



ZNAJDZIESZ JĄ W SZUMIE TYSIĘCY WIATRÓW..

Są takie momenty w życiu człowieka, kiedy nagle wszystko się zmienia.

Wiruje przed oczami nasze życie - rodzinne spotkania, wegańskie wieczory, szkolne opowieści, wolontariackie obozy, wspólne plany, pożegnania i powroty. Ostatnia impreza. Plecak skrupulatnie spakowany.

Wymarzona Afryka...

Pierwszy e-mail z Maroka: „Śnieg w Afryce!”

Potem z Mauretanii, Senegalu, Mali, Burkina Faso: „Jednym słowem - życie jest piękne!” - pisze Kinga z zakurzonej wioski Go-rom-Gorom i dzieli się ze światem radością z osiągnięcia białowiel-błądźiego marzenia. I przemierza kolejne afrykańskie kraje, gdzie życie płynie spokojnie i bez pośpiechu, zatrzymując się w miejscach, gdzie z reguły turyści się nie zatrzymują, bo wioski nie są ani ładne, ani szczególnie ciekawe, za to mieszkają tam piękni ludzie. Ludzie, którzy spontanicznie zapraszają do siebie i natychmiast czynią członkiem swojej licznej rodziny.

A u nas kolejne święta.

- Dla mnie każdy dzień tutaj jest świętem, każdy dzień jest pełen małych cudów ciężkich do opisania - dźwięczą te słowa Kingi na zmianę z uporczywie wracającymi słowami mojej mamy: - Nie puszczaj Kingi do Afryki, bo ona stamtąd już nie wróci.

I zastanawiam się nad życiem, przeznaczeniem, i po raz kolejny oglądam zdjęcia. Kolorowa Afryka. Utrwalona w setkach zdjęć magia miejsc. Dostojni Tuaregowie, kobiety z kolorowymi ozdobami we włosach, roześmiane, biegające w porwanych ubrankach dzieci... Czarnoskóre dzieciaki - Kingi miłość.

Kinga w zwiewnej, kolorowej, batikowej sukience - to symbol szczęśliwej jak nigdzie Kingi Freespirit - Wolnego Ducha. I coraz bardziej jestem pewna, że każdy powinien podążać swoją własną wymarzoną drogą.

Niger, Senegal... Kinga kończy 33 lata.

- Afryka jest niesamowita... tyle dobrych gestów na raz - czyżby cały świat wiedział, że dziś mam urodziny? - wpisuje Kinga drobnym maczkiem do codziennie prowadzonego przez siebie pamiętnika. I po raz kolejny podziwiam ją za wytrwałość i wewnętrzną dyscyplinę, bo wiem, jak ciężko jest pisać siedząc na zakurzonej drodze, gdy żar leje się z nieba, a woda w bidonie prawie się gotuje, a wieczorem, gdy już temperatura znośna, ostatnia połowa świeczki to jedyne światło w wiosce.

Wybrzeże Kości Słoniowej, Ghana... Nagle Kinga zmienia kierunek i przemieszcza się dalej, w obszary dla nas, póki co, niedostępne.

W głowie mętlik i szum od myśli, przed oczami tysiące różnych wspomnień, chwil z naszego życia, i wszystkie tłoczą się i pchają, jakby każda chwila w tym właśnie momencie była najważniejsza. Pierwszy spacer, pierwsze kroki, malutka Kinga kąpiąca się w zimnym morzu, żarty z siostrami, dyskusje z tatą. Kinga śmiejąca się, uparta, cierpliwa, dokładna, wytrwała...

I zadaję pytanie - Kinga jest czy jej nie ma? I ponownie, wdzięczna za wszystkie słowa wsparcia, czytam setki wpisów na internetowej stronie, dziesiątki e-maili przesłanych do nas: „Kinga żyje w każdym zrealizowanym marzeniu, czynach zainspirowanych jej podróżą i tym co robiła ... - napisał Filip. - Będziemy ją spotykać za każdym razem, gdy weźmiemy kogoś na stopa albo będziemy siedzieć na plecaku na skraju drogi... Będzie w pobliżu, poczujemy jej uśmiech i ducha... będzie tak wędrować jako dobry anioł.”

I choć dalej wędruje jak dobry anioł, może jak we śnie, na białym wielbłądzie, realizuje kolejne marzenie: sprawia, że wszyscy jej przyjaciele z różnych zakątków świata spotykają się ze sobą. „Przyjechaliśmy tutaj z tym samym uczuciem wdzięczności w sercach, z tym samym zamiarem podziękowania za wszystko, co dla nas zrobiłaś - napisała Asia z Mrągowa. - I właśnie wtedy wszystko wydało się cudem, cudem życia, zapach wiatru, zielone liście, chmury na błękitnym niebie, śpiew ptaków, i postanawiamy cieszyć się każda chwilą nam daną, a w sercach narodziło się pragnienie czynienia dobra, aby świat mógł stać się piękniejszy i lepszy. Życie zaczyna nabierać innego znaczenia.”

To jest właśnie ten dar, który nam Kinga zostawiła.

Z ostatniej podróży wrócił plecak, dziewczęcy kapelusik w słoniki porywany wielokrotnie przez pustynny wiatr, pomarańczowa bluzka pachnąca wielbłądem, zwiewna chusta spalona afrykańskim słońcem, bransoletki i naszyjniki nierozzerwalnie związane z ludzkimi losami, paszport pełen egzotycznych wiz, zegarek, który podarowała Kindze w Uzbekistanie podczas jej pięcioletniej podróży dookoła świata, aparat fotograficzny - nieodłączna część Kingi w jej podróżach, trochę innych drobiazgów i najcenniejszy skarb - ręcznie pisane pamiętniki.

Więc zaczynam magiczną wędrówkę z Kingą rozszyfrowując zapisane strony pamiętnika, śledząc na mapie satelitarnej te same drogi i przejścia graniczne, poznając z opisów i zdjęć afrykańskich przyjaciół... i wszystko staje się nagle bliskie i znajome - zakurzona wioska Gorom-Gorom, ciasne podwórko Rasty w Abidżanie...

Już mija rok od momentu, w którym całość została przepisana i zawarta w pamięci komputera, ale wszystko to, co działo się w ciągu tego roku - powołanie Fundacji Freespirit, moja podróż do Afryki śladami Kingi, przyjazd Malaiki do Polski - spowodowało, że dopiero teraz udało się dokonać prac redakcyjnych, wybrać najlepsze zdjęcia i z radością możemy napisać:

Zapraszamy w podróż - najpierw z Kingą, a potem - śladem własnych marzeń.

Krystyna Choszcz - mama Kingi, Gdańsk, grudzień 2007

www.fundacja-freespirit.pl



WSTĘP
wkrótce...

Kiedy jechałam z centralnej Azji do Europy, ponieważ Chopin zachorował i czekał na mnie w szpitalu w Polsce, nie wiedziałam, na jak długo wracam do domu. Myślałam, że na chwilę...

Ale - sporo się działo. Mieszkanie z Chopinem w Warszawie, przeprowadzka do mnie do Gdańska, potem praca nad polską książką. Potem nad angielską. Dalej - przygoda z żółtym vanem i europejskim „book tour”. W końcu dwie wyprawy czerwonym fordem escortem po Europie z Bradem Brownem z Virtual Tourist i przyjaciółmi.

I cały ten czas wizyty gości z całego świata w moim gdańskim mieszkanku - przyjaciół, których spotkaliśmy w drodze, nowych przyjaciół z Hospitality Club albo ostatnio też z Couchsurfing.

Co więcej? Wszystkie te rzeczy, którymi nie miałam okazji cieszyć się podczas pięciu lat w drodze - spędzanie czasu i wszystkich większych i mniejszych świąt z rodziną. Kupowanie rzodkiewki i śliwek od tych samych babć na chodniku w mojej dzielnicy i komfort mojej niewielkiej, przytulnej, wegańskiej kuchni. Oglądanie filmów w lokalnych, niekomercyjnych kinach. Spacerowanie lub wypadki rowerowe do lasu i na pobliską plażę...

Tak - jest miło. I wygodnie. Prawie zbyt wygodnie... Ale już niedługo. Lato prawie odeszło, dni coraz chłodniejsze, poprzednia podróż uwieczniona w książce... Nadchodzi czas na kolejne przygody. Na ostatni kontynent, który na mnie czeka. Tak - Afryka wzywa! I w końcu się wydarzy, dwa lata po tym, jak wróciliśmy.

Kupiłam już nowy plecak (stary Alpinus po pięciu intensywnych latach w podróży już

prawie w strzępach). Z pomocą Filipa (i trochę Chopina) zakładałam nową stronkę.

Wkrótce...

jutro...

Różne są reakcje ludzi na moją Afrykę...

Podróżniczka i przyjaciółka, Basia Meder, która też samotnie objechała ten kontynent, kiedy jeszcze była szansa, że pojedziemy razem z Chopinem, powiedziała:

- To, co przeżywacie, jest niezwykle, unikalne i fantastyczne. Macie podejście podobne do mojego, ale macie znacznie więcej odwagi i większy bagaż marzeń. Bardzo bym chciała i życzę wam, abyście mogli wszystko zrealizować.

Kiedy okazało się, że jednak wyruszam sama, dodała:

- Jesteś bardzo dzielna, że jedziesz dalej sama. Ale mam duże obawy. W praktyce nie widzę prawie w ogóle możliwości autostopu. Afryka jest dużo droższa niż Azja. Nie chcę cię zniechęcać, ale ponownie uczulić. Jestem gotowa dać ci jak najwięcej informacji. Pytaj na bieżąco, jak będziesz potrzebowała.

Natomiast moja przyjaciółka Asia z Holandii nie ma żadnych obaw:

- Nie boję się o ciebie, bo jakżebym mogła, skoro jedziesz na kontynent gdzie są żyrafy... wiem, że ich głowy na długich szyjach wskażą ci drogę w chwilach zwątpienia, słonie dadzą ci siłę, małpy spryt i zwinność, palmy dadzą ci jeść, a wiatr będzie zwiastunem dobrych wieści, słońce rozgrzewać będzie twe serce, a wielbłądy pomogą ci pokonać każdą odległość. Nie, nie mam absolutnie żadnego powodu, by się o ciebie martwić.

Dzięki Basiu! Dzięki Asiu! Dzięki wszystkim - przyjaciołom oraz nieznanym, tym, którzy się o mnie boją i tym, którzy się nie boją - wszystkim tym, których dobre myśli i intencje są ze mną. To dla mnie ważne.

I jeszcze podziękowań parę...

Dzięki panu Adamowi Małachowskiemu, który podarował mi śpiwór oraz Magdzie z firmy Cocoon, która podarowała mi mum-myliner.

Dzięki, Filip, za afrykańską stronkę oraz entuzjazm i serce włożone w jej tworzenie!

Dzięki, Chopin, za miłość i zrozumienie...

Ja jeszcze w Polsce, ale już spakowana. Wyruszyłam z Gdańska autem, które zostawiam Chopinowi. Spędzamy teraz trochę czasu razem w jego Centrum Buddyjskim. Ale już niedługo. Jutro staję na drodze i wystawiam kciuka. Kciuka w stronę Afryki...

dzisiaj:)

No... Chopin nie puścił mnie jednak wczoraj... Daliśmy więc sobie jeszcze jeden dzień. Tyle czułości i miłości co ostatnio (i nie tylko od Chopina, od wszystkich wokół!) dawno już nie dostałam. Muszę chyba częściej wyjeżdżać...

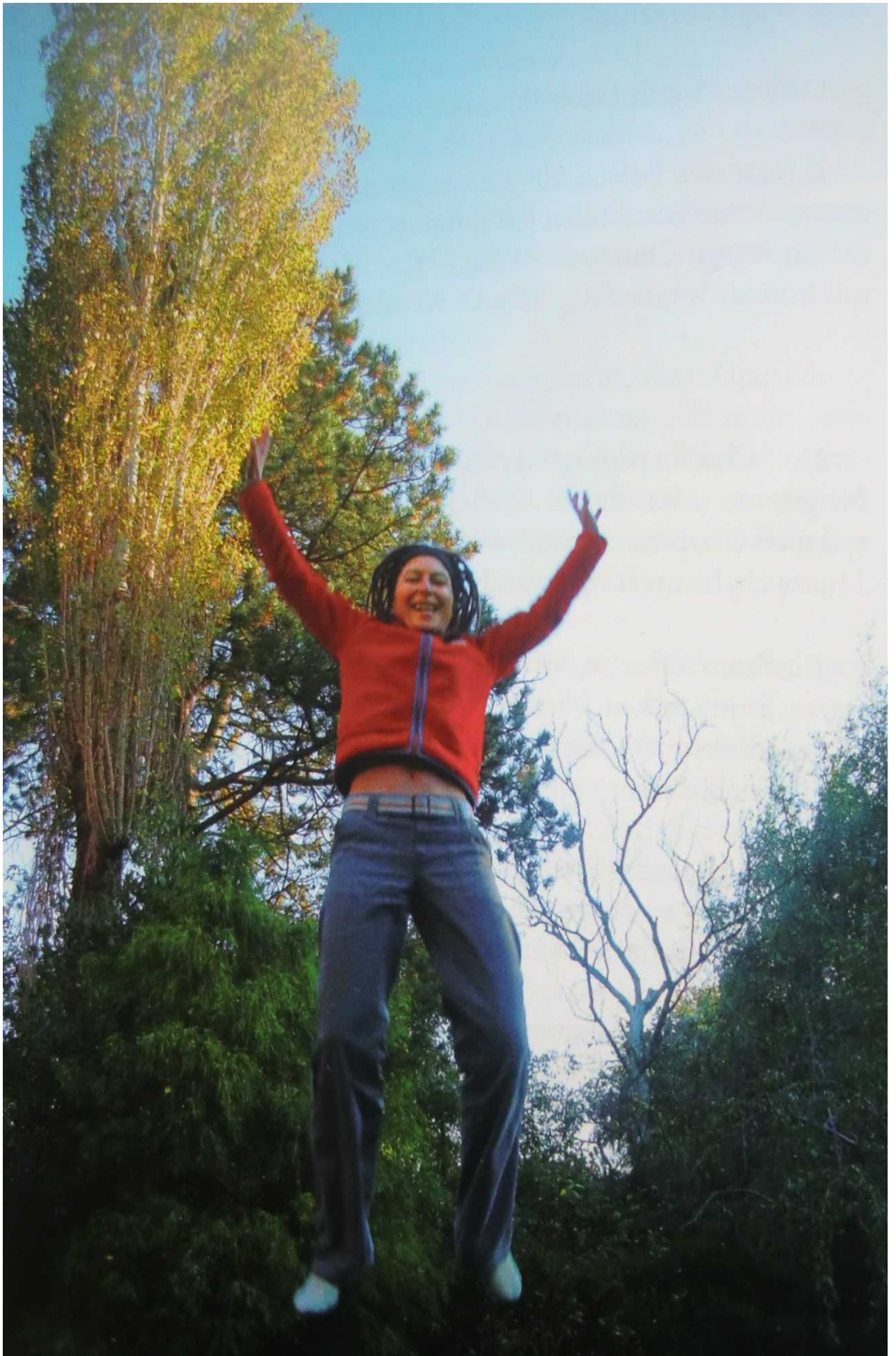
Ciężko, ciężko się rozstać. Jeszcze nie wyjechałam, a Chopin mówi, że już tęskni. Niestety, tu żaden kompromis nie jest wystarczająco dobry. On nie chce jechać do Afryki. Ja nie chcę zamieszkać w Grabniku.

Więc... z ciężkim sercem i rozczulająco smutną miną Chopin odwozi mnie na drogę. Aż do Sochaczewa. Tam długo, długo przytula. Nie możemy się od siebie oderwać. W końcu Chopin mówi:

- Jedź, spełniaj marzenia. I wracaj.

I czeka, aż złapię pierwszego stopa. Po niedługiej chwili zatrzymuje mi się TIR. Macham Chopinowi, wsiadam i odjeżdżam... Kto wie, ile czasu minie zanim się zobaczymy...

Miałam ambitny plan zajechania po drodze do Turku i zobaczenia się z Anetką, ale wyszykowanie i pożegnanie zajęło dłużej niż myślałam. Dzwonię z komórki, którą jeszcze mam i Aneta przyjeżdża na stację benzynową na mojej trasie. Potem już prosto do Poznania. Do Kasi, Michaela i Nusi.



CZEŚĆ I EUROPA

Wspólne śniadanko u Kasi. Kolejne pożegnanie i autobus Auchan wywozi mnie prosto na trasę Poznań - Berlin. Na granicy zmiana auta. Po chwili jestem na stacji benzynowej na obrzeżach Berlina. Tu trochę ciężiej, ale wkrótce jeden Niemiec w roboczym kombinezonie i dobrym aucie zawozi mnie prosto pod drzwi budynku, gdzie mieszka Svantje z Antonem. Następnego dnia jadę S-Bahnem zobaczyć się na chwilę z Dominiką w Poczdamie. Potem wychodzę na stopa. Jazda przez Niemcy to po prostu śmignięcie. Dobre autostrady, piękne szybkie auta, wszystko standardowo, gładko i przewidywalnie. Najciekawszy motyw to kierowca z Armenii, z którym rozmawiam po rosyjsku. Dopiero w Holandii robi się ciekawiej. Do obrzeży Groningen dowozi mnie vanem niemiecki żeglarz. Do centrum podrzuca mnie... rowerem miejscowy dziadek. Tak jak kiedyś w Wietnamie na motorze, tak i teraz, z dużym plecakiem na plecach, małym na ramieniu, udaje mi się balansować na bagażniku roweru i w ten iście holenderski sposób docieram pod drzwi starego szpitala, obecnie komuny, gdzie mieszkają Asia i Chris. No właśnie... bo Holandia nie jest może dokładnie po drodze do Afryki, ale dla Asi warto byłoby zboczyć jeszcze dalej. Stęskniona Asia rzuca mi się w objęcia. Kiedy opowiadam jej, jak mnie wszyscy kochają teraz, kiedy wyjeżdżam, mówi:

- Wiesz, że ja ciebie zawsze kocham.

Rano odwiedzamy Imen. Przyjaciółkę Asi. Czarną kobietę z Egiptu. Imen jest ciepła, potężna, słodka, matczyna. I żyje w związku z kobietą. Coś w Egipcie nie do pomyslenia. Coś, za co mogłaby tam pójść do więzienia. Częstuje nas egipską herbatą z hibiskusa, gotowanymi suszonymi owocami, a mnie - dobrymi radami typu:

- Jeśli muzułmański mężczyzna coś ci obieca, uwierz w pięćdziesiąt procent tego i będzie dobrze. A jeszcze lepiej - w czterdzieści.

Pożegnanie z Asią jest ciężkie. Ale obiecuje, że przyleci do mnie na święta do Marrakeszu. A znając ją, przyleci. Chociażby na miotle. Albo i bez...

Jadę do Maastricht, do Franka, który ma moją książkę i bardzo mnie zaprasza. Kluczę od miasta do miasta lokalnymi stopami. Ostatni okazuje się najciekawszy. Ze starszą panią, która jedzie do jakiejś wioski niedaleko Maastricht. Spieszy się na granie z grupą starszych pań. Grają barokową muzykę, na fletach i różnych innych instrumentach. Zostaję więc zaproszona do domu-klubu na wsi na minikoncert i stąd odbiera mnie Frank.



20-30 PAŹDZIERNIKA

Rano wyruszam z Maastricht i po całym długim dniu na autostradach czterech krajów (Holandii, Belgii, Luksemburga i Francji), około północy docieram do Marsylii na śródziemnomorskim wybrzeżu. No, w końcu mam wrażenie, że uciekam nadciągającej zimie - podczas kiedy z Holandii wyjeżdżałam w polarze i kurtce, tutaj wystarczy T-shirt, a wokół rosną już palmy.

I, jak to często bywa w drodze, zaczynam już doświadczać spontanicznej gościnności. Ojciec z synem, wracający z koncertu z Marsylii, zapraszają mnie do swojego domku na wsi, a następnego dnia ojciec obwozi mnie po uroczej górzystej okolicy i w końcu przywozi do Nicei.

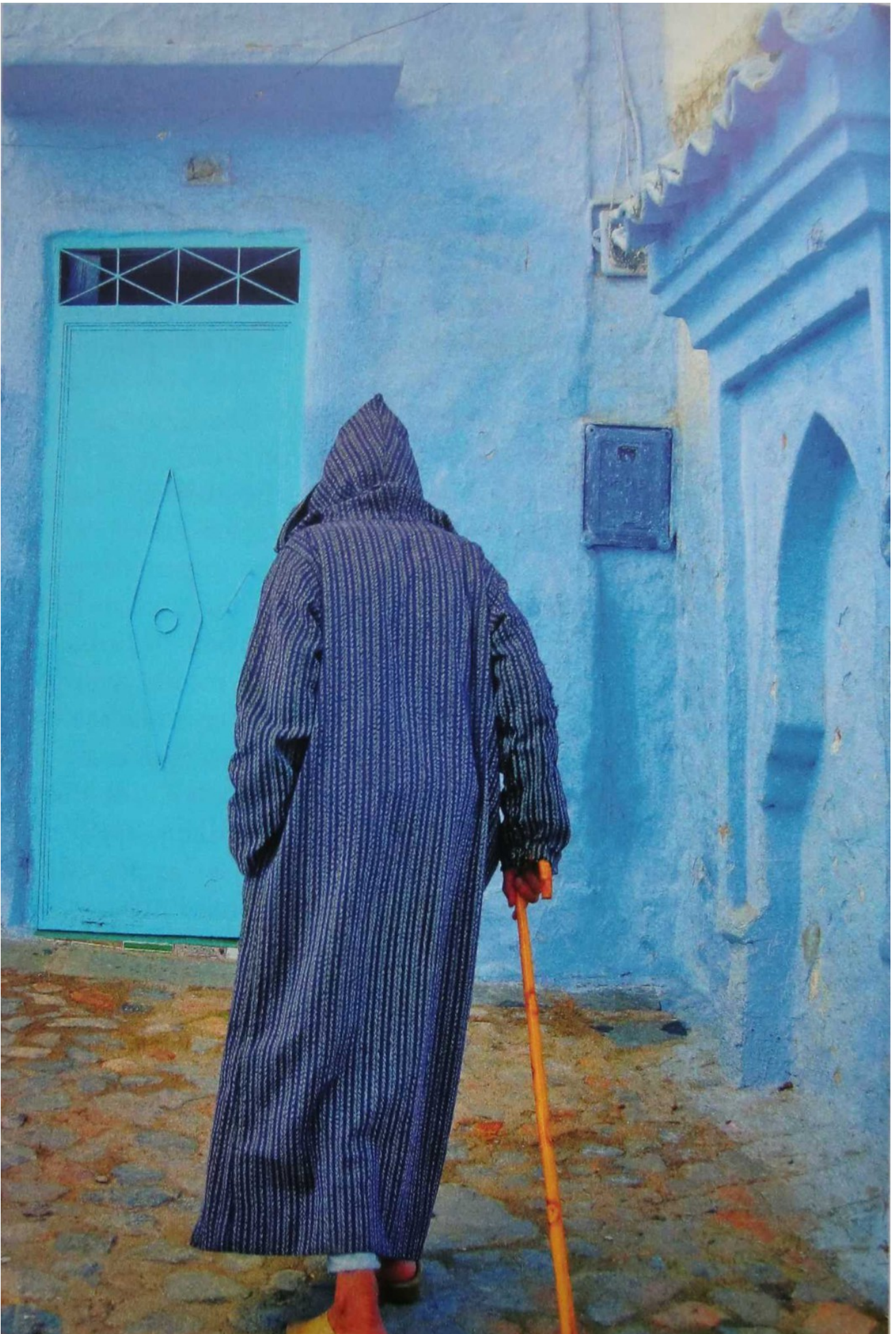
Wiem, to znowu trochę nie po drodze, ale nie mogłam odmówić zaproszeniu, które właśnie dostałam od Moniki, mieszkającej tu Polki. Teraz już ruszam w stronę Hiszpanii, już bliżej Afryki...

Do Afryki nie prowadzi mnie może najprostsza droga, ale... wydaje mi się, że najciekawsza. Bo przejeżdżając tak blisko Andory, nie mogę odmówić sobie zahaczenia o ten niewielki, ale fascynujący górski kraj. Dalej - na chwilę z powrotem do Francji i w stronę Atlantyku, potem wzdłuż północnego wybrzeża Hiszpanii i w końcu - do Portugalii.

Jeśli chodzi o stopa - nie mogłoby być lepiej. Czasem tylko muszę trochę poczekać, ale często wystarczy, że podniosę kciuka, a już hamuje samochód! Ludzie wydają się trochę zdziwieni, szczególnie, kiedy dowiadują się, że przyjechałam stopem „aż z Polski”. To już brzmi dla niektórych jak koniec świata. A stopem dookoła Afryki - to przerasta ich wyobraźnię. Być może moją w tym momencie również, z tą różnicą, że ja nie widzę powodu, dla którego nie można tego zrobić. Poza tym droga dostarcza mi wszystkiego, czego potrzebuję. Nigdy o nic nie proszę, ale przecież już kilka razy pod koniec dnia zostałam zaproszona do miejscowych domów.

Tu w Portugalii, niedaleko uroczonego miasteczka Guimaraes, zatrzymuję się u Emmy z Hospitality Club i jej rodziny. Spędzam cały dzień w Porto, a potem jadę już do Lizbony i Cascais, gdzie spotykam się z Fernandą, też z HC, czterdziestokilkuletnią artystką i podróżniczką. Wreszcie - czas ruszyć na samo południe Hiszpanii, do Marbelli, do Carmen i Stacy'ego z Virtual Tourist, a potem - do Afryki....





CZEŚĆ II

MAROKO

31 PAŹDZIERNIKA

Carmen i Stacy zabierają mnie na pobliski Gibraltar, abym tam mogła spróbować szczęścia wśród żaglówek. Na wejściu do przystani spotykam siedzącą przy plecakach i tobołkach młodą Francuzkę i dwóch chłopaków. Chcą dostać się na Wyspy Kanaryjskie. I dalej do Ameryki Południowej. Ambitnie. Ja tylko tu niedaleko, do Maroka. Ale okazuje się, że to wcale nie łatwiej. Większość jachtów udaje się właśnie przez Atlantyk. Dowiaduję się, że jest tu jeszcze inna przystań. Szanse pewnie nikłe, ale wolę spróbować niż żałować potem, że tego nie zrobiłam.

Niestety, w Queensway Marina większość jachtów albo stacjonuje, albo też wybiera się przez Atlantyk. Cóż, spróbowałam... Na szczęście nie jestem bez wyjścia, bo są częste, regularne promy. Oczywiście „jachtostopem” byłoby znacznie bardziej romantycznie, ale - trudno. Jedziemy więc kilkanaście kilometrów dalej, do Algeciras. Najbliższy prom jest za półtorej godziny. Carmen i Stacy czekają ze mną, aby upewnić się, że na pewno opuściłam Europę i nie robię update'ów na swojej stronie, siedząc w mieszkanku w Gdańsku i ściągając ładne zdjęcia z internetu...

Tak więc wsiadam na prom, macham oddalającej się Europie przez szybę (to szybki prom, więc nie ma pokładu, gdzie można by wyjść na zewnątrz), po czym wchodzę do Club Class na samym dziobie, aby od frontu obserwować przybliżającą się Afrykę. Miasto Ceuta, do którego dobiega prom, należy jeszcze do Hiszpanii, ale otaczające je góry to już Maroko.

Pierwsze kroki na nowym kontynencie kieruję do autobusu jadącego pod marokańską granicę. Dojeżdżamy do niej, kiedy zachodzi słońce - a jest to najlepszy moment na odkrycie, co to oznacza w muzułmańskim kraju podczas Ramadanu. A oznacza to, że

celnicy po kolejnym dniu postu udają się na wieczorny posiłek i cały ruch graniczny zostaje na ten czas wstrzymany. Pośrodku drogi, prowadzącej przez lekko górzyste pustkowia, utykają chwilowo załadowane po brzegi towarami z Europy auta, wśród nich wiele ze stosami porzuconych rowerów na bagażnikach. Ja przekraczam granicę pieszo, ale i tak muszę odczekać, aż najedzony celnik wróci do swojej budki i podstempluje mi paszport. Tuż za granicą jest skupisko taksówek, ja jednak łapię mojego pierwszego afrykańskiego stopa, do pobliskiego miasteczka. Proszę kierowcę, aby wysadził mnie na dworcu autobusowym, jeśli jest tu taki. Jest. I stoi na nim akurat jedyny autobus, jadący tam właśnie, gdzie chciałam się dostać (chyba dlatego, że nie ma tu za bardzo innych opcji), czyli do Tetouan.

- Salam alejkum - pozdrawiają mnie dwie muzułmańskie kobiety w długich szatach i chustach, kiedy wsiadam do autobusu, w którym poza nimi nie ma nikogo.

Jedna z nich pyta łamanym hiszpańskim, skąd jestem i nie może się nadziwić, że nie mam ze sobą przyjaciela, brata czy męża. Komentują to sobie po arabsku, a na dalszą konwersację brakuje nam wspólnego języka. Nie wiem, czy autobus ma tu godzinę odjazdu, czy - tak jak to bywa w Azji czy Ameryce Południowej - od-jedzie, jak się zapełni. W każdym razie czekamy. Autobus zapełnia się powoli, po czym kierowca odpala głośny silnik, włącza jeszcze głośniejszą arabską muzykę, zapala papierosa i ruszamy.

Po około godzinie czy może półtorej jazdy przez ciemność docieramy do Tetouan. Jest to spore miasto, a autobus parkuje na dworcu tuż pod mediną.¹ Jak tylko wysiadam, wita mnie po hiszpańsku szczerbata mężczyzna i mówi, że może pomóc mi znaleźć hotel. Okazuje się, że nie jest nachalnym naganiaczem, który żyje z prowizji od przyprowadzonych gości, tak jak w Indiach. Kiedy w pierwszym hoteliku mają tylko droższe, dwuosobowe pokoje, prowadzi mnie do drugiego, tańszego, lokalnego i mówi, abym sama negocjowała. Dostaję więc łóżko w czterech niebieskich, lekko odrapanych ścianach za czterdzieści dirhamów (czyli cztery euro)...

Dzień pełen wrażeń, ale muszę jeszcze zobaczyć miasto, pochłonięte przez wielki,

odbywający się wprost na ulicach targ. Na porozkładanych wprost na ziemi foliach piętrzą się stosy skarpetek, dżinsów, bluz dresowych, biustonoszy, kosmetyków i tym podobnych towarów. Jest dość późno w nocy, a tu wygląda, jakby wszystko się dopiero rozkręcało. Dalej są też uliczki ze świeżymi i suszonymi owocami, przyprawami. Mój nowy przyjaciel (ten od szukania hotelu) prowadzi mnie do berberskiej apteki, w której mają okazałą kolekcję ziół, proszków, korzeni, a we wnęce jakiś Europejczyk poddawany jest właśnie masażowi z uzdrawiającymi olejkami. Tu po angielsku tłumaczą mi, który proszek działa na wzmocnienie pamięci, który na żołądek, który na potencję. Proponują mi też marihuanę z miejscowych upraw albo masaż, ale kiedy dziękuję za jedno i drugie, nie nalegają, tylko żegnają się i życzą miłego pobytu w Maroku.



01-03 LISTOPADA

Rano znów idę na przechadzkę labiryntem wąskich uliczek medyny, aby zobaczyć je w dziennym świetle. Stoiska dopiero się rozkładają. Nie ma, niestety, świeżo przygotowanych lokalnych przysmaków, bo od wschodu do zachodu słońca nikt tu teraz nie je. Na szczęście tylko jeść nie można, ale kupować - owszem. Nabywam więc parę kiści słodkich, czerwonych winogron oraz na innym stoisku płaski, okrągły chlebek. Berberskie kobiety, przycupnięte pod ścianami domów, sprzedają świeżą miętę i warzywa z własnych poletek. Są kolorowo ubrane i noszą niesamowite, plażowe kapelusze.

Po południu jadę do Chefchaouen, niewielkiego miasteczka w górach. To tylko kilkadziesiąt kilometrów, ale to niezła wyprawa. Przede wszystkim bilety na najbliższe kilka autobusów już wykupione. Najbliższy o wpół do szóstej... Ryzykuję stratę półtora euro i biorę od jakiegoś mężczyzny bilet na wpół do piątej, choć wszystko na nim po arabsku. Pół godziny przed odjazdem autobus jest już pełen, ale udaje mi się zdobyć jedno miejsce z tyłu wśród podekscytowanych czymś mężczyzn. Kiedy pomocnik kierowcy podchodzi do nich, zaczyna się coraz ostrzejsza kłótnia, pełna gestykulacji i nawet poszturchiwań. A potem największy krzykacz, cały spocony, sięga bez pytania do kieszeni koszuli pomocnika, z której wystaje paczka chusteczek higienicznych, bierze jedną chusteczkę, wyciera sobie czoło, po czym... wrzeszczy dalej.

Okazuje się, że spór był o to, że autobus jest przepełniony i nie wszyscy z biletami mają gdzie usiąść. Przez to wyruszamy ze sporym opóźnieniem, ale - wyruszamy. Za oknami zaczyna się ściemniać i nagle, jak na komendę, wszyscy pasażerowie zaczynają wyjmować zawiniątka i siatki z jedzeniem. Chyba oficjalnie zaszło słońce. Widząc, że ja nie mam akurat nic do jedzenia, gość, który najbardziej krzyczał, daje mi banana, a siedzący koło mnie dziadek - garść daktyli. Po chwili zresztą autobus zatrzymuje się przy przydrożnej restauracyjce. Do Chefchaouen nie może być już daleko, ale po dniu postu żołądek trzeba napełnić natychmiast.

Na miejscu od razu znajduje się „pomocnik” w szukaniu noclegu. Lonely Planet podaje kilka hotelików za dwa osiemdziesiąt euro za noc, ale kiedy zaglądam do pierwszego z nich, okazuje się, że teraz kosztuje siedem pięćdziesiąt. Podobnie jest w kilku innych. Zauważam jednak jeszcze jeden, „Harmony Hotel”. To zupełnie nowe miejsce, nie ma w nim jeszcze żadnych gości. Mówię właścicielowi, że szukam taniego pokoiku.

-Jak taniego?

- Trzy euro.
- OK. To jest nowe, czystutkie miejsce, ale jeśli tyle możesz zaoferować, to w porządku.

Chodź zobaczyć pokój.

Rzeczywiście, w porównaniu z wczorajszą odrapaną klitką to jest prawdziwy, niespodziewany luksus. Wszystko eleganckie, świeżutkie, spore łóżko z nieskazitelną pościelą. I wykafelkowana łazienka.

A na tarasie na dachu, skąd rozpościera się widok na miasto i okoliczne góry, rodzina trzyma garstkę kur.

Wieczorem Abdislam, właściciel, zaprasza mnie na herbatę ze świeżych miętowych liści. Mówi zaskakująco płynnie po angielsku. Też chciałby kiedyś wybrać się dookoła świata, ale wątpi, czy kiedykolwiek będzie to możliwe. Dla Marokańczyków ze względu choćby na wizy nie jest to takie proste. Ale podróżował, włóczył się po całym Maroku. Nieraz stopem, bez grosza przy duszy. Z pomocą rodziny kupił ten stary dom w Chefchaouen i miał już dużo zagranicznych gości, zanim jeszcze otworzył go oficjalnie jako hotel. Zdecydował się na nazwę Harmony, aby to było przyjazne, harmonijne miejsce. I żeby każdy - tak jak w moim przypadku - podawał swoją cenę.

Następnego dnia w zachwycie przechadzam się niebiesko-białymi uliczkami obserwując otwierające się sklepiki, siedzącego w progu na tle niebieskich drzwi brodatego starca w białej szacie - dżelabie, kobietę odnawiającą na ciemniejszy niebieski kolor wyblakłe ściany jej domu. Każdy zakątek jest jak wyjęty z pocztówki. Wspinam się coraz wyżej, aż na skraj miasta - dalej rozpościerają się tylko ziemisto-kamieniste wzgórza, gdzie uprawia się kif, lekki miejscowy narkotyk, który wszyscy namiętnie popalają przez długie, drewniane fajeczki. Większość obcokrajowców przyjeżdża tu właśnie po to, a dzięki moim dredom nieustannie dostają delikatne oferty kupna „czegoś dobrego” i nikt nie wierzy mi, kiedy mówię, że nie palę. Wybieram się też do starego hiszpańskiego meczetu. Pod jego murami spotykam kilkuletnich miejscowych chłopców, którym bardzo przydałaby się chusteczka do nosa, próbujących szczęścia z „one dirham”.

Po zachodzie słońca przysiadam w jednej z restauracyjek na głównym placu miasteczka. Tu serwują turystom jedzenie przez cały dzień, nawet podczas Ramadanu, ale ja wolę poczekać, aż miejscowi też będą mogli jeść. Zamawiam marokańską specjalność - kuskus (z warzywami) i miętową herbatę. Jako przystawkę dostaję miseczkę oliwek i okrągły chleb. Późnym wieczorem znowu czeka mnie miętowa herbata z Abdislamem, który opowiada (i pokazuje zdjęcia!), jak zabierał parę razy swoich zagranicznych przyjaciół do rodzinnej wioski w górach jeszcze w czasach, kiedy trzeba było do niej wędrować kilkanaście kilometrów górską ścieżką. Dopiero od niedawna prowadzi tam dobra droga. A że już od dłuższego czasu tam nie był, to się wybierzemy!

Robię więc na targu zakupy na wyprawę do wioski, bo tam nie ma sklepów, ludzie żyją głównie z własnych upraw albo w dzień targowy wędrują parę kilometrów do innej wioski. Kupuję ryż, makaron, kuskus, soczewicę oraz warzywa i pół litra świeżego oleju z oliwek własnego wyrobu. Abdislam mówi mi potem, że niepotrzebnie, bo wioska oprócz uprawy kifu żyje z oliwek i wyrabianego na miejscu oleju, i to jest jedyna rzecz, której tam nigdy nie brakuje. Mówi też, że pewnie będę musiała się nauczyć wyrabiać miejscowy chleb. Obserwuję więc, jak jego matka - starsza, drobna kobieta nabiera mąkę, przesiewa, dodaje drożdży, soli, ciepłej wody i zaczyna wyrabiać ciasto. Dzieli je na trzy kulki i daje mi jedną do uformowania okrągłego placka. Placki kładzie na drewnianą tackę, jeden na drugim, oddzielone szmatkami, i daje młodszemu synowi, aby zaniósł do wypieczenia, bo tu piecze się w prawdziwym tradycyjnym piecu opalonym drewnem. Takich jest w miasteczku kilka. Każdy znosi swój chleb czy blachy z ciasteczkami do właściciela najbliższego pieca. Opłata wynosi pół dirhama od jednego chleba. Gotowy chleb można też oczywiście kupić w każdym sklepiku, ale Abdislam twierdzi - i pewnie ma rację - że to nie to samo.



Wioska Amtil nie jest jakoś bardzo daleko, ale... Najpierw trzeba dotrzeć do odległego o kilkanaście kilometrów miasteczka Bab-taza. Jedyne transport to taksówka, która odjeżdża dopiero, kiedy znajdzie się komplet pasażerów, a komplet oznacza sześć osób. Cztery z tyłu plus dwie dzielące przednie siedzenie koło kierowcy. Taksówka dowozi nas na rozstaje dróg na obrzeżu miasteczka. Parę osób czeka już cierpliwie na zakurczonym poboczu drogi. Dziś święto - koniec Ramadanu - niewiele jeździ. Kiedy proponuję stopa, Abdislam mówi, że to wykluczone, bo to region przemytników narkotyków i bandytów. Mamy jednak szczęście, przejeżdża bowiem akurat vanem człowiek z Amtil. Oczywiście, zna Abdislama, więc nas zabiera.

Wioska leży poniżej drogi, na zboczu wzgórza. Proste, gliniane domy pokryte blachami. Dom, w którym mieszka brat Abdislama położony jest trochę na uboczu. Szczupły i drobny, a właściwie wychudzony mężczyzna wita nas nieśmiało. Mieszka sam, nigdy się nie ożenił i zawsze stronił od ludzi. Przynoszą mu chleb od mieszkającej nieopodal ciotki, która - tak jak wszyscy w wiosce - wypieka go w okrągłym glinianym piecu. Chleb z własnej, uprawianej na zboczach gór pszenicy, własnoręcznie zmielonej w kamiennych żarnach. W domu zastajemy inną ciotkę. Przyszła w odwiedziny z innej wioski wraz z ośmioletnią, nieśmiałą dziewczynką, którą wychowuje. Matka małej zaszła w ciążę z mężczyzną, który nie chciał się z nią potem ożenić. Dla kobiety, a szczególnie dla dziecka to straszna tragedia. Dziewczynka do dziś nie ma nazwiska. Nie może w związku z tym zarejestrować się nawet do szkoły. Podobno się to zmienia, ale na razie powoli. W każdym razie jest napiętnowana, nie ma przyjaciół, cały czas spędza ze starą ciotką, bo matka ją opuściła, wychodząc w końcu za innego mężczyznę, który nie chciał wychowywać bękart.

Stary, oryginalny budynek ma piętro z dwoma pokojami. Dostaję do dyspozycji jeden z nich, choć Abdislam wolałby, abym dzieliła jeden z nim. Z pomocą obcokrajowców, którzy tu przyjeżdżali oraz mieszkańców wioski dobudowali nową część z własnoręcznie wykonanych glinianych cegieł. Pomieszczenie służące do jedzenia czy spania jest wyłożone matą. Kuchnia z jednym palnikiem bezpośrednio na butli gazowej. Bieżąca woda tylko w jednym pomieszczeniu z kucaną toaletą. Kiedy zaczyna się ściemniać, w kuchni i toalecie zapalają świece. W salonie mają luksus - żarówkę zasilaną z samochodowego akumulatora, który ładują raz na miesiąc w sklepiku. Część domów podłączyła się niedawno nielegalnie do elektryczności z przebiegających nieopodal drutów. Ale brata Abdislama nie stać na niezbędny do takiej operacji kabel. Przy świecach gotuję na kolację makaron z sosem pomidorowym i świeżym groszkiem. Jemy europejski posiłek, ale w marokański sposób. Wszyscy z jednego wspólnego naczynia postawionego na środku stołu. Wieczorem Abdislam zwierza mi się z tego, co do mnie czuje. Od pierwszego momentu, jak mnie zobaczył. Mogłam przewidzieć, że tak to się skończy...

Następnego dnia zwiedzamy okolicę. Po drodze zrywam trochę nieznanymi mi czerwonych owoców z drzew nieopodal domu. Coś jak drzewna truskawka. Potem schodzimy do wioski. Abdislam jest lekko zaniepokojony swoją reputacją: sam, z samotnie podróżującą kobietą, do tego kobietą z dredami... A tu z każdą napotkaną osobą musi się przywitać. Jeśli to kobieta, to tylko „Salam alejkum”, jeśli mężczyzna, to uścisk ręki. Jeśli przyjaciel, to poczwórny pocałunek w policzki. Przedstawia mnie wszystkim jako Malaika (king - król, Kinga - królowa, po arabsku malaika). Zatrzymujemy się przy jedynym niewielkim sklepiku przy drodze, gdzie kilku mężczyzn siedzi, pali i popija herbatę, zaliczam przejażdżkę na mule, a raczej mulicy, która daje się łatwo sterować, a

potem obowiązkowo wstępujemy w odwiedzin do wujka. Zostajemy poczęstowani zwyczajowo supersłodką miętową herbatą oraz świeżym plackiem chleba z olejem oliwnym z tegorocznych zbiorów. Siedzące na tarasie kobiety uśmiechają się do mnie i zagadują, ale niestety, nie znam arabskiego, a one nie mówią w żadnym innym języku.

Sytuacja staje się napięta. Abdislamowi nie jest łatwo tak blisko i długo przebywać w towarzystwie kobiety i nie móc jej dotknąć. Tutaj większość mężczyzn w ogóle nie ma kontaktu z kobietami, często aż do momentu przeważnie zaaranżowanego ślubu. Jeśli kobieta uśmiechnie się do mężczyzny, to tak jakby w pięćdziesięciu procentach była jego. To, że mówię, iż mam męża w Polsce i pokazuję jego zdjęcia, ma małe znaczenie.

Bardzo mi się tu w wiosce podoba. Uwielbiam oddychać rześkim powietrzem, budzić się słysząc jedynie świergotanie ptaków, siedzieć pod wielkim drzewem oliwkowym przed chatą z rozległym widokiem na góry. Ale pewnie lepiej będzie, jak już pojedę. Najlepiej dzisiaj. Tyle, że jest już trochę późno na złapanie transportu, więc jutro z rana. A tymczasem w wiosce odbywa się właśnie miazdzenie oliwek i wyciskanie oleju. Robi się to wielkim okrągłym kamieniem obracany przez chodzącego w kółko muła i dwoje ludzi. Potem oliwna miazga przenoszona jest do zbiornika z wodą, gdzie jest płukana, olej wypływa na powierzchnię, a brodząca w zbiorniku kobieta zbiera go szmatką do miski. Nie miałam pojęcia, że to tak wygląda. Teraz inaczej już będę patrzeć na olej z oliwek... Wieczorem znowu mam okazję posmakować takiego oleju, ze świeżo upieczonym chlebem.

Mam też okazję uczestniczyć w oliwkobranii - przyłączam się do dwóch kuzynek Abdislama zbierających oliwki z drzewa na zboczu góry. To precyzyjne, wymagające cierpliwości zajęcie. Starsza z dziewczyn wspięła się na drzewo i uderza gałęzie długim drągiem strącając oliwki na ziemię. Młodsza zbiera je i wrzuca do wiaderka, więc jej pomagam. Powoli zapełniamy jedno wiaderko po drugim wybierając oliwki, niektóre dojrzałe, czarne, niektóre jeszcze zielone, spośród kamieni. Pełne wiaderko opróżniamy do ogromnego worka. Strząsnąwszy całą masę oliwek, dziewczyna schodzi z drzewa i też zaczyna zbierać. Nie mówi, niestety, ani słowa po angielsku ani francusku, ale rozumiem, kiedy pyta, czy jest coś między mną a Abdislamem. Nie wiem, czy wierzy, kiedy zapewniam ją, że absolutnie nie. Potem Abdislam mówi mi, że mogła być trochę zazdrosna. Pytam, dlaczego się z nią nie ożeni, ale chyba znam odpowiedź. Jest ładna, ale zbyt prosta, nie mieliby o czym rozmawiać. Abdislam zresztą już dawno postanowił ożenić się tylko z zagraniczną kobietą.

A więc ostatni poranek w Amtil i ostatnie śniadanie pod drzewem oliwkowym przed chatą z widokiem na góry. Chcemy zdążyć złapać vana, który wybiera się na targ, ale kiedy dochodzimy do drogi, okazuje się, że van już odjechał. Póki co, nie ma innego transportu, więc zaczynamy iść. To jakieś osiem kilometrów przez góry. Na szczęście piaszczysta droga prowadzi w dół. A kiedy zatrzymuje nam się rozklekotany samochód, wsiadamy, bo za kółkiem siedzi znajomy Abdislama.

Wioska z targiem okazuje się większa, bardziej cywilizowana, prawie miasteczko. Widzę parę kobiet podążających na targ na grzbietach mułów. Abdislam mówi, że minęły już czasy, kiedy kobieta podróżowała na grzbiecie osła czy muła tylko dwa razy w życiu | raz z domu swojego ojca do domu swojego męża w dniu ślubu, drugi raz w dzień swojego pogrzebu. Teraz cała rozległa polana przed miejscem targu pełna jest „zaparkowanych” tam mułów i osłów. W jednej z prostych restauracyjek mam okazję spróbować marokańskiej specjalności - bejisary, potrawki z mielonej fasolki serwowanej z przyprawami, olejem oliwnym i chlebem. W całym Maroku są podobne jadłodajnie, specjalizujące się tylko w bejisarze. Cieszę się bardzo, bo jest to stuprocentowo wegańska potrawa. Jak na większości targów jest tu wszystko: od przypraw i daktyli, przez zioła, owoce, nowe i używane ubrania, plastikowe gadzety, sprzęty domowe, po kozy i osły. Są młodzi ludzie w dzinsach i adidasach, są też kobiety z górskich wiosek w długich spódnicach, plecionych kapeluszach z dziećmi przywiązanymi chustami na plecach. Kupuję kilo mandarynek, które akurat są w sezonie. Kupujemy też kabel dla brata Abdislama i posyłamy go do wioski wracającym vanem. Potem bierzemy zbiorową taksówkę do miasteczka Ouazzane. Abdislam upiera się, że zostawi mnie dopiero wtedy, kiedy zobaczy, że wsiadłam bezpiecznie do autobusu do Fez.

W Ouezzane okazuje się, że ostatni autobus do Fez już odjechał. Ale będzie zaraz do

Meknes. To niedaleko Fez, a też podobno ciekawe miasto. Kupuję więc bilet do Meknes i kiedy autobus rusza, cieszę się, że jestem znowu sama. To jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów, ale tutejsze autobusy mają zadziwiającą właściwość pokonywania najkrótszego dystansu w rekordowo długim czasie. Szczególnie, że zaliczają obowiązkową przerwę na modlitwę i posiłek. Autobus zatrzymuje się na nowoczesnej stacji. Idąc w stronę starego miasta zaglądam po kolei do wszystkich hotelików. Albo są pełne, albo drogie. W końcu w hotelu Maroc, chyba ostatnim w okolicy, miła, malutka pani w recepcji, mówiąca po francusku, że są pokoje. Cena: sześćdziesiąt dirhamów (sześć euro). Pytam czy znajdzie się jakiś za czterdzieści dirhamów. Znajdzie się. Dostaję więc niewielką klitkę z łóżkiem, stolikiem i nawet zlewem. A za dodatkowe pięć dirhamów - gorący prysznic. Więcej mi nie potrzeba.



09-14 LISTOPADA

„Jeśli chcesz zostać obudzony na poranną modlitwę, daj znać w recepcji”, głosi napis na ścianie w hoteliku. Nie poprosiłam o pobudkę na modlitwę, a do mojej klitki dochodzi niewiele światła, więc budzę się dopiero około dziesiątej. Ale Marokańczycy prowadzą raczej nocne niż poranne życie. Kiedy wychodzę, sklepiki i stragany dopiero się otwierają, a kawiarenki serwują poranną kawę i francuskie bagietki. Są też miniaturowe miejscowe sandwich shopy z kilkoma rodzajami grubych placków. Można zażyczyć sobie kawałek z masłem, serkiem, miodem lub marmoladą.

Meknes to XVII-wieczne królewskie miasto sułtana Moulay Ismaila, który na krótko uczynił je stolicą. Zagłębiam się w uliczki medyny, bo te zawsze mnie fascynowały bardziej niż sułtańskie mauzolea. Tam, w minirestauracyjce funduję sobie miseczkę be-jisary z chlebem. Danie jest tak sycące, że wypełnia mnie prawie na resztę dnia którą spędzam włączając się powoli i chłonąc widoki, zapachy i wrażenia tego egzotycznego miejsca. Chodzę wzdłuż potężnych murów i patrzę, jak przez monumentalne bramy prze-jeżdżają kiczowato pozdabiane bryczki konne. Odwiedzam też w końcu sułtańskie mauzoleum, jedno z niewielu muzułmańskich, religijnych miejsc, do których biali mają wstęp. Całe mieni się od misternych mozaik i ozdobnych żyrandoli. Potem, na bazarze moją uwagę przykuwają kolorowe damskie dżelaby. Nie widzę siebie w takiej długiej szacie, ale mają też krótsze, w komplecie z luźnymi spodniami. Znajduję zestawik w pięknym, ciepło--słoneczno-żółtym, prawie pomarańczowym kolorze. Nie kupuję go jednak, bo to stoisko turystyczne i cena zbyt wysoka - dwieście pięćdziesiąt dirhamów. Kawałek dalej, gdzie zaopatrują się głównie miejscowi, dostaję identyczny komplet za sto dirhamów. To pierwsza rzecz w Maroku, którą sobie kupiłam. Zakładam od razu luźną górę, którą w zimne dni można będzie nosić nawet na wierzch polara. I doskonale się w niej czuję.

Koło południa zabieram plecak i jadę autobusem do położonego o jakąś godzinę drogi Fez. Tuż za główną bramą, zwaną Niebieską i ozdobioną misternymi mozaikami, skupia się garstka tanich hotelików. Choć tutejsze „tanie” to średnio pięćdziesiąt -sześćdziesiąt dirhamów (pięć - sześć euro) i żaden nie chce słyszeć o niższej cenie. Jakiś chłopak mówi, że zaprowadzi mnie do czegoś tańszego. Podążam więc za nim zaułkami, które stają się coraz to węższe i ciemniejsze, a domy stojące na przeciwległych stronach pochylają się tak bardzo, że rozparto je grubymi palami drewna, aby się nie zetknęły ze sobą. Jakoś nie wygląda mi na to, aby miał tu znajdować się hotelik, ale chłopak daje mi znać, abym się nie obawiała, a drugi, który niepostrzeżenie się pojawił -

potwierdza. Teraz dopiero powinnam zacząć się obawiać, ale zabrnęłam już za daleko. W końcu stajemy przed drzwiami budynku, bynajmniej nie wyglądającego na hotel. Otwiera starszy pan w długiej żółtej dżelabie i z uśmiechem zaprasza na kwadratowy dziedziniec domu. Pojawia się też jego żona w chuście. Okazuje się, że modnie ubrany chłopak z postawionymi na żel włosami, który po drodze dołączył do nas, jest ich synem. Mają parę pokoi, które wynajmują turystom. Na pewno się dogadamy, najpierw muszę jednak zobaczyć widok z dachu oraz napić się herbaty. Widok rzeczywiście jest imponujący, na medinę i okoliczne wzgórza. Miętowa herbata ze świeżych liści zwyczajowo supersłodka. A cena - przestaje mieć znaczenie. Jeśli stać mnie na trzydzieści dirhamów, w mniejszym pokoju i własnym śpiworze - to w porządku.

Rozlokowuję się więc w pokoiku i po chwili z powrotem zanurzam wszystkimi zmysłami w średniowieczną medinę. Podobno Fez ma około dziewięciu tysięcy uliczek i alejek. Nie sposób się tu nie zgubić. Ale to właśnie lubię najbardziej: gubić się i odnajdywać w magicznym labiryncie, odkrywając za każdym rogiem coś nowego. Pełno sklepików z marokańskim rękodziełem, biżuterią, lampionami, pamiątkami dla turystów. Nie brak oczywiście dywanów i kilimów. Uliczki z ziołami i aromatycznymi przyprawami, z daktylami kilkunastu rodzajów, z dżelabami, ze sklepikami mięsnymi, często dość przerażającymi - przed jednym napotykam wiszącą na haku, samotną głowę wielbłąda. Z sierścią, oczami, ciągle po wielbłądziemu tajemniczo uśmiechniętą. Czasem brama prowadzi do kwadratowego placu otoczonego sklepikami specjalizującymi się w jednym rodzaju towaru. Taki placyk zwany jest soukiem. Są więc souki z biżuterią, z butami, z miodem, z wyrobami ze skóry. Skóra właśnie jest miejscową specjalnością.

Kolejny chłopak, zapewniając, że nie chce pieniędzy, a tylko się zaprzyjaźnić i poćwiczyć angielski, prowadzi mnie do miejsca, gdzie w glinianych kadziach w ziemi barwione są zwierzęce skóry. Niestety teraz, późnym popołudniem już nic się nie dzieje, a unoszący się odór nie pozwala oddychać. Zegnam się jednak definitywnie z moim nowym „przyjacielem”, kiedy namawia mnie wprost, abym „spróbowała Marokańczyka”. No, bo jak to - będąc w Maroku nawet nie spróbuję? Po tonie mojego głosu orientuje się jednak szybko, że nic z tego i zaraz się ulatnia. Postanawiam nie dawać się już nikomu nigdzie prowadzić, co nie jest tu łatwe, bo co chwilę słyszę „bonjour, madame” i propozycję pokazania mi czegoś niezwykłego. Kiedy zaglądam na jeden z kwadratowych dziedzińców, kulturalnie wyglądający młody mężczyzna wyjaśnia mi, że w zeszłych wiekach był to hotel, z pokojami dla gości na górze i stajniami dla wielbłądów na dole. Teraz na dole są sklepiki, a na górze przeróżne miniaturowe warsztaciki, głównie wyrobów skórzanych - szpiczastych muzułmańskich klapków do wizyt w meczecie, damskich torebek, portmonetek. Zaprasza mnie do swojego sklepiku z berberskimi dywanami, który mieści się w tradycyjnym berberskim domu. Uczciwie mówię, że dywanu ani nawet małego kilimu od niego nie kupię, więc proponuje herbatę. Podczas kiedy sączę syropiasto słodki jak zwykle miętowy napar, mężczyzna rozwija przede mną coraz to bardziej niesamowite sztuki dywanów oraz berberskie historie. Twierdzi, że pochodzi z okolic pustyni. Kiedy zwierzam mu się, że marzę być może o kupieniu wielbłąda i powędrowaniu z nim przez jakiś czas, mówi od razu:

- Chcesz kupić wielbłąda? Sprzedam ci wielbłąda.
- Jak to: sprzedasz mi wielbłąda? Naprawdę masz wielbłąda?!
- pytam z niedowierzaniem.
- Ładnego. Takiego koloru 8 pokazuje na odcień szorstkiego dywanu z wielbłądziej sierści. - A nie wolisz wielbłądziego dywanu? To znacznie bardziej praktyczne.

Cóż, gdyby to był latający dywan, nawet bym się nie zastanawiała. Ale że raczej nie jest, wolę żywego wielbłąda. Mówi, żebym przyszła jutro. Ma przyjaciela, który ma wielbłąda. Również jego rodzina mieszka na skraju pustyni, w Merzouga. Ale z wielbłądem raczej poczekam, aż dotrę na pustynię, bo na co mi wielbłąd w wielkim mieście.

Następnego dnia właściciel jednego z małych sklepików z dywanami wręcza mi szklaneczkę miętowego naparu.

- Chcesz małego chłopca? - pyta wskazując na stojącego nieopodal, może ośmioletniego chłopca.
- Czy chcę małego chłopca? - upewniam się, czy dobrze usłyszałam.

- Dasz mu pięć, dziesięć dirhamów, pokaże ci okolicę, zaprowadzi, dokąd tylko zechcesz. Najuprzejmiej jak tylko potrafię, dziękuję za herbatę i chłopca, i znowu zapuszczam się w wąskie uliczki, gdzie czasem trzeba przyłgnąć do ściany, kiedy środkiem wędruje muł, obładowany towarami. Nie ma tu możliwości wjechania samochodem, więc wszystko - warzywa na targ, butle z gazem, skrzynki z coca-colą, worki z mąką trafiają w zaułki medyny głównie na grzbietach mułów. Daję się zaprosić przez sprzedawcę z jednego ze sklepików do wejścia na piętro i taras skąd rozpościera się widok na farbiarnię skór i całą okolicę. „Photo, no problem!” Potem tylko muszę się wymigać od kupienia ozdobnych skórzanych puf i innych gadżetów. Kiedy mówię, że jako weganka nie używam skórzanych wyrobów, sprzedawca, ku memu zdumieniu, natychmiast zaprzestaje namawiania.

Spotykam się z jednym z członków Hospitality Club, przy zwyczajowej szklance, pełnej miętowych liści. Dwudziestosiedmioletni Said miał już kilku gości, a pierwszym była Polka, która na forum HC ma ksywkę „abeduinka”. Niedawno cała jego rodzina przeniosła się do bloku na skraju nowego miasta. Jedziemy autobusem, dzięki czemu mam okazję zobaczyć, że Fez to nie tylko stara me-dina. Zbudowana przez francuskich kolonizatorów, główna szeroka aleja porośnięta jest wysokimi palmami, a kawiarenki po obu jej stronach pełne są modnie, po europejsku ubranych młodych ludzi. W mieszkanku Saida wita nas jego bardziej tradycyjnie ubrana mama. Said nie rozumie, jak można nie jeść mięsa, ale mówi, że dobrze trafiłam. Jego ojciec ma sklepik warzywno-owocowy. Obydwoje rodzice pochodzą ze wsi, z dwóch różnych plemion i nie mają żadnego wykształcenia. Pokazuje mi zdjęcie, kiedy jako malec spędzał całe wakacje pomagając ojcu na straganie, kiedy jeszcze nie było sklepu, a stragan składał się z paru skrzynek. Wieczorem dostawał parę dirhamów na kino i co tylko chciał. Teraz z dochodów ze sklepu ojciec opłaca mu prywatne studia komputerowe. Said chciałby otworzyć swój biznes. Może kawiarenkę internetową w swojej dzielnicy...

Podczas dnia, kiedy świeci słońce (a świeci nieustannie), wydaje się gorąco nawet w koszulce z krótkim rękawem. Jednak do większości wąskich uliczek słońce nie dociera, więc jest tam całkiem chłodno. A wieczorem i w nocy robi się naprawdę zimno. W końcu to już prawie zima. Trochę o tym zapomniałam, no i mam rezultat. Budzę się z bolącym gardłem i katarem. Dziś więc ciepłej się ubieram. Kiedy Said wraca z zajęć, wybieramy się razem do medyny. Wyjaśnia mi, do czego służą różne tajemnicze rzeczy, sprzedawane w miniaturowych sklepikach i straganach oraz z czego zrobione są lokalne słodycze. Wspólna wędrowka ma jeszcze tę zaletę, że nie dostaję już propozycji matrymonialnych i tym podobnych. Ani zaprowadzenia mnie gdzieś czy pokazania mi czegoś. A rzadsze propozycje zajrzenia do sklepików z dywanami czy pamiątkami kierowane są po arabsku bezpośrednio do Saida.

Poranek przynosi nagłą, niespodziewaną zmianę pogody. Szarość wokół i dość ulewny, równomierny deszcz. Said mówi, że to normalne. Jest przecież zima. Taka pogoda to dobra okazja do spędzenia czasu w kawiarence internetowej. Na szczęście, poza strefą turystyczną istnieją tańsze kawiarenki (pół euro za godzinę), gdzie miejscowa młodzież oddaje się „czatowaniu”. Całkiem nowocześnie: niektórzy tylko tekstem, ale wielu głosem - przez Skype⁵a, i to z webkamerami. Nie jest więc najciszej, ale wszystko i tak zagłusza głośna arabska muzyka. Wieczór w domu z liczną rodziną zgromadzoną przed telewizorem. Siostry Saida wróciły właśnie z cotygodniowej wyprawy do hamamu, czyli publicznej łaźni, bo pomimo że mają prysznic w domu, nie są do niego przyzwyczajone. Tu większość ludzi szoruje się porządnie raz na tydzień w hama-mie. Też muszę kiedyś spróbować.

Ze względu na przeziębienie postanawiam spędzić jeszcze jeden dzień w Fez. Ale bynajmniej nie w łóżku. Dziś trafiam w zupełnie nowe zakamarki miasteczka, między innymi w uliczkę z ciągiem sklepików, gdzie kobiety smażą cienkie oleiste naleśniki narzucając je na rozżarzoną żelazną kopułę. Poza murami medyny biel nagrobków gęsto pokrywających pobliskie cmentarne wzgórze kontrastuje magicznie z granatem nieba, bo choć ciągle świeci słońce, zanosi się znowu na deszcz, a niebo i świat przybierają kolory tak jak w Amazonce tuż przed tropikalną burzą. Rzeczywiście, wkrótce zaczyna padać.

Wieczorem deszcz nie ustaje, ale postanawiamy z Saidem wybrać się do kina. Z braku

innych - na najnowszy marokański przebój kinowy: komedię o złej teściowej pod tytułem: „Ma cukrzycę, ma nadciśnienie, a nie chce umrzeć”. Zła teściowa to matka żony, a zięć w żaden sposób nie jest w stanie jej zadowolić. Film, pomijając fakt, że jest po arabsku i nie rozumiałam ani jednego słowa, nie należy chyba do arcydzieł kinowych, chociaż publiczność raczej dobrze się bawiła.

Przejechałam stopem całą drogę z Polski aż na południowy koniuszek Hiszpanii. Promem przedostałam się na afrykański kontynent, a tam... wszyscy zszokowani moim pomysłem jazdy stopem zaczęli ostrzegać mnie, że to niebezpieczne. Pierwszy raz jestem w Afryce, więc na początku, jeszcze nie wiedząc, czego się mogę spodziewać, korzystałam z lokalnych autobusów. Ale teraz, widząc jak przyjaźni są tu ludzie i jak bezpiecznie się tu czuję, postanowiłam spróbować. Ponieważ wierzę, że ludzie są z natury dobrzy.

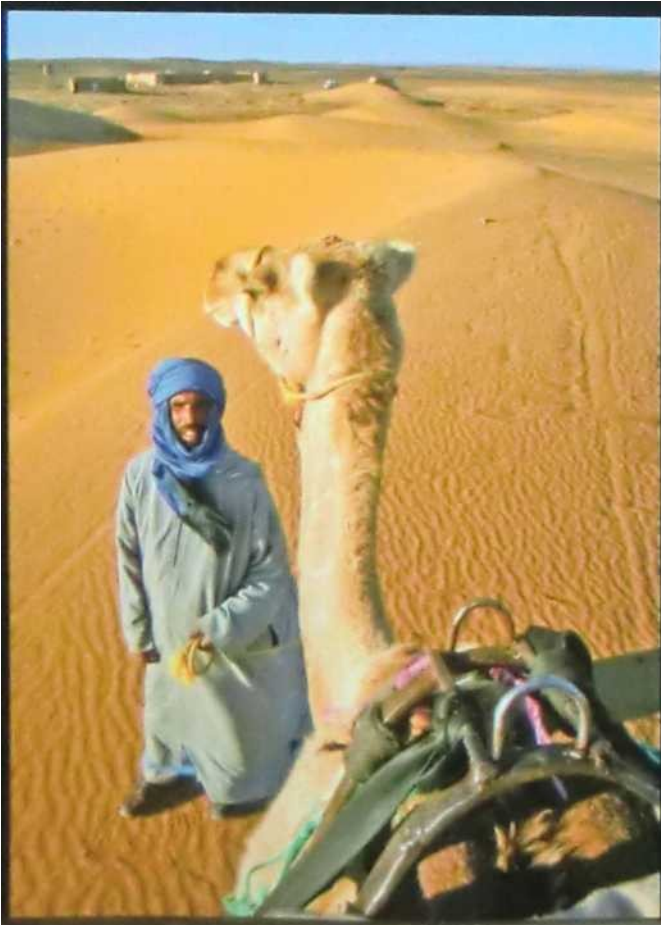
Więc Said odprowadził mnie na drogę nie dowierzając, że naprawdę chcę to zrobić. „Ze względów bezpieczeństwa” chciał poczekać, aż złapię pierwszego stopa. A pierwszy stop okazał się wozem konnym. Kiedy zatrzymał się na poboczu, Said też poczuł ducha autostopowej przygody i wsiadł ze mną. W tym momencie chciał mi towarzyszyć przez resztę podróży przez kontynent. Ale pozwoliłam mu przyłączyć się tylko na ten pierwszy afrykański autostopowy dzień. A dzień był piękny i droga wiodła przez coraz to bardziej niesamowite krajobrazy. I rzecz, której nie spodziewałam się zobaczyć w Afryce: śnieg! Nagle przejechaliliśmy przez całe masy śniegu. OK, co prawda na wysokościach ponad dwa tysiące metrów, ale i tak wydawało się to nierealne. Wkrótce po tym, jak minęliśmy pokryte śniegiem góry, kolory pustynnego krajobrazu skąpanego w zachodzącym słońcu zmieniły się na dramatycznie czerwone. A jednocześnie wschodził księżyc w pełni.



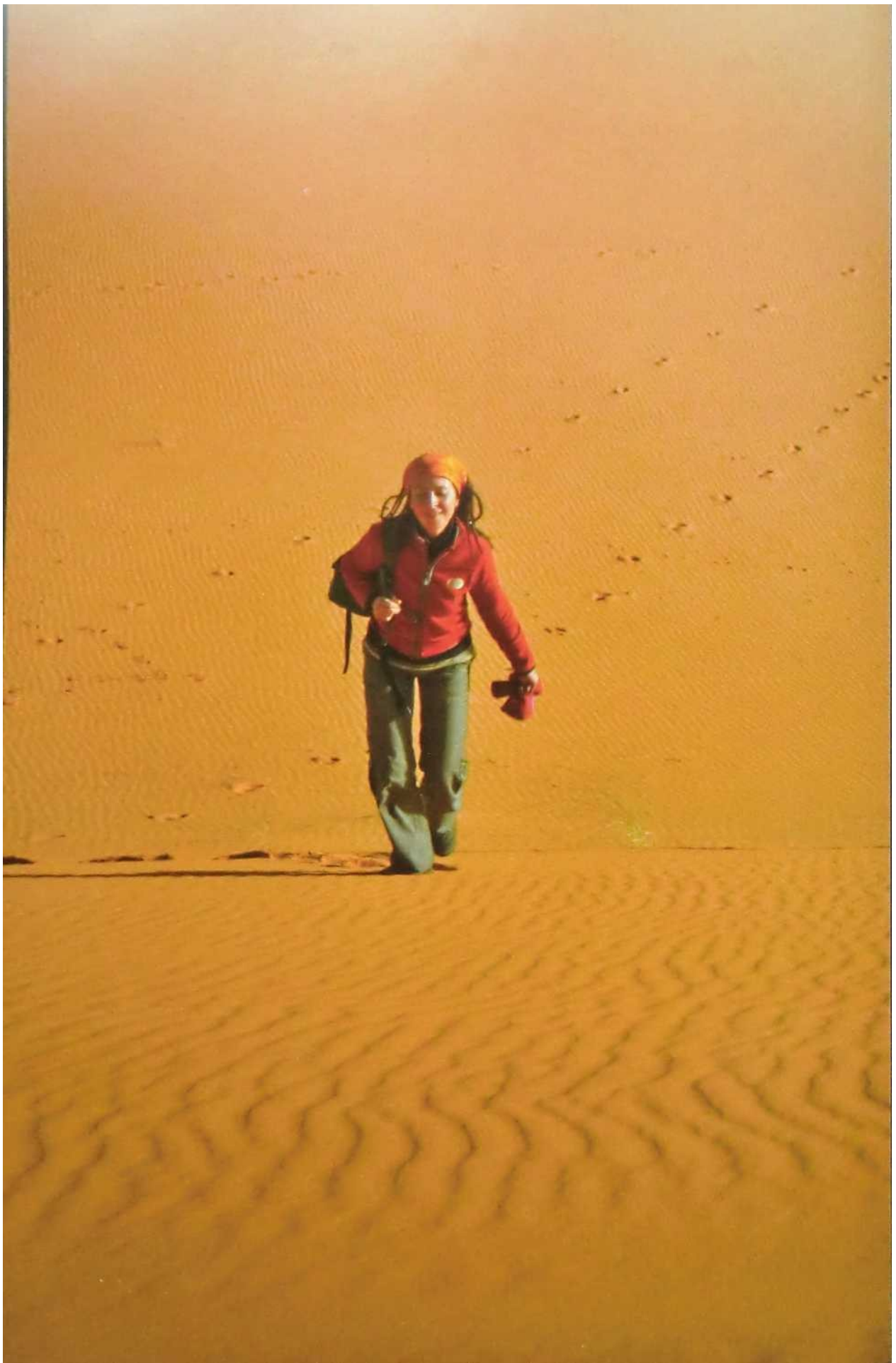


SAHARA











Przez tydzień mieszkam w małym miasteczku Rich, z rodziną Abdulaha, mojego drugiego hosta z Hospitality Club. To tradycyjna berberska rodzina, gdzie mam okazję doświadczyć i posmakować trochę ich sposobu życia. Na przykład posiłki spożywa się tu w prawdziwie marokańskim, berberskim tradycyjnym stylu. To znaczy, wszyscy gromadzą się wokół wielkiej wspólnej miski ustawionej na niskim stole. Jadam razem z nimi, albo tylko z kobietami, kiedy jakiś mężczyzna przychodzi w gości. Odwiedzamy targi z rana, ciotki i sąsiadów wieczorami, a do późnej nocy prowadzimy żywe dyskusje wymieniając poglądy na życie...

Moi gospodarze respektują to, że nie jem zwierzęcych produktów, więc przygotowują dla mnie oddzielnie tajine tylko z warzyw. W specjalnym glinianym naczyniu układa się warstwami pokrojone w plastry dowolne warzywa, zalewa olejem i odrobiną wody, lekko przyprawia, przykrywa szpiczastą pokrywą i potrawa sama się gotuje. Je się nabierając warzywa ręką i kawałkiem odłamywa-nego chleba - też pieczonego codziennie w domu. Rodzinka oczywiście je tajine mięsne, ale również z dużą ilością warzywnego sosu. Widać, że mięso jest tu chyba

najważniejszą częścią posiłku, bo podczas kiedy wszyscy jedzą do woli sos i warzywa, donoszone i dolewane miseczkami do wspólnej misy, mięso zostawiane jest na koniec, kiedy to matka rwie je na kawałeczki i dzieli na tyle porcji, ilu jest członków rodziny, Każdy dostaje swoją. A na sam koniec trafiają na stół owoce.

W rodzinie jest siedmioro dzieci, a ja z przyjemnością spędzam większość czasu z siostrami Fatimą i Nezżą. Dziewczyny chcą wybrać się ze mną na internet, tym bardziej, że obiecałam im pomóc założyć własne konta e-mailowe. Mama w tym momencie gdzieś wyszła, więc muszą zapytać o pozwolenie najstarszego brata. Ten jednak mówi, że internet owszem, ale nie w kawiarence. Możemy wybrać się do wujka, który ma internet w domu, a mieszka na drugim końcu miasteczka. Tam wszyscy skupiają się wokół nas, kiedy siadamy przy komputerze. Pokazuję im moją stronę, stronę Hospitality Club oraz zakładam dziewczynom konta mailowe na francuskim Yahoo. Mają tu całkiem niezłe połączenie i Skype'a. A kiedy dzwoni Chopin, mogę skorzystać z webkamerki i Chopin po raz pierwszy od momentu mojego wyjazdu ma okazję mnie zobaczyć. Nie tylko mnie, ale też całą skupioną wokół rodzinę, kobiety w chustach i dżelabach oraz rozbrykane dzieci. Wracamy już po zmroku, więc rodzina wysłała jednego z braci, aby po nas przyszedł, żeby siostry nie musiały same iść po ciemku przez miasteczko.

Miałam już ruszyć dalej, ale pada ulewny deszcz i moi berber-scy gospodarze mówią, że w taką pogodę nie pojedę. A w ogóle to mogę zostać u nich tak długo, jak tylko chcę.

Nie lubię pożegnań. Zżyłam się z „moją” rodziną, a ona ze mną. Obiecuję (i szczerze wierzę, że się uda) odwiedzić ich jeszcze kiedyś. Jak już objadę Afrykę i wrócę. Jak będzie mnie stać, to może nawet przyjadę autem, w końcu z Europy nie jest daleko. A teraz dostaję zawiniątko z połówką placka chleba oraz porannym naleśnikiem, żegnam się ze wszystkimi i Abdullah odprowadza mnie do centrum miasteczka. „Grand-taxi” dowozi mnie za parę dirhamów do najbliższej przydrożnej minioazy z kępką palm i ciepłym mineralnym źródłem. Napełniam butelkę wodą ze źródła i wychodzę na pustawą drogę łąpać stopa. Autem z trzema mężczyznami w środku jadę do pierwszego największego miasta w okolicy, Ar Rachidia. Kierowca o nic nawet nie pyta, włącza nastrojową arabską muzykę i suniemy przez skalisto-górskie okolice. Gdzieś tam w kanionach pojawia się nagle zielony pas palm daktylowych oraz skupiska bajecznie wyglądających zabudowań w ziemistym kolorze. Kwadratowe domy z płaskimi dachami i kwadratowymi wieżyczkami w czterech rogach. Albo kazby² - małe dworki, często hoteliki - też gliniane, ale w bajkowo pałacowym stylu, z wieżyczkami i ornamentami, pośrodku palmowych oaz.

Kolejny stop wiezie mnie z Ar Rachidia do miasteczka Erfoud. Kierowca słysząc, że jadę do Merzouga mówi, że mogę zatrzymać się tam w hoteliku jego rodziny. I okazuje się, że każdy kolejny kierowca ma tam swój rodzinny biznes. Przyjmuję więc niezobowiązująco wszystkie wizytówki, a kiedy wspominam o wielbłądzie, już nie dziwię się, kiedy słyszę natychmiastową odpowiedź: „właśnie moja rodzina w Merzouga ma dwieście pięćdziesiąt wielbłądów”.

Ostatnie auto zabiera mnie do ostatniego miasteczka w okolicy, Rissani, do którego wjeżdża się przez pięknie ozdobioną bramę zwaną „wrotami pustyni”. Tuż przed miastem dosiada się młody przyjaciel kierowcy, Ali, który przedstawia się jako „camel man”, czyli „człowiek od wielbłądów”. Też jedzie do Merzouga, więc razem weźmiemy „grand-taxi”. Tuż przed zachodem słońca obładowany stary mercedes rusza w kierunku pustyni. Tu już zrobiło się bardziej płasko, tylko na horyzoncie z prawej strony widać zarys gór, a w oddali z lewej - pasma pustynnych wydmi. Ali mówi, że tam gdzie ma wielbłądy, można zatrzymać się w berberskim namiocie przy ich hoteliku za dwadzieścia dirhamów za noc. OK. Wsiadamy pośrodku pustkowia, przy znaku wskazującym na „Auberge Erg Chebbi”. Au-berge to po tutejszemu hotelik, a Erg Chebbi to nazwa tej największej, najwspanialszej marokańskiej wydmy. Tu nie ma już drogi, kierujemy się tylko śladami kół w pustynnej ziemi i gdzieś tam niewielkimi kupkami kamieni ułożonych w piramidki. Ali niesie mój duży plecak i wita mnie gorąco na swojej berberskiej pustynnej ziemi. Opowiada, że należy do narodu Berberów. Nie ma wykształcenia, a angielskiego nauczył się od turystów.

Z oddali wylania się najpierw chmura kurzu, a po chwili wraz z nią „brat” Alego w należącem do auberge białym busie z napędem na cztery koła. Jest już półmrok, kiedy docieramy

na miejsce, ale jestem pod wrażeniem, kiedy widzę, że auberge leży dosłownie na samym skraju zarysowującej się majestatycznie wydmy. Całe auberge otoczone jest glinianymi murami, a raczej murami z ziemi zmieszanej ze słomą, w środku jest kilka wyłożonych dywanami pomieszczeń ze stołami i siedzeniami. Siadam w przyjemnym zakątku i po chwili na stole pojawia się powitalna herbata. W sezonie to miejsce jest pełne, również w okolicy świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W tym momencie jednak świeci pustkami. Poruszam z Alim temat, który najbardziej mnie interesuje - wielbłądy! Mówi, że nie ma sprawy, mogą zorganizować mi wielbłądzą wyprawę na kilka godzin, kilka dni lub kilka tygodni. Ale ja nie chcę turystycznej wyprawy z przewodnikiem.

- Chciałabym kupić wielbłąda.

- Kupić wielbłąda? - przez moment Ali nie posiada się ze zdumienia, ale po chwili odpowiada dokładnie to, czego się spodziewam, czyli:

- Nie ma sprawy. Sprzedam ci wielbłąda.

Na potwierdzenie swoich słów prowadzi mnie od razu po ciemku do pobliskiej zagrody i przy świetle mojej latarki odbywa się moje pierwsze spotkanie z wielbłądami afrykańskiej pustyni. Rozmawiamy na temat ewentualnej trasy. Aby powędrować przez kawałek prawdziwej pustyni, odwiedzając po drodze jedynie niewielkie osady i koczujących nomadów i aby zakończyć podróż w miejscu, gdzie byłaby szansa na sprzedanie wielbłąda - trzeba by dotrzeć stąd do Zagory. W zależności od tempa oraz od tego, czy bardzo pogubię się po drodze - od ośmiu do czternastu dni. Ali przyznaje, że trochę jest zaskoczony moim pomysłem, bo nigdy nie spotkał Europejczyka, który chciałby kupić wielbłąda. Póki co, prowadzi mnie do pobliskiego skupiska berberskich namiotów, skleconych z mat z wielbłądziej sierści oraz wyszywanych cekinami kolorowych tkanin. Mam cały namiot dla siebie - wyłożony matami, z niskim stolikiem, materacami wokół, kocami. A nad namiotem niebo niewiarygodnie pełne gwiazd.

- Bonjour - słyszę jeszcze po ciemku, tuż przed świtem, bo poprosiłam, aby ktoś obudził mnie na wschód słońca.

Wysuwam się z ciepłego śpiwora, ubieram, wychodzę przed namiot i zastygam wśród ciszy pustyni w zachwycie dla różowiejącego tuż ponad wydmami nieba, przechodzącego wyżej w granat, na którego szczycie wisi jeszcze świecący mocno sierp księżycy. W nocy pokropił deszcz - na czyściutkim niebie nie ma po nim śladu, ale piasek jest wilgotny. Stąpam cicho i delikatnie, mając wrażenie, że z każdym odciskiem buta naruszam nieskazitelność wydmy. Wspinam się na kolejne piaszczyste pagórki, rozciągające się jak okiem sięgnąć, po horyzont i jeszcze dalej, pewnie aż za algierską granicę. Widzę, jak po zboczu wydmy zbliża się postać w białej dżelabie i białym turbanie. Podchodzi do mnie, wita się po francusku, przez chwilę w ciszy kontemplujemy rozjaśniające się niebo, po czym mężczyzna pyta, czy może pokazać mi swoje eksponaty, skamienieliły pustyni. Kiedy widzi, że nie ubije ze mną interesu, oddala się majestatycznie czyniąc wydmowy krajobraz przy wschodzącym właśnie słońcu jeszcze bardziej nierealnym. A promienie słoneczne nasycają zbocza wydm intensywnie pomarańczowym światłem, które rozlewa się po całej okolicy. Prawdziwa, magiczna, fotograficzna uczta. Ale zatykający dech w piersiach widok pojawia się dopiero wraz z powrotem z pustyni grupki turystów. Biały wielbłąd! Najprawdziwszy biały wielbłąd. Teraz już wiem, że jeśli kupić, to tylko białego wielbłąda.

Kiedy wracam do auberge, rozmawiam z Ibrokimem. Ciężko stwierdzić, kto tu tak naprawdę jest szefem, ale on zostaje przedstawiony mi jako miejscowy król, a widząc, że naprawdę jestem zainteresowana, zaprasza mnie na herbatę. Rozmawiamy o wielbłądach, o drodze. W końcu wychodzimy do wielbłądziej zagrody, gdzie witając się z białym wielbłądem dowiaduję się, że Ibrokim chce za niego dwa tysiące dwieście euro. Z pewnością jest to cena do negocjacji, ale i tak szokująca jak na cenę wyjściową. Ibrokim wyjaśnia, że taniej można kupić dzikie, nieoswojone wielbłądy, a te wymagały dużo czasu i pracy zanim nauczyły się słuchać ludzi i pozwoliły się osiodłać. Poza tym białe są droższe, bo pochodzą aż z Mali. Mówię, że potrzebuję czasu, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Idę do widocznego w oddali innego auberge. Zobaczyć, czy i po ile mają wielbłądy. Potem, kiedy na pobliskich wydmach fotografuję zmieniające się kolory pustyni, słyszę swoje imię. To Ali woła mnie ze skraju piaszczystej drogi. Mówi, że znalazł mi kogoś, kto ma wielbłąda do

sprzedania. Jedziemy motorami z dwoma mężczyznami w dżelabach w południowym świetle wśród nierealnych krajobrazów i czuję, że warto było poszukać wielbłąda chociażby dla tej przejażdżki. Kiedy docieramy do stadka wielbłądów przy niewielkim ziemistym budynku, mój kierowca w turbanie wskazuje na jasnego, nie śnieżnobiałego, ale jasnego wielbłąda. Każe mu uklęknąć i zakłada siodło. Wsiadam. I falistym ruchem nagle znajduję się dwa metry nad ziemią. Robimy niespiesznie (wielbłądy chyba inaczej nie potrafią) jedną rundkę wokół. Dopiero, kiedy schodzę, zaczyna się negocjacja. Z pomocą, bo turbaniasty właściciel mówi tylko po berbersku. Ma też ciekawą propozycję. Za dziesięć euro dziennie oferuje się poprowadzić mnie aż do Zagory. Ja wolałabym sama, ale naprawdę nie wiem, czy to możliwe. A cenę wyjściową wielbłąda pisze na piasku - tysiąc pięćset euro. To też fortuna. Nawet jeśli do negocjacji. Ale z drugiej strony - ceny zrealizowania marzenia nie da się przeliczyć na euro czy dirhamy.

- Chodź, mam kogoś, kto sprzeda ci białego wielbłąda - mówi Ali, jak tylko wychodzę z namiotu przywitać nowy pustynny dzień.

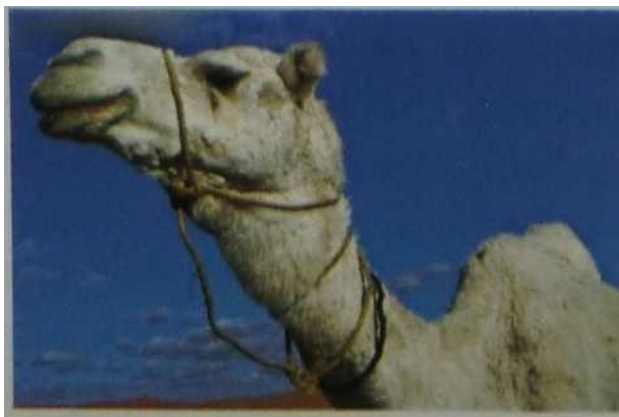
Okazuje się, że kupienie wielbłąda nie jest problemem. Każdy chce sprzedać wielbłąda. Nie tanio. Drożej niż mój stary żółty van. Znowu więc przemierzam całą okolicę spotykając się z różnymi ludźmi, popijając słodką herbatę, oglądając białe wielbłądy, negocjując cenę. Ostatecznie dogaduję się z Ibrokimem w moim auberge. Skoro wszędzie cena jest podobna, a ich wielbłąd jest dobry, sprawdzony, mogę kupić tutaj. A jeśli kupię od nich wielbłąda, sami znajdą i opłacą jakiegoś berberskiego nomada, który mnie poprowadzi. Ale to nie jest to, o czym marzyłam. Równie dobrze mogę wykupić sobie wycieczkę z przewodnikiem... Jadę do miasteczka po pieniądze. Okazuje się, że bankomat ma limit cztery tysiące dirhamów. Wyciągam więc po cztery tysiące z dwóch. Reszta jutro. I z powrotem do Erg Chebbi. Jeden z chłopaków ma nauczyć mnie obsługi wielbłąda, pokazać jak wiązać sznurki, jak skłonić wielbłąda, aby usiadł czy wstał. Zwierzak jest trochę kapryśny, ale to nie problem. Problem pojawia się w momencie, kiedy siedzę już w siodle. Okazuje się, że... wielbłąd idzie tylko wtedy, kiedy jest przez kogoś prowadzony. Kiedy nie jest, nie idzie wcale albo tylko tam gdzie akurat ma ochotę. Widząc, że mi to nie wychodzi, wielbłądziarz sam próbuje, ale z podobnym rezultatem. Po prostu tu nikt czegoś takiego nie robi.

- Wielbłąd to nie koń. Ani samochód. Nie skręca w prawo czy lewo na żądanie - śmieje się Ali widząc nasze próżne wysiłki. - Musisz iść z przewodnikiem. Z przewodnikiem bez problemu.

Wiem, że z przewodnikiem bez problemu, ale z przewodnikiem mogłabym po prostu wynająć wielbłąda. Cały sens kupienia wielbłąda zawierał się w samodzielnej z nim wędrowce. Ale skoro wielbłąd nie prowadzony na sznurku nie będzie wędrować... cała piękna idea pada w gruzach. Wieczorem rozmawiam z bratem Ibrokima, który mówi, że potrzebuję wojskowego wielbłąda.

Wojskowe są od małego trenowane w zupełnie inny sposób. Albo wyścigowego wielbłąda z Arabii Saudyjskiej. Te potrafią nie tylko wędrować, ale i biec me prowadzone na sznurku. A żacien z okolicznych wielbłądów nie był do tego przygotowywany.

Póki co, moje marzenie o białym wielbłądzie pozostanie nadal tylko marzeniem. Ale kto wie - może gdzieś kiedyś spotkam wielbłąda, który powędruje ze mną bez przewodnika... Tymczasem spędzam jeszcze jeden, ostatni spokojny dzień tutaj, bo z wielbłądem czy bez, tymi krajobrazami długo można sycić oczy. A dziś zerwał się pustynny wiatr, tak że cieszę się, że nie wędruję akurat przez pustynię. A potem, kiedy przysiadam się do dwóch nowo przybyłych dziewczyn, Holenderki i Australijki, mam okazję zrozumieć jak dokładnie funkcjonuje to miejsce. Jeden z chłopaków z auberge pokazuje im właśnie zdjęcia wydm i okolicy, a do mnie podchodzi inny i mówi, że brat Ibrokima chce ze mną rozmawiać. Idę do innego pomieszczenia, a tam mówią mi, abym zostawiła dziewczyny z chłopakiem aż skończy „pracować”. Bo pokazywanie zdjęć nie było prostym gestem przyjaźni, tylko naciągnięciem na wykupienie wcale nietaniej wycieczki z wielbłądami i przewodnikiem na pustynię. Wracam więc do dziewczyn dopiero wtedy, gdy słyszę bębnienie. Chłopcy w turbanach wygrywają berberskie rytmy, dziewczyny są przekonane, że to spontaniczny miejscowy zwyczaj, a ja widzę teraz w bębnieniu rytuał zwycięstwa, pozyskania nie lada klientek: okazuje się, że wykupiły aż trzydniową wycieczkę.



30 LISTOPADA - 02 GRUDNIA

Rano brat Ibrokima podwozi mnie do Rissani. Tu nie ma wielkiego ruchu, więc biorę „grand-taxi” do odległego o dwadzieścia

parę kilometrów Erfoud. Tu, po miseczce bejisary w centrum, idę na drogę wyjazdową na zachód. Droga ta prowadzi przez parę ciekawych miejsc, między innymi dwa kaniony w górach. Mam nadzieję dotrzeć dziś do jednego - kanionu Todra. Droga jednak jest zupełnie pusta. Wędruję więc przed siebie w towarzystwie podążającego za mną chłopca proszącego po francusku na zmianę to o jednego dirhama, to o długopis. Mały nie chce zrozumieć, że nie mam zwyczaju dawać pieniędzy dzieciom, a mój jedyny długopis jest mi potrzebny. Miejscowym autobusem docieram do pobliskiego niewielkiego miasteczka, a stamtąd - ciężarówką z z dwoma mężczyznami bardzo ubawionymi faktem, że zabierają europejską autostopowiczkę - do wioski niedaleko miasteczka Tinjdad. W miejscu, gdzie mnie zostawiają, siedzi przed domem przy drodze kilka kobiet. Podchodzą do mnie zaciekawione, witają się, chcą porozmawiać, ale... nie mamy w jakim języku. Jedna tylko potrafi powiedzieć po francusku:

- Chodź do mojego domu.

Pokazują gestami, że na herbatę. OK, idę więc na herbatę. Zjawia się też młody mężczyzna mówiący po francusku. Jest bratem jednej z kobiet. Zostaję miło przywitana i posadzona na jednym z wąskich materaców ułożonych wzdłuż ścian w pokoiku, gdzie siedzi już garstka egzotycznie ubranych postaci. Pokoik zapełnia się jeszcze ciekawskimi sąsiadami. Zaczynają krążyć szklaneczki z herbatą, a ja częstuję wszystkich kupionymi jeszcze w Rissani daktylami. Gospodarze mówią po berbersku i gestykują chcąc mi coś przekazać, na szczęście mężczyzna tłumaczy na francuski, że jestem zaproszona, aby spędzić z nimi noc albo dwie lub więcej. Wyjaśnia też, że cztery dni temu zginął w wypadku drogowym jego ośmioletni brat przejechany przez zbyt szybko pędzącego vana i dlatego dom pełen jest rodziny przybyłej z racji tej smutnej okoliczności. Ale nie ma żadnego problemu, bardzo się cieszą, jeśli przyjmę zaproszenie. A ja przyjmę je z przyjemnością...

Lahcen zabiera mnie na spacer po okolicy. Idziemy w stronę pasa palm daktylowych, jedyne zielone elementy szarobrazo-wego krajobrazu. Ziemia pomiędzy palmami podzielona jest na niewielkie poletka, na których nic w tym momencie nie rośnie, bo wszystko, wraz z korytem pobliskiej rzeki, jest wysuszone. Mijamy miejscowy cmentarz. Każdy grób zaznaczony jest jedynie przeważnie nie opisanym, wbitym w ziemię płaskim kamieniem. Tylko świeższe groby oprócz kamienia mają usypany wzgórek. Lahcen pokazuje mi grób swojego brata. Przechodzimy jeszcze przez centrum miasteczka (czy raczej wioski), gdzie częściowo zachowały się ruiny starych, uroczych budynków z ziemi zmieszanej z drobnymi kamykami i słomą.

Kiedy wracamy, następuje kolejna rundka herbaty, która jest tu całym obrzędkiem. Napój robi, rozlewa i rozdaje jedna osoba. W dzbanku z długą szyjką obfita garść zielonej herbaty, jeszcze obfitsza porcja cukru, gorąca woda. Wszystko gotuje się przez chwilę. Potem, aby wszystko dobrze się wymieszało, a herbata zaparzyła, osoba serwująca nalewa z rozmachem, to znaczy z wysokości, rozchlapując trochę dookoła, pełną szklanek naparu, który wraca do dzbanka. I tak dwa, trzy, czasem więcej razy. Potem bierze odrobinę herbaty na dno szklanki, próbuje, czy wystarczająco mocna i słodka, i jeśli tak - dopiero rozlewa ją do niewielkich szklaneczek i podaje wszystkim zgromadzonym. Szklaneczki są małe, więc trzeba wypić kilka. I tak mija wieczorny czas zgromadzonej rodziny, która siedzi dookoła pokoju, grzejąc się pod kocami. Dopiero koło

dziewiętej serwowany jest wieczorny posiłek. Wiedząc, że nie jadam mięsa, dziewczyny przygotowały kuskus z warzywami - dla wszystkich, więc tym razem mogę z całą rodziną jeść z jednej miski. Na koniec kolejna rundka herbaty i mężczyźni idą do innego pokoju, starsze kobiety również. A ja zostaję z młodszymi (sześcioma!) na noc w tym jednym pokoiku, w którym rozkładają maty i dużą liczbę koców na spód i na wierzch. Tu nie przebierają się do spania, zdejmują co najwyżej wierzchnią warstwę odzieży, bo teraz zimą wszyscy ubrani są wielowarstwowo. Mój śpiwór wzbudza powszechną radość, bo nie widzieli jeszcze czegoś takiego.

Rano uczestniczę w rytuale wyrabiania porannego chleba, czyli naleśnikowatych placków. A tutaj ciekawe urozmaicenie - placki nadziewa się masą z zielonej papryki, szczypiorku, ziół i przypraw, wszystko ubijane w moździerz. Jest tu akurat sporo rąk do pracy, więc zadania są podzielone. Dwie dziewczyny najpierw wyrabiają ciasto. Część zostawiają do wyrośnięcia i do upieczenia później plackowatego chleba. Druga część idzie na poranne naleśniki. Młodsza córka moich gospodarzy ubija składniki na nadzienie. Starsza formuje placki i kładzie na skropioną olejem rozgrzaną patelnię. Wszystko odbywa się w kuchni, dziewczyny siedzą na podłodze lub na niskich stołeczkach. W końcu sterta gorących placków trafia na niski okrągły stół w pokoju. Placki rwane są i jedzone wprost ręką, popijane słodką herbatą.

Po śniadaniu idę z jedną z dziewczyn z wózkiem i plastikowymi butelkami po wodę do specjalnego ujęcia. Potem z jej siostrą - do miejsca, gdzie trzymają kilka kózek i owiec. Wzbudzam spore zaciekawienie wśród miejscowych, bo chyba rzadko trafiają tu turyści. Potem obserwuję, jak na placu przed domem kilka kobiet rozbija kamieniami pestki świeżych daktyli na pokarm dla zwierząt. Ośmioletnia dziewczynka z niemowlęciem w chuście na plecach pierze w misce ubrania. Czarne niemowlę okazuje się dziewczynką, a jej siostra daje mi ją trochę w tejże chuście na plecach ponosić, co dostarcza rozrywki wszystkim zgromadzonym. Taka chusta to su-perwygodne rozwiązanie - dziecko jest cały czas w bliskim kontakcie z matką, więc jest spokojne. Matka ma przy sobie, a przy tym ręce wolne. Ciekawe dlaczego u nas się to nie przyjęło.

Po południu wybieram się z Lahcenem do Tinjdad, pobliskiego miasteczka, gdzie najciekawszą rzeczą są malownicze ruiny starego kompleksu budynków z ziemi, otoczone murami i palmami. Wieczorem - znowu grzeję się wraz z rodziną pod kocami czekając na wieczorny posiłek. Tu też nie mogą pojąć, że z własnej woli nie jem mięsa. A najczęściej powtarzane do mnie słowo po berbersku to „czysz”, czyli „jedz”. Bo wydaje im się, że prawie nic nie jem.

- My, Berberzy, jemy dużo - oznajmia mi po francusku najstarsza siostra, jedyna mówiąca odrobinę w tym języku.

„My, Berberzy” - to jej ulubiony początek zdania. „My, Berberzy - dużo dzieci”, „My, Berberzy, lubimy się śmiać”. A kiedy oglądają dokładnie moje buty i porównują je ze swoimi, dowiaduję się, że „My, Berberzy - buty z plastiku”, a brzmi to tak, jakby plastikowe buty były odwiecznym elementem ich stroju.

Rodzinka zaprasza mnie, abym została dłużej albo najlepiej w ogóle z nimi zamieszkała. Dziękuję i obiecuję, że jeśli będę jeszcze w tych stronach, to na pewno ich odwiedzę. Inshallah . Po śniadaniu żegnam się ze wszystkimi, zaczynając od najstarszych członków rodziny. Mają tu niezwykle rytuał powitalny i pożegnalny. Szczególnie kobiety. Podają sobie delikatnie dłonie, po czym całują się w policzki, a następnie jedna z osób całuje dłoń drugiej. I tak na zmianę, cztery razy. Z młodszymi dziewczynami albo poczwórny pocałunek w oba policzki, albo potrójny w jeden. Z mężczyznami uścisk dłoni i przyłożenie dłoni do serca. Tak też wyglądają codzienne przywitania pomiędzy członkami rodziny, sąsiadami czy przyjaciółmi. A często też uścisk dłoni i przyłożenie dłoni do ust.

Lahcen przekonuje mnie, że przemieszczanie się stopem tutaj jest trudne i niebezpieczne, i zupełnie nie chce zrozumieć, że, jak dotąd, jest zupełnie odwrotnie. W pobliskim miasteczku na wy-jeździe podnoszę kciuk i od razu zatrzymuje mi się auto. Wyjątkowo jak na Maroko - z dwiema kobietami. Kolejne auto zostawia mnie kilkanaście kilometrów dalej, na drodze wspinającej się do kanionu Todra, a kierowca mówi, że tuż nieopodal jest dobry, tani hotelik, który ma camping wśród palm daktylowych, pokoiki za dziesięć euro oraz możliwość noclegu na dachu-tarasie za jedno euro. Wybieram taras. Teraz, przy pięknie niebieskim niebie, jest ciepło. W nocy będzie raczej

chłodno, ale od czego mam supercie-pły śpiwór. Robię szybkie pranie, które rozwieszam w słońcu i idę do wąwozu.

Tuż z podwórka hoteliku otwiera się bramka na ścieżkę prowadzącą wśród palm i polettek do rzeczki wijącej się wśród górzystego krajobrazu. Podążam wzdłuż niej. A potem łapię stopa... pod najbardziej spektakularny punkt wąwozu Todra. Większość turystów przechadza się tylko pomiędzy pionowymi ścianami niebosiężnego wąwozu, chociaż nie brak i śmiałków - na jednej ze ścian widzę trzy punkciki wspinające się powoli z linami na szczyt. Idę wzdłuż drogi, bo skalne krajobrazy zachwycają. Tam też spotykam Francuzkę, która mnie tu podwiozła. Idziemy razem wśród

* „Jeśli taka będzie wola Boga” (arab.), [przyp. red.]

coraz to bardziej nagich skał i intensywnie niebieskiego nieba. Nie ma wiele roślinności, ale krajobraz nie jest martwy. Przemykają gdzieś zwinne szare wiewiórki. W oddali pasterz gna stado kóz i spotykamy nawet dwóch nomadów ze stadkiem wielbłądów pasących się na zboczu.

- Dirham dla wielbłąda - żądają, bo Francuzka zrobiła parę zdjęć.

Ja już nafotografowałam się wielbłądów z bliska i z daleka na pustyni. Kiedy pojawia się przyjaciel Francuzki, jedziemy dalej do Tamtatouchte. Jest to rozległa urocza wioska z rozrzuconymi, na wpół zrujnowanymi kazykami, gdzie niespiesznie pracują kobiety, często z dziećmi na plecach, gdzie mężczyźni gnają obciążone muły, gdzie nikt się nie spieszy, a ludzie odpowiadają z uśmiechem na nasze pozdrowienia.



03 - 04 GRUDNIA

Tę noc muszę potraktować jako przetestowanie sprzętu. Śpiwór od pana Małachowskiego jest najmiłszy i najcieplejszy, jaki kiedykolwiek miałam. Etykietka oznajmiała, że „zapewni mi komfort przy temperaturze minus piętnaście stopni”, ale... Nie wiem, jaka temperatura była dzisiaj w nocy, ale pewnie około zera albo trochę poniżej, bo nad ranem wszystko pokryte było szronem. No i nie zamarzałam, ale żeby się spokojnie i ciepło wyspać musiałabym mieć jeszcze koc albo dwa. Na szczęście rano, jak tylko wschodzi słońce, świat się osusza i ogrzewa błyskawicznie. Łapię stopa do Tinerhir. W starej części miasteczka trafiam na uliczkę domów publicznych - siedzące na dachu-tarasie cztery dziewczyny bez chust na głowach, w koszulkach na ramiączkach machają do mnie wesoło. Inne, po europejsku ubrane, delikatnie umalowane stoją w drzwiach. Niektóre palą papierosa. Jeszcze inne wyglądają zza niewielkich, zakratowanych okienek. A naprzeciwko stoi grupka mężczyzn...

Przyłącza się do mnie chłopak w dzinsach i skórzanej kurtce. Mówi, że jest berberskim górskim nomadą. No, nie tak wyobrażałam sobie nomadów... Zaprasza mnie na herbatę do domu, bo chce mi pokazać, jak pracuje Fatima - żona jego brata. Już wiem, że to turystyczna pułapka. Mówię więc od razu otwarcie, że dywanu nie kupię.

- Nie, ależ skąd, kto mówi o kupowaniu, tylko dla nacieszenia oczu.

Sadzają mnie na poduszce, następuje herbaciana ceremonia, po czym Fatima demonstruje, jak przedzie wielbłądźią wełnę i jak na ogromnym krośnie powoli powstaje kolejny dywan. Mohamed opowiada, że jego ojciec, berberski nomada, ma dwie żony - jedną w namiocie w górach, drugą - jego matkę, w miasteczku. Dziadek również miał dwie żony. Dziadek wędrował z

karawanami wielbłądów aż do Mali.

Widząc, że dywanu naprawdę nie kupię, brat Mohameda otwiera ogromną skrzynię i wyciąga różne naszyjniki, bransoletki, kamienie, amulety.

- A może chcesz nomadzki kompas?
 - Dzięki. Mam kompas.
 - Pokaż.
 - Ooo... - brat Mohameda jest pod wrażeniem, kiedy wyciągam mój plastikowy kompasik.
- Zobacz, a tu jest nasz - pokazuje mi coś w rodzaju sporego metalowego wisiora w kształcie ozdobnego krzyża.

- Ładne, ale jak to działa?
- Ustawiasz według gwiazd i wskazują ci kierunek. Nomadzi tylko z gwiazdami wędrują.
- Ciekawe, ale chyba pozostanę przy moim.
- A może masz coś innego, ze swojego kraju, na zamianę?

Tak wygląda nieopatrzone wstąpienie na herbatę. Kiedy udaje mi się wywinąć, nie zaopatrzywszy się ani w dywan, ani w berberski kompas, wychodzę na drogę wyjazdową z miasteczka. Nie docieram jednak do wąwozu Dades. Czarny mężczyzna w średnim wieku i grubej prostej dżelabie, który zabiera mnie rozklekotanym autem, oznajmia łamanym francuskim, że jedzie tylko dwanaście kilometrów. I że jeśli chcę, mogę zatrzymać się na noc u niego w domu, gdzie mieszka z żoną i dziećmi. Okolica usiana jest starymi domami z ziemi, ale dom Brakima jest nowy, betonowy. Widząc, że przyprowadził gościa, jego żona bez żadnych pytań wita się ze mną serdecznie, jak z dawno niewidzianym członkiem rodziny, ze wzajemnymi pocałunkami w dłoń. Zapraszają mnie do pustego pokoju wyłożonego tylko matami i poduszkami. Na niskim stoliku pojawia się za chwilę taca z dzbankiem herbaty i szklaneczkami, a ja cieszę się, że kupiłam na targu trochę solonych, trochę słodkich orzeszków ziemnych, daktyli i mandarynek, więc teraz mam się czym podzielić. Porozumiewamy się głównie za pomocą gestów, uśmiechów, mowy ciała i czasem paru francuskich słów. Najstarsza, dwudziestokilkuletnia córka nie była nigdy w szkole. Jej dziesięcioletnia siostra skończyła kilka klas. Najstarszy, piętnastoletni brat też już szkołę zakończył i już pracuje - pomaga na budowie. Trójka młodszych braci i dwunastoletnia siostra chodzą do szkoły. Mają francuski, pokazują mi książki całkiem zaawansowane, recytują nawet na pamięć niektóre czytanki, ale widzę, że raczej nie rozumieją z nich ani słowa. Pięknie wygląda wieczorem jedenastoosobowa czarna rodzina przy wspólnym posiłku wokół okrągłego stolika. Jeśli chodzi o spanie - bracia w jednym pokoiku, ja ze starszymi siostrami w drugim - po prostu na matach i pod grubą warstwą koców i narzut. Dwie najmłodsze dziewczynki B jeszcze z rodzicami.

Po śniadaniu w zimnym betonowym domu wychodzimy na zewnątrz, na płaski dach, gdzie pięknie grzeje słońce i skąd rozpościera się widok na górzystą okolicę. Obiecałam wczoraj dziewczynom, że dam sobie zrobić na dłoniach hennowy tatuaż. Rozrabiają więc hennowy proszek, nabierają pastę w strzykawkę i na zmianę powoli pokrywają moje dłonie, wewnątrz i na zewnątrz, ozdobnymi motywami. Kiedy dekoracja wysycha, zmywam ją podziwiając pomarańczowy wzór jaki zostawiła.

Dzieci nie mają tu zabawek. Chyba nie dlatego, że rodzinka jest zbyt biedna, bo mają na przykład telewizor, ale dlatego, że nie jest to częścią ich kultury i tradycji. Podczas kiedy mama na dachu obiera warzywa na posiłek, najmłodsze małństwo bawi się marchewką i strąkami fasoli.

Jedziemy z Brakimem i dwiema najstarszymi dziewczynkami zobaczyć wąwóz i okolicę. A późne popołudnie i wieczór spędzam z dziećmi, które wczoraj jeszcze nieśmiało, dziś się oswoiły i popisują się trochę przede mną. Przychodzą też dzieci z sąsiedztwa i bawią się w różne gry ze śpiewaniem. Mają dużo uciechy, kiedy do nich dołączam. Kiedy jest już ciemno kontynuujemy już spokojniejsze zabawy w salonie, czyli największym pokoju. Robimy samoloty z papieru, chłopcy pokazują mi różne sztuczki i zonglujemy mandarynkami.



05 - 08 GRUDNIA

i jego dwóch przyjaciół.

13 - 18 LUTEGO

Z POWROTEM W SENEGALU

LIBERIA

¹

Medina - dzielnica arabska w mieście północnoafrykańskim.

²

Kasba (kasbah) - w krajach muzułmańskich budowla o charakterze obronnym, twierdza, cytadela; również najstarsza dzielnica miasta o bardzo zwartej zabudowie.

05 - 08 GRUDNIA

Czas pożegnać się z rodziną. Obiecuję przysłać im wkrótce zdjęcia oraz wrócić zawsze, kiedy będę w tych stronach. Brakim jedzie do miasteczka Boumalne du Dades, więc zawozi mnie do głównej drogi. Dwaj mężczyźni jadący aż do Zagory podwożą mnie do Ouarzazate. W hotelu Atlas dostają przyjemny pokój z dużym łóżkiem, czystą pościelą i umywalką za trzydzieści sześć dirhamów. Po intensywnym pobycie z licznymi rodzinami dobrze czasami mieć spokojny pokoik tylko dla siebie. Idę do miasta. Niejeden sprzedawca ze sklepików z dywanami i pamiątkami usiłuje zwabić mnie do środka, ale się nie dają. Wymyślili tu jednak sprytną technikę, na którą się łapię:

- Bonjour madame.
- Bonjour.
- Potrafisz pisać? Po angielsku?
- Potrafię.
- Bo mam przyjaciół w Anglii, potrzebuję napisać do nich krótki list. Możesz mi pomóc?
- W twoim sklepie? Ale nie kupię dywanu, nic nie kupię, OK?
- Nie, nie, tylko list napisać.

No więc zasiadam wśród dywanów i biżuterii pisząc mniej więcej pod dyktando i tłumacząc z francuskiego: „Witaj Cheryl, jak się masz? Dziękuję za przesyłkę. Buty pasują idealnie. Twoja biżuteria jest już gotowa i pošlemy wkrótce. Dywan jeszcze nie. Będzie gotowy za dwa miesiące. Pozdrawiam serdecznie”.

Kiedy kończę pisać, proponują mi herbatę, ale wiem co nastąpi

- herbaciana ceremonia, pokazanie kilku dywanów w skrzyni ze skarbami... Zastanawiam się, ile już mają w swojej kolekcji podobnych, nigdy nie wysłanych listów...

Idę dalej. Tu, niedaleko centrum znajduje się wielka, imponująca kazba. Od chłopców, którzy podążają za mną, dowiaduję się, że kręcono tu wiele filmów, między innymi „Gladiatora” czy „Aste-rixa i Obelixa”, bo Ouarzazate to marokańskie Hollywood. Jeden z nastolatków mówi, że nieopodal, kawałek przez pole, znajdują się jeszcze ciekawsze kazby. „Nieopodal” okazuje się godzinnym marszem przez niewielkie poletka. Ale warto, bo na wpół zrujnowana, opuszczona już kazba robi wrażenie. Zwą ją kazbą bocianią ze względu na kilka potężnych bocianich gniazd na wieżach. W drodze powrotnej mój przewodnik prowadzi mnie ciut okrężną drogą, tak, aby zahaczyć o sklep z pamiątkami, do którego nie dają się wciągnąć. Jak również dziękuję za propozycję darmowego berberskiego masażu.

Zrobiłam wczoraj wieczorem odbitki zdjęć dla rodzin, u których gościłam, oraz wszystkich ludzi, którym je obiecałam. Wypaliłam też CD ze zdjęciami dla Chopina, który je archiwizuje. Pozostanie mi kupić koperty, zaadresować i posłać. W centrum miasteczka trafiam na kolejne zaproszenie na herbatę do sklepiku.

- Nie, naprawdę. Dzięki, ale muszę iść.
- Hej, nie pędź jak ferrari. Jest ranek. Bez pośpiechu. Europejczycy zawsze pędzą. Za szybko.

No więc wchodzę na niespieszną herbatę i spotyka mnie miłe zaskoczenie. Chłopak nie usiłuje mi niczego sprzedać, ale uracza ciekawą rozmową. Okazuje się, że jest pół-Tuaregiem z Sahary, to znaczy ojciec jest malijskim Tuaregiem, matka - Arabką. Ojciec wędrował niejednokrotnie z karawanami wielbłądów pomiędzy Marokiem a Timbuktu w Mali. Ale ostatnia karawana przeszła w 1995 roku. Teraz niby granica z Algierią jest dla nomadów otwarta, ale muszą mieć dowód osobisty, więc nie jest już tak łatwo. Ale on sam wędruje z karawanami wielbłądów lokalnie pomiędzy pustynią a górami robiąc handel wymienny. Wymieniają miejskie gadzety, jak na przykład radia, na ręcznie tkane dywany czy na szafran lub inne drogie przyprawy. Wymieniają też osły, które tanie są na pustyni, a drogie w górach, czy odwrotnie (nie pamiętam). Na koniec, kiedy mówię, że wybieram się w stronę Zagory oraz ostatniej wioski na końcu drogi, dostaję wizytówkę z adresem jego „rodziny”, która ma tam hotelik, wielbłądy i berberskie namioty za dwadzieścia dir-hamów. Więc coś mi w końcu sprzedał.

Wczoraj ja napisałam list dla kogoś. Dzisiaj ja potrzebuję, żeby ktoś napisał po arabsku lub berbersku dla mnie. List z podziękowaniem, który dołączę do zdjęć i pošlę człowiekowi z

Merzouga -temu, co przyprowadził mi białego wielbłąda, a ja go nie kupiłam. Idę do sklepiku, gdzie wczoraj piłam herbatę. Mężczyzna zaprasza do środka. Pytam, czy umie pisać. Trochę. Ale zaraz znajdzie kolegę, który umie bardzo. Po europejsku ubrany kolega jest studentem i rzeczywiście sprawia wrażenie bardziej piśmiennego. Ale sprawa i tak nie jest prosta. Po pierwsze nie wiem, czy mój adresat potrafi czytać. Ale w końcu, jeśli nie potrafi, na pewno znajdzie kogoś, kto mu przeczyta. Tylko najlepiej w jego języku.

- Po berbersku? Ale w jakim dialekcie?
- Pustynnym. Z okolic Merzouga. Znasz ten dialekt?
- Mniej więcej. Ale pisać? Nikt już nie używa berberskiego alfabetu. Nie potrafię.

Najlepiej po arabsku. Wszyscy znają arabski.

- OK. Niech będzie po arabsku.

Kiedy w końcu docieram na pocztę, okazuje się, że listy polecane przyjmują tylko do szesnastej. Będę musiała posłać z Zagory. Jeśli w ogóle się tam dostanę. Bo dzięki temu, że stosując się do porannej porady nie pędzę jak ferrari, kiedy wychodzę na drogę wyjazdową, jest już dość późno. Zanim jednak zdążam wystawić kciuka, zatrzymuje się porządna terenówka i młody gość z lekko kręconymi włosami do ramion oraz w obszernej jasnej szacie zaprasza mnie do środka. Jest właścicielem tego auta i organizuje wyprawy na pustynię z turystami. Jako, że dziś już późno, zostaję zaproszona na nocleg w odległej o kilkanaście kilometrów oazie.

Miejsce, w którym spędziłam noc, to spory, zbudowany z ziemi dom, w którego głównym pomieszczeniu znajduje się ekspozycja dywanów tkanych przez kobiety z okolicznych wiosek. Nie ma elektryczności, więc wieczorny posiłek jemy przy świeczkach. Rano mam okazję uczestniczyć w ścinaniu sierpem trawy dla kóz i owiec w towarzystwie miejscowych, kolorowo ubranych dziewczyn. Dopiero wczesnym popołudniem gospodarze odwożą mnie na drogę do Zagory. Ruch jest tu niewielki i składa się głównie z przejeżdżających z rzadka miejscowych ciężarówek. Jedna z nich zabiera mnie, po czym zostawia pośrodku pustkowia i skręca w stronę nie-odgadnionego przeznaczenia. Tu czekam dłuższy czas, oglądając powoli wydłużający się własny cień na pustej drodze. Ale w końcu trafia się nowe, luksusowe auto prowadzone przez gościa w średnim wieku, który jedzie aż do Zagory, gdzie jest właścicielem dobrego hotelu. Popisuje się przede mną paroma zdaniem w kilku europejskich językach. A dowiadując się, że jestem z Polski, telefonuje na informację, a potem do polskiej ambasady w stolicy, żeby dowiedzieć się, czy Marokańczycy potrzebują wizy do naszego kraju. Pyta mnie, czy w Warszawie mamy dobre hotele, bo on zatrzymuje się tylko w pięciogwiazdkowych. Ja przytakuję tylko i skupiam się na zachwycających pustynno-górskich krajobrazach z pojawiającymi się gdzieś na wpół zrujnowanymi karczami i wioskami.

Po przystanku w Agdz na herbatę i daktyle jedziemy prosto do Zagory - największego miasteczka w dolinie Draa. Idę do poleconego mi przez mojego kierowcę hoteliku „Chez Ali”, który ma podobno też tanie berberskie namioty. Wita mnie tam sam właściciel - Ali - miły, starszy pan, a gdy mówię, że po arabsku jestem Malaika, dostaję nocleg w namiocie nie za czterdzieści, a za trzydzieści dirhamów. Te „namioty” to właściwie takie półnamioty, bo mają ściany z ziemi i nawet drzwi zamykane na ogromny, czarny, metalowy klucz. A w środku miękkie dywany i materace z pościelą i kocami.

Budzi mnie delikatny śpiew ptaków wśród rześkiego powietrza. Rzeczywiście, jest tu tak spokojnie i przyjemnie, że zostanę sobie tutaj jeden dzień. Przed moim domkiem-namiotem mam stolik z siedzeniem wśród krzewów i palm. Prawdziwa oaza spokoju w przeciwieństwie do ulic Zagory, gdzie ciężko opędzić się od nudzących się - z braku turystów - właścicieli sklepików z dywanami oraz minibiur podróży, chcących wysłać cię z wielbłędami na pustynię. Albo zorganizować ci wycieczkę terenowym autem. Albo... cokolwiek sobie życzysz. Oby tylko coś ci sprzedać. W samym miasteczku nie ma wiele do zobaczenia poza słynnym znakiem z rysunkiem karawany wielbłędów oznajmającym, że stąd do Timbuktu w Mali - pięćdziesiąt dwa dni drogi. Niestety, stary oryginalny znak już nie istnieje. Wzniesiono jednak w jego miejsce podobny nowy. Łapię więc stopa do leżącej za miastem karczby. Wygląda bajkowo, z tym że chmara natrętnych dzieci wykrzykujących niestrudzenie: „un dirham, un stilo, un bonbon” psuje trochę nastrój. Czy

naprawdę myślą, że cała zawartość mojego plecaka to długopisy i cukierki a kieszenie mam wypchane dirhamami, z którymi nie mam co robić, tylko rozdawać namolnym dzieciom?...



09-12 GRUDNIA

Dostaję rano herbatę i śniadanie - dla Malaiki od Alego. Proste i pyszne śniadanie - świeży placek chleba, miseczka oleju oliwnego, miseczka czarnych oliwek, miseczka aromatycznego miodu oraz konfitury z moreli. Potem wychodzę na drogę w stronę M'Ha-mid, czyli wioski na końcu drogi. Zabiera mnie czarny chłopak z wozem zaprzężonym w osiołka, jadący może ze dwa kilometry, do swojego domu. Nie ma tu wielkiego ruchu, więc mija dobra chwila, zanim hamują obok mnie dwa nietutejsze vany.

- Co robisz sama pośrodku tego pustkowia? - pyta ze zdziwieniem młody francuski kierowca.

- Łapię stopa do M'Hamid.
- Wsiadaj.

Nie jadą do samego M'Hamid, tylko do Tinfo, czyli potężnej samotnej wydmy dwadzieścia parę kilometrów stąd. Też dobrze. Drugiego vana prowadzi Belg. Chcieli załapać pracę jako statyści w studiu filmowym w Ouarzazate, ale w tym momencie nie kręcą tu akurat żadnych filmów. Wchodzimy na szczyt, a jeden z chłopaków wyjmuje i rozkłada specjalny żagiel - skrzydło do surfowania na piasku, czym wprawia nomadów oraz ich wielbłądy w lekkie zdumienie. Jeden z nomadów proponuje mi nocleg u nich w namiocie. Albo dwudniową wędrówkę do M'Hamid z jego wielbłądem. Ale korzystam jedynie z podwieszenia z pół kilometra do drogi. Jedyny ruch, póki co, to bardzo z rzadka przejeżdżające „grand-taxi”, które czasem mrugają do mnie, ale je ignoruję. Jednak po jakimś czasie jedna z nich sama się zatrzymuje.

- Hej, Polonia! - krzyczy do mnie chłopak.

Mówi, że rozmawiał ze mną wczoraj w Zagorze. Być może. Tylu ludzi mnie zaczepiało, pytało skąd jestem... Pakuję się więc do starego beżowego peugeota z dwoma rzędami pasażerskich siedzeń za kierowcą. Sadowię się z tyłu i obserwuję siedzące przede mną postacie - jeden mężczyzna w muzułmańskiej czapeczce, drugi w zwojach turbanu, trzeci w szpiczastym kapturze brązowej dzelaby. W jakiejś wiosce większość postaci wysiada, a Brakim, mój nowy przyjaciel, proponuje herbatę w pobliskiej kawiarence w oczekiwaniu kolejnych pasażerów. W końcu docieramy o zachodzie słońca do M'Hamid i wysiadamy w miejscu, gdzie kończy się asfalt i jakakolwiek droga, czyli na początku zakurzonej wioski. Brahim prowadzi mnie do swojej „rodziny”, gdzie za piętnaście dirhamów mogę spać w berberskim namiocie. Jest to hotelik-camping „Hamada du Draa Chez Hassan”, gdzie wita mnie Mustafa, krewny Has-sana. Potem idziemy do wioski, do popularnego miejsca, gdzie pożywiają się miejscowi i gdzie ja też raczę się miseczką gorącej wegańskiej hariry, czyli zupki z soczewicą, makaronem i pomidorami.

Kiedy spaceruję z rana pomiędzy rzędami małych domów z ziemi w wiosce M'Hamid, zauważam leżącego przy blaszanym korytku młodego wielbłąda. Pojawia się za chwilę chłopak, który mówi, że w podwórku mają jeszcze kilka. Dwa młode brązowe i jeden czarny, zupełnie malutki, czteromiesięczny, chodzą sobie wraz z kurami po zamkniętym podwórku. I trochę podobnie jak kury są traktowane. Tutaj nawet najbardziej ulubionym wielbłądom nie nadaje się imion. W muzułmańskiej kulturze - w sumie całkiem słusznie - nie daje się imion zwierzętom, które potem się zjada. Aby nie mieć wrażenia, że zjada się przyjaciela. Jedynie psy i koty mogą mieć imiona. A wielbłąd, niestety, prędzej czy później skończy w garnku, a jego sierść, skóra i wszystkie inne części też zostaną wykorzystane.

Aziz zaprasza mnie do domu, oczywiście na herbatę. W prawie pustym pomieszczeniu siedzi na macie i kocu jego matka i czerwonym miechem z wielbłądziej skóry podsycy ogień pod czajnikiem na glinianym małym palniku na węgle. Wraz z supermocną herbatą zostają

poczęstowana chlebem i marmoladą ze sklepiku. Wiem już, dlaczego. Okazuje się, że jak większość mieszkańców wioski, ta rodzinka to tradycyjni nomadzi. Ciągłe jeszcze mają swoje okazałe stado. No i oczywiście, tak jak wszyscy tutaj, chcieliby wysłać mnie na przejażdżkę z wielbłędami na pustynię. Tłumaczę, że cena pięćdziesiąt euro za dwa dni i jedną noc na pustyni przekracza mój budżet, a poza tym nie po to przyjechałam. Aziz daje za wygraną. Opowiada, że urodził się na pustyni. Dosłownie. Nawet nie w namiocie, a po prostu gdzieś na wydmiu, bo jego mama wracała akurat skądś z wielbłędami. Tylko starsza siostra pomogła przy porodzie.

- My nomadzi - podobnie jak wielbłądy. Nie ma wielkiej różnicy.

Od wieków podobnie rodzili się, żyli na pustyni, umierali. Teraz jednak powoli się to zmienia. Choć mama Aziza robi herbatę używając ognia i miecha, on w swoim pokoiku od niedawna ma komputer z internetem, dokąd jego koledzy przychodzą wieczorami „poczatować” i pooglądać nagie kobiety. Aziz miał dziś jechać motorem do stada wielbłędów u swojej rodziny - trzydzieści kilometrów w głąb pustyni, ale zerwał się nagle pustynny wiatr, a kiedy wychodzimy na dach domu, widzimy całą wioskę zasnutą nadciągającym z pustyni pyłem. Wracam do swojego campingu, gdzie zaszywam się z herbatą i pamiętnikiem w namiocie-restauracyjce. Dopiero po południu, kiedy wiatr wieje odrobinę mniej, i kiedy przychodzi po mnie Brakim, dziś ubrany w piękny niebieski strój zwany gandora, idziemy tam, gdzie zaczyna się prawdziwa pustynia, ciągnąca się przez setki piaszczystych kilometrów. Tu nie ma tak spektakularnych wydm jak w Merzouga, głównie jest płasko, a gdzieś tam tylko pomniejsze piaszczyste pagórki. Podążamy w stronę najbliższego nomadzkiego namiotu za wioską, a intensywnie niebieska szata Brakima pięknie łopocze na wietrze. W tym namiocie nie mieszka żadna nomadzka rodzinka - jest to raczej miejsce do przyjmowania udających się na pustynię turystów. Tu kuzyn Brakima, podobnie ubrany jak on, zaprasza na herbatę. Woda się gotuje, a obaj chłopcy wygrywają na bębnach pustynne rytmy. Późnym wieczorem oprócz nas dociera tu jeszcze kilku chłopaków oraz Belg i Francuz, ci sami, którzy podwieźli mnie wczoraj. Pomagam obrać warzywa na wielkie, wspólne tajine i reszta wieczoru upływa najedzeniem, bębnieniem, piciu herbaty i śpiewach.

„Vamos a la playa, vamos a la playa.

A que playa?

Aqui sólo arena aquí sólo arena Y estrellas...”

Po polsku to już tak nie brzmi, ale dla tych, którzy nie znają hiszpańskiego, znaczy to:

„idziemy na plażę idziemy na plażę na jaką plażę? tutaj tylko piasek tutaj tylko piasek i gwiazdy...”

Dokładnie. I tu, pośrodku piasku, gwiazd i ciszy pustyni, zostajemy na noc, bo jest wystarczająco materacy i koców i nikomu nie chce się już wracać do wioski.

Brakim twierdzi, że on z jednym tylko kocem potrafi spać wprost na wydmiu pod gwiazdami, teraz przy temperaturach w nocy około zera.

-Jak wielbłąd - wzrusza ramionami.

Ja niestety nie jestem jak wielbłąd: bez puchowego śpiwora dziś trochę zmarzłam.

Wracamy do wioski i po dzbanku herbaty na campingu wybieram się sama poprzez pas palmowych zagajników w stronę starej kazby, tym razem nie pojedynczej budowli, a pierwotnej wioski, funkcjonującej zanim powstała ta nowa wzdłuż końcówki drogi. Młody mężczyzna w białym turbanie i białej dże-labie zabiera mnie kawałek w głąb pustyni, do odosobnionego od światła obozu, w którym zatrzymała się właśnie na pięć dni grupka klientów z Hiszpanii. Przyjechali na medytację. Tu nie ma sprawy - każdy może realizować to, na co ma ochotę. A ja cieszę się, że nigdzie nie jestem „klientką”. Nawet „u mnie” na campingu Mustafa stwierdza, że nie jestem jak inni turyści, i mogę sama w ich kuchni przygotować co tam sobie wymyślę.

W drodze powrotnej Halim wysadza mnie tuż przed kazbą, w miejscu, gdzie kobiety czekają w kolejce do komunalnego, jedyne kranu z wodą. Kran jest odkręcany na trzy godziny dziennie, podczas których cała osada musi zdążyć napełnić plastikowe baniaczki na cały dzień dla całej rodziny. Kobiety lub osiołki noszą te baniaczki do domów.

Tutejsze kobiety owijają się pięknie czarnymi chustami z mocno kolorowymi frędzlami i haftowanymi grubymi nićmi kolorowymi motywami. Nie pozwalają się fotografować, więc to

respektuję i tym bardziej jestem wniebowzięta, kiedy kilka kobiet zaciąga mnie do domu na herbatę. Dają mi potrzymać swoje dzieci, jest miło i przyjaźnie do momentu, kiedy nagle słyszę:

- Madame, dirham for baby.

Opuszczam więc kazbę trochę rozczarowana. Okazuje się, że jedynie zupełnie nieturystyczne miejsca, gdzie ląduje się przypadkowo jadąc stopem, są jeszcze nieskażone.

Kiedy wracam do „Hamada du Draa”, Hassan mówi, że przyjechał właśnie mój polski kolega. To Marcin, który skontaktował się ze mną niedawno przez internet mówiąc, że jest w Maroku. Kiedy powiedziałam mu, że tu jestem, napisał: „Już jadę, to przecież cel mojej wyprawy na pustynię - spotkać beduinę bez wielbłąda”. Spotykamy się w jedynej tutaj kawiarence internetowej, zwiedzamy okolicę, karmimy miejscowego wielbłąda skórkami bananów. A wieczorem razem z Mustafą, Brakimem i ich kolegą jemy tajine. Polubiłam Brakima, który jest prostym, dobrym i kulturalnym chłopakiem. Brakim nie umie pisać ani czytać, choć twierdzi, że chodził sześć lat do szkoły.

-Jak to? I przez sześć lat się nie nauczyłeś?

- No bo wiesz, jak to jest, czasem dwa dni chodziłem, trzy dni nie chodziłem.

Rozumiem. Ale szkoda, bo dobrze jest umieć czytać i pisać przynajmniej.

- Ja? Pisać? - Brakim spogląda na mnie szczerze zdumiony. -Co ja miałbym pisać? I w jakim celu?

Na to pytanie nie potrafię mu przekonująco odpowiedzieć...

Odwiedzamy z Marcinem cotygodniowy targ, gdzie na placu piętrzą się na ziemi sterty mandarynek, pomidorów, marchewki, a za murkiem nieopodal mężczyźni w dżelabach z kapturem negocjują ceny kóz i owieczek. Zaopatrzywszy się w mandarynki i solone orzeszki ziemne opuszczamy wioskę z nadzieją na złapanie stopa. Ale niestety, niewielu nomadów żyjących w wiosce na końcu drogi posiada samochody. Wsiadamy więc do „grand-taxi” i je-dziemy do troszkę większej wioski. Stamtąd zabiera nas... Halim, z którym wczoraj pojechałam na chwilę na pustynię. Dziś udaje się do Ouarzazate z przerwą w Zagorze. No to mamy szczęście.

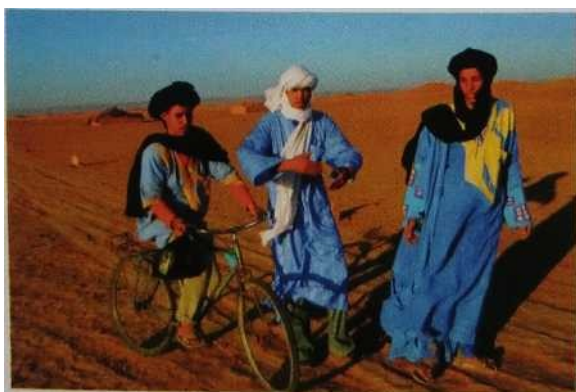
Miło jest czasem wracać znaną drogą przez znajome miejsca. Spędziłam w Zagorze tylko jeden dzień, ale rozpoznają mnie na ulicy. Kiedy przechodzimy koło hoteliku „Chez Ali” pozdrawiają mnie:

- Bonjour Malaika.

A chłopak z jednego ze sklepików wykrzykuje nawet:

- Dzień dobry, Polonia!

Wstępujemy na marokańską sałatkę do znajomej restauracyjki, której szef rozpromienia się na mój widok i jedziemy dalej. Po raz kolejny podziwiam bajkowe krajobrazy przesuwane się za oknem. Pasma płaskich skalistych gór, palmowe oazy... Postój w Agdz, gdzie Marcin nabywa kilkukilogramową skrzynkę miejscowych miękkich daktyli i pod wieczór docieramy do Ouarzazate. Spotykamy się z Nordine - chłopakiem z HC mówiącym dobrze po francusku i nieźle po angielsku. Modnie, po europejsku ubrany Nordine mieszka z tradycyjną rodziną w samym centrum historycznej kazby Ouarzazate. W starym domu z ziemi wita nas mama w chuście i brodaty ojciec w dżelabie. Cała rodzina, jak większość mieszkańców medyny pracuje w filmach, kiedy tylko są jakieś kręcone. Nordine - przy tworzeniu rekwizytów i scenografii. Reszta rodziny - jako statyści. Ostatni duży film, przy którym pracowali, to „Królestwo niebieskie”, które Nordine puszcza nam na VCD. Miasteczko Essaouira na atlantyckim wybrzeżu robiło za włoskie portowe miasto, a mieszkańcy Ouarzazate za mieszkańców Jeruzalem.



13 - 18 GRUDNIA

Po śniadaniu ze świeżo upieczonego przez mamę Nordine chleba, miseczek miodu i konfitur, rodzinka pokazuje nam parę albumów ze zdjęciami - głównie z filmowych planów w historycznych kostiumach, choć tak naprawdę ich inne rodzinne zdjęcia niewiele różnią się od tych filmowych. Ojciec Nordine był statystą w filmie o armii Bin Ladena. Teraz też wygląda zupełnie jak w filmie (no, pomijając karabin maszynowy). Zwiedzamy medinę. Na dachu, tuż pod antenami satelitarnymi pasą się owce. W sklepiku znajomego artysty, który rozwija przed nami z tuzin dywaników z naturalnej wielbłądziej wełny oraz farbowanej owczej, kupuję czarną chustkę na głowę z kolorowymi haftami w miejscowym pustynnym stylu, bo zgubiłam gdzieś swoją.

Taksówka zawozi nas na wyjazd z miasteczka. Stajemy z Marcinem na rondzie, w towarzystwie kilku miejscowych autostopowiczów - chłopców wracających ze szkoły oraz pana w dżelabie. Kiedy jestem sama, często zatrzymuje się pierwsze przejeżdżające auto, a co najwyżej czekam parę minut, natomiast w towarzystwie nie jest tak łatwo. W końcu ktoś podrzuca nas do stacji benzynowej. Kolejny stop do następnej wioski, a stamtąd zabiera nas młody mężczyzna, który jedzie prosto do Marrakeszu. „Prosto” oznacza bardzo krętą drogą przez górskie krajobrazy i przełęcze. Po paru godzinach jazdy chwila przerwy „na kawę” podczas której nasz kierowca wypija dwa piwa, na szczęście w ciut mniejszych niż u nas butelkach, i zaopatruje się w kolejne dwa na drogę. Kontynuujemy podróż już po zmroku, wstrzymując oddech i obserwując z niedowierzaniem, jak kierowca słuchając głośnej muzyki, rozmawiając przez komórkę, paląc kolejnego papierosa i popijając czwarte piwo, manewruje ciemną krętą drogą, zawsze jakoś cudem unikając nieoświetlonych rowerystów i wymijając inne pojazdy. A już w samym mieście utykamy na chwilę na rondzie, w kakofonii klaksonów, w płątaniu jadących w różne strony aut, wozów konnych, osiołków, motocykli i rowerów.

Witamy w Marrakeszu. Lekki szok po spokoju, przestrzeni i ciszy pustyni. Zostajemy wysadzeni przy samym centralnym placu Djemaa El Fna, gdzie odbywa się właśnie cowieczorny rytuał ulicznych spektakli, opowiadaczy historii, grup muzycznych, tancerzy w ekstrawaganckich szatach, bębniarzy czy samotnych grajków. Jest też długi ciąg stoisk ze świeżo wyciskanim sokiem pomarańczowym, z daktylami i suszonymi owocami. A skupisko stoisk-restauracyjek to oddzielna historia. Tu odbywa się walka o każdego klienta w postaci machania, wykrzykiwania, zachęcania, a wszystko, co stoiska mają do zaoferowania wyłożone jest elegancko, jak na wystawie. Poza pieczonymi kurczakami, keba-bami i owocami morza mają tu też całą serię całkiem ciekawie wyglądających „dodatków”. Na jednym ze stoisk zamawiam porcję pieczonego bakłażana w grubych plasterkach, którego dostaję wraz z chlebem i dwoma sosami na oddzielnych miseczkach - całość za pięć dirhamów. A na innym stoisku, specjalizującym się wyłącznie w harirze, posiłamy się miseczką gorącej zupki. Wrócę tu jeszcze, już bez plecaka, a teraz wsiadamy do „grand-taxi” i jedziemy do dzielnicy, gdzie mieszka Massim, u którego Marcin zatrzymał się już wcześniej i do którego ja też jestem zaproszona.

Wszyscy z moich dotychczasowych gospodarzy byli mniej lub bardziej tradycyjnymi muzułmanami. Teraz jednak trafiłam dość wyjątkowo. Massim, w moim wieku, wynajmujący niewielkie mieszkanie wraz z kolegą, jest ateistą zaangażowanym w ateistyczne berberskie stowarzyszenie, bo tutaj być ateistą oznacza niełatwe życie. Na przykład za spożywanie posiłku w ciągu dnia podczas Ramadanu można zostać aresztowanym. Wyznawcy innych powszechnie uznawanych religii, jak chrześcijanie czy żydzi, są wyłączeni z przestrzegania Ramadanu. Ale nie

ateiści, jeśli urodzili się w muzułmańskiej rodzinie. Również ze względu na to Massim nie może znaleźć żony. Nieważne, że tak naprawdę niewielu jest ludzi, którzy w stu procentach przestrzegają wszystkich zasad Koranu - ważne, że przynajmniej powierzchownie są muzułmanami.

Po porannej filozoficznej dyskusji wybieram się z Massimem do miasta. Na piechotę, przez rozległy ogród Menara porośnięty drzewkami oliwkowymi. W samym jego środku znajduje się historyczny basen, na którego wodzie odbywają się wieczorne pokazy

- wodna opera. Szeroką aleją z palmami oraz kwitnącymi różami dochodzimy do głównego meczetu z ozdobnymi minaretami - meczetu Kutubija, a potem do położonego tuż za nim placu Djemaa El Fna. W końcu zatapiamy się w wąskie uliczki pełne sklepików i tematycznych souków. Tyle pięknych rzeczy w bajkowych kolorach, nagromadzonych, spiętrzonych, wywieszonych lub poukładanych w sterty. Ciągające się w nieskończoność alejki z przeróżnego koloru skórzanymi „babuszkami”, czyli kłapkami. Z tęczą chust, szali i dżelab. Z dywanami. Ceramiką. Abażurami. Lustrami. Biżuterią. Rzeźbionymi skrzynkami. Przyprawami. Z tysiącami przedmiotów, niesamowitych misternych rzeczy tworzonych, tkanych, wykuwanych, rzeźbionych, spawanych tu na miejscu w miniwarsz-tacikach. Rzadko mogę pozwolić sobie na kupowanie pamiątek, bo nie ma miejsca w plecaku, a przede mną długa droga, ale Marcin będzie leciał niedługo do Polski i może oficjalnie coś zabrać, więc rozglądam się inaczej niż zwykle. Tu nie ma ustalonych cen, ile wytargujesz - to twoje. A że jestem z Massimem, wygląda to jeszcze inaczej.

- Wiesz, o co mnie wszyscy na wstępie pytają? O to, czy chcę prowizję - mówi Massim.

- A gdybyś chciał?

- Gdybym chciał, to za ten abażur, który chcieli ci sprzedać za dwieście dirhamów, zażądałoby czterysta. Stargowałabyś do trzystu, z czego stówka byłaby dla mnie.

Na szczęście Massim nie życzy sobie żadnej prowizji. Poza tym zna mniej więcej ceny, więc nikt mnie za bardzo nie naciąga. Decyduję się na gliniane naczynie do tajine i parę drobiazgów. Kupuję też stożkowany pleciony kosz z przykrywką, do którego mieści się idealnie naczynie do tajine - będzie ochraniać je podczas transportu, a w domu posłuży... sama jeszcze nie wiem, na co.

Jakiś czas temu skontaktowała się ze mną dziewczyna, która też podróżuje stopem i jest akurat w Maroku. Umówiłam się z nią dziś o osiemnastej pod pocztą. Nie mam pojęcia jak wygląda, ale rozpoznajemy się od razu w tłumie. Kati, Amerykanka irlandzkiego pochodzenia, postawna blondynka w kitkach, jest odłotowo ubrana w artystyczną sukienkę własnej roboty i ciekawą, też własnej produkcji, biżuterię. Okazuje się być artystką, również „free spirit”, z niesamowitym zycioryssem. Opuściła dom w wieku piętnastu lat i włóczyła się po Stanach, potem po świecie, robiąc przeróżne rzeczy, często zarabiając malowaniem obrazów na ścianach, czyli murali. Pokazuje mi wieczorem parę zdjęć - rozmach, kolory i niepowtarzalność jej prac robią na mnie wrażenie. Zapraszamy Kati do domu Massima i postanawiamy, że wybierzemy się razem do Mauretanii.

Jadę więc do Casablanki po mauretańską wizę. Kati wizę już ma, ale że nie ma nic innego do roboty, a dawno już nie jechała stopem, przyłącza się do mnie. Niestety (czy raczej na szczęście) wiele dziś nie stopujemy, bo jak tylko wystawiamy kciuka, po jakichś pięciu sekundach zatrzymuje nam się autokar. Mówimy że my stopem. A pomocnik kierowcy, że OK i żebyśmy szybko wsiadały. No to niezły początek wspólnej przygody. Na dworcu autobusowym w Casablance od razu otacza nas tłumek mężczyzn pytających, dokąd jedziemy. Pokazujemy im adres siostry Massima, na co oni zaczynają długą i głośną dyskusję bez naszego udziału. Debatują, w jaki sposób będzie najlepiej się tam się dostać. Jeden chłopak mówi po angielsku:

- Mieszkam w tej dzielnicy. Najlepiej weźcie taksówkę, to trochę daleko.

- A jest autobus?

-Jest, ale dla was autobus niewygodnie. Duży kłopot. Niebezpiecznie.

- Spokojnie, nie ma problemu.

- OK. Czekać. Mam tu kolegę z samochodem. Za dwadzieścia dirhamów zawiezie was na miejsce.

Poddajemy się, bo Casablanca to ogromne miasto i to będzie chyba najprostsze wyjście.

Więc Rashid i jego kolega zawożą nas minivanem na miejsce, gubiąc się trochę i klucząc. Fadma jest sporo starsza i ma piątkę już dorosłych dzieci. W przeciwieństwie do Massima, to jest bardzo tradycyjna muzułmańska rodzinka. Fadmy mąż, znacznie od niej starszy, w czapeczce i dżelabie, wygląda jakby był dziadkiem, a nie ojcem jej dzieci. Spędzamy miły wieczór, przebierając się i fotografując w ich dżelabach i odświętnych kaftanach. A kiedy przychodzi Yosef, syn Fadmy, który studiował i pracował przez siedem lat na Ukrainie, prowadzimy długie filozoficzno-religijne dyskusje częściowo po angielsku, ale bardziej po rosyjsku, bo tak mu łatwiej. Yosef twierdzi, że może przytoczyć nam z setkę dowodów na to, że Koran pochodzi prosto od Boga...

Z trudem gramolimy się spod koców na zimno grudniowego poranka w Casablance. Jeśli chcę zdążyć złożyć dziś wniosek o wizę, musimy się pospieszyć. Cały proces przebiega zaskakująco sprawnie. Wypełniam wniosek, dołączam dwie fotografie, paszport i jego kserokopię, dwieście dirhamów i zostaję poinformowana, że wiza będzie do odbioru w południe. Siedzimy w pobliskiej eleganckiej kawiarence popijając herbatę (ja) i kawę (Kati), rozmawiając i pisząc pamiętniki, a przed pierwszą wychodzę z ambasady z mauretańską wizą ważną dwa miesiące od dzisiaj. Wszystko dziś gładko się układa. Od razu też mamy transport do Marrakeszu, ze spotką pod ambasadą francuską rodziną z czwórką dzieci od roczku do dziesięciu lat, podróżującą vanem przez Maroko, Mauretanię, aż do Senegalu.

Idę z Kati do sklepiku z ziołami i przyprawami, gdzie pracuje jej przyjaciel Yousef. Pracujący tam również Mustafa, który jest pół-Hindusem, od razu sadza mi na palec malutkiego żółtego kame-leonka.

- Patrz, jest żółty. Znaczy, że mu dobrze - mówi.

Spędzam dzisiejszy dzień wędrując sama wśród souków mar-rakeskiej medyny. Co prawda ciągle wywoływanie i zachęcanie ze strony sklepikarzy może być lekko męczące, ale jeśli podejść do tego z uśmiechem, nie jest źle. Pod wieczór mam się spotkać z Kati w sklepiku z przyprawami. Sklepik znajduje się w ciągu nie wiem ilu identycznych sklepików wokół niewielkiego placu, gdzie dawniej handlowano niewolnikami.

- Zioła, marokańskie przyprawy, wszystko czego szukasz - zagaduje mnie jeden ze sprzedawców.

- Szukam sklepiku kolegi.

-Ja też mogę być twoim kolegą.

- Sklepiku Mustafy szukam.

- No to dobrze się składa - mówi, pokazując mi swój dowód. - Mustafa!

No tak... Kiedy w końcu znajduję sklepik, „mój” Mustafa wraz z kolegą wita mnie rozpromieniony i dziś dla odmiany pyta, czy chcę potrzymać skorpiona.

Wieczorem jedziemy autem kolegi Massima na lotnisko po Grace, moją najlepszą tajwańską przyjaciółkę, która przylatuje na kilka dni. Ostatni raz widziałyśmy się zeszłego lata w Anglii podczas pierwszego dnia jej rocznych studiów magisterskich. Wcześniej w Polsce. A jeszcze wcześniej - na Tajwanie. To jest więc czwarty kraj i trzeci kontynent, gdzie się spotykamy.

Wpadamy sobie w ramiona. Wracamy do domu, zostawiamy plecaczek i wybieramy się taksówką na plac Djemaa El Fna, który Grace zna z telewizji i który od dawna chciała zobaczyć. Idziemy tam na kolację do jednego z nocnych stoisk-restauracyjek, gdzie dołączają do nas Kati i Yousef. Grace cieszy się jak dziecko na widok różnego rodzaju kebabów. Chce spróbować wszystkiego. Patrzy z niedowierzaniem na sposób nalewania z wysokości marokańskiej herbaty. Kosztuje pierwszego w życiu daktyla, zachwyca się palmami, wieżą meczetu oraz faktem, że znalazła się znowu w Afryce, no i - że znowu się widzimy.

Kiedy robimy plan jej pobytu, Grace pyta:

- Możemy pojechać na pustynię? Zobaczyć te wydmy i te wielbłądy?

Obiecałam Grace wcześniej, że możemy zrobić, co tylko sobie zamarzy. Pustynia jest daleko, szczególnie jak na tak krótki czas. Stamtąd też dopiero co wróciłam...

- OK. Możemy na pustynię.



19-22 GRUDNIA

Kati wybiera się z nami. Robimy z mapą dość szalony plan, z którego wynika, że jeśli dobrze pójdzie, to wpadniemy na pustynię w Merzouga, gdzie spędzimy pod wydmą jedną noc. Zrobimy Grace zdjęcie na wielbłądzie i z pustynią w tle i wokół, i następnego dnia ruszymy w drogę powrotną, zatrzymując się u moich znajomych rodzin. Aby było łatwiej, wybieramy się tylko z małymi plecaczkami. Po lunchu z trzech miseczek soczewicy, fasolki i warzyw w pobliskiej restauracyjce wychodzimy na drogę wyjazdową. Trzy dziewczyny z trzech kontynentów, bez bagażu, na drodze przez góry do Ouarzazate. Łapiemy kolejne, głównie miejscowe niedłgie stopy. Kati, która najlepiej z nas mówi po francusku (Grace nie mówi wcale), podtrzymuje konwersacje z kierowcami. Jeden z kolejnych stopów to „grand-taxi” z trzema mężczyznami Zapada zmrok, kiedy zaczynamy się wspinać przez coraz to wyższe góry. Kierowca i jego dwaj przyjaciele są w rozbawionym nastroju. Popijają piwo, śpiewają, klaszczą. Jedziemy krętą drogą w ciemności, przez większość czasu nie po tej co trzeba stronie, ścinając brawurowo zakręty. Kiedy kierowca zatrzymuje się, aby zaopatrzyć się w kolejną porcję piwa, dziękujemy za podwiezienie i wysiadamy. W wiosce zatrzymał się akurat autobus do Ouarzazate, więc ze względu na Grace, późną porę i ciemność, wsiadamy do niego.

W Ouarzazate, pod pięknie oświetloną magiczną kazzą czeka na nas Nordine, u którego zatrzymałam się wcześniej w drodze z pustyni. Teraz wita Grace i Kati w ich drugim domu, a jego mama obcałowuje mnie jak dawno niewidzianą córkę i zalewa nas potokiem szczerzej gościnności. Po poczęstunku, kiedy siedzimy na macie oparte o poduchy w gościnnym pokoju, mama przynosi koce i otula nas, aby nie było zimno. Po czym wyciąga butelkę niebieskich perfum i spryskuje każdą z nas. Nie wiem, czy to tak zamiast prysznic... Patrząc pytająco na Nordine.

- To znak gościnności.

Wysokie góry zostały już za nami. Tu zaczynają się już krajobrazy bardziej pustynnych przestrzeni z oazami, wioskami, płaskimi skalistymi górami na horyzoncie. Wszyscy są supermili i łapiemy kolejne stopy bez większych problemów, za to niektórzy kierowcy, którzy nas podwożą, przekonują nas, że... stop w Maroku nie jest możliwy. Nie jestem też w stanie zliczyć, ile razy jesteśmy zapraszane do domów na noc. Niestety, z czterodniowym wytyczonym planem musimy jechać dalej. Dziś chcemy dotrzeć pod wielkie wydmy Merzouga, w co nikt nie wierzy. Jeden z kierowców, czarny młody mężczyzna imieniem Mehdi, zatrzymuje się pod małą szkołą z internatem poza wioską, gdzie znajduje kogoś, kto mówi po angielsku, żeby jasno nam wytłumaczył.

- Tu nie ma już dziś autobusu ani taksówek.
- My wcale nie szukamy autobusu czy taksówek. Jedziemy stopem.
- Stopa też nie ma. On was zawiezie do Erfoud - wskazuje na naszego kierowcę.
- Ale on nie jedzie do Erfoud. On tylko dotąd jedzie.
- Dla was pojedzie. Bez pieniędzy. To będzie przyjemność.

Nie, naprawdę nie ma problemu. Zaraz coś złapiemy.

- Już późno, nic nie jeździ. On was zawiezie do Erfoud. Tam przenocujecie. Jutro rano możecie kontynuować do Merzouga na pustynię.

No to wygląda na to, że mają już dla nas cały plan. Rezygnujemy z walki i wsiadamy dodając to sześćdziesięciokilometrowe podwiezienie do „karmicznego długu”, jak to ujmuje Kati. Do Erfoud docieramy już po ciemku, ale bynajmniej nie zamierzamy spędzić tu nocy. Stąd wiedzie

droga na południe w stronę pustyni. Od razu łapiemy stopa do Rissani. To ostatnie miasteczko przed pustynią. Tu też przebywa przez większość czasu Ali, z którym poszukiwałam białego wielbłąda i który wita mnie z otwartymi ramionami. Bierzymy „grand-taxi” i przez pustynne bezdroża zmierzamy prosto do znajomego Auberge Erg Chebbi. Tu pojawia się natychmiast dzbanek z herbatą, a pod samiotką wydmą czeka na nas mój znajomy namiot.

- Gdzie jest lampa naftowa? - pytam Alego przed udaniem się do namiotu.
- Lampa jest na pustyni.

Spędzamy resztę wieczoru zaśmiewając się do łez z absurdalnych konwersacji z Alim i chłopcami, a Grace udaje się wynegocjować poranną przejażdżkę na wielbłądzie na wschód słońca.

Niestety, nikt nie przyszedł nas obudzić tuż przed wschodem słońca, ale kiedy wychylamy głowę z namiotu, domyślamy się, dlaczego. Świat spowity jest chmurami, z których kropi delikatny deszcz.

- Deszcz na pustyni! - Grace jest dogłębnie zdegustowana. -I to akurat wtedy, kiedy ja tu przyjechałam.

W każdych warunkach, nawet teraz, wydmy robią wrażenie, a zmoczony piasek nabiera bardziej intensywnie pomarańczowego koloru. Z Grace owiniętą kocem spaceruję po wydmie, po czym idziemy zobaczyć, co z tym wielbłądem. Proszę bardzo, może być krótsza i niewielka przechadzka na wielbłądzie wśród wydm. Hassan, „camel man” siodła jednego z wielbłądów dla Grace. Czarnego, bo biały akurat jest z turystami na pustyni, a brązowy próbuje tajskiego boksu, kiedy Hassan do niego podchodzi. Idę wraz z nimi jako fotograf oraz częściowo jako „camel woman” prowadząc zwierzę na sznurku, a Hassan wędruje z tyłu. Grace jest wniebowzięta, ale pół godziny w zupełności jej wystarcza. To aż nadto, aby sfotografować się na wielbłądzie pośród najprawdziwszej Sahary.



Kiedy wracamy, jedyny transport do miasteczka właśnie odjeżdża i niknie w oddali. No to lepiej - nie ma pośpiechu. Ali, Hassan od wielbłądów oraz drugi Hassan - młody przystojniaczek w jasnozielonej dżelabie, który wyznaje Kati dozgonną miłość - też udają się do Rissani, więc przejdziemy się wszyscy razem siedem kilometrów czarną pustynią do drogi, gdzie może coś złapiemy. Przestało nawet padać i wędrowka poprzez ogromną, płaską, niewzruszoną przestrzeń jest całkiem przyjemna. W Rissani obiecuję Alemu wpadać zawsze jak będę w okolicy.

Po kawalku, powoli jedziemy z powrotem. Po drodze odwiedzimy moją czarną rodzinę - tę na drodze do wąwozu Dades. Już po zmroku kupujemy w Boumalne du Dades trochę daktyli, oliwek i orzeszków dla rodziny, i psychodelicznie udekorowaną ciężarówką podjeżdżamy dziesięć kilometrów krętą drogą pod znajome mi wzgórze. Rodzinka wita nas serdecznie. Herbaty, koców i uśmiechu nigdy tu nie braknie. A noc w pokoiku z czterema czarnymi berberskimi siostrami to dla Kati i Grace nowe doświadczenie.

Dobrze, że mam arabski odpowiednik swojego imienia, więc jestem Malaika, bo większość zachodnich dziewcząt zostaje automatycznie ochrzczone jako Fatima. Przy śniadaniu jeden z chłopców pyta, czy za niego wyjdę. Kiedy zaprzeczam, pokazuje na Kati.

- A Fatima?
- Nie wiem. Zapytaj Fatimy.
- Czyżbyś właśnie oddała mnie do zamążpójścia, w dodatku nazywając mnie Fatima? - oburza się Kati.
- Bo ja poślubię tylko francuską kobietę - wtrąca nasz kandydat na męża.
- Ale ja nie jestem ani Francuzką, ani Fatimą - mówię.
- Nie szkodzi. Ty, Fatima i druga Fatima (wskazuje na Grace) jesteście jak Francuzki. Kif-kif (po arabsku - to samo).

Dokładnie. Kif-kif. Kiedy Grace idzie uliczkami miasteczka, słyszy co jakiś czas wykrzykiwane po japońsku powitanie: „konni-chiwa”. A kiedy powiedziałam, że jestem z Polski, usłyszałam:

- Tak? Mój kuzyn był kiedyś w Rumunii.
- Rzuciłam mu zdziwione spojrzenie, a on, niczym nie speszony odparł:
- Polonia, Rumunia, kif-kif, no?
- No.

Ale to nie ma znaczenia. I tak dla większości ludzi to abstrakcja. Zegnamy się z rodziną i kilkoma stopami docieramy do Ouarzazate. Tu przystanek w kawiarence z sandwichami i już wędrujemy poza miasto marząc o złapaniu jednego sprawnego stopa przez góry prosto do Marrakeszu. Przy okazji zapraszamy Meh-diego, tego, który nas tak bezinteresownie zawiózł do Erfoud, na wspólny posiłek na tarasie jednej z restauracyjek przy głównym placyku. To ostatni wieczór i noc Grace w Maroku. Mehdi wraca dziś do siebie do domu w Casablance i zaprasza mnie jutro, kiedy będę odbierać Asię i Izabelę. Zabierze mnie na lotnisko.



23 - 28 GRUDNIA

Jedziemy z Grace taksówką na lotnisko. Umawiamy się na kolejne spotkanie w południowej Afryce, bo Grace chce tam przejechać się na żyrafie. Prosto stamtąd śmigam do Casablanki. Pociągami, żeby było szybko. Ze stacji odbiera mnie Mehdi i wiezie swoim autem na lotnisko. Ponieważ pracuje w wieży kontrolnej, wszyscy go znają, więc jak tylko Asia i Izabela wysiadły z samolotu, poszedł po nie, spytał, czy są od Kingi i przeprowadził przed wszystkimi przez kontrolę paszportową i celną. Z Asią przeżyłam już wiele i w niejednym kraju, a teraz po raz pierwszy widzimy się w Afryce. Izabelę poznałam dopiero niedawno u Asi w Holandii.

Zatrzymujemy się na chwilę pod największym meczetem Casablanki, podobno największym w Afryce, położonym nad samym oceanem. Jeszcze restauracyjka, targ i w końcu Mehdi wiezie nas do swojego mieszkanka, gdzie zostawia nas, abyśmy spędziły spokojną i wygodną noc w swoim towarzystwie.

Stopem we trójkę w stronę Marrakeszu. Ciężarówka z jakąś ogromną maszyną na pace oraz trzema chłopakami w kabinie.

- Na pewno się zmieścimy? My we trójkę oraz plecaki?
- Nie ma problemu, witajcie w Maroku i w naszej ciężarówce.

No to wsiadamy i w ten sposób zaczyna się nasza wspólna marokańska autostopowa przygoda. Kiedy zbliżamy się do miejsca, gdzie stoi policja, musimy na chwilę wysiąść. Przejdziemy z jednym z chłopaków pieszo, a ciężarówka poczeka na nas dalej, bo sześcioro ludzi w kabinie to trochę dużo. Potem, już w kabinie, jeszcze parę razy schylamy się, kiedy przejeżdżamy obok kolejnych policjantów. Po południu docieramy do Marrakeszu. Prowadzę dziewczyny do centrum i do sklepiku Yousefa, gdzie spotykamy Kati. Jesteśmy tam świadkami kupowania przez miejscową kobietę siedmiu skorpionów. To do tutejszych czarów, rzucania uroków, odbijania kochanków... Izabelka, zachwycona ilością przeróżnych ziół i naturalnych kosmetyków, wpada w pułapkę. Meri Meri zaczyna tłumaczyć jej, co do czego służy.

- To jest dobre na wzmocnienie włosów. To maseczka odżywcza do twarzy. To mieszasz z wodą różaną i nakładasz na głowę.

I po półgodzinie Izabelka wychodzi z siateczką cudownych kosmetyków, obiecując sobie, że o nic już w podobnym sklepiu nie zapyta.

Na kolację wigilijną przyrządzam warzywne tajine. Jedna potrawa z jednego naczynia, a tyle radości i niezapomniane wrażeń. Święta, Wigilia... tu jakoś nie czuje się tego, choć to nie ma znaczenia, bo dla mnie każdy dzień tutaj jest świętem.

Życzę wszystkim najwspanialszych Świąt.

Następny dzień spędzamy w centrum starego Marrakeszu. Dziewczyny podziwiają - zupełnie jak ja wcześniej - kolory w sklepikach i na straganach. Zostawiam je na trochę, idę na internet, a kiedy spotykamy się na najwyższym tarasie Cafe la France, siedzą przy stoliku popijając herbatkę z dwoma miejscowymi przystojniaczkami, z których jeden już się Izabeli oświadczył. Wieczorem wybieramy się do hamamu, który dla Asi i Izabeli jest niezapomnianym nowym doświadczeniem, a potem na imprezkę z Massimem i Azizem, którzy - wyraźnie podekscytowani faktem, że mają trzy europejskie dziewczyny w domu i raczą nas wieczorem butelką marokańskiego wina oraz marokańskimi przebojami.

Asia z Izabelą też chcą zobaczyć pustynię, ale na szczęście nie nalegają, abym jechała po raz trzeci pod wydmę w Merzouga. Pojedziemy więc razem kawałek przez pustynię w stronę Mauretanii, ale to ciut później. Dziś - w góry Atlas. Najpierw kolektywną taksówką do miasteczka Asni, skąd widać już ośnieżone szczyty.

Potem mieszkający tutaj Francuz zawozi nas do celu - wioski Im-lilj będącej bazą dla górskich wędrowców. Nie brak tu przewodników, którzy z chęcią poprowadzą cię na kilkugodzinną lub kilkudniową wycieczkę. Jeśli sobie życzysz, to z osiołkiem i mułem. Ale my wybieramy się na swoją własną przechadzkę, po prostu ścieżką przed siebie. Nie ma dziś niestety słońca, ale i tak widoki są piękne, powietrze czyste i rześkie, a nogi same nas niosą. Kiedy zaczyna kropić, chowamy się pod jakimś daszkiem. Z drzwi obok wychodzi pan lekko zdziwiony naszym widokiem i po chwili zaprasza do chatki obok na herbatę, przedstawiając nam swoją żonę i dzieci. Dla Izabeli i Asi jest to pierwszy raz w chatce u tubylczej ludności. Czujemy, że nie jesteśmy pierwszymi obcokrajowcami w ich domu, a kiedy dziękujemy za herbatę, pan, który nas przyprowadził, prosi o podarek dla żony, najlepiej dwadzieścia dirhamów...

Zostajemy w Imlil na noc. Nie ma wielkiego ruchu, więc dostajemy zniżkę - trzydzieści dirhamów od osoby. Za to jedzenie jest drogie. Kiedy chcemy zamówić u Mohameda w hotelikowej restauracji tajine, mówi, że najtaniej może je zrobić, i to specjalnie tylko dla nas, za osiemdziesiąt dirhamów. Kiedy ja delikatnie, z pomocą kartki, usiłuję wynegocjować lepszą cenę, jak burza wkracza do akcji Asia. Bierze kartkę. Przekreśla zamasztywym ruchem ofertę Mohameda i mówi:

- Sześćdziesiąt dirhamów. Tyle możemy zapłacić, wraz z herbatą.

Asia ma coś takiego w sobie, że nie sposób jej zaprzeczyć czy odmówić.

- OK, OK - przytakuje potulnie Mohamed.
- Możemy też same zrobić tajine. Jeśli same - to czterdzieści - i Asia przekreśla swoją własną poprzednią ofertę.

- Naprawdę same potraficie? - to rozbawia Mohameda na tyle, że zaprasza nas na dół do

przestronnej i czystej kuchni.

- Proszę bardzo. Tu jest naczynie. Tu są warzywa.

Mohamed nam pomaga, a w rzeczywistości, to raczej my jemu, bo on jako profesjonalny kucharz śmiga nożem i warzywa są gotowe zanim Asi udaje się obrać jednego ziemniaka. Przy okazji oświadcza się Izabeli, podczas gdy jego przyjaciel usiłuje namówić nas na wędrówkę ze swoim osiołkiem.

Poranek wita nas cudownie niebieskim niebem, przy którym zupełnie inaczej wyglądają góry i cały świat. Chcemy nacieszyć się widokami, więc wybieramy się inną ścieżką niż wczoraj, z której roztaczają się coraz to bardziej bajkowe widoki na wioski przylegające do zboczy gór, tonące w porannej mgle albo w unoszących się tuż nad nimi chmurach, w których giną wieżyczki meczetów. Idziemy z Asią i Izabelą trzymając się za ręce, sycąc oczy i dusze krajobrazem i niczego więcej nam nie trzeba. Na przełęczy przysiadamy na skałach z panoramicznym widokiem na całą okolicę i tu, w podniebnej restauracyjce, w naturze, urządzamy sobie wytworne śniadanko ze świeżego chleba, awokado, pomidorów i figowego dżemu. Iza mówi, że chociażby dla tego śniadania warto było przyjechać do Maroka.

Po spokoju gór i czystych przestrzeniach lądujemy znowu wśród znajomego chaosu, hałasu i tłumów w Marrakeszu. I znowu w sklepiku Mustafy i Yousefa spotykamy się z Kati i rytualnie pijemy herbatę. Kati mówi, że nie było mnie jedną noc, a już się stęskniła. Spędziła wieczór oglądając kreskówki z Azizem. No a do Yousefa przyjechała jakaś zakochana w nim młoda Francuzka...

Asia jest już gotowa ruszyć dalej. Ja jednak potrzebuję trochę, chwileczkę, jeden dzień bez przemieszczania się, aby nabrać sił i energii do dalszej drogi. Więc jeszcze jedna, ostatnia doba w Marrakeszu. Biegnę w poszukiwaniu dwóch ważnych drobiazgów, -scyzoryka oraz klapki do obiektywu aparatu - bo moje gdzieś mi się zapodziały. Scyzoryk nabywam od razu - tani, miejscowy, automatycznie otwierany. Z klapką jest trudniej. Wieczorem wybieramy się z dziewczynami do łaźni. Tym razem nie do zwykłego ha-mamu, a tak zwanej tureckiej łaźni. Trochę droższej - trzy euro od osoby - ale za to bardziej eleganckiej, z kilkoma różnymi pomieszczeniami. W jednym, parnym jak w saunie, siedzi się na marmurowym stołeczku pośród pięknych nagich miejscowych kobiet, polewa się nieustannie gorącą wodą i smaruje ciało „czarnym mydłem”, czyli mazią z oliwek. W innym, na kamiennym stole wyłożonym matami poddaje się zabiegowi nacierania całego ciała szorstką rękawiczką przez specjalnie w tym celu zatrudnioną kobietę. Wyszorowane i zrelaksowane jak nigdy wracamy do domu na ostatni wieczór z naszymi gospodarzami - Hassanem i Azizem. Jeden i drugi z przyjemnością spędziłby noc z którąkolwiek z nas albo najlepiej z nami wszystkimi, ale muszą zadowolić się sałatką, herbatką i niewinnym flirtowaniem.



29 GRUDNIA - 03 STYCZNIA

Czas opuścić Marrakesz. Kati wybiera się w podróż razem z nami. Ale musi jeszcze pożegnać się Yousefem, więc umawiamy się wieczorem w Essaouira. My docieramy tam stopem, zakwatero-wujemy się w pensjonaciku z tarasem z widokiem na miasteczko i ocean i idziemy na plażę. Jest zbyt wietrznie i chłodno, aby się kąpać. Tu przyjeżdżają Europejczycy uprawiać

windsurfing i sporty wodne. My uprawiamy podziwianie spektaklu zachodzącego słońca i latających na jego tle mew. A wieczorem, kiedy włączymy się uliczkami, wpadamy na Kati, więc resztę czasu spędzamy razem, objadając się figami, daktylami i oliwkami.

Śniadanko na tarasie naszego pensjonaciku z widokiem na miasteczko i ocean. Przechadzka po deptaku przy murach miasta z armatami skierowanymi ku plaży i mewami krążącymi nad głowami. W południe zabieramy plecaki i idziemy na drogę w stronę Agadiru. We czwórkę. Chcemy spróbować, jak pójdzie razem ze stopem, ale tak jak się obawiałam - trochę ciężko. Postanawiamy rozdzielić się i spotkać pod wieczór w miasteczku Taroudannt, do którego jedziemy, bo Massim powiedział nam, że ładne. Asia poje-dzie z Izabelą, a ja z Kati. Nasza dwójka zostaje zabrana jako pierwsza. Do rozdroża. Potem do pobliskiego miasteczka. Do Agadiru. Zza szyb kolejnego anta oglądam kolejny zachód słońca i do Taro-udannt docieramy już po zmroku, mając szczęście - kierowca podwozi nas bowiem pod same drzwi umówionego hoteliku „Hotel Sons”. Asi i Izabeli jeszcze nie ma, ale bierzemy czteroosobowy pokój, zostawiamy im kartkę u szefa i idziemy na internet.

- Dlaczego tutaj przyjechałyśmy? - zastanawiamy się, rozglądając po uliczkach wieczornego miasteczka, które nie wyróżniają się niczym szczególnym, tak samo jak budynki. Ciekawe były jedynie stare mury, otaczające Taroudannt, no i podobno widać stąd w dzień pięknie ośnieżone pasma Atlasu Wysokiego.

Kiedy wracamy do hoteliku, zastajemy tam już Asię i Izabelę.

Słyszałyśmy wczoraj od kierowcy, że raz w tygodniu, w soboty, odbywa się słynny targ wielbłądów w Guelmim, a właśnie dzisiaj jest sobota. Skoro i tak mamy jechać dziś tamtędy, spróbujemy na niego zdążyć. Po kilkugodzinnej jeździe taksówkami wysiadamy w Guelmim. Rzeczywiście - jest tam spory targ, ale póki co tylko z ciuchami, gadżetami, owocami i warzywami. Dopiero przedostawszy się przez tę część trafiamy na placyk, na którym stoją lub leżą w grupkach stada kózek i owieczek, a w rogu pod murem zgromadzone jest mizerne stadko wielbłądów i kilkoro turystów. Nie tak wyobrażałam sobie słynny wielbłądzi targ. Asia ciągnie mnie za rękę, aby iść już stąd, bo nie może znieść widoku tyłu zwierząt (tych kózek i owieczek), które za kilkanaście dni zostaną zarżnięte podczas wielkiego muzulmańskiego święta ofiarowania. Wychodzimy więc na pobliską drogę, która prowadzi już prosto na południe w stronę Tan-Tan i Tan-Tan-Plage, dokąd chcemy dziś dojechać. Zamierzamy bowiem spędzić Sylwestra w miejscu, gdzie Sahara spotyka się z oceanem.

Miasteczko Guelmim, gdzie teraz jesteśmy, to wrota do pustyni. Do naszego dzisiejszego celu prowadzi jedna, niezbyt uczęszczana droga. Znów się rozdzielamy - dziś Kati z Izą, a ja z Asią. Tym razem trafia nam się niebieskie, rozklekotane, dość załadowane auto z mężczyzną nie mówiącym po francusku, ale kiedy pytamy „Tan-Tan?”, pokazuje, aby wsiadać.

Asia siada z przodu, ja posuwam trochę gratów z tyłu. Wrzucam plecaki i siadam za Asią. Auto nie może zapalić. Okazuje się, że nie ma paliwa, więc chyba tak naprawdę dlatego się zatrzymało... Do stacyjki benzynowej dotaczamy się z górki na luzie. Pan tankuje, robi jakieś zakupy i powoli ruszamy. Po może kilkunastu kilometrach, gdzie po obu stronach jak okiem sięgnąć tylko pustynia, pan skręca nagle z drogi i zatrzymuje się pod samotnym kolczastym krzewem. Wysiada, otwiera nam drzwi (bo moje otwierają się tylko z zewnątrz), wyjmuje kocyk i rozpościera go w cieniu krzaka.

- Będzie nas gwałcił czy co? - zastanawia się Asia.

Ale nie. Pan wyjmuje czajniczek, butlę z gazem, wodę, cukier. Zaprasza nas na herbatę. Wygląda na pogodnego, uczciwego mężczyznę. Przysiadamy na kocyku. Ja częstuję go jabłkiem, on nas chlebem z olejem oliwnym i kiedy zagotowuje się woda - słodką herbatą.

Herbata wypita, kierowca wypala kolejnego papierosa, widzimy, że nie spieszy mu się do drogi. Pytamy delikatnie, czy pojedziemy do Tan-Tan.

- Inshallah.

Oczywiście. Z tym nie można się spieszyć. Pokazujemy pytająco na zegarek. Jest za parę trzecia. Kierowca mówi, że o trzeciej. Ale po chwili dodaje, że może o czwartej czy piątej. Inshallah.

Zaczynamy się lekko niepokoić, więc wstajemy, próbując nie urazić kierowcy i jego gościnności. Sugerujemy delikatnie, że jeśli chce zostać, to nie ma sprawy, weźmiemy plecaki z auta i pójdziemy na drogę. Mężczyzna lekko zirytowany mówi w swoim języku:

- Dobrze, dobrze, nie ma sprawy, już jedziemy.

Nie zapala jednak silnika. Pyta mnie o coś i choć nie znam tutejszego berberskiego, wiem dokładnie o co chodzi.

- Nie - mówię spokojnie, ale stanowczo, patrząc mu w oczy.

- A ona? - pokazuje na Asię.

- Też nie.

Mężczyzna nie zadowolona się jednak taką odpowiedzią. Następuje małe targowanie. Może jednak? Na pewno? W końcu wyciąga z kieszeni sto dirhamów. Za mało? Dwieście.

- Asia, wsiadamy!

Nie jest to łatwe. Asia zмага się ze swoimi drzwiami, udaje jej się otworzyć. Otwiera od zewnątrz moje, wyciągamy plecaki. Mężczyzna też wysiada. Mówi, że jak nie, to nie. Już jedziemy. Zawiezie nas prosto do Tan-Tan. A my popełniamy w tym momencie największy błąd. Wsiadamy z powrotem do auta. Wsiadamy i mężczyzna zamyka kluczykiem Asi drzwi od zewnątrz. Moje i tak się nie otwierają. Wsiada i zadowolony, z większą pewnością siebie, ponawia pertraktacje. Asia zaczyna panikować. Udaje, że jej niedobrze, zaraz zwymiotuje, musi wysiąść. Mężczyzna podaje jej plastikową torebkę, a mi rzuca trzysta dirhamów - to wszystko co ma. Ja wiem, że nie możemy poddać się panice. Opanowanym głosem, ale zdecydowanie odmawiam. Nie jest zadowolony. Odpala w końcu silnik i ruszamy, ale nie w stronę drogi, a przed siebie - po pustyni. Tam już nikt nas nie zobaczy ani nie usłyszy. Nie odjeżdżamy jednak daleko.

- Tan-Tan - powtarzamy pokazując na drogę.

I znowu odczytując bardziej intencje niż słowa, rozumiem dokładnie, że mężczyzna pyta czy zrobimy to w Tan-Tan. Nie, nie zrobimy wcale. Ani za dwieście, ani za trzysta dirhamów. Ani za stado wielbłądów. W końcu zdenerwowany rezygnuje i rusza w stronę drogi. Nie chciał nas zabić. Ani zgwałcić. Chciał seksu. Nie chcieliśmy po przyjacielsku po pikniku, to oferował zapłatę. Po co w takim razie stoimy przy drodze bez dżelaby, bez mężów, zatrzymując auta z obcymi mężczyznami... Na drodze otwiera nam drzwi i każe wysiadać. Niczego więcej nie pragniemy. Wsiadamy w mig i mężczyzna odjeżdża, ale nie w stronę Tan-Tan, a z powrotem, skąd przyjechał. I natychmiast zatrzymuje się auto z parą włoskich turystów. Wsiadamy z ulgą, długo nie mogąc ochłonać.

W centrum Tan-Tan czekają już na nas Kati z Izabelą, więc w dwóch językach jednocześnie opowiadamy im, co zaszło. Herbatka w kawiarence na placyku tego malutkiego spokojnego miasteczka przy plaży pomaga nam troszkę się uspokoić. Zakwate-rowujemy się w pobliskim, czystym i przyjemnym hoteliku „Raja”. Bierzymy gorący prysznic, robimy pranie i idziemy na plażę, żeby zobaczyć, jak uda się spędzić ten ostatni wieczór roku.

Zadziwiające - jak na sylwestrowy wieczór, plaża jest prawie pusta. Z dwóch jej końców stoją zaparkowane, zgrupowane auta campingowe, ale i tam niewiele się dzieje. Asia marzyła wcześniej o tańczeniu wokół ogniska na plaży i wygląda na to, że to akurat marzenie może się dziś spełnić. Przyłącza się do nas dwóch chłopaków, Mohamed i Brakim. Mówią, że zrobią ognisko, zorganizują bębny, muzykę, coś do picia... Chłopcy kupują u znajomego „wodę życia” domowego wyrobu, czyli jakiś mocny figowy trunek w plastikowym woreczku. Potem w sklepiku jabłka, banany, sok pomarańczowy, batoniki, jogurty, lizaki. To będzie impreza! Przysiadamy na chwilę w pokoiku, gdzie krąży pachnąca ładnie jabł-kowo fajka wodna, z której wszyscy po troszeczkę pociągamy.

Idziemy na plażę. Sylwestrowa noc upływa na całkiem miłej im-prezce z bębnieniem, śpiewami w języku saharawi i berberskim, muzyką z telefonu komórkowego Mohameda. Jest też troszkę tańców przy niewielkim ognisku. W ten sposób na plaży Tan-Tan, na skraju pustyni i oceanu wkraczamy w nowy rok.

Życzymy wszystkim najwspanialszego roku!

Izabela z Asią muszą za trzy dni być na lotnisku w Casablance. Więc dziś jest ich ostatni

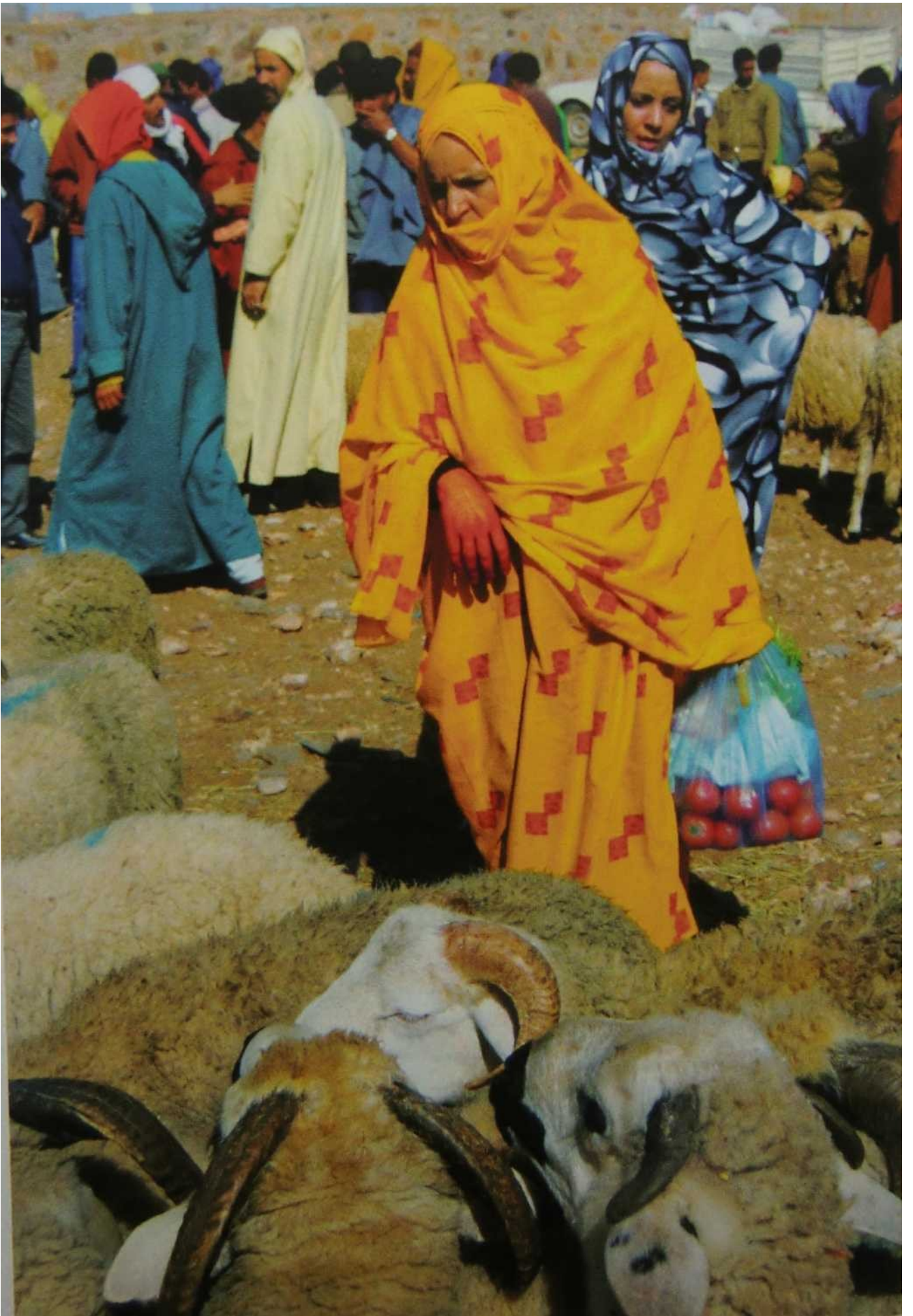
dzień z nami. Jesteśmy zaproszone przez wczorajszych przyjaciół do ich domu na kuskus z warzywami. Asia mówi, że nie ufa już żadnym marokańskim mężczyznom. Ale kiedy zapewniamy, że jeśli kuskus, to na pewno będzie tam mama, siostry i reszta rodziny, w końcu na to przystaje. Spędzamy więc w domu Mohameda całe wczesne popołudnie. Ale dobrze trochę odpocząć. Po południu przechadzamy się po miasteczku i po wietrznej dziś plaży, a wieczorem jemy bejisarę i pijamy herbatę w jednej z miejscowych restauracyjek.

- Safe, safe, baraka („wystarczy, wystarczy”) - mówi jeden z mężczyzn zgromadzonych wokół zbiorowej taksówki na którą odprowadzam rano Asię i Izabelę, kiedy widzi, jak całujemy się na pożegnanie. Asia zawsze wraca. Wierzę, że zobaczymy się na Madagaskarze, kiedy już tam kiedyś dotrę. Cieszę się też, że nie zostałam sama, tylko z Kati, bo byłoby mi teraz trochę samotnie.

Idziemy razem do rozdroża, gdzie droga rozwidła się i jedna „odnoga” skręca na południe wzdłuż pustyni i wybrzeża. Zabiera nas młoda, ładna po europejsku ubrana i mówiąca niezłe po angielsku Marokanka pracująca w Laayoune w United Nations. Po przedwczorajszym doświadczeniu to jest to, czego potrzebuję - prosty, łatwy i bezpieczny stop. Prosto do Laayoune - ostatniego dużego miasta powstałego nie wiadomo dlaczego na środku pustyni. Jakies cztery czy pięć godzin drogi.

Wychodząc na drogę wyjazdową z Laayoune przechodzimy właściwie przez całe miasteczko. Obserwujemy przechodzące postacie, tu ubrane trochę bardziej kolorowo niż w innych częściach Maroka. Wiele kobiet nie w dżelaby, a w kolorowe tkaniny przypominające indyjskie sari. Prawie natychmiast zatrzymuje nam się biały van z czarnym kierowcą, który pyta czy znamy drogę do Dakhla - ostatniego miasteczka na południu Maroka/Sahary Zachodniej. Oczywiście, że znamy. Jest to przecież jedna prosta droga. No to wsiadajcie. Van zapakowany jest po dach różnymi gratami - jakaś lodówka, rowery, materace. Udaje się jednak wepchnąć jeszcze nasze plecaki, a my siadamy z przodu. Okazuje się, że nasz kierowca Abdulaj jest Malijczykiem mieszkającym od jakiegoś czasu w Hiszpanii. Przerzucamy się więc szybko z łamanego francuskiego na płynniejszy hiszpański. Abdulaj podąża vanem aż do Mali - do domu w Bamako. Chce zdążyć na ważne muzulmańskie święto ofiarowania owieczki za jakies osiem czy dziesięć dni. Dlatego jedzie już któryś dzień i noc bez snu i kiedy dowiaduje się, że też potrafię prowadzić, ucieszony oddaje mi kierownicę. A dla mnie jest to jak kolejne spełnione marzenie, które wydawało mi się tak absolutnie nierealne: poprowadzę vana przez Saharę Zachodnią. Kati też oczywiście ma prawo jazdy, ale nie jest przyzwyczajona do manualnej skrzyni biegów, mam więc siedzenie kierowcy wyłącznie dla siebie. Siedzenie, kierownicę i prostą, w większości pustą drogę przed sobą, wiodącą chwilami wzdłuż oceanu, do którego dociera pustynia. Miejscami wydmy wkraczają delikatnie na drogę, a kiedy zawieje wiatr, widać jak piaski pustyni śmigają po asfalcie.

Abdulaj może w końcu się zdrzemnąć, a ja pędzę białym va-nem przez pustynne krajobrazy, ale ani przez chwilę widoki nie nudzą. Bo pustynia ma wiele twarzy. Czasem tylko są to czyste białe piaski, innym razem porośnięte niskimi krzaczkami wzgórza, czasem kamieniste przestrzenie... Na niewielkiej stacyjce benzynowej pośrodku pustkowia zatrzymujemy się na zatankowanie paliwa oraz na sałatkę. Dopiero późnym wieczorem docieramy do Dakhla. Jeszcze spory szmat drogi do mauretańskiej pustyni, ale to jutro. Dziś udaje mi się bezkolizyjnie przejechać vanem przez miasteczko, zaparkować i zakwaterowujemy się we trójkę w pokoiku hotelu „Sahara” za trzy euro od osoby.



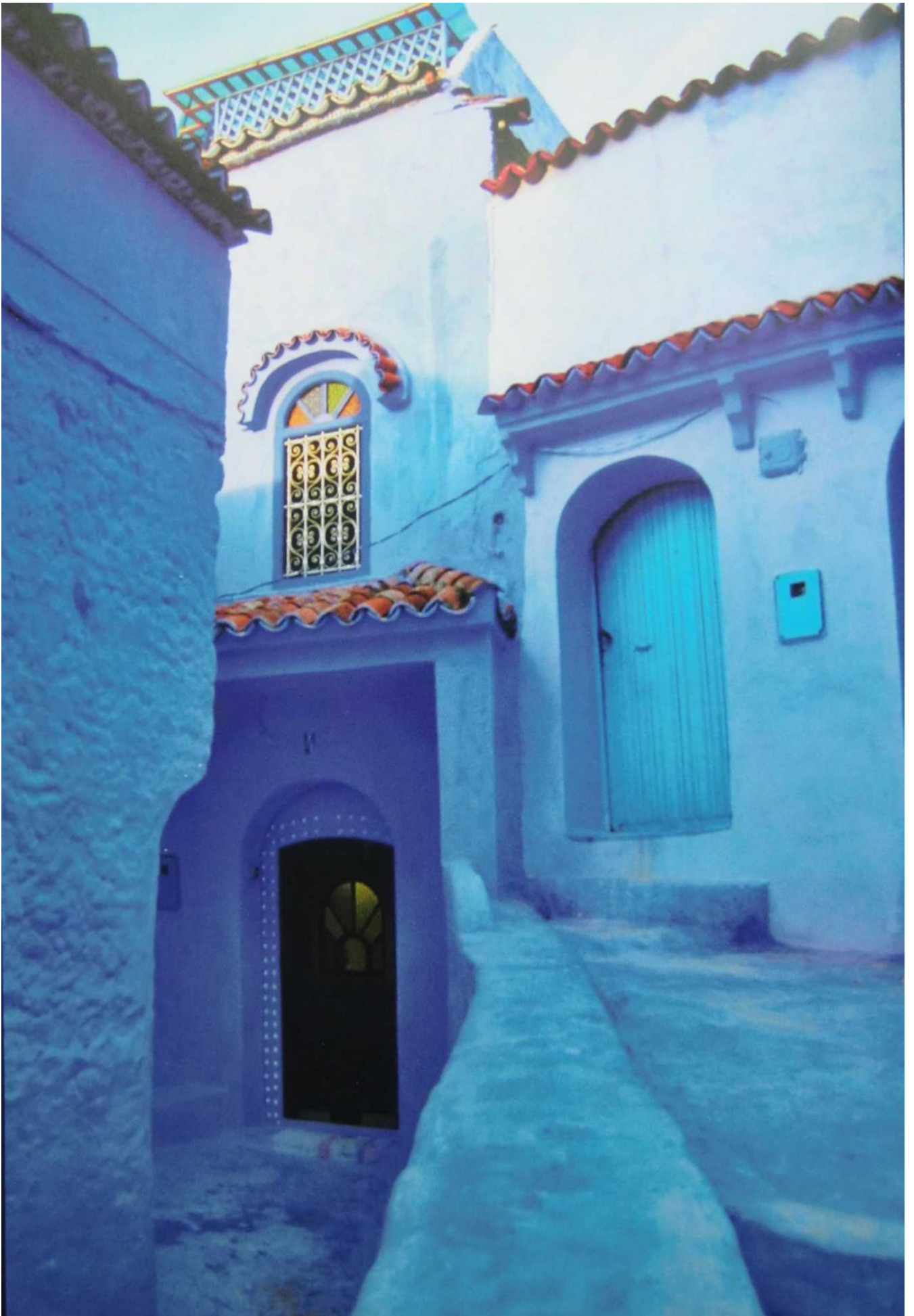


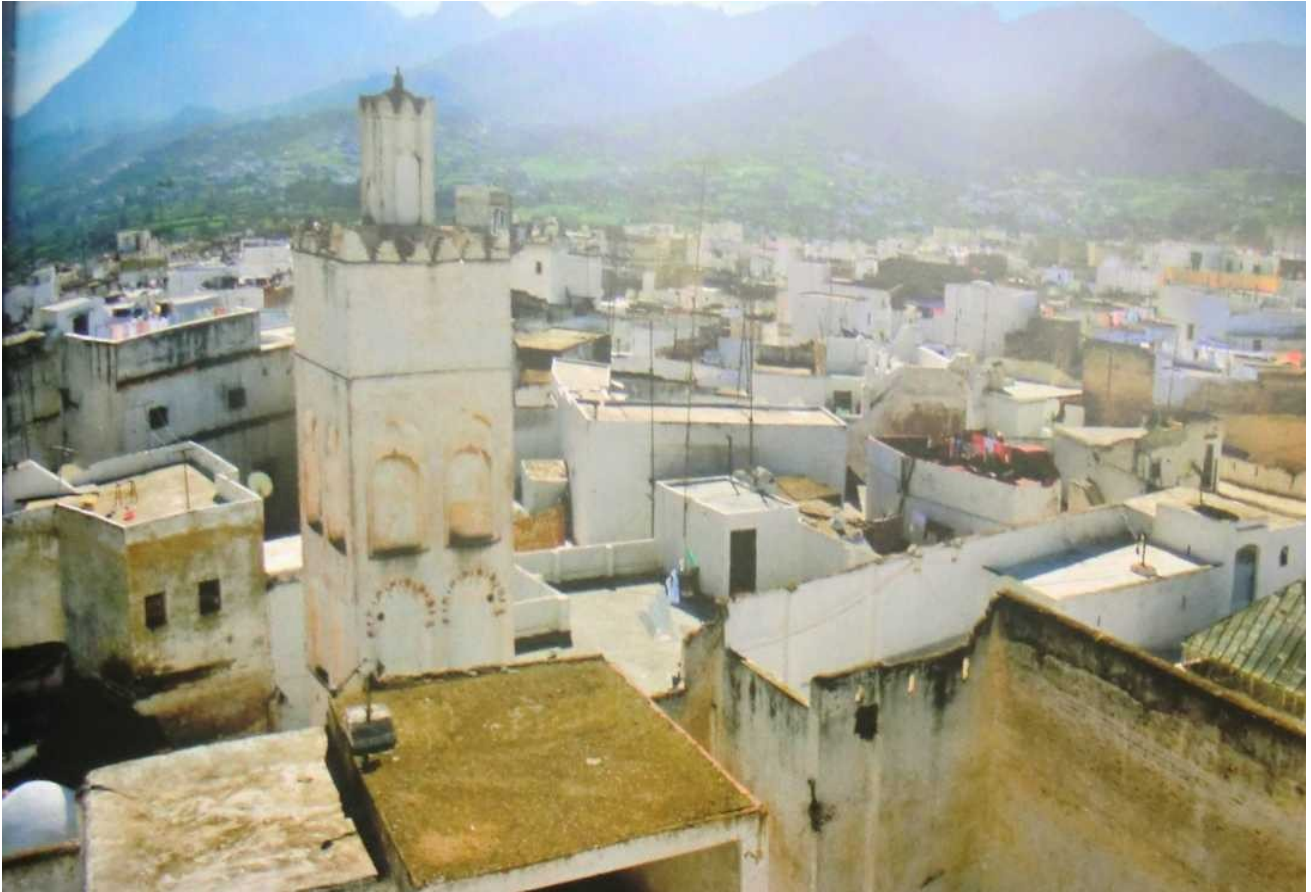




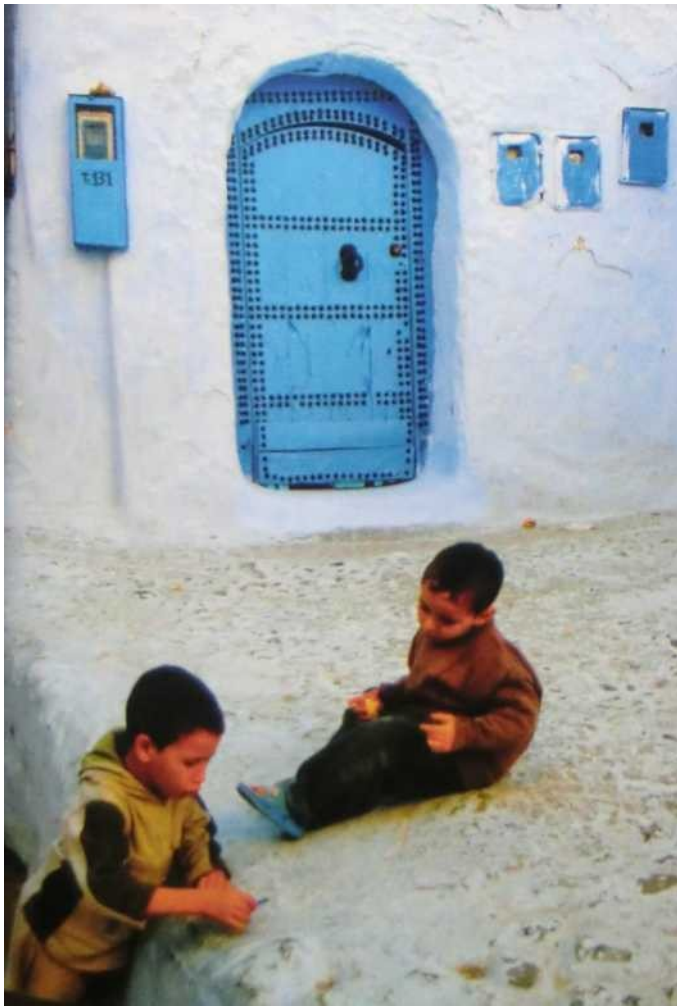
CHEFCHAOUEN

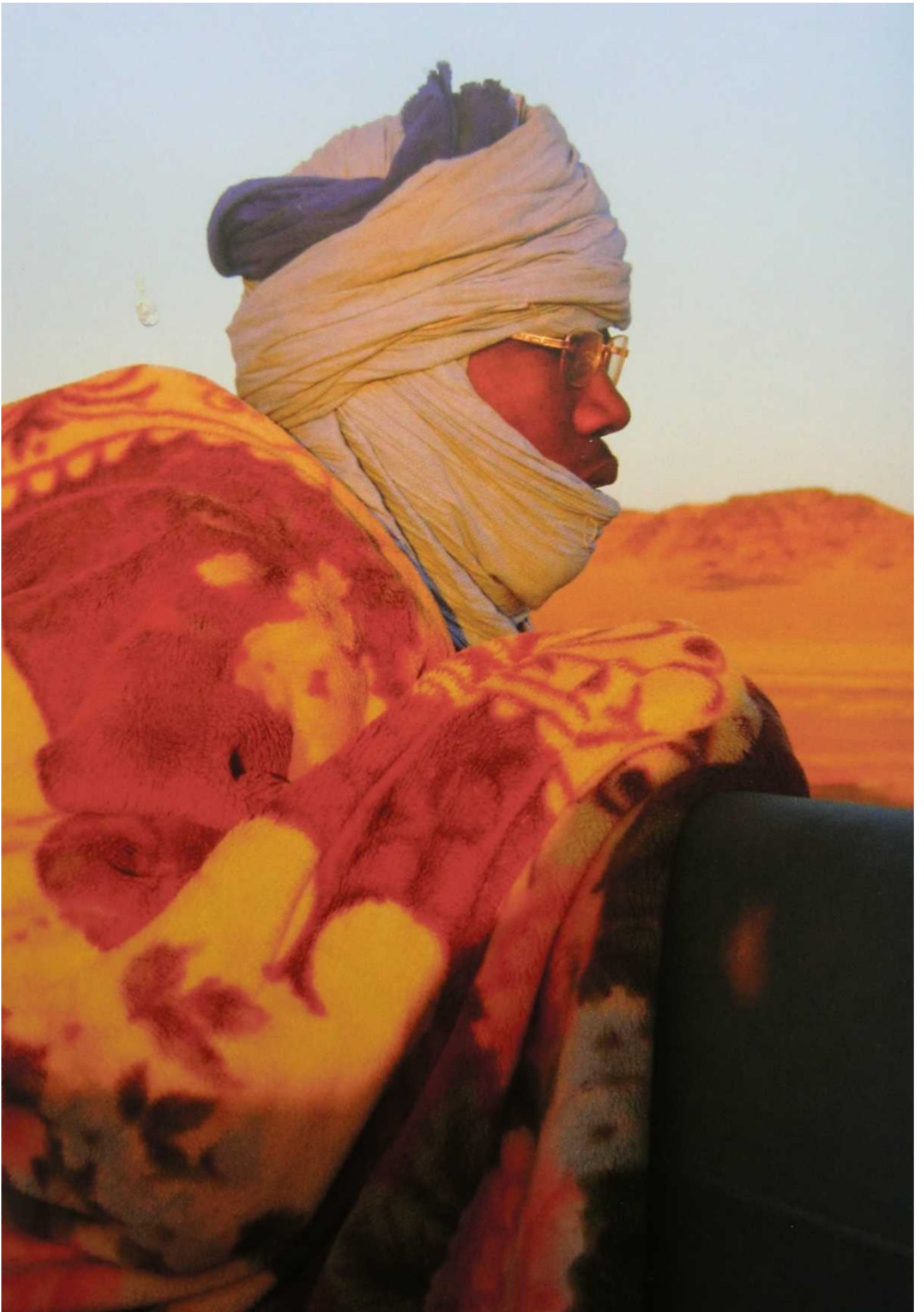






Wąskie, błękitno-białe uliczki starej mediny tego niewielkiego miasteczka wyglądają jak wyjęte z pocztówki. Zwyczaj malowania ścian domów na niebiesko został przejęty od mieszkającej tu niegdyś społeczności żydowskiej. Dalej rozpościerają się już tylko kamieniste wzgórza, na których uprawia się w znacznych ilościach konopie indyjskie, zwane tutaj kif.





CZEŚĆ III

MAURETANIA

04-10 STYCZANIA

No to drugi dzień prowadzę białego vana. Nie szaleję z prędkością, a sunę spokojnie, równe sto dziesięć kilometrów na godzinę. Tu nie ma już żadnych wiosek, czasem tylko odchodzi od głównej, jedynej asfaltowej drogi jakaś wyjeżdżona w piasku dróżka i niknie w oddali prowadząc nie wiadomo dokąd. Wczesnym popołudniem, szybciej niż się spodziewaliśmy, docieramy do marokańskiego punktu granicznego. Parę budynków i pustynna baza wojskowa. Należy dopełnić różnych formalności. Urzędnik jednak pokazuje na kartkę obwieszającą, że od trzynastej do czternastej trzydzieści jest przerwa.

- Na posiłek i modlitwę - wyjaśnia.

Argument, że jest właśnie za pięć pierwsza na niewiele się zdaje, bo wszyscy już i tak poszli jeść i się modlić. Idziemy więc przejść się po okolicy. Kierujemy się ku sporej wydmy widocznej w oddali po prawej stronie drogi. Nie odchodzimy jednak zbyt daleko, kiedy słyszymy nawoływanie jednego z patrolujących okolicę żołnierzy.

- Udajmy, że to nie do nas. Pewnie i tak nie ma nam niczego dobrego do powiedzenia - mówi Kati, więc idziemy dalej przed siebie nie oglądając się za siebie.

Żołnierz jednak dogania nas. I rzeczywiście - nie ma nam nic dobrego do powiedzenia:

- Czy wiecie, że ryzykujecie w tym momencie życie? - pyta po francusku.

-Jak to?

- Ten rejon jest pełen min.

Bo to rejon spornych terenów i konfliktów pomiędzy Marokiem, Mauretanią i partyzanckim ugrupowaniem Polisario walczącym o niepodległość Sahary Zachodniej.

- Często eksploduje tu jakaś mina? - pytamy.

- A... raz na jakiś czas. Czasem wpadnie na nią jakiś zbłąkany wielbłąd albo samochód.

Nie protestując podążamy za żołnierzem i dajemy się odwieźć wojskowym autem z powrotem do budynków kontroli paszportowej. W końcu, dopełniwszy formalności ruszamy do mauretańskiego punktu granicznego. Tutaj nagły szok, bo koniec asfaltu. I żeby to chociaż prowadziła jedna prosta droga - a tu piaszczyste szlaki rozdzielają się na wiele odnóg. Próbuje dogonić campingowe auto niemieckich turystów, które przejechało wcześniej. Może oni znają kierunek?... Mijamy kilka porzuconych zwłok zardzewiałych aut porzrzucanych po okolicy. I oddychamy wszyscy z ulgą, kiedy po paru kilometrach docieramy do niewielkiej szopki będącej punktem paszportowo-celnym Islamskiej Republiki Mauretanii. Czarny urzędnik zbiera paszporty od wszystkich, po czym woła kolejno do środka. Kiedy wchodzimy z Abdulajem, urzędnik, zwracając się do niego i patrząc na mnie i Kati, pyta:

- Poligamista?

A nam mówi, że możemy poczekać w vanie. Czekać, jak przystało na potulne żony, zastanawiamy się, co zrobić. Abdulaj zaprasza do Mali. Co prawda musiałybyśmy załatwić wize w Nouakchott, ale będzie tamtędy przejeżdżał. Ale nie jesteśmy pewne, czy tego chcemy. Bo jest parę rzeczy, które chciałybyśmy zrobić w Mauretanii. Na przykład, z Nouakchott jedzie do Ataru najdłuższy pociąg świata, którym można podobno za darmo się przejechać. A przez Atar za jakieś dwa dni akurat ma przejeżdżać rajd Paryż-Dakar... Z drugiej strony - lubię podążać po prostu za tym, co się wydarza. A teraz zdarzył się stop z Abdulajem - prosto do Mali.

I co teraz? Rzucamy monetę. Rzuca Kati - Mali.

- Rzuć jeszcze ty, dla pewności - mówi.

Rzucam. Mauretania. No i znowu nie wiemy. A tu już po odprawie. Jeden z umundurowanych urzędników staje z megafonem nieopodal na piasku i po chwili rozlega się po

pustyni gromkie zawodzące: „Allah Akbar” - nawoływanie na modlitwę. Wsiadamy do vana, dojeżdżamy do rozdroża, gdzie jedna droga wiedzie w lewo na Nouakchott, a druga w prawo, na Nouadhibou i - jednak wysiadamy. Docieramy - oczywiście stopem - do Nouadhibou, a tam bierze nas natychmiast pod opiekę chłopak, którego spotkałyśmy wcześniej przy szopie granicznej. Kolejny Mohamed. Mauretania okazuje się droższa. Tu za kawałek dywanu w wietrznym, półotwartym namiocie chcą więcej niż za marokański przeciętny pokój hotelowy. Ale przy herbacie - jeszcze mocniejszej i słodszej niż w Maroku - dogadujemy się z szefem, że dostaniemy jeden mały niehotelowy pokój za darmo, gościnnie, a w zamian Kati namaluje im jutro logo i napis na ścianie przy wejściu.

Kiedy idę zrobić zakupy do pociągu, zaczynam odczuwać, jakie łatwe, przyjemne i tanie było życie w Maroku. Tam na każdym kroku można było coś dobrego niedrogo przekąsić, a stragany uginały się od owoców. Tutaj natomiast, gdzie wokół tylko pustynia - nic nie rośnie i żywność sprowadza się z innych krajów. Mandarynki, które w Maroku kupowałam za grosze, tu kosztują jedno euro za kilo i są najtańszymi owocami. Mają tu kilka eleganckich supermarketów z samymi importowanymi z Europy rzeczami - puszkami, słodyczami, kosmetykami - po wyższych jeszcze niż w Europie cenach. Nie wiem, jak mogą pozwolić sobie na to przeciętni Mauretańczycy, którzy podobno zarabiają średnio jakieś trzysta euro rocznie, czyli poniżej jednego euro dziennie.

Pociąg odjeżdża o piętnastej, więc bierzemy taksówkę, żeby dotrzeć na odległą o parę kilometrów od miasteczka stację. Niewielki biały budynek stacji składający się z trzech ścian i dachu znajduje się pośrodku piaszczystego pustkowia i czuję, że tu zaczyna się nasza „pociągowa” przygoda. Przy torach kolejowych, niknących po obu stronach w oddali za piaszczystym horyzontem, siedzą z tobołkami wprost na piasku kolorowe grupki miejscowych ludzi. Uwiązana do słupka koza też czeka na pociąg. Półokrąg z kamieni pośrodku placu stanowi substytut meczetu, gdzie paru mężczyzn odbywa właśnie modlitwę z pokłonami. A w budynku stacji miejscowe kobiety siedząc na matach wraz z niemowlętami sprzedają importowane słodycze, owoce, napoje oraz jajka gotowane na twardo.

Pomiędzy oczekującymi pasażerami krąży mężczyzna w ciemnych okularach i kolorowej koszuli, z żółtą skrzynką z jedną szklaną ścianką, za którą widać stertę misternie przygotowanych kanapek z niewielkich bagietek. A na szybko napis: „sand wishes”

Nie „sandwiches”, a właśnie „sand wishes” - czyli „piaskowe życzenia” - bardzo pasująca do otoczenia nazwa.

Jest już po piętnastej, a pociągu nie widać. Dowiadujemy się, że dzisiaj będzie o osiemnastej. Inshallah. Rozpościerające się tuż za torami piaszczyste wydmy służą za publiczną toaletę. Kiedy zbliża się osiemnasta, idę raz jeszcze za wydnię, bo towarowy wagon nie będzie raczej miał takich wygod. Nagle widzę i słyszę nadciągający z oddali pociąg. Zdążam przeskoczyć na pasażerską stronę torów zanim odgrodzi mnie od niej najdłuższy pociąg świata. Ale widzę, że oczekujący pasażerowie jakoś się nie ruszają i spokojnie siedzą dalej na swoich tobołkach. A pociąg... nadjeżdża, zwalnia, ale nie zatrzymuje się wcale i po chwili niknie w oddali. Bo to nie nasz. Nasz dopiero przyjedzie. Kiedy? Wkrótce. Inshallah.

W końcu, już z totalnej ciemności, wyłania się światło lokomotywy i wtacza się powoli z hukiem i łomotem niezliczona ilość pustych, otwartych od góry towarowych wagonów. Jest też jeden czy dwa pasażerskie, na które część oczekujących wykupiła bilety. Większość jednak, podobnie jak Kati i ja, wybiera darmową miejscówkę na podłodze jednego z towarowych. Młody człowiek, Mo-hamed, nie mówiący niestety nawet po francusku, pokazuje nam sposób wejścia do wagonu i pomaga wrzucić plecaki, dla ochrony przed brudem włożone specjalnie w kupione przeze mnie rano worki po mące. Rozkłada na podłodze płachtę, na którą nas zaprasza. W drugim końcu instaluje się towarzystwo odgradzające się od nas ogromną skrzynią, mieszczącą lodówkę, a w rogu niedaleko nas mości się koza. Czeka nas długa noc. Ubrałyśmy się zawczasu we wszystko co możliwe, oczekując chłodu, teraz owijamy twarz chustami, chroniącymi choć trochę przed pustynnym pyłem i nakrywamy się starym kocem, który kupiłyśmy specjalnie za dwa euro w naszym porannym hoteliku.

Na początku jest całkiem przyjemnie. Z czasem jednak zawiewający wiatr i chłód

pustynnej nocy przedzierają się przez koc i warstwy ubrań. Decyduję się w końcu wydobyć z plecaka izomatę oraz śpiwór. Wiem, że po tej nocy pewnie już nie dopiorę go nigdy, ale tylko on nam pomoże przetrwać. Rzeczywiście, pod śpiworem i kocem da się nawet chwilami zdrzemnąć. Kiedy pociąg zatrzymuje się pośrodku pustyni, wyciągam z naszej siatki z prowiantem kupioną w lokalnym supermarkecie czarną czekoladę z migdałami i, podjadając taki smakołyk, wpatrujemy się w czarne, intensywnie rozgwieżdżone niebo nad głowami. Z perspektywy podłogi towarowego wagonu świat wydaje się piękny.

Nie pospałyśmy wiele tej nocy. Pierwsze, co widzę o świcie, to to, że wszystko - bagaże, ludzie, koce, koza - pokryte jest warstwą pyłu. A wokół pustynia. Z jednej i drugiej strony torów. I z tyłu za pociągiem, i z przodu przed nim. Na horyzoncie majaczą wzgórza, zza których wyłania się słońce rozpromieniając i rozgrzewając świat. Robię parę zdjęć, ale po chwili chowam aparat, widząc jak też pokrywa się nawiewającym z pustyni kurzem.

Pociąg jedzie jeszcze dalej, ale my, podobnie jak większość pasażerów, wysiadamy przy jakiejś desperacko biednie wyglądającej wiosce pośrodku pustkowia. Następuje szybka akcja rozładunku, wyrzucania z wagonu tobołków. Wraz z innymi pasażerami wsiadamy na pakę auta, które właśnie podjechało pod pociąg i którym pojedziemy do Ataru. Kierowca zbiera opłatę, na pace ładuje jeszcze trochę pakunków i koza z naszego wagonu, i - ruszamy piaszczystą drogą wzbijając tumany kurzu, jakby mało było tego z pociągu. W Atarze ma dziś biwakować przejeżdżający akurat przez okolicę rajd Paryż-Dakar.

Toczmy się powoli, z przystankiem przy nomadzkich namiotach. W jednym z takich namiotów zdejmujemy buty, siadamy na matach i obserwujemy mauretański ceremoniał herbaciany. Siedząca w rogu namiotu kobieta napełnia niewielki czajniczek wielką ilością zielonej herbaty i jeszcze większą ilością cukru i za-gotowuje całość na gazowej butli. Potem następuje rytuał przelewania z wysokości z czajniczka do miniaturowych szklaneczek i z powrotem do czajniczka, tak długo, aż w każdej szklaneczce utworzy się odpowiednia ilość piany, czyli mniej więcej do połowy wysokości. Dopiero wtedy nalewana jest właściwa herbata, która wygląda jak cappuccino, a smakuje jak mocny gorący syrop. Czajniczek jest niewielki, więc czekamy, aż zagotuje się parę razy zanim wszyscy się napiją. Ale nie ma pośpiechu. Herbata to poważna sprawa. Po ostatniej rundce wszyscy wychodzą i ładują się znowu na pakę. W Atarze samochód parkuje na placu, a my wpadamy w ręce chłopaka mówiącego po angielsku i zapraszającego na nocleg do swojego domu. Udaje nam się wynegocjować cenę pięciu euro od osoby z wegaposiłkiem i podwiezieniem na lotnisko, gdzie stacjonuje dziś Paryż-Dakar. Czego potrzebujemy przede wszystkim to prysznic, aby zmyć z siebie kurz po nocy w pociągu i przejażdżce tutaj. I nie szkodzi, że „prysznic” składa się z wiadra zimnej wody w niewielkim pomieszczeniu... Mona, siostra Suniego, serwuje nam herbatę oraz pyszny miejscowy makaron z warzywami. W końcu Suni zabiera nas na lotnisko, a raczej pod lotnisko, bo jest pilnie strzeżone i nikt spoza rajdu nie ma tu wstępu.

- Tu możecie postać i popatrzeć na przejeżdżające auta. Najlepiej z nikim nie rozmawiajcie. O której mam po was przyjechać?

- Za dwie godziny. Dzięki Suni.

Nie mówimy mu, że nie chcemy bynajmniej tylko popatrzeć. Musimy dostać się na lotnisko. Tylko jak? Nie ma czasu na obmyślanie jakichś sprytnych planów. Pewnym, szybkim krokiem, jak stałe bywalczyńce przechodzimy tuż koło sprawdzającej wszystkich ochrony, która nawet nie usiłuje nas zatrzymać. No to jesteśmy. Pośrodku piaszczystej przestrzeni upstrzonej kolorami największych wyścigowych aut świata. Nie tylko ich, ale i ciężarówek wspomagających, motocykli, samolotów prasowych itd. Umawiamy się, że jakby ktoś o coś pytał, to jesteśmy z polską drużyną, choć nie wiemy nawet, czy taka tu jest. Owszem, jest. Tylko jak odnaleźć Polaków wśród setek aut i namiotów? Dopiero Litwin pokazuje nam zaparkowany motocykl jedyne polskiego zawodnika. Zawodnik leży wycieńczony na materacu. Od Zbyszka, sympatycznego blondyna jadącego w aucie asystującym dowiadujemy się, że rajd rusza jutro do Nouakchott - tam gdzie i my. O samochodach uczestniczących w rajdzie oczywiście możemy zapomnieć, ale kto wie, może w którymś z pomocniczych znalazłoby się miejsce? W białym namiocie prasowym spotykamy dziennikarzy

wystukujących raporty na klawiaturach laptopów, połączonych ze światem satelitarnym internetem, ale polski dziennikarz jest teraz w samolocie prasowym i przygotowuje relację telewizyjną. Zagadujemy do ekip w ciężarówkach, pytając czy dałoby się z nimi jutro zabrać. Wszyscy są przyjaźni, jednak jeśli nawet mają miejsce w kabinach, to mówią, że zabronione.

Nam wystarczyłoby nawet przejechanie w zamkniętej pace, ale na to też nikt nie chce przystać. Postanawiamy więc po prostu wyjść jutro rano na drogę.

Wstajemy wcześniej. Próbujemy łączyć stopa nieopodal lotniska, z którego od samego rana odjeżdżają auta rajdowe. Już wiemy, że nic z tego, ale tak dla czystej radochy wystawiamy kciuka w stronę każdego przejeżdżającego sportowego auta. Oraz z większą nadzieją - w stronę ciężarówek. Rajdowcy pozdrawiają nas machaniem i posyłają całusy. Postanowiłyśmy sobie, że do południa łapiemy wyłącznie auta rajdowe, a jeżeli żadne się nie zatrzyma, to dopiero po dwunastej - cokolwiek. Może naiwnie, ale wierzymy że któryś z tych setek niesamowitych pojazdów nas zabierze. Kibicuje nam entuzjastycznie zebrana na murku nieopodal garstka chłopców. Wreszcie zatrzymuje się pomocnicze auto jednej z najlepszych francuskich drużyn, reprezentujące Repsol Mitsubishi. Francuscy przystojniacy półzartem zapraszają nas na przejażdżkę z miejscówką u siebie na kolanach. A tak na serio:

- Sorry, nie damy rady was zabrać, ale w Nouakchott na lotnisku zapraszamy was na kawę i czekoladę.

Czekamy dalej. Nagle hamuje nieopodal wielka rajdowa ciężarówka.

- Patrz! To ci Francuzi, z którymi rozmawialiśmy wczoraj na lotnisku - mówię do Kati. - Tłumaczyli, że mają zakaz. Czyżby zmienili zdanie?

- Bonjour, dziewczyny! Nie dajecie za wygraną? Tak trzymać! Możecie jechać z nami jeśli chcecie, ale tylko wewnątrz.

- Rewelacja!

Otwierają więc klapę z boku, która ukazuje wewnątrz pełne sprzętu, plastikowych skrzynek, kabli, a na torbach siedzi jeden członek ich załogi. Wrzucamy plecaki, klapa się zamyka, zapala się światło i ruszamy. Wewnątrz klaustrofobicznej puszkii super-ciężarówki mogą tylko wyobrazić sobie przemierzane pustynne przestrzenie. Ale nie szkodzi. Dopiero kiedy zatrzymujemy się na odpoczynek, przerwę i piknik, mamy okazję zerknąć na kawałek krajobrazu. Płaska, pustkowata przestrzeń z rzadkimi krzaczkami wokół i wzgórzami na horyzoncie.

Filip - członek naszej francuskiej ciężarówkowej załogi, sympatyczny gość z wielkim brzuchem częstuje nas plasterkami wykwintnej szynki i łałamuje się nawieść, że nie jemy mięsa. Nie gardzimy jednak świeżą bagietką i odrobiną francuskiego wina. Nadjeżdża żółte wyścigowe auto z tej samej drużyny i piknik się rozkręca. Kolejny przystanek dopiero na stacyjce benzynowej już niedaleko Nouakchott. Ciężarówka będzie tu myta, więc wysiadamy i rozglądamy się wokół. Za placem przy stacyjce rozciąga się smutne wysypisko śmieci, po którym biegają bosonogie dzieci. A za wysypiskiem wydmy... Dzieci wyciągają do nas i do naszej załogi ręce, prosząc o długopisy, słodycze, podarki. Filip rozdaje im garść sporych okrągłych nalepek, które wszyscy natychmiast naklejają sobie na koszulki.

Ciężarówka już czysta, więc znowu do paki. A kiedy klapa ponownie się otwiera, znajdujemy się w samym środku rajdowego cyrku. Na zakurzonym lotnisku Nouakchott w mauretańskiej stolicy. I pomyśleć, że uczestnictwo jednego oficjalnego auta w rajdzie wraz z wszystkimi autami i ciężarówkami wspomagającymi kosztuje około miliona dolarów. A staruje ich tu kilkadziesiąt. Wszystko po to, aby ścigać się przez kawałek pustyni. Większość rajdowców nie opuszcza nawet nigdy lotniskowego biwaku. Ale Kati i ja chcemy zobaczyć w Mauretanii coś więcej niż lotnisko, więc wyprawiamy się do miasteczka. Idziemy pieszo, bo centrum podobno niedaleko. Ale zatrzymuje się i podwozi nas jakiś mężczyzna i wysadza na niepozornej uliczce. Tu, gdzie kończy się asfalt nie ma też chodnika, tylko pustynny piasek. Pytamy parę osób o centrum, ale one nie bardzo wiedzą, o co nam chodzi. To przecież jest centrum. Na tej uliczce pełnej niewielkich zakładów fryzjerskich (dlaczego aż tylu, pozostaje zagadką) znajdujemy kafejkę internetową.

Już się ściemniło, więc wracamy na lotnisko. Ochrona wpuszcza tylko osoby ze specjalnymi

bransoletkami-opaskami. Takich opasek niestety nie mamy, ale za to mamy szczęście do Francuzów. Wchodzimy z dwoma francuskimi rajdowcami i ustawiamy się w niewielkiej kolejce do namiotu stołowego. Choć odstajemy wyglądem od tłumu, bo zamiast rajdowej kurtki i kamizelki Kati ma na sobie koronkową bluzeczkę, chustę i sukienkę, a ja - marokańskie wdzianko, nikt o nic nie pyta. Przysiadamy wśród posilających się rajdowców. Dwaj mężczyźni zapraszają nas na szklaneczkę wina. Okazuje się, że to Bułgarzy - pilot samolotowy i nawigator. Ivan - nawigator mówi po angielsku, więc rozmawia z Kati, która - jak widzę - przypadła mu do gustu. Z kapitanem Nikołajem rozmawiam po rosyjsku. Pytam, czy mają może miejsce w swoim samolocie. Kładąc mi rękę na kolanie kapitan mówi, że może się znaleźć. Rewelacyjnie byłoby przelecieć się bułgarskim samolotem w Mauretanii, siedząc obok pilota i nawigatora. Stwierdzamy, że nie zaszkodzi przejść się z nimi, żeby zobaczyć ten samolot i tu następuje scenka jak z komediowego filmu. Kapitan jest pijany, a nawigator... nie może znaleźć drogi z powrotem do własnego samolotu. Zaczynamy się już zastanawiać, czy w ogóle mają jakiś samolot, ale w końcu trafiamy na bramę i ścieżkę prowadzącą przez ciemność do placu, gdzie zaparkowane są samoloty. Wchodzimy do pasażerskiej części włączając światła. Jest niewielka, bo reszta maszyny to część towarowa. Dziękujemy za wino i żegnamy się mówiąc, że czas na nas, pomimo widocznego rozczarowania na twarzach Ivana i Nikołaja.

- Nie wiem, czy nas zabiorą. Chyba jutro nie będą już nas lubić
- mówi Kati.
- Być może. Ale zobaczymy jutro.

Na głównym biwaku Lary - młody Amerykanin poznany wcześniej, który skonstruował rajdowe auto dla francuskiej drużyny, oddaje nam swój namiot na dzisiejszą noc. Zabieramy więc plecaki z naszej ciężarówki i po dniu pełnym wrażeń zasypiamy wśród najdroższych rajdowych aut i innych pojazdów świata.

Tuż przed namiotem stoi to cudo, które skonstruował Lary, ze zdjętą karoserią i wnętrzościami na wierzchu, i już od rana uwija się przy nim cały zespół mechaników. Po wczesnym lunchu znowu idziemy do miasta. Dziś jest tam bajecznie kolorowy targ. Kolorowy od szat miejscowych kobiet, od rozłożonych na ziemi tkanin i sari, przypominających te indyjskie. Robię masę zdjęć, aby pokazać Laryemu, że warto czasem wyjść poza bramę. Nie mogę uwierzyć, że ktoś, kto sam zbudował takie superauto, w innych sytuacjach życiowych wydaje się bezradny jak dziecko.

- Wybrać się do centrum miasta? - odparł Lary szczerze zdumiony, kiedy zapytałyśmy, dlaczego nigdy tego nie robi. - Nie wiedziałbym nawet, jak to zorganizować.

I nie wydawał się bardzo przekonany, kiedy wyjaśniałyśmy, że nie trzeba tu nic organizować, wystarczy wyjść poza bramę.

- No to może w Mali się wybierzesz - mówi Kati. Bo rajd jedzie w tamtą stronę.
- W Mali? Myślałem, że jesteśmy właśnie w Mali.

No tak - Mauretania, Mali czy Burkina Faso. Jakie to ma znaczenie, skoro wszystkie lotniskowe biwaki wyglądają podobnie...

Wieczorem przysiadamy się z tackami kuskusa z warzywami i sałatek do naszych bułgarskich przyjaciół - pilota i nawigatora. Już nie są tak wylewni i entuzjastyczni jak wczoraj, ale skoro się dogadaliśmy, to zabiorą nas jutro. Synchronizujemy zegarki. Jest dokładnie dwudziesta pierwsza.

- No to za dwanaście godzin. Bądźcie o dziewiętej pod samolotem.

Wczesna pobudka, pakowanie, śniadanie. Punktualnie o dziewiętej zjawiamy się pod bułgarskim samolotem. Samolotem, który ma zabrać nas dziś do Kiffy niedaleko granicy Mali. Nie wiem, jak dostaniemy się stamtąd do Mali, bo ani Kati, ani ja jeszcze nie mamy wizy, ale tym będziemy martwić się później. Wokół samolotu kręci się parę osób przy załadunku. Kapitana Nikołaja oraz nawigatora Ivana nigdzie nie widać. Siadamy więc na plecakach tuż przy dziobie i czekamy. Mam dziwne przeczucie. Podobne do tego, kiedy szukaliśmy z Chopinem jachtu do Australii. To znaczy, „uwierzę dopiero, kiedy pożeglujemy”. Albo wzlecimy w powietrze. No i przeczucie mnie nie myli. Podchodzi do nas jakiś Francuz z oficjalnym identyfikatorem na szyi.

- Niestety, nie możecie polecieć tym samolotem.
- Dlaczego?
- Przepisy. Ubezpieczenie. To zabronione.

Teraz dopiero pojawia się kapitan Nikołaj. Widocznie nie chciał nam tego sam powiedzieć. Mówi, że mu przykro. Cóż... Zabieramy się przejeżdżającym autem z powrotem na zwijający się główny biwak i wychodzimy poza bramę lotniska.

Może i dobrze się stało. Załatwimy sobie przynajmniej wizez do Mali. Jedziemy do ambasady. Zostawiamy tam podania, paszporty i plecaki - mamy wrócić o piętnastej. Idziemy na internet. Kati mówi, że napisała do niej właśnie Rebeka - młoda Niemka, która też właśnie podróżuje sama stopem po tej części Afryki i je-dzie dziś w stronę Nouakchott, aby się z nami spotkać. Więc może to kolejny powód, dla którego dobrze, że nie zabrał nas bułgarski samolot. Do piętnastej udaje mi się też wypalić kolejne CD ze zdjęciami, znaleźć pocztę i posłać płytkę do Chopina. Potem znajdujemy nocleg w „Auberge de La Dune” (Hotelik „Wydma”), gdzie menedżer Mustafa prowadzi nas do pięknie kolorowego namiotu z dywanami, materacami, fotelami i stolikiem i oznajmia, że możemy zakwaterować się tutaj i zapłacić tyle, na ile nas stać. Bardzo miło. W drugim hoteliku (Hotel „Nomad”) zostawiamy Rebecę wiadomość, gdzie jesteśmy. Spędzamy popołudnie biorąc prysznic oraz piorąc wszystkie ubrania, bo po przejeździe pociągiem jeszcze nie miałyśmy okazji.

Dziś wielkie muzułmańskie święto o którym słyszę od momentu wjazdu do Maroka. Święto zarzynania (przepraszam -ofiarowania) baranka lub kozy. Już od rana słychać pobekiwania przechadzającej się po hotelikowym podwórku kozy, czekającej na swój rychły koniec na ruszcie. Na szczęście przybywa Rebeka. Ładna, króciutko obcięta, pewna siebie, niezależna, samotnie przemierzająca się stopem po Afryce. Mamy więc małe spotkanko afrykańskich autostopowiczek. Rebeka nie miała na razie w planach wizyty w Mauretanii. Przyjechała jednak ze względu na nas. A skoro już tu jest, chce pojechać w okolice Ataru w poszukiwaniu Pedra - pewnego poznanego ubiegłego lata Hiszpana, który podobno mieszka gdzieś tam. I zaprasza na krótki wspólny wypad na północ. Czemu nie? Co prawda właśnie stamtąd przyjechałyśmy, ale zamknięte w pace rajdowej ciężarówce, więc po drodze nic nie zobaczyłyśmy.

Wieczorem Mustafa zwierza mi się, jaki jest smutny, bo cały dzień spędził bez niego, a zarazem jaki szczęśliwy, bo w ogóle pojawiłam się w jego hoteliku i w jego życiu, i wyznaje mi swoją miłość. Dobrze, że opuszczamy jutro Nouakchott.

Wczesnym popołudniem wydostajemy się na drogę wyjazdową mijając lotnisko, dziwnie już opustoszałe. Pierwszy stop dowozi nas tam, gdzie zaczyna się wielkie pustkowienie. Nie jest to piaszczy-sto-wydmowa pustynia, ale po prostu puste, mało kolorowe przestrzenie i prawie zero ruchu. Po drugiej stronie drogi widzimy niewielki domek oraz nomadzki namiot i machających do nas ludzi. Odmachujemy i zaraz zostajemy zaproszone na herbatę i coś do przekąszenia.

- Dziękujemy. Ale musimy tu zostać, bo może coś przyjedzie.
- No to chodźcie pojedynczo, a jak coś się zatrzyma, to się zawołacie.

Tak też robimy. Najpierw w ciemnym wnętrzu domu znika Kati i wraca po paru minutach z garścią daktyli. Ja idę druga. Przyjmuję szklaneczkę spienionej herbaty oraz częstuję się daktylami, wzbraniając się przed oferowanym mi mięsem.

- Czy to z wielbłąda? - pytam wywołując salwę śmiechu u mo-jego gospodarza.
 - To? - pokazuje na kość, którą właśnie trzyma. - Gdyby to był wielbłąd, to byłoby taaakie
- pokazuje zamaszystym gestem. - To koza.
- Kinga, Kinga! Mamy stopa! - krzyczy Kati wpadając do domku.
 - Trzymaj, to dla waszej koleżanki - mówi nasz gospodarz wciskając Kati coś do ręki.

Dopiero na zewnątrz Kati orientuje się, że trzyma w ręku ogromną kość z kawałkiem pieczonego mięsa. Na szczęście Rebeka jest mięsożerna. Pakujemy się w pośpiechu do auta. Kierowca okazuje się obyty i odcytany. Wie nawet całkiem sporo o Polsce. Był parę razy w zachodniej Europie i Chinach prowadząc jakieś handlowe biznesy. A teraz jedzie odwiedzić swoje stado kóz i wielbłądów, które odziedziczył po rodzicach. Sam już nie prowadzi nomadzkiego życia, ale trzyma to stadko płacąc nomadzkim pasterzom za mieszkanie przy nim i dogłądanie go.

- Możecie pojechać ze mną, przenocować. Jutro odwiozę was z powrotem na drogę.

Pewnie, że tak. Tym bardziej, że zaczyna się ściemniać. Jedziemy więc jakieś pięćdziesiąt kilometrów w głąb pustyni, gdzie nie ma dróg i gdzie kierujemy się zainstalowanym w vanie GPS-em.

O zmierzchu docieramy do dwóch nomadzkich namiotów, przed którymi pobekuje spore stadko niewielkich kózek. Siadamy na matach i grzejemy się pod kocem, podczas kiedy jeden z oturba-nionych nomadów serwuje nam herbaciano-syropową spienioną esencję przygotowaną na rozżarzonych popiołach tuż przed namiotem. Wielbłądy zobaczą już jutro. Pytam Abdulaya, co robi z nimi, bo ma ich aż sześćdziesiąt.

- A nic. Mam je po prostu.

- Na mięso?

- Nie. Jeśli chcemy jeść wielbłądzie mięso, kupujemy w sklepie. Mojego stada nie ruszam.

- A kozy?

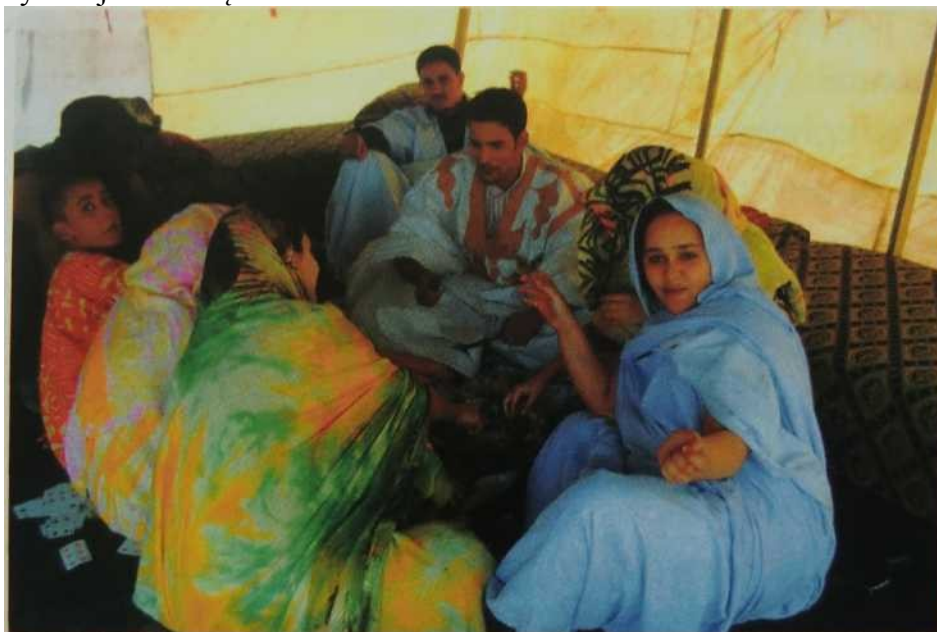
- Tak. Kozy jemy. Tu na pustyni nie ma nic innego do jedzenia.

Abdulay opowiada, że jego przyjaciele z Europy nie mogą się nadziwić, że ze stadka ponad stu kóz nie sprzedaje ani mleka, ani mięsa, że trzyma je po prostu dla samego faktu trzymania. Że zabijają kozę tylko po to, aby wyżywić opiekujących się stadkiem nomadów.

Jedynie Rebeka uczestniczy w wieczornym posiłku, na który składa się... samo grillowane kozie mięso. My z Kati zadowolamy się herbatnikami.

Chłód pustynnej nocy przeniknął pod śpiwór, więc kiedy tylko świta, wstaję, aby ogrzać się pierwszymi promieniami słońca. Przed namiotem kłębi się wypuszczone właśnie stado kóz, w tym mnóstwo pociesznych maleństw na długich chwiejnych nóżkach. Pośród pustynnych krzewów pasą się dostojnie wolno puszczane wielbłądy. Wśród większości brązowych jest też kilka białych. Nie są tak oswojone. Kiedy się zbliżam, podnoszą głowy i odchodzą niespiesznym krokiem na bezpieczną odległość. A wschodzące właśnie słońce rzuca na wielbłądzio-pustynną scenę piękne światło.

Po tej krótkiej i niespodziewanej wizycie u nomadów znajdujemy się znów przy głównej drodze, akurat w jakiejś niewielkiej wiosce. Jedyne jadalne rzeczy, jakie udaje nam się znaleźć w tutejszych sklepikach, to bagietki, musztarda i cebula. Kiedy delektujemy się musztardowymi kanapkami, otacza nas grupka ciekawskich dzieci. Gestami pytam czy mogę im zrobić zdjęcie. Tylko najstarsze, ale najładniej ubrane dziewczynki nie życzą sobie zdjęć. Ale reszta maluchów tłoczy się przepychając przed obiektywem aparatu, a kiedy pokazuję im zdjęcia na wyświetlaczu, wywołuje to burzę radości.



Kolejny stop i tym razem jesteśmy pośrodku pustkowia, zupełnie same na zupełnie dobrej, ale zupełnie pustej drodze. Siadamy najpierw na plecakach na poboczu, potem - skoro i tak nic nie jedzie - bezpośrednio na

środku asfaltu, gdzie robimy sobie małą sesję fotograficzną: trzy autostopowiczki z trzech różnych krajów pośrodku mauretańskiej drogi. Nie widać żadnego pojazdu, nie wiemy, jak daleko do kolejnej miejscowości, a my nie mamy już ani wody, ani jedzenia, nie licząc kawałka suchej bagietki i pół słoiczka musztardy, ale humory nam dopisują. Po jakimś czasie widoczny na horyzoncie punkcik powiększa się i zbliża do nas, po czym hamuje na poboczu. Stary niebieski citroen z parą młodych Francuzów oraz masą sprzętu podróż-niczo-biwakowego na pace. Francuzi - Ben i Lida - też jadą do Ataru, a nawet dalej, do Chinguetti. Dziś jednak chcą zatrzymać się w oazie z gorącymi źródłami Terjit i zapraszają, aby się przyłączyć. Tak więc nasze plecaki wędrują na dach, a my ładujemy się do środka. Skręcamy razem w nie asfaltowaną drogę prowadzącą przez skaliste góry o dziwnych kształtach i dalej przez zieloną od palm dolinę. Parkujemy w niewielkiej oazowej wiosce i zmierzamy w stronę źródeł z nadzieją miłej kąpeli. A tu nieprzyjemna niespodzianka. Tabliczka obwieszczająca, że wstęp kosztuje tysiąc ouguiya. Nie jest to dużo, kilka euro, ale okazuje się, że Francuzi podróżują tak jak i my - na minimalnym budżecie. Próbuje pogadać z młodym gościem strzegącym wejścia, ale jest jakiś nieprzejednany. Więc na razie musimy zadowolić się oazowymi krajobrazami. W chatce, koło której zostawiliśmy samochód, zamówiliśmy chleb u kobiety, która wyrabiała właśnie ciasto. Teraz zaczyna je wypiekać. A ja wpadam na pomysł. Ponieważ nie mamy nic do chleba, w sklepiku obok kupuję koncentrat pomidorowy w puszcze i cebulę. Kobieta nie ma nic przeciwko, kiedy przed włożeniem do pieca przekształcam placki w pizze. Asystuje nam tłumek ciekawskich dzieci i sąsiadów. Ciekawe, czy od teraz też będą tak jedli? Albo może otworzą pierwszą w okolicy pizzerię?

Odjeżdżamy kawałek w poszukiwaniu spokojnego miejsca na nocleg. W momencie, kiedy wschodzi księżyc w pełni, zatrzymujemy się przy kawałku płaskiego, mniej kamienistego terenu nadającego się do rozłożenia maty do spania. Ben z Lidą śpią na materacu na pace auta. My mamy do dyspozycji matę i okrycia. Najpierw jednak rozpalamy ognisko i robimy kolację. W pewnym momencie pojawia się nie wiadomo skąd starszy pan w obszernej szacie i lekko zdziwiony naszym widokiem mówi:

- Dlaczego tu koczujecie, skoro tu nieopodal jest mój dom? Chodźcie do domu, tam jest moja rodzina, jest miejsce. Spokojnie się wyśpicie.

Mauretania na pierwszy rzut oka może nie wydawać się bardzo gościnna jednak ludzie nieustannie zaskakują nas swoją otwartością i przyjaznymi gestami. Dziękujemy panu mówiąc, że już wygodnie się rozłożyliśmy i że nocleg pod gwiazdami jest piękny. I tym razem to my zapraszamy na herbatę. Potem mamy jeszcze trzech gości - Suniego, naszego gospodarza z Ataru, u którego Kati i ja spędziłyśmy noc i który zawsze pojawia się jak spod ziemi, i jego dwóch przyjaciół.

Długo nie mogę zasnąć, wpatrując się w ogromną bliską twarz pełnego księżyca i wsłuchując w najbardziej przenikliwą ciszę, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Kiedy otwieram rano oczy, widzę siedzących w dyskretnej odległości dwóch malców rozkładających na ziemi straganik z pamiątkami i wpatrujących się w nas bez słowa. Kiedy krzątamy się, jemy śniadanie, pakujemy rzeczy, chłopcy siedzą przez cały czas przy straganiku. Ujmują mnie swoją nienachalnością, więc w końcu kupuję od nich wisiorek z kolorowych kamieni. Znowu niespodziewanie pojawia się Suni i prowadzi Kati, Rebeke i mnie w głąb oazy, do miejsca, gdzie jest płytki, ale całkiem przyjemny naturalny basenik wśród skał. I tu nas dyskretnie zostawia, abyśmy mogły się spokojnie wykąpać.

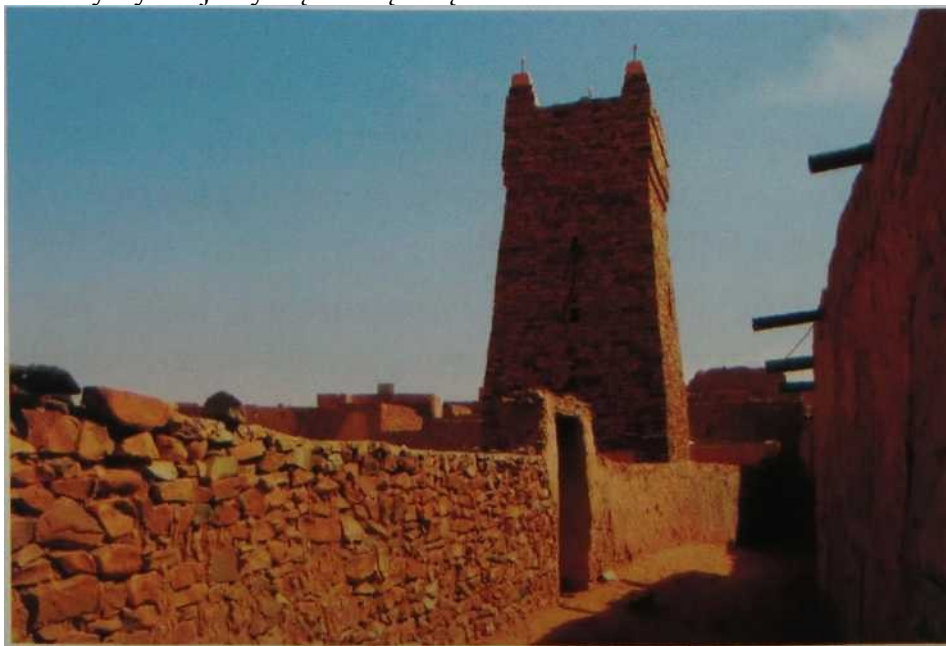
Ben i Lida przeorganizowali wnętrze citroena tak, że mamy trochę więcej miejsca. Przejeżdżamy przez czarne skaliste góry, potem przez płaskie pustynne przestrzenie. Część trasy pokonuję na dachu, ciesząc oczy późnopołudniowym światłem wypełniającym krajobraz. Po osiemdziesięciu kilometrach docieramy na skraj miasteczka Chinguetti. Zobaczymy je już jutro, bo zbliża się zmierzch, więc znowu parkujemy w ustronnym miejscu, rozkładamy matę, szukamy drewna, rozpalamy ognisko...

Chinguetti. Niegdyś było to ważne tętniące życiem miasto, centrum handlowo-kulturalne tej części Sahary. Siódme najświętsze miasto islamu na skraju piaszczystych wydm wypełniających horyzont. Zostawiamy auto w centrum i idziemy powłóczyć się po tych właśnie wydmach.

Prawdziwy niekończący się ocean piasku. Moją uwagę przykuwają miejscowi chłopcy zjeżdżający po piaszczystym zboczu na plastikowych pojemnikach jak na sankach. Wracamy do zakurzonego miasteczka i spacerujemy wśród starych domów, które były niedawno całkowicie zasypane przez wydmy. Odkopane, znowu tętnią rytmem pustynnego życia. Nie bardzo miałybyśmy jak się stąd wydostać, więc chętnie korzystamy z tego, że Francuzi zapraszają na dalszą przejażdżkę z nimi do Ouadane - podobno kolejnego wiekowego miasteczka. Rebeka wypytuje po drodze o Pedra - swojego znajomego Hiszpana, na co wszyscy wymieniają wszystkich Hiszpanów w okolicy łącznie z jakimś Pedrem - doktorem... Zresztą, niesamowite, jak szybko rozchodzą się wieści. Na przykład jeden z miejscowych przystojniaków mówi do mnie i Kati:

- Czy to nie wy jechałyście stopem z Ataru do Nouakchott z rajdem Paryż-Dakar?

W Ouadane, kolejnym miasteczku-oazie zajmuje się nami następny Mohamed, który jest oficjalnym przewodnikiem po ruinach starego miasta. Miał dziś dobry dzień, oprowadził grupę zorganizowanych turystów, którzy dobrze zapłacili, więc mówi, że pokaże nam miasteczko bez pieniędzy, po przyjacielsku. Miasteczko, pomimo, że dawniej było ważnym muzułmańskim centrum, teraz wygląda na jeszcze bardziej zapomniane niż Chinguetti, a opuszczone ruiny robią niesamowite wrażenie. „Nowe miasto” nie różni się wiele od starego, poza tym, że jest zamieszkane. Nie dotarła tu jeszcze elektryczność, ale mają już tu przyszłościowo ogromną antenę satelitarną. Mohamed ma spore puste pomieszczenie, które może przekształci kiedyś w hotelik, a w którym teraz możemy bezpłatnie przenocować. Idealnie. Noclegi pod gwiazdami są rewelacyjne, ale wszyscy czujemy się trochę zmęczeni i zakurzeni.



Jedziemy z

Francuzami do Ataru. Na postoju, kiedy Kati, Rebeka i ja czekamy w aucie, zbiera się tłumek ciekawskich, głównie nastolatków, którzy stukając w tylną szybę usiłują wywołać nas na zewnątrz.

Czujemy się trochę jak zwierzątka w klatce, a chłopcy wyznają przez szybę swoją miłość, jeden wrzuca przez uchylone okienko kartkę ze swoim adresem, a inny wyciąga nie wiadomo skąd plik banknotów, o dziwo euro, i daje dziwne znaki. No nie - nie sprzedałyśmy się z Asią za dwieście dirhamów w Maroku, nie sprzedamy się za dwadzieścia euro w Mauretanii. Wychodzimy więc i idziemy z Benem i Lidą do pobliskiej restauracyjki na posiłek.

Przed nami paręset kilometrów do Nouakchott. Co prawda już asfaltowaną drogą, ale jednak to spory kawał. Kiedy Francuzi zatrzymują się na ustronnym pustkowiu na nocny biwak, umawiamy się z nimi, że spróbujemy stopa, a jeśli nic nas nie zabierze, zanocujemy z nimi. Marzymy o prysznicu, ale chciałybyśmy dostać się jak najszybciej do Nouakchott również dlatego, aby móc ruszyć już w stronę Mali. Kati przy świetle latarki rysuje na pożegnanie pięknego wielbłąda na masce Citroena. Zabieramy z dachu zakurzone plecaki i stajemy przy drodze. Raz na jakiś czas pojawia się na horyzoncie światło, a po paru minutach i całe auto, ale mija nas bez zatrzymania. Tak kilka razy, ale się nie zrażamy. I okazuje się, że słusznie, bo w końcu hamuje

pickup, na którego pakę wrzucamy plecaki i wsiadamy do środka z kierowcą w białej szacie i dwoma chłopcami, z których jeden pamięta mnie z Ataru, gdzie dziś po południu chciał sprzedać mi superdrogiego arbuza. Mamy szczęście. Jadą do Nouakchott, to znaczy prawie. Po kilku godzinach jazdy w ciemności, kiedy wszystkie zdążyliśmy już na tylnym siedzeniu zasnąć, kierowca zatrzymuje się przed domem pośrodku pustkowiecia oznajmiając, że dotarliśmy do celu, a my mamy dwie opcje - albo próbować dostać się stąd do centrum miasta, które jest podobno niedaleko, albo przenocować u niego, z jego rodziną. Oczywiście, zaprasza. A my z wdzięcznością przyjmujemy zaproszenie.



Nie chcemy zatrzymywać się już w Nouakchott, bo zawsze jakoś ciężko się z tego miasta wydostać. Chcemy ruszyć prosto do Mali. A Kati wymyśliła, że możemy dotrzeć tam drogą wzdłuż rzeki, zahaczając o Senegal. No i podobno obywatele Unii Europejskiej nie potrzebują wizy do Senegalu. Kiedy nasz gospodarz wysadza nas na drodze wyjazdowej, Kati, dziękując za wszystko, chce podać mu rękę, ale on mówi, że sorry, ale muzułmanie nie mogą dotykać innych kobiet oprócz swojej żony. Przebiega mi przez myśl, że co to za dziwny kraj - niektórzy mężczyźni zrobią wszystko, zapłacą nawet, aby się z tobą przespać, inni natomiast nawet nie podadzą ci ręki, chociaż oferują ci wszystko inne co mają.

Rozmyślenia przesłania mi wiejący w oczy pustynny pył. Stajemy przy drodze na pustkowiecu pełnym powiewających plastikowych torebek i miejskich odpadów, wśród których przechadza się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia kilka kóz. Z budki po drugiej stronie drogi woła nas umundurowany mężczyzna. Punkt kontrolny. Notuje dane z naszych paszportów. Ponieważ wszystkie pojazdy muszą się tu zatrzymać, wśród kilku francuskich aut i mi-nicieżarówek znajdujemy stopa prosto do senegalskiej granicy. Ale w różnych pojazdach, bo wszystkie są dość zapakowane. Ja ląduję w kabinie niewielkiej ciężarówki z dwoma młodymi Francuzami - kierowcą i mechanikiem. Już na wstępie zaczynają się mało wymyślne żarty i każdy wątek kończy się tematem seksu, niby niewinnie, ale prostacko. Dopiero kiedy auta stają na chwilę, udaje mi się odnaleźć ciężarówkę, w której jest Kati razem z Rebeką. Mają sporo miejsca tuż za kabiną, więc się przesiadam i dołączam do leżącej na materacu Rebeki. Dotarliśmy do Rosso - przygranicznego miasteczka, nasi Francuzi nie biorą promu przez rzekę, a skręcają w nie asfaltowaną drogę, która prowadzi do mostu - tak podobno będzie szybciej. Nie wiem, jakim cudem szybciej, bo jedziemy po wyboistych bezdrożach, wzbijając tumany pomarańczowego kurzu. Na szczęście materac amortyzuje wstrząsy.

Suniemy wzdłuż rzeki i jakiegoś rezerwatu pełnego wodnych ptaków. W końcu docieramy do granicy. Dostajemy pieczętki wyjazdowe z Mauretanii, przekraczamy most przez rzekę pieszko, bo Francuzi mają więcej formalności. Po senegalskiej stronie celnik żąda od Rebeki i Kati opłaty w euro za wbięcie pieczętki wyjazdowej.

Ale to jeszcze nic - ode mnie żąda pokazania wizy. Okazuje się, że owszem - obywatele Unii Europejskiej nie potrzebują wizy, ale nie dotyczy to nowo przyjętych krajów.

- Czy mogę dostać wizę tutaj?
- Nie, musisz wrócić do ambasady w Nouakchott.

To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewaliśmy. Zjawiają się nasi Francuzi. Przejeżdżają tędy często i znają się z celnikami.

- Poczekajcie - mówi nam kierowca biorąc nasze paszporty.

Wchodzi do budki granicznej. Po chwili Kati i Rebeka dostają swoje paszporty z pieczętką wyjazdową bez opłaty. A mnie celnik też wbija pieczętkę i w momencie, kiedy wbija, ma chwilę

zawahania. Raz jeszcze bierze kartkę i listę krajów.

- Nie, nie mogę. Potrzebujesz wizy. A ja nie chcę stracić pracy. Koleżanki mogą wjechać, ty musisz wrócić do Nouakchott -

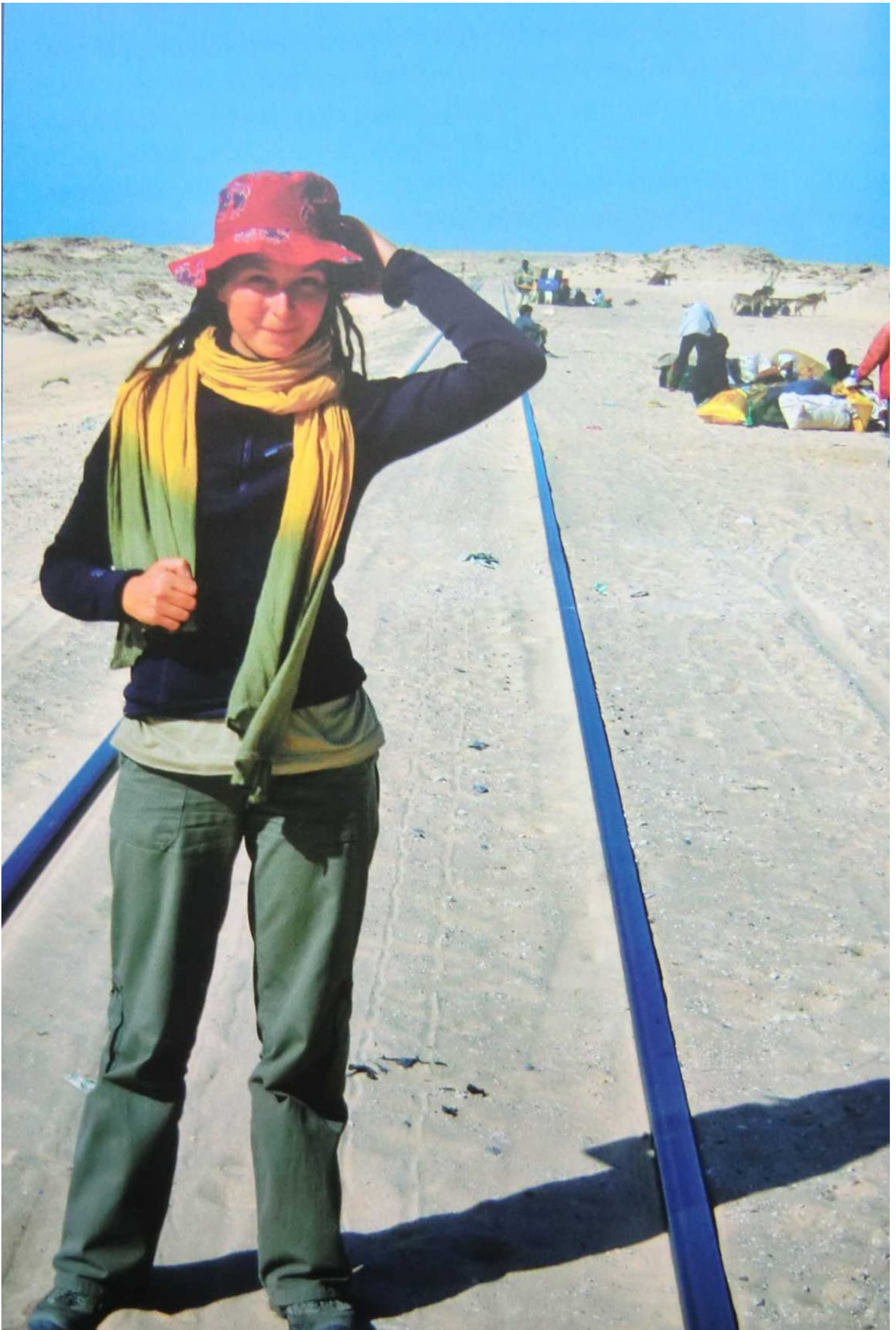
i na świeżej pieczęcie pisze długopisem po francusku: „Odmowa wstępu z powodu braku wizy”.

I co teraz? Kati i Rebeka solidarnie mnie nie opuszczają, ale żadna z nas nie ma ochoty jechać znowu tą zakurzoną drogą przez cały dzień do Nouakchott i z powrotem. Póki co, dziękujemy Francuzom, zabieramy plecaki i idziemy z powrotem przez most w stronę Mauretanii. Za mostem zatrzymujemy się osłonięte drzewami i zastanawiamy się co zrobić. Rebeka zna tę trasę, bo już tu była. Patrzymy na mapę. Jesteśmy kilkanaście kilometrów od plaży, a plaża prowadzi prosto do senegalskiego miasteczka Sa-int-Louis. Tam nikt nie sprawdza paszportów. W momencie, kiedy Rebeka namawia nas na wyprawę przez dziką granicę, nadjeżdża samochodem celnik, który odmówił mi wstępu. Patrzy podejrzliwie i eskortuje nas prosto w ręce mauretańskiej straży granicznej. Mauretański celnik w białej szacie wykazuje się tradycyjną gościnnością.

- Witajcie - mówi zapraszając nas do budki-budynekczku. - Nie ma problemu. Tu możecie się zatrzymać. Czujcie się jak u siebie w domu.

Nie pozostaje nam nic innego jak rozgościć się na macie niewielkiego pokoiku. Zdajemy sobie sprawę, że sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana niż myślałyśmy. Ponieważ dziewczyny dostały już stempel wyjazdowy z Mauretanii, a mają tylko wizę jednokrotnego wstępu - nie mogą wjechać z powrotem. Są już oficjalnie w Senegal. Ja też nie mogę już wjechać z powrotem do Mauretanii, ale nie mogę też wjechać do Senegal. Tak więc zupełnie nie wiemy, co teraz. Ale kiedy celnik zostawia nas same, decydujemy, że nie damy się rozłączyć - spróbujemy dostać się razem z powrotem przez Mauretanię do Rosso, gdzie jest prom i inne przejście graniczne. Wszystkie mamy pieczątki wjazdowe do Senegal, tylko, że moja jest ze specjalną adnotacją, którą Kati postara się jutro poprawić czarnym długopisem. Podobno jest w tym eks-pertką. Spędzamy noc w trójkę w ciasnym pokoiku, choć oficjalnie w dwóch różnych krajach.

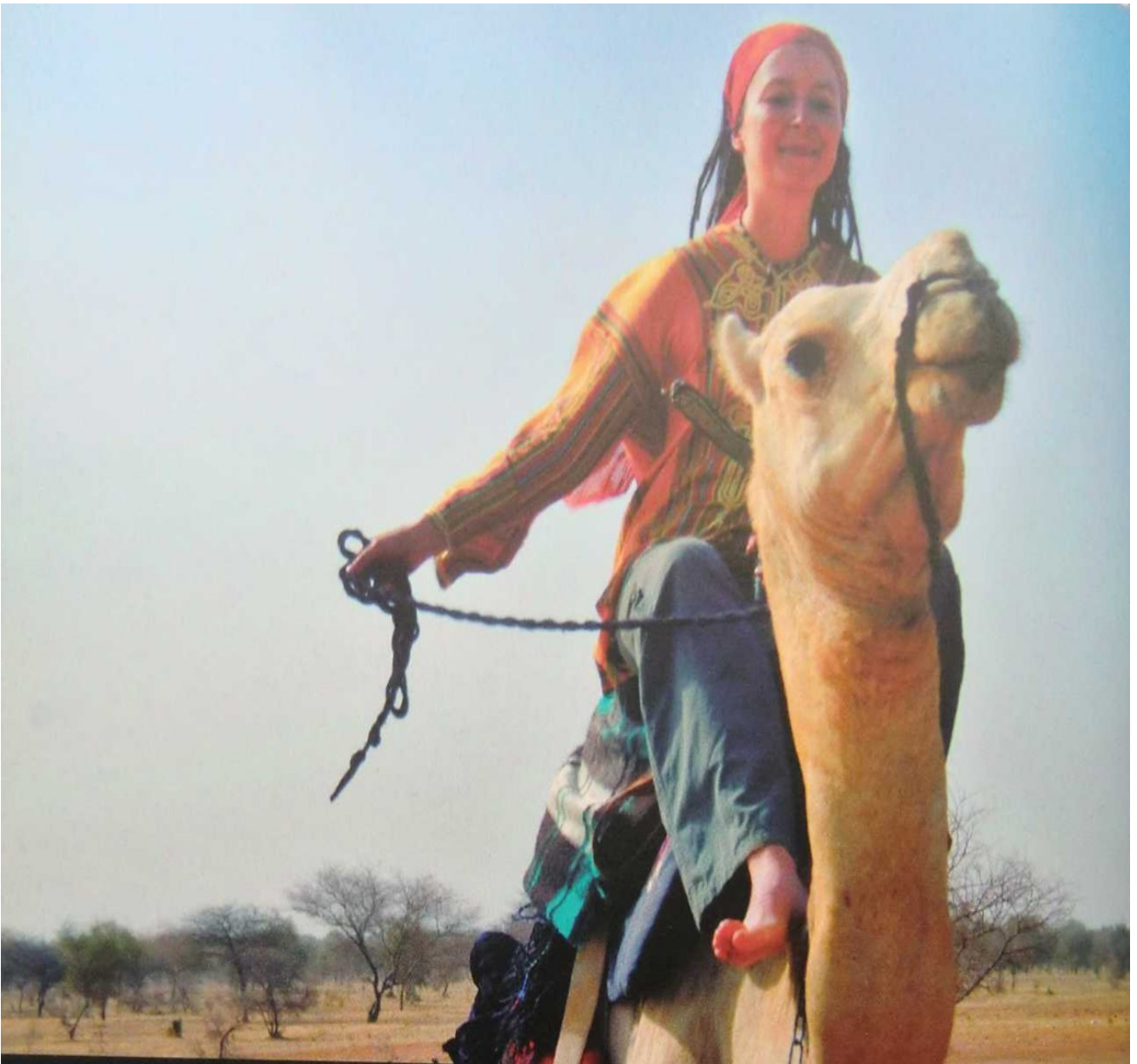


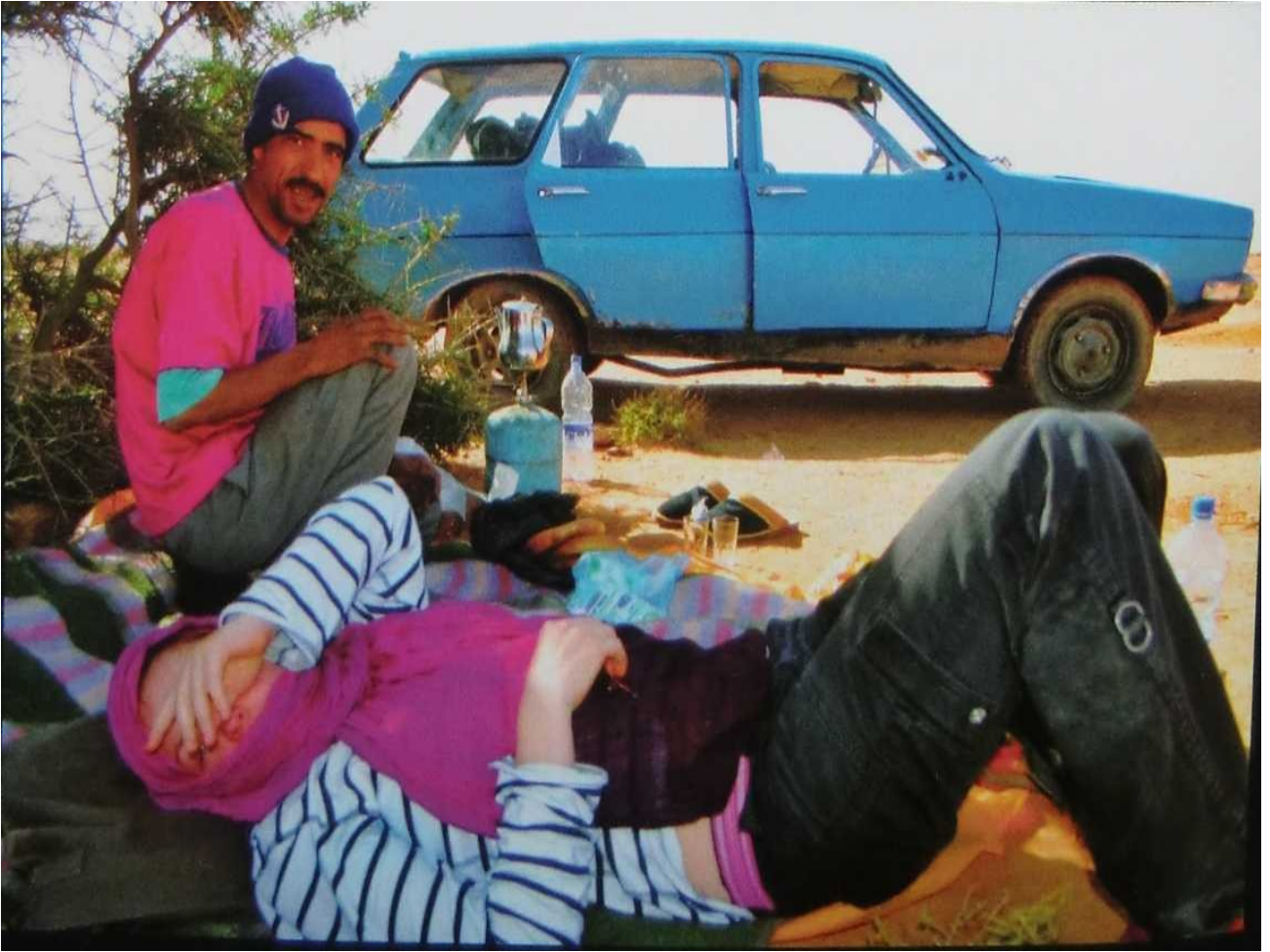


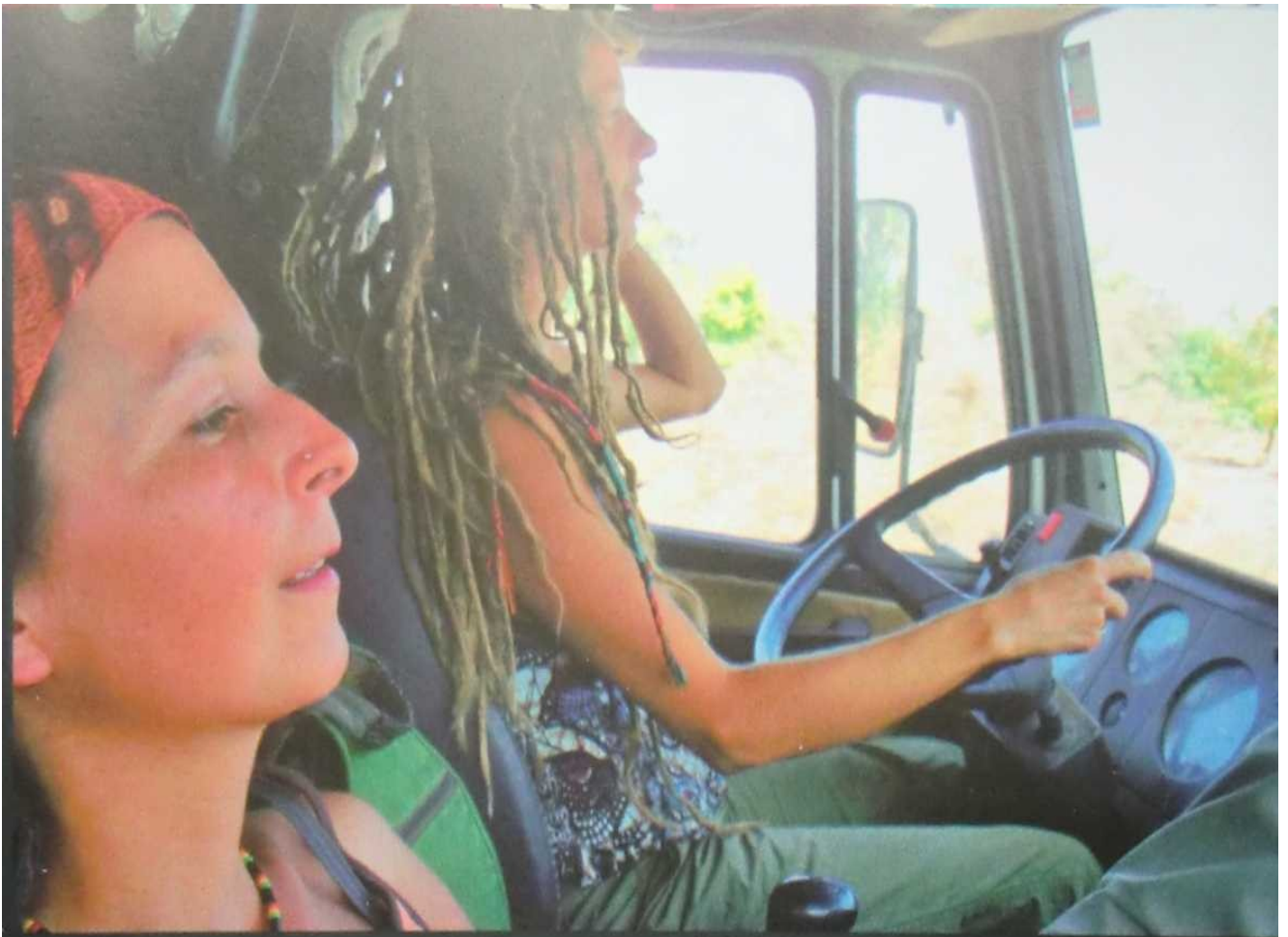


W DRODZE









Afrykę można przemierzać bezpiecznie i dość sprawnie, jednak pod warunkiem, że nie jest się wybrednym co do środków transportu.



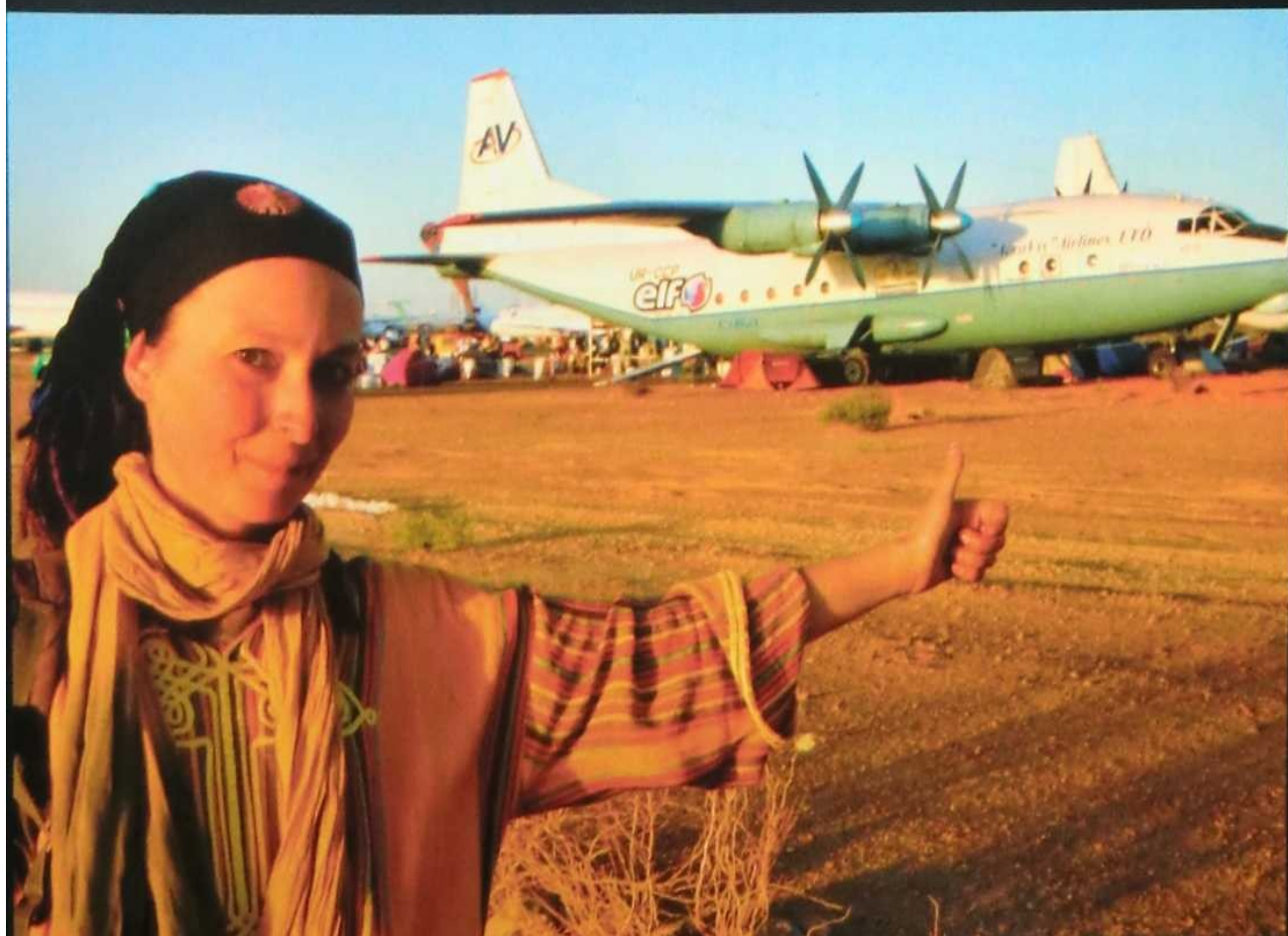


Może bowiem trafić się zarówno terenowe auto, jak i wóz konny, lokalna taksówka albo wagon pociągu towarowego.





Może być paka wojskowej ciężarówki
albo wielbłąd. Może także przez
kilka godzin nie trafić się nic...





CZEŚĆ IV
SENEGAL
17-18 STYCZNIA

Być może celnicy mają dość naszej okupacji ich budyneczku, bo budzą nas rano i mówią:
- Pospieszcie się. Macie transport do Rosso.

Zaspane, pospiesznie pakujemy się i ładujemy plecaki i siebie na pakę stojącego przed budynkiem pickupa. Nie będzie to najwygodniejszy stop w tumanach pyłu po wyboistej drodze. Ale nie czas na wybrzydzenie. Goście się spieszą i śmigają szybko. My, skulone, trzymamy się mocno i owijamy chustami od wiatru. Całkiem sprawnie docieramy do Rosso, gdzie za ostatnie mauretańskie pieniądze zaopatrujemy się w bagietki, mandarynki, pomidory i idziemy prosto w stronę promu. Udaje nam się ominąć mauretański punkt kontrolny. Oby tylko udało się to samo po drugiej stronie rzeki. Na brzegu tłumek miejscowych. Niektórzy czekają na prom, który nie wiadomo kiedy przyplynie. Inni wsiadają na drewniane łódki-pirogi - droższe, ale odpływają od razu. Po chwili czekania też decydujemy się na łódkę. Przeprawa na drugą stronę rzeki Senegal trwa parę minut. Wsiadając ruszam pewnym krokiem do przodu nie oglądając się na nikogo, gotowa udać, że nie słyszę nawoływań senegalskich celników. Jednak nikt mnie nie woła i w tłumie miejscowych wychodzę spokojnie, jak gdyby nigdy nic, za portową bramę. A za mną Kati i Rebeka.

No to jestem w kolejnym afrykańskim kraju. Już na pierwszy rzut oka widać, że to inny świat. Kobiety są bardziej kolorowo i odważniej poubierane, a miasteczko po tej stronie rzeki... no właśnie, ciężko uchwycić, czym tak naprawdę się różni, ale różni się zdecydowanie. Tu zaczyna się prawdziwa czarna Afryka. Po jedynej uliczce jeżdżą płaskie dwukołowe wozy konne jako zbiorowe taksówki. Choć taksówki samochodowe też istnieją. Idziemy tą jedyną drogą zastanawiając się, czy coś tędy w ogóle przejeżdża, ale szybciej niż się spodziewamy zatrzymuje nam się mężczyzna jadący prosto do Saint-Louis. Na obrzeżach miasta zakwaterowujemy się w przyjemnym (drogim, ale podobno wszystko tu drogie) hoteliku o nazwie „Madson d'Affriague”, którego głównym atutem jest ciepły prysznic, a od jakiegoś już czasu wszystkie snujemy prysznicowe fantazje. Zmywamy więc z siebie kilkudniową warstwę kurzu i pierzemy ubrania. Musimy płukać je wielokrotnie zanim woda przestaje być błotnistobrazowa.

Saint-Louis to podobno jedno z najładniejszych miasteczek Afryki Zachodniej. Do dziś zachowało swój kolonialny urok. Idąc w stronę mostu nie możemy napatrzeć się na morze kolorów i dobrobytu rozlewające się na ulicznych straganach. A po drugiej stronie mostu przyjemne uliczki wśród kolonialnych budynków. Przekraczamy jeszcze jeden na wpół zdezelowany mniejszy most i znajdujemy się w rybackiej dzielnicy tuż przy plaży. Idę przywitać się z Atlantykiem i robimy sobie z Kati serię zdjęć na jednej z kolorowych łodzi. A kiedy zatrzymujemy się, aby pozdrowić gromadkę dzieci przed drzwiami jednego z przyplażowych domów, wychodzi z podwórka mężczyzna i zaprasza na herbatę. Czemu nie? Nie byliśmy jeszcze w senegalskim domu.



Pokoik, do którego jesteśmy zaproszone, wypełnia prawie w całości wielkie łóżko. Przysiadają się na nim z nami, nie wiem, czy członkowie rodziny, czy przyjaciele, a pulchna kobieta stawia sobie stołeczek pod ścianą i na palniku gazowej butli zaczyna przy gotowywać herbatę, która podobnie jak w Mauretanii nie jest prostą sprawą i wymaga wielokrotnego przelewania z czajniczka do szklaneczek i z jednej szklaneczki do drugiej. Zastanawiamy się czy może być herbata mocniejsza, słodsza niż w Mauretanii. I okazuje się, że może. Wokół drzwi gromadzi się obserwująca nas bacznie grupka czarnych malców, a nasz gospodarz sadza mi na kolanach najśliczniejszą z dziewczynek i mówi żartem:

- Masz w prezencie.



Nie wiem, ile osób mieszka w tym domu, ale pewnie kilka rodzin, a dzieci-kuzyni i dzieci sąsiadów wychowują się boso i beztrosko razem. Dziękujemy za gościnę. Zostawiamy parę

wizytówek z adresem mojej stronki i idziemy dalej. Teraz już wieczornymi uliczkami. Jakież jest moje zdziwienie, kiedy w kafejce internetowej widzę swoją stronę na ekranie jednego z komputerów. A więc czasem ktoś rzeczywiście robi użytek z otrzymanej wizytówki...

Kati chciałaby zdążyć na festiwal afrykańskiego reggae w Ba-mako w Mali, postanawiamy więc ruszyć bezpośrednio w tamtym kierunku. Choć łatwiej powiedzieć to niż zrobić. Szczególnie stopem. Szczególnie po średnio uczęszczanych drogach. Za miasto wywozi nas miejscowa ciężarówka, ale dalej zaczyna być ciężko. Bo niewiele poza taksówkami czy bryczkami tu jeździ. A jeszcze mniej się zatrzymuje. Ale nie zrażamy się tym bynajmniej, wytrwale wystawiając kciuka w stronę rzadko przejeżdżających aut. W końcu zatrzymuje się spory samochód z trzema Mauretańczykami w średnim wieku, którzy namawiają, żebyśmy lepiej przez Mauretanię do Mali się wybrały. O nie! Nie po to było tyle zachodu z przedstawianiem się przez tę granicę, abyśmy teraz jechały z powrotem.

Jak zwykle rozmowa schodzi na rodzinę i dzieci.

- A wy? Jesteście zamężne? - pyta jeden z mężczyzn.

-Jajestem - mówię.

Przygląda się moim dłoniom.

- Tak? A gdzie twój pierścionek?

-Ja nie na palcu, a w sercu jestem zamężna.

- OK. A ja w sercu jestem rozwiedziony.

I tak sobie konwersując dojeżdżamy do rozdroża, skąd odchodzi jeszcze mniej uczęszczana, choć całkiem dobra droga. Trochę przeraża nas myśl, że z Saint-Louis do granicy jest podobno siedemset kilometrów. W Europie po autostradach to może siedem godzin wraz z czekaniem. Tu - kto wie? Może kilka dni. Ale udaje nam się zabrać do pierwszego niewielkiego miasteczka. Potem do kolejnego. Po drodze wyprzedzamy miejscowy środek transportu - biały minibusik ze stertą tobołków na dachu wyższą niż on sam, a na tobołkach jeszcze przywiązanych jest parę kóz. Dalej podwozi nas jakiś mężczyzna. Dalej - inny mężczyzna jadący całkiem spory kawałek. Wieczorem, w jakimś miasteczku bez elektryczności zatrzymujemy się na posiłek, ale choć nie brakuje ulicznych straga-nów-stołów, gdzie miejscowe kobiety serwują jadło, wszędzie mają mięso oraz ryby. Świecąc podręczną latarką i zaglądając do misek i garnków trafiam w końcu na beźmięsną fasolkę, z którą kobieta robi kanapki, z tym że nam się skończyły właśnie bagietki, a w pobliskich sklepikach chleb na dziś wyprzedany. Cudem udaje mi się kupić kawałek bagietki od kobiety na innym stoisku. Och! Nie zawsze taka prosta rzecz jak posiłek, jest prosta.

W kolejnej ciemnej wiosce miejscowi pokazują nam zadaszenie, pod którym na betonowych podwyższonych platformach śpi kilka postaci. Obok jest prawie puste pomieszczenie wyłożone matami.

I tu rozkładamy się na noc, postanawiając kontynuować podróż skoro świt.





CZEŚĆ V

MALI

19 - 24 STYCZNIA

Rzeczywiście, udaje nam się wstać o świcie i zobaczyć wschód słońca stojąc już przy drodze. Znowu podjeżdżamy po kawałku od jednego niewielkiego miasteczka czy wioski do drugiego. Po drodze mijamy proste, okrągłe chatki z patyków, a czasem z gliny, biegające wokół nich bez troski dzieci, kobiety noszące plastikowe pojemniki z wodą i wozy zaprzężone w jednego, a czasem aż w trzy osiołki.

Z pustawej drogi zabiera nas człowiek jadący do rozdroża. W prawo odbija droga już prosto do granicy Mali. Z tym, że tutaj, naprawdę nie przejeżdża już nic. To znaczy nic oprócz obładowanych maksymalnie towarami i wypełnionych miejscowymi pasażerami busików. Kilkoro ludzi czeka właśnie na taki busik. Jeśli chcemy zdążyć na jutrzejszy koncert w Bamako, może powinniśmy zabrać się do granicy takim pojazdem? Zresztą - raczej nie mamy wyboru, bo kiedy podjeżdża jeden, aby zabrać czekających miejscowych, zarządzający bagażami i pasażerami chłopak bez pytania zabiera nasze plecaki i zaczyna umocowywać je na dachu. Ale z tego co widzimy, busik wypełniony jest ściśle po brzegi.

- Zaraz, zaraz...
- Jedziemy do granicy, wsiadajcie - popędza nas bagażowy. -Tysiąc pięćset franków od osoby.

- To dużo. Poza tym nie ma tu miejsca.

- OK, tysiąc dwieście. A miejsce zaraz się znajdzie, wsiadajcie, bo odjeżdżamy.

Wsiadamy przez otwarte tylne drzwi. Rebeka wciska się pomiędzy matkę karmiącą piersią czarne niemowlę i innych pasażerów na ławeczce. Ja przysiadam wraz z innymi na worku mąki, a Kati dostaje się miejsce tuż przy otwartych tylnych drzwiach, przy których uczeponych jest na stojąco na zewnątrz kilku chłopaków.

W ten sposób przemierzamy ostatnie kilkadziesiąt kilometrów Senegalu. Wysiadając w przygranicznym miasteczku postanawiamy zignorować posterunek policji, gdzie powinniśmy dostać pieczętki wyjazdowe i udać się prosto do Mali. Tak na wszelki wypadek, bo Kati zamazała co prawda profesjonalnie adnotację na mojej senegalskiej pieczętce, wspominając o odmowie wstępu z powodu braku wizy, ale kto wie - zawsze mogą zacząć się dopatrywać... Jednak zostajemy zatrzymane przez senegalską straż graniczną, która żąda paszportów.

- Nie macie pieczętki wyjazdowej? Musicie wrócić, na początku miasteczka jest posterunek policji, tam dostaniecie.

No to wlecemy się w upale na posterunek. A tam - miłe zaskoczenie - urzędnik o nic nie pyta, nie wnika nawet w to, że nie mam wizy i wbija nam po prostu pieczętki wyjazdowe.

Wracamy, przechodzimy pieszo przez długi, graniczny most, przed którym stoi niemrawo w bezruchu długa kolejka ciężarówek, a ich kierowcy wyglądają jakby stracili nadzieję na szybki przejazd, bo większość śpi rozłożona na matach w cieniu bezpośrednio pod ciężarówkami albo parzy herbatę na gazowych kuchenkach. Tu za mostem zaczyna się już Mali i gdzieś w pobliżu musi znajdować się malijski punkt graniczny, który też chcemy ominąć, bo tym razem to Rebeka nie ma malijskiej wizy. Okazuje się, że owszem, jest przy drodze poza miasteczkiem, więc tuż przed nim skręcamy do rozłożonych nieopodal budek i straganów z przekąskami udając, że coś kupujemy i wychodzimy na drogę kawałek dalej, nie oglądając się za siebie. A ja nie mogę oderwać oczu od grubych, majestatycznych baobabów porastających okolice.

Dwaj mężczyźni podwożą nas do Kayes. Jadą całkiem niezłym autem, a droga jest też zaskakująco dobra, nowa chyba, lepsza niż większość polskich. W Kayes, pomimo ciemności, nie czekamy długo. W aucie wszystkie przysypiamy i nie wiem nawet, która jest godzina ani gdzie się

znajdujemy, kiedy kierowca wysadza nas przy jakimś zupełnie ciemnym zakurczonym placyku, gdzie rozłożonych jest kilka stoisk z jedzeniem. Po kolacji z sałatką z sałaty i pomidorów (tego też się tutaj nie spodziewałam...) stwierdzamy, że nie ma za bardzo gdzie się tu przespać, więc może powinniśmy spróbować wykorzystać tę noc na przybliżenie się do Bamako na tyle, na ile damy radę. Zagadujemy jednego z czarnych chłopaków, który właśnie wyczołguje się spod wielkiej ciężarówki, umazany smarem.

- Jedziecie do Bamako?
- Tak, ale ciężarówka jest bardzo, bardzo powolna.
- Nie szkodzi, i tak nie ma innych opcji. Zabierzecie nas?
- Ile płacicie?
- Nic. Jedziemy stopem.
- Ile was jest? Trzy dziewczyny?
- Nie zajmujemy dużo miejsca...
- Dobra. Dajcie plecaki, wrzucimy na pakę.

Bo okazuje się, że ich jest już w kabinie czterech. Ale siedem osób też się spokojnie mieści. Sadowimy się więc na łóżku w kabinie i przygotowujemy na długą noc... Droga do tej pory była gładka, ale teraz zaczynają się wyboje. Mohamed (tak, kolejny Mohamed, ale tylko jeden z tych czterech) miał rację - ciężarówka wlecze się bardzo powoli. Ale i tak lepsze to niż spanie na zakurczonym placyku. Jest ciepło, miękko, nie ma przestrzeni na wyciągnięcie nóg, ale nie ma co narzekać.

Musiałam przespać parę godzin, bo kiedy zatrzymujemy się, jest już podobno piąta rano, choć wygląda ciągle na środek nocy. Oprócz nas, stoi już tu cały ciąg ciężarówek, busików i aut. To jakieś miejsce ze szlabanem, który otwiera się o siódmej rano. Dziękujemy chłopakom za podwiezienie, zabieramy plecaki i pod budką strażników znajdujemy zadaszenie z pustym, obszernym łóżkiem, jakby czekającym na nas. Rozkładamy się tam i przesypiamy do rana.

Około siódmej nie jesteśmy bynajmniej wyspane, ale wstajemy słysząc hałas odjeżdżających pojazdów. Zagadujemy mężczyznę, który zaparkował nieopodal auto wraz z żoną i córeczką. Owszem, jedzie do Bamako. Okazuje się, że szlaban oddzielał nie najlepszą drogę od prawdziwych bezdroży. Tu prowadzą jedynie wyjeżdżone ścieżki. Chyba za wcześnie pochwaliłam wczoraj malijskie drogi.

Na szczęście nie musimy martwić się już o kolejnego stopa. Po drodze mężczyzna opowiada nam po francusku trochę miejscowych historii i przy okazji zaznacza, że pochodzi z królewskiego rodu, a jego dziadek założył Kayes. Dziadek, który miał jedenaście żon i siedemdziesięcioro dzieci.

Ponieważ droga jest męcząca, kierowca co jakiś czas zarządza przerwę. Pierwsza wypada pod drzewem ze stertą arbuzów...

W końcu docieramy do Bamako, legendarnej stolicy Mali. Najpierw jedziemy na chwilę do domu kierowcy na obrzeżach miasta. Tam, na podwórku z ogromnym drzewem mangowym wita nas liczna rodzina. Synowie na polecenie ojca wydobywają z bagażnika nasze plecaki pokryte grubą warstwą pyłu. Kładą je pośrodku podwórka i miotelką, a potem mokrą szmatką zaczynają je energicznie czyścić. Obserwujemy w podziwie, jak gromadka dzieci krząta się, przynosząc resztę bagaży. Starsi chłopcy myją auto, a młodszy czyści ojcu buty. Maluchy turlają po podwórku zieloną pomarańczę.

Zostajemy odwiezione do miasta, prosto do schroniska młodzieżowego. W schronisku zakwaterowana jest część uczestników zaczynającego się właśnie w malijskiej stolicy Światowego Forum Socjalnego, dlatego wszystkie pokoje z łózkami są zajęte. Ale znajduje się jeden duży, z dwoma materacami na podłodze. No więc hurraaa!! Dokonałyśmy kolejnej ledwo możliwej rzeczy - zdążyłyśmy w kilka dni stopem do Bamako, idealnie na koncert.

O zmierzchu, wymyte i odświeżone, wychodzimy do miasta i natychmiast bierze nas w opiekę trzech miejscowych chłopaków, w tym dwóch z dreadami. Prowadzą nas do znajomego dealera biletów, gdzie oczywiście przepłacamy, ale nie są to ogromne kwoty - niecałe cztery euro. Ustawiamy się w kolejce do wejścia na stadion. Wokół tłum podekscytowanych młodych ludzi oraz kobiet z koszami na głowach, pełnymi przekąsek, obranych pomarańczy, orzeszków ziemnych,

gotowanych jajek, smażonych rybich głów, napojów. Na stadionie siadamy wyczerpane na betonowej ławeczce wśród modnie ubranej, entuzjastycznej malijskiej młodzieży i wpatrujemy się w oświetloną scenę z napisem „Africa Reggae Festival”. Pierwsze parę kawałków dosyć rozczarowuje, bo nie pojawia się jeszcze żaden prawdziwy zespół, tylko leci afrykańskie reggae ze sprzętu, do którego śpiewają wykonując akrobacje na scenie miejscowi rastamani.

Póki co, postanawiamy zdrzemnąć się w pustej, bocznej części stadionu, ale choć jest w miarę ciepło, to w letnich koszulkach na betonowych ławkach jednak marzniemy. Widzimy, że wycieńczone kilkudniową podróżą nie mamy rady wytrwać na koncercie. Kiedy tuż przed północą bierzemy taksówkę z powrotem do schroniska, impreza dopiero zaczyna się rozkręcać.

Dziś dopiero porządnie się wysypiamy. Delektujemy się... praniem ubrań. Taka prosta rzecz, a cieszy. Po pustynnej Mauretanii, Bamako wydaje się tropikalnym rajem. Wokół rosną mangoce z dojrzewającymi właśnie owocami, a bardziej kolorowo niż gdziekolwiek indziej ubrane kobiety sprzedają na ulicach schłodzone kawałki mango i ananasów w plastikowych torebkach. Na stoiskach czarnej magii trafiamy na przeróżne części zwierząt, jak kolce jeżozwierza, skóry krokodyla, zasuszone głowy miniaturowych małpek i inne, trudniejsze do zidentyfikowania. A uliczkę czy dwie dalej sprzedawcy oferują bardziej nowoczesne towary, jak ciemne okulary, plastikowe wiadra z napisem „I love Africa”, zegarki, telefony komórkowe czy czązki do paznokci.

Wieczorem Kati jest zbyt zmęczona, ale Rebeka proponuje wybranie się do jednego z klubów, gdzie można posłuchać na żywo malijskiej muzyki, z czego znane jest Bamako. Usłyszała, że w „Hipodromie”. Wsiadamy do miejscowego busika, czyli vanika bez drzwi z metalowymi ławeczkami, którego nagationcz krzyczy: „Hipodrom!” Po dłuższej chwili orientujemy się, że większość pasażerów już wysiadła, aż wreszcie nagationcz pyta:

- To gdzie w Hipodromie chcielibyście wysiąść?

Okazuje się, że Hipodrom to nie nazwa konkretnego klubu, a całej dzielnicy, którą dawno przejechaliśmy a vanik sunie dalej coraz to bardziej wyboistymi uliczkami w coraz to ciemniejsze przedmieścia.

- Będziecie wracać do centrum? - pytamy zaniepokojone.

- Nie. Tu kończymy trasę.

No to ładnie... Na szczęście napotkany mężczyzna prowadzi do miejsca, gdzie kilka osób oczekuje w ciemności na inny vanik, jadący do centrum. Cóż, nie mamy szczęścia jeśli chodzi o muzyczną scenę Bamako, ale nocne wycieczki na przedmieścia też bywają ciekawe. Jest przyjemnie ciepło, uliczny zegar pokazuje północ, a termometr - dwadzieścia dziewięć stopni.

Rebeka wybiera się stąd do Europy przez Niger i - jeśli uda jej się zdobyć wizę - przez Algierię. Kati ma jeszcze jakieś trzy tygodnie zanim poleci do domu, do Nowego Jorku i Ekwadoru. Wpatrując się wczoraj w mapy i przewodniki wymyśliłyśmy, że możemy pojechać wszystkie razem do Timbaktu i przez Mali kawałeczek w głąb Nigru skąd Rebeka odbiłaby na północ, a my z Kati, zahaczając o Burkina Faso, wróciłybyśmy do Bamako, skąd ona poleciałaby do domu, a ja ruszyłabym dalej. Wszystko brzmi ciekawie, jednak powodzenie tego planu zależy od tego, czy uda nam się dostać odpowiednie wizy. Chodzą słuchy, że jest podobno dostępna jedna wiza do pięciu krajów: Nigru, Burkina Faso, Beninu, Togo i Wybrzeża Kości Słoniowej. To byłoby idealne rozwiązanie, a do tego dałoby mi wstęp do kolejnych krajów.

W ambasadzie Burkina Faso kobieta za szybko mówi, że takiej wizy tu nie dają. Postanawiamy się rozdzielić i spróbować dowiedzieć - Rebeka w ambasadzie Francji, która reprezentuje też Togo, a Kati i ja w ambasadzie Wybrzeża Kości Słoniowej, która według mojej mapy jest nieopodal. Nie możemy jednak jakoś na nią trafić, a kiedy pytamy po kolei różne osoby, wszystkie pokazują nieokreślonym gestem w dal prosto przed siebie. Znajdujemy ją w końcu w jednej z niepozornych nie asfaltowanych uliczek. Mamy „usiąść i poczekać”, co robimy z przyjemnością pod zadaszeniem przed budynkiem. Po jakiejś godzinie wychodzi do nas urzędnik i łamanym angielskim wyjaśnia, że owszem, wiza do pięciu krajów jest dostępna, ale nie w tym momencie, ponieważ właśnie skończyły im się wizowe znaczki.

- A kiedy będziecie mieli nowe?

- Zadzwońcie jutro rano. Zobaczymy.

Wizy potrafią stać się koszmarem podróży. Dzwonimy rano dwa razy do człowieka z ambasady Wybrzeża Kości Słoniowej, ale mówią, że jeszcze nie przyszedł do pracy. Wybieramy się raz jeszcze do ambasady francuskiej, a tam od jednej osoby dowiadujemy się, że owszem, wiza do pięciu krajów istnieje, ale otrzymanie jej zajmuje trzy tygodnie, natomiast druga osoba twierdzi, że owszem, taka wiza kiedyś istniała, ale już ją znieśli. Próbujemy jeszcze ostatniej szansy - wzdłuż zatłoczonych ulic i otwartych ścieków idziemy znowu do ambasady Wybrzeża Kości Słoniowej - może gość już się pojawił i może mają znaczki. No właśnie... Może... Znowu odczekawszy swoje siedząc pod daszkiem, słyszymy w końcu:

- Przyjdźcie w piątek. Może będą znaczki.

Dajemy za wygraną. Kati rezerwuje więc bilet na samolot do Nowego Jorku z Ouagadougou, stolicy Burkina Faso. Ja... nie wiem jeszcze, co zrobię. W każdym razie postanawiamy ruszyć jutro z samego rana. Póki co - w stronę Timbaktu.



25 - 28 STYCZNIA

- Dokąd jedziecie?

I- Do Timbaktu - odpowiadamy pierwszemu kierowcy, który się nam zatrzymuje, nie mogąc uwierzyć, że tak absurdalnie brzmiąca odpowiedź jest jak najbardziej dosłowna.

Dobrze było odpocząć przez parę dni w jednym miejscu, ale dobrze też poczuć znowu, że jesteśmy w drodze. Nie wiem, ile czasu zajmie nam dotarcie do Timbaktu. Ale ważne, że jedziemy. W metalowej puszcze miejskiego vana-busika wydostajemy się na drogę w stronę Mopti. Pierwszy, drugi stop. Zatrzymuje się w końcu auto z Francuzem pracującym tutaj dla międzynarodowej organizacji „World Vision”. Spędził już w Afryce kilka lat. Do małego miasteczka Bla, pomiędzy Segou a Mopti, docieramy już po ciemku. Jednak w bazie „World Vision”, gdzie zajeżdżamy, nie mogą nas przenocować. Ale jeden z tamtejszych mężczyzn, Lasi, zaprasza nas do siebie do domu.

- Chodźcie. Przywitajcie się z mamą - mówi prowadząc nas na podwórko, na którym zgromadziła się spora grupa ludzi przed wystawionym przed dom telewizorem.

Wokół biegają półnagie dzieci, a w innym kącie kilka kobiet krząta się przy okazałej wielkości garnkach. Witamy się z postawną mamą, wnosimy plecaki do pokoiku, czy raczej „komórki” na piętrze, gdzie składują worki z orzeszkami ziemnymi, i jedziemy na kolację. Kiedy wracamy, widzimy, że liczna rodzina znowu zebrała się przed telewizorem i ogląda jakieś amerykańskie filmy akcji z francuskim dubbingiem.

Do najsłynniejszego meczetu w Mali jedziemy białym mercedesem z Włoszką, jej czarnym kierowcą i przewodnikiem. Nie miałyśmy go w planie, bo to trzydzieści kilometrów w bok od głównej drogi, ale skoro mamy bezpośredniego stopa... Po drodze stajemy w wiosce z niesamowicie bajkowo wyglądającymi spichlerzami. Kiedy wracamy ze spaceru, otacza nas kilkudziesięcioosobowy tłum. Zebrała się prawie cała wioska. Proszą o lekarstwa i podarki. Rebeka, której mama jest pielęgniarką, przywozła i rozdaje trochę lekarstw. Nie wiem, co rozdaje Włoszka, ale też pozbywa się części zawartości swojego plecaka. Najbardziej ujmuje mnie mała dziewczynka z wielkim misiem. Ciekawe, skąd go ma, bo tutejsze dzieci nie mają raczej zabawek. A co ciekawe, niesie go przywiązanego chustą na plecach, tak jak inne dzieci noszą młodsze rodzeństwo albo jak matki swoje maluchy.

Przekraczamy promem rzekę i docieramy do miasteczka Djenne, w którego centrum obchodzimy dookoła słynny meczet, który owszem - jest ciekawy, ale niewiele bardziej niż sama droga tutaj. Mały chłopiec ciągnie mnie na dach swojego domu tuż obok, skąd mogę sfotografować

meczet z góry. Na niewielkim targu posilamy się sprzedawanymi na sztuki frytkami ze słodkiego ziemniaka oraz zamrożonymi słodkimi napojami w woreczkach. Autobusem z grupą Francuzów i jednym Amerykaninem - wolontariuszem Peace Corps - dojeżdżamy prawie do Mopti. Z punktu kontrolnego z blokadą z pustych metalowych beczek na drodze, gdzie dzieci sprzedają słodkie kulki ze zmielonych orzeszków ziemnych oraz jakiś ugotowany biały korzeń - chyba kassawę - z solą, wydostajemy się do jakiegoś niedalekiego miasteczka, chociaż kiedy wysiadamy w ciemności koło niewielkiej stacyjki benzynowej, ciężko stwierdzić, że to miasteczko. Nie ma tu hoteliku, więc negocjujemy z chłopakiem ze stacyjki cenę noclegu na materacach w jakimś ciemnym pokoiku. Ciemność ma też swoje dobre strony - nie widać, jak bardzo jest brudno...

Rano zatrzymują nam się dwa samochody jadące... już prosto do Timbaktu. Puste!

- Ile zapłacicie? - pyta kierowca w granatowej czapeczce ze śmiesznie dyndającymi pomponikami.

- Nic. Bo jedziemy stopem.

- Ale do Timbaktu daleka droga...

- No tak. Ale i tak tam jedziecie...

Po chwili negocjacji zgadzają się nas zabrać. W Kona dobieramy miejscowych pasażerów i skręcamy w nie asfaltowaną drogę, która po dwustu kilometrach ma nas doprowadzić do mitycznego Timbaktu. Na samym początku mijamy spektakularne skaliste góry, po czym robi się płasko. Główna droga pełna jest wybojów, więc często obok prowadzi alternatywna, wyjeżdżona bezpośrednio w piasku, a my manewrujemy pomiędzy jedną a drugą. Kiedy w pewnym momencie spoglądamy z Rebeką na siedzącą z tyłu Kati, wybuchamy śmiechem. Jej twarz tak jest pokryta brunatnym pyłem, że wydaje się, jakby nagle zmieniła kolor skóry.

Docieramy do rzeki, gdzie trzeba poczekać na prom i gdzie skupia się parę prowizorycznych kopułowatych namiotów-do-mów przed którymi kobiety myją naczynia, a nagie czarne dzieci z wydętymi brzuskami biegają wśród kilkorga białych turystów prosząc o cukierki. Dwie, może dwu- czy trzyletnie dziewczynki, zupełnie nagie, przyklejają się do mnie. Jedna ma naszyjnik wokół szyi, druga - wokół bioderek. Jedna z króciutkimi sterczącymi dookoła głowy warkoczykami, druga - z długim sztucznym warkoczykiem wplecionym w swoje włosy. Dzikie, wolne, beztroskie...

Ponieważ nasze auto nie załapie się na przybyły właśnie prom, dziękujemy, bierzemy plecaki i mamy nadzieję znaleźć jakiś inny transport. Prom wiezie akurat cztery terenowe auta, z czego trzy wynajęte przez grupę starszych białych turystek. Chcę zapytać o możliwość zabrania się z nimi, ale one zagadują mnie pierwsze.

- Widziałyśmy, jak przytulały się do ciebie te dziewczynki. Czy chcesz się zarazić?! Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tutejszych dzieci ma infekcje oczu, a trzydzieści procent ludzi ma AIDS - mówi jedna.

- Tak, nie dotykajcie dzieci - wtóruje jej druga.

- Ani wody! - wtrąca trzecia. - Woda ma pasożyty.

- Nie, no bez przesady... - usiłuję protestować, ale przerywają mi w pół zdania:

- Rób jak chcesz. My ci tylko dobrze radzimy.

Próbuję sprowadzić konwersację na inne tory, dowiaduję się, że są z Izraela. Przypuszczam, że nie mam po co pytać, czy nas zabiorą, ale próbuję tak dla formalności, nie spodziewając się innej odpowiedzi, niż ta, którą dostaję:

- Nie. U nas nie ma miejsca. Na dachu? Oszalałaś? Nie mamy ubezpieczenia, aby kogoś na dachu wozić.

Pewnie nie chcą powiedzieć mi tego wprost, ale boją się, że zarażą się ode mnie infekcją oczu i AIDS... Zmieniam więc towarzystwo i zaprzyjaźniam z dwoma dostojnie wyglądającymi Tuaregami w zwojach turbanów i wzorzystych obszernych szatach.

- Do czego to? - pytam, pokazując na przypasany do boku potężny miecz.

Tuareg wyciąga miecz z pochwy i imituje gest podrzynania gardła.

- Zwierząt czy ludzi?

- Wszystkiego.
- Aha.

Muszą mieć chyba poczucie humoru, kiedy mówią, że możemy zabrać się do Timbaktu ich autem, bo Kati widziała, jak wyłaniał się zza horyzontu pieszo, jedynie z mieczami, niewielkim tobołkiem i wielkim przenośnym radiomagnetofonem. I w ten sam sposób opuszczają prom i wędrują dalej przed siebie. A my nie możemy powstrzymać się od śmiechu, widząc jak izraelskie kobiety przed zejściem na ląd zakładają białe maski. Brakuje im tylko plastikowych rękawiczek.

Po drugiej stronie rzeki od razu zabiera nas terenowe auto -to czwarte z naszego promu, nie należące do izraelskich turystek - z kierowcą o szlachetnych rysach, w zielonym turbanie, pochodzącym z Nigru. Kiedy w punkcie kontrolnym policjant przegląda uważnie nasze paszporty, wstrzymujemy oddech spodziewając się, że zapyta za chwilę o brak naszych pieczętek wjazdowych oraz o brak wizy w paszporcie Rebeki. Na szczęście policjant, choć prawdopodobnie piśmienny, w natłoku pieczętek i wiz nie może się niczego doszukać i wręcza nam paszporty z powrotem.

Wiecie już, gdzie będziecie spać w Timbaktu?

-Jeszcze nie, ale znajdziemy jakiś hotelik.

A jak wszystko będzie pełne?

- To mamy śpiwory. Prześpijemy się pod gwiazdami. Pod gwiazdami najpiękniej.
- A u was w Europie, co - nie ma gwiazd?
- Są. Ale nie takie same.

Po chwili przejeżdżamy przez bramę z napisem oznajmiającym, że dotarliśmy do miasteczka na końcu świata - Timbaktu. Już po ciemku Nigerczyk wysadza nas na samym początku miasteczka, więc zakwaterowujemy się w pobliskim „Hotel-Camping Timbo-uctou”. W Timbaktu, owszem, jest elektryczność, ale i tak wiele teraz nie zobaczymy. Wzdłuż jedynej asfaltowej ulicy stoi trochę całkiem porządnymi niskich domów i sklepików, ale wszędzie dookoła wśród piasku przycupnięte są kopułowate namioty-domy ze skór, grubego materiału i patyków. Znajdujemy przyjemną restauracyjkę, w której posilamy się czymś o nazwie „acheke” z fasolką i sałatką, a potem nawet internet. Po powrocie do hoteliku zastajemy ładnego, kilkunastoletniego chłopca imieniem Mohamadou, który twierdzi, że chce poćwiczyć angielski. Mówi:

- Bo ja, wiecie, robię tuareski masaż. Naprawdę dobry, chcecie spróbować?

Choć brzmi to intrygująco, dziękujemy, mając wystarczająco wrażeń jak na jeden dzień.

Nasz hotelik i wszystko wokół otoczone jest piaszczystym pyłem, a po jedynej asfaltowej drodze przemieszczają się jedynie obładowane osiołki, rzadziej motocykle, a jeszcze rzadziej - terenowe samochody. Przechodzimy tylko kawałek, kiedy słyszymy dochodzące z bocznej uliczki śpiewy i bębnienie. Skręcamy i trafiamy na długi rząd kolorowo ubranych, rozśpiewanych kobiet i kilku tańczących mężczyzn - w długich szatach, potężnych turbanach, z mieczami. Pytamy, co to za okazja. Przyjeżdża jakiś minister. Umawiam się z Kati i Rebeką o czternastej w hoteliku i zanurzam w otchłań kolorów, ruchu i dźwięku. Przez cały czas kiedy tam jestem, minister jakoś się nie pojawia, ale to wydaje się mieć małe znaczenie dla rozśpiewanych, rozbawionych grup, które niezależnie od siebie wygrywają i entuzjastycznie wyśpiewują różne rytmy i melodie.

Brakuje tu stoisk z ulicznym jedzeniem, a nasza restauracyjka z acheke otwarta jest tylko wieczorami. Wszystko jest tu też droższe niż gdzie indziej, bo jakby nie było, to koniec świata. W innej restauracyjce zjadam sałatkę z buraczkami i ziemniakiem, ale jak zwykle powstaje problem, kiedy chcę zapłacić - bo mam dziesięć tysięcy franków (około piętnastu euro) w jednym banknocie.

- Poczekaj - mówi właściciel posyłając dokądś chłopca, który na dłuższy czas znika z moim banknotem.

Czekam. Wraca rozmieniwszy go na pół, ale i tak nie mają drobniej.

- Trzymaj - właściciel wręcza mi z powrotem dziesięć tysięcy.
- Masz sałatkę w prezencie.
- Naprawdę?
- Nie ma sprawy. Na zdrowie.

Dziękuję i trochę zakłopotana wędruję dalej. Chcę znaleźć największy meczet Timbaktu. I w tym momencie zjawia się mały, może ośmioletni chłopiec, mówiący po francusku znacznie lepiej

niż ja i znający parę słów po angielsku.

- Madame, chcesz zobaczyć meczet? Zaprowadzę cię do wszystkich meczetów Timbaktu jeśli masz ochotę.

- Nie. Tylko do największego.

- Nie ma problemu.

Idę więc z moim nowym małym przyjacielem i grupką jego kolegów ubranych w za duże piłkarskie koszulki. Mały nie prosi o słodycze, podarki ani o nic za swoje przewodnickie usługi. I nawija dziarsko po francusku. Zauważam, że trzyma cały czas w ręku beznadziejnie podziurawioną piłkę. A my przecież przez cały czas doświadczamy bezinteresownej hojności i gościnności...

- Co się stało piłce?

- Dziura. Już się nie nadaje.

- Wiesz, gdzie można kupić nową?

- Wiem.

- To chodźmy najpierw tam.

Po drodze mijamy elegancki hotelik, z którego wyłania się właśnie grupka znajomych izraelskich pań, patrzących z przerażeniem jak znowu otacza mnie grupka brudnych czarnych dzieci. Przez zakupy piłkowe spóźniam się trochę, ale dziewczyny mi wybaczą. Tylko ruszmy się, jeśli chcemy się dziś stąd wydostać.

W porcie nad rzeką Kati zauważa plakat obwieszczający festiwal muzyczny, na którym ma zagrać jej ulubiony malijski zespół - duet Amadou i Mariam. Festiwal będzie w Segou niedaleko Bamako. A miałyśmy jechać w przeciwną stronę - do Gao w poszukiwaniu wielbłądów albo męża wraz z wielbłądem. Siedząc na przybyłym właśnie pustym promie i patrząc na mapę, zastanawiamy się, co zrobić, bo zbyt dużo jest ciekawych opcji, a zbyt mało czasu. Odkrywamy, że może da się zatoczyć kółko, tak aby zahaczyć o Segou i nie musieć wracać tą samą drogą. Wsiadamy więc z promu i łapiemy stopa do piaszczystego rozdroża. Po dłuższej chwili zaczynamy się zastanawiać, czy w ogóle się stąd wydostaniemy, a jeżeli tak, to kiedy i gdzie spędzimy noc. Ale żadna z nas nie wpadłaby na rozwiązanie, jakie samo spada nam teraz z nieba. W przeciwnym kierunku jedzie bowiem nowe terenowe auto, mija nas, po czym hamuje, i zawraca.

- Co tu robicie? - pyta ubrany w elegancką szatę mężczyzna w średnim wieku.

- Czekamy na stopa do Rharous. I Gao.

- Tą drogą nikt nie jeździ. Wszyscy jeżdżą prosto przez busz. Chodźcie, zawiozę was.

Okazuje się, że mężczyzna jest właścicielem sporej łodzi, która odpływa rano z transportem ryżu do Rharous. I może nas zabrać. Mężczyzna wysadza nas w tym samym porcie, z którego przed chwilą przyjechałyśmy i powierza w ręce kapitana jednej z długich łodzi z półokrągłym dachem z bambusowych prętów pokrytych matami. Odbywa się właśnie załadunek worków z ryżem z napisem „Algerie Solidarite” - pomoc humanitarna dla Mali. Po chwiejnej, wąskiej desce wchodzimy na pokład i rozkładamy się na tych workach, które stanowią całkiem miękkie posłanie.

W portowej wiosce tyle się dzieje... Bosonodzy nastoletni chłopcy przenoszą na głowach białe worki ryżu z wybrzeża na łodzie, dwaj mężczyźni w kolorowych szatach i turbanach siedzą po turecku na wielkich płaskich tablicach soli, które kiedyś -a może nawet jeszcze i dzisiaj - transportowano wielbłądzimi karawanami. Kobiety szorują na brzegu rzeki garnki, dziewczynka sprzedaje z kosza na głowie smażone rybki, a na niewielkiej macie starszy mężczyzna bije pokłony zwrócony twarzą do oddalonej o tysiące kilometrów Mekki. A kiedy kładziemy się na workach ryżu, przykrywamy śpiworami i zamykamy oczy, otacza nas nie mniej dźwięków, co przedtem obrazów. Rytmiczna muzyka z bębnieniem pochodząca z głośnego magnetofonu w wiosce, rozmowy na naszej i pobliskich łodziach, śmiech rozbawionych dzieci na brzegu oraz najgłośniejsze - odgłosy wylewania wiadrem wody z naszej przeciekającej, tak jak wszystkie, łodzi. Wylewanie odbywa się mniej więcej co piętnaście minut i będzie pewnie trwało przez całą noc.



29 - 30 STYCZNIA

Budzimy się lekko zmarznięte, bo w nocy zrobiło się chłodno. Schodzimy na brzeg, zaopatrujemy się w chleb, puszkę koncentratu pomidorowego w pobliskim sklepiku oraz kilka cebulek. Wracamy na nasze worki ryżu, choć nie wydaje się, abyśmy mieli wyruszyć jakoś wkrótce. Chłopcy na łodzi też nie wydają się wiedzieć, na co czekamy i kiedy odpływamy. Zgodni są jednak co do tego, że dzisiaj. Inshallah. Siedzimy więc cierpliwie. A mała uśmiechnięta dziewczynka w towarzystwie kilku koleżanek wdrapuje się na łódź, siada tuż koło nas i gramy w łapki. Sjtarsza z dziewczynek zaczyna zaplatać Rebecę miniaturowe warkoczyki z tyłu głowy. Przygląda się zza burty kilku chłopców pokazując na nas i wykrzykując „tu-bab” („biały człowiek”). Kati zdążyła się już znudzić.

-Ja już nie chcę tej łodzi - jęczy.

Ale i tak nie ma tu atrakcyjniejszych możliwości, więc czekamy dalej. Wreszcie zaczyna się coś dziać. Dosiada się czarna kobieta w żółtej szacie z paroma tobołkami. Chłopcy taszczą na pokład wielkie zbiorniki z paliwem, wciągają na pokład ciężką kotwicę i odpychają łódź długim drągiem, a następnie uruchamiają silnik. No to płyniemy w górę rzeki Niger. Uwielbiam powolne rzeczne rejsy i nie mogę napatrzeć się na przesuwaną za burtą krajobrazy. Przybrzeżne wydmy albo trzciniaste przestrzenie, gdzieś tam niewielkie osady z domami-namietami. Mijamy długie drewniane dłubanki miejscowych rybaków. Czasem większą podobną do naszej łódź, a czasem piękną żaglówkę z kwadratowym żaglem. Przepluwamy też koło terytorium hipopotamów, ale są zbyt głęboko w wodzie. Tylko Rebecka widzi wylaniający się na chwilę na powierzchnię jakiś ciemny kształt. Chłopcy zmieniają się co jakiś czas przy wylewaniu wiader naciekającej wody. Rozpalają też w dole ogień na kuchence karmionej drewnem i kobieta w żółtej szacie zabiera się do przygotowania posiłku - w jednym sporym kociołku gotuje dla wszystkich ryż, niestety, razem z kawałkami tłustego mięsa. Do samego wieczora i malowniczo kiczowatego zachodu słońca podziwiamy z Rebecką rzeczny świat, podczas gdy Kati czyta albo drzemie stwierdziwszy, że spędziła wystarczająco długi kawałek życia na powolnych 'zecznych podróżach.

Tuż po zmroku zakotwiczamy spory kawałek od brzegu.

- Tu nocujemy - oznajmia kapitan. - To wioska Teherchir. Chcecie odwiedzić?

W ciemności nie widzimy żadnej wioski, ale pewnie, że chcemy odwiedzić.

- Tylko jak dostaniemy się na brzeg?

- Zawołamy i ktoś was zabierze. Salam alejkum! - krzyczy kapitan w ciemną otchłań i po chwili słyszymy odpowiedź:

- Alejkum salam!

I podpływa ciemny kształt długiej miejscowej dłubanki, Kapitan negocjuje z mężczyzną przystępną cenę za zawieszenie nas do wioski i z powrotem. Około jednego euro od osoby. Wsiadamy na chwiejną, wypełnioną do połowy wodą łódkę i w bezksiężycową noc podążamy gładko w ciemność zakamarkami rzeki wzdłuż wybrzeża. Wysiadamy w piaszczystej zatoczce, gdzie majaczą zarysy domów i namiotów. Młody mężczyzna mówi, że pokaże nam wioskę.

- O tej porze niewiele zobaczymy, ale czy mogłybyśmy odwiedzić jakąś rodzinę? - pytamy.

- Oczywiście. Chodźcie.

I prowadzi nas do jednego z kopulastych namiotów. Witamy się z siedzącą tam w kuchni młodą kobietą. Na macie obok leży może ośmioletnia dziewczynka.

- Zobaczcie. Ta mała jest chora - mówi mężczyzna.

Świecę latarką i widzimy z przerażeniem, że ma tak zaropiałe oczy, że nie może ich otworzyć i wydaje się, że ma gorączkę. To pewnie ta infekcja, o której mówiły izraelskie kobiety.

- Nie ma tu w wiosce lekarza? - pytam.

- Nie ma. Ale jest apteka.

- To dlaczego nie kupią lekarstwa?

- Bo nie mają pieniędzy. Są tak biedni, że nie mają nic.

- Ile kosztuje lekarstwo?

- Tysiąc pięćset franków (około dwóch i pół euro).

Bez słowa sięgamy z Kati do kieszeni i wręczamy matce dziewczynki tysiąc pięćset franków. Idziemy dalej „zwiedzić” wioskę i zostajemy zaproszeni do kolejnego ciemnego namiotu, w którym dla odmiany znajdujemy schorowaną starą kobietę cierpiącą na jakąś chorobę żołądka. Podobna historia.

- Żyjemy z tego, co ześle nam Allah i co przywiezie zagraniczna pomoc humanitarna. Czasem dostarczają nam ryż. Tu nic nie rośnie. Nie mamy zwierząt, nie mamy co sprzedać, nie mamy więc pieniędzy - wyjaśnia gospodarz.

Wręczamy starej kobiecie tysiąc franków i postanawiamy wrócić prosto do łódki zanim zostaniemy zaprowadzone do domu kolejnej chorej osoby.

Budzimy się, kiedy łódź załącza silnik, a po porannym niebie przewija się spektakl kolorów wokół wschodzącego słońca. Suniemy dalej wśród płaskich krajobrazów i widoków, które wczoraj zachwycające, dziś już trochę spowszedniały. Wszystkie trzy spędzamy większość dzisiejszego dnia trochę pisząc, trochę czytając, trochę śpiąc. A kiedy budzę się późnym popołudniem, widzę na prawym brzegu coś prawie jak miasto.

- Rharous - oświadcza kapitan

- O, są nawet lampy uliczne. Włączą zaraz światło? - pytam.

- Nie. Włączają prąd w miasteczku tylko wtedy, kiedy odwiedza je minister.

Zostawiamy plecaki na łodzi, podwijamy nogawki i schodzimy na brzeg. Dwaj miejscowi nastolatki prowadzą nas na jedną z trzech uliczek miasteczka, do dziewczynki, która na rozżarzonych węglach smaży frytki ze słodkiego ziemniaka. A kobieta w pobliskim domu robi nam na zamówienie sałatkę, bo nawet na tym piaszczystym pustkowiu ludzie uprawiają ogródki - chyba dzięki pobliskiej rzece - z sałatą, pomidorami czy cebulą.



31 STYCZNIA - 07 LUTEGO

Wracamy na łódź i spędzamy ostatnią noc na workach ryżu. Kiedy żegnamy się z kapitanem, nalega, aby wymienić się adresami.

- Ty pisz - mówi do Rebeki przyznając się tym samym, że sam nie potrafi. I dyktuje: „Secou Sampana (to imię i nazwisko). Przewoźnik rzeczny. Timbuktu.”

Rozglądamy się po porannym, przysypanym piaskowym pyłem miasteczku i szybko orientujemy się, że poszukiwania zarówno śniadania, jak i stopa stąd nie zapowiadają się optymistycznie.

- Znajdziemy coś do jedzenia? - zagadujemy spotkanego młodego człowieka.

-Jest chleb.

- A coś do chleba?

- Coś do chleba? Jak co? Aaa... majonez?

- Na przykład.

- Tak... majonez. Nie, majonezu też nie dostaniesz.

- Dobrze. Nieważne. A czy jeździ stąd coś do Gossi?

- Tak. W czwartek.

Dzisiaj wtorek. Udaje nam się zorganizować warzywa na sałatkę, a także kawę, mleko i cukier, po czym wychodzimy na piaszczystą, mało widoczną drogę wyjazdową.

- Nie macie co iść dalej - mówi spotkany tam mężczyzna na białym motocyklu. - Dalej nie znajdziecie ani wody, ani ludzi. Poczekajcie lepiej pod tym drzewem. A to jest mój dom - wskazuje na pobliski budynek i wydaje polecenie stojącemu obok chłopcu.

Po chwili malec przynosi nam z domu trzy plecione krzesła i stawia w cieniu drzewa.

- Tu możecie czekać. A po południu ja też wybieram się do Gossi. Inshallah - oznajmia mężczyzna i... odjeżdża.

No to mamy przynajmniej przyjemną miejscówkę do łapania stopa, chociaż... nie ma czego tu łapać. Tutejszy ruch składa się z podążającej z zeszytami w rękę do szkoły dwójki dzieci, z kobiety z plastikowym wiadrem na głowie, z osiołka obładowanego stertą siana i popędzanego przez mężczyznę w obszernej zielonej szacie, oturbanionej postaci na motocyklu oraz dostojnego Tuarega z mieczem u boku na białym wielbłądzie. Zapadam w małą drzemkę. A kiedy się budzę, patrzę pytająco na Kati i Rebekę:

- Co robimy?

- Nic. Łapiemy dalej.

Nadjeżdża z powrotem mężczyzna na białym motocyklu.

- Chodźcie jeść - mówi i prowadzi nas do swojego domu, a za nim podąża kilkuletni chłopczyk uczepony kurczowo jęgo szaty.

Siadamy na materacach w półmroku przyjemnego obszernego pomieszczenia, którego ściany pokryte są kolorowymi patchworkami dywanów. Po chwili jedna z krzątających się kobiet wnosi miskę ryżu i - na szczęście oddzielnie - mniejszą miseczkę mięsnego sosu.

- Trzeba zjeść przed podróżą - oświadcza Abdul Wahab, nasz gospodarz.

Choć kiedy podróż nastąpi - nie wiadomo. Wahab znów gdzieś znika, zostawiając nas z nastoletnią dziewczynką ze sterczącymi pionowo wokół warkoczykami, w których wygląda jak Statua Wolności. W „łaziencie” z czterech ścian na podwórku biorę kąpiel, na którą używam pół wiadra wody ze studni. I nie wiadomo kiedy robi się wieczór, a fakt, że po powrocie nasz gospodarz odpala stojący przed domem generator i ustawia w naszym pomieszczeniu telewizor, nie napawa nas optymizmem. Ale mogło być gorzej. Mogłyśmy spędzić wieczór (a kto wie, może i noc) przy ciemnej, zakurzonej, pustej drodze...

Kiedy idę rano do toalety, spotykam czterech mężczyzn w szatach, turbanach i ze spakowanymi torbami, siedzących w niespiesznym oczekiwaniu na rozłożonej pod ścianą domu macie.

Wyglądają jakby mieli jechać tym samym autem co my i pewnie czekają, aż będziemy gotowe. Więc pomimo wczesnej pory wstajemy, pakujemy się i stawiamy plecaki przy drzwiach. Zona Wa-haba przynosi kawę z mlekiem i gorący chleb. Tylko tę młodszą, bardzo czarną i niespotykane piękną kobietę Wahab przedstawił nam jako swoją żonę. To matka tego podążającego wszędzie za nim chłopczyka. Ale Wahab ma jeszcze trzy małe córeczki z drugą, nieco starszą kobietą, też mieszkającą w tym domu. Kobiety wydają się być najlepszymi

przyjaciółkami, a kiedy zaprzyjaźniam się z nimi, okazuje się, że są siostrami. A „Statua Wolności” to ich najmłodsza siostra. Ciekawe czy czeka na swoją kolejkę...

Po śniadaniu zdajemy sobie sprawę, że nie miałyśmy się co spieszyć ze wstawaniem. Obiecanego auta bowiem nie widać. Trochę piszemy - każda swój pamiętnik, trochę czytamy, trochę rozgryzamy rodzinne koligacje. A tutejsze kobiety też obserwują nas bacznie i obgadują w swoim języku. Ciekawe, czy wydaje im się to choć trochę dziwne, że trzy białe dziewczyny zamieszkały nagle w ich gościnnym pokoju i ciekawe czy nie mówią na przykład: „Ta w śmiesznie ściętych włosach, myślisz że jest zamężna? A może są lesbijkami? A może siostrami, tylko z trzech różnych krajów? Myślisz, że mają jednego męża?”

Kiedy zjawia się Wahab z siatką świeżych ryb, kobiety zabierają się za gotowanie. Zastanawiamy się, czy w ogóle stąd kiedyś ruszymy. Ale nie mając większego wpływu na rozwój wydarzeń, poddajemy się niespiesznie biegowi dnia. Nagle pojawia się przed domem pickup. I znika. Po chwili wraca, do połowy zapakowany tobołkami.

- Dajcie plecaki. Jedziemy - oznajmia Wahab.

Wsiadamy. Przypada mi kawałek worka tuż obok czarnej kobiety o bardzo obfitych kształtach. Oturbanieni mężczyźni wypełniają każdy skrawek pozostałego wolnego miejsca. Łącznie z dachem niewielkiej kabiny. Ruszamy przez piaszczyste pustkowia, porośnięte niewielkimi krzaczkami. Droga jest tylko delikatnie zarysowana, znaczy, wyjeżdżona w piasku. Podjeżdżamy z rozpędem pod jeden z piaszczystych pagórków, ale auto jest tak obciążone, że nie dajemy rady wjechać. Wycofujemy się. Mężczyźni zeskakują z paki i z dachu, ale nawet lżejsze o kilkanaście osób auto znowu staje tuż pod samym szczytem. Więc kierowca próbuje innej drogi, podczas kiedy mężczyźni wędrują na szczyt pieszko i po chwili tam się spotykamy. I tak parę razy. Przez moment zastanawiam się, ile w tej sytuacji zajmie nam dojechanie do Gossi, ale na szczęście pagórki ustępują wkrótce miejsca bardziej płaskiej pustyni. Po kolejnym nagłym podskoku na wybojach, kiedy wylatujemy wszyscy na chwilę w powietrze, siedząca, a raczej półleżąca obok mnie potężna kobieta przytula mnie matczynym gestem do swojej wielkiej piersi. Cała jest tak miękka, że amortyzuje mi niewygody podróży. Zamykam oczy. W ramionach mojej afrykańskiej mamy czuję się ciepło, miękko i bezpiecznie jak nigdy. Odlatuję w półśnie do zupełnie innego świata i kiedy po nie wiem jak długim czasie, ale pewnie po jakichś paru godzinach, już po ciemku zatrzymujemy się pośrodku paru szop i stoisk z jedzeniem, przez chwilę nie mogę wrócić do rzeczywistości. Dotarliśmy do Gossi.

Spędziłyśmy noc w niewielkim pokoiku w budynku niedaleko drogi, gdzie nas wczoraj wysadzono. Teraz idziemy kawałek pustą drogą w kierunku Bamako. Dla Kati główną inspiracją do przyjechania tutaj była muzyka Amadou i Mariam, chcemy więc dotrzeć na czas na festiwal, który zaczyna się jutro. Tylko jak to zrobić, skoro drogą, którą idziemy, nie przejechało jeszcze nic... Siadamy na plecakach. Wreszcie nadjeżdża i hamuje nieopodal osobowe auto. Biegniemy ucieszone i widząc, że jest dość pełne (trzech miejscowych młodych mężczyzn i mnóstwo bagażu) przekonujemy kierowcę, że na pewno się zmieścimy. I oczywiście, bo w Afryce wszystko jest możliwe. Wymaga to tylko przepakowania, poupychania i po chwili ruszamy. Chłopcy włączają muzykę i klimatyzację. Nie ujeżdżamy jednak zbyt daleko, bo coś zaczyna dziać się w silniku. Kiedy stajemy i otwieramy klapę buchają na nas kłęby pary. Zagotowała się woda. Na szczęście mają parę butelek wody mineralnej, którą wlewają do syczącej z gorąca chłodnicy. Czekamy trochę, aż silnik ostygnie i jedziemy dalej. Przez niesamowite krajobrazy w okolicach miasteczka Hombori, gdzie pośrodku płaskiego pustkowia wyrastają nagle niesamowite formacje skalne przypominające chwilami te w Arizonie. Po niedługiej chwili temperatura w silniku znowu wzrasta. W niewielkiej wiosce składającej się z garstki okrągłych chat nabieramy wody do butelek, a wszyscy mieszkańcy wylęgają, aby zobaczyć, jak napełniamy chłodnicę. I w ten sposób kontynuujemy podróż, zatrzymując się co kawałek. Kiedy nadjeżdża nagle terenówka z parą Francuzów, zabieramy się dalej z nimi, życząc powodzenia chłopakom z pechowym autem.

Francuzi jadą aż do Mopti. My wysiadamy pod wieczór w miasteczku Sevre. Rozglądając się za noclegiem, spotykamy Kanadyjczyka na rowerze, który mieszka tu i pracuje od ponad pół roku dla organizacji dostarczającej generatory do odległych wiosek. Prowadzi nas do katolickiej

misji Jana Bosko, gdzie mają niedrogie pokoiki wśród mangowego gaju.

Kati od wczoraj ma problemy z żołądkiem. Rebeka chodzi swoimi ścieżkami, tak więc idę na śniadanie do miasteczka sama. Wszyscy tu są niezwykle przyjaźni. Dzieci nie proszą o długopisy i pieniądze, tylko machają krzycząc: „tubab, tubab!” (biały człowiek). A kiedy biała dziewczyna wędruje sama uliczkami afrykańskiego miasteczka, nie brakuje młodych mężczyzn oferujących podrzucenie na motorze. Korzystam z oferty i daję podwieźć się do apteki, na targ i z powrotem, bo to spory kawałek. Na koniec okazuje się oczywiście, że chłopak jest przewodnikiem, więc biorę od niego namiary i mówię, że być może się skontaktuję, jeśli będę wybierać się do Dogonów.

Kiedy Kati odrobinę lepiej się czuje, wychodzimy na drogę. Dziś mamy szczęście - trafia nam się bezpośredni stop do Segou. Francuski kierowca pędzi sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, hamując tylko co jakiś czas, kiedy drogą niespiesznie przechodzi stado kózek, wół lub krowa z ogromnymi rogami. Po kilku godzinach wysiadamy w Segou. W Timbuktu poznałyśmy chłopaka z Segou, który mówił, że możemy przenocować niedrogo na dachu u jego rodziniki. Ale od razu pojawia się dwóch kołesiów oferujących to samo.

- To nasz brat! - mówi chłopak z dreadami o imieniu Van. - Chodźcie z nami.

W tutejszym świecie „brat” ma trochę inne znaczenie i nie musi oznaczać bezpośredniego pokrewieństwa. Ale co nam szkodzi, pewnie wszystkie hoteliki w okolicy są i tak pełne z okazji festiwalu. A jest to chyba dość popularne wydarzenie, bo dawno już nie widziałam tylu białych. Jedziemy więc z chłopakami jakieś pięć kilometrów do domu, w którego jednej części mieszka rodzinika, a w drugiej jest wolny pokój z jednym łóżkiem. Tu zostawiamy bagaże. Na noc rozłożą nam materac i namiot na dachu.

Jest już wieczór, kiedy zawożą nas do centrum, a my dopiero teraz zastanawiamy się, jak dostaniemy się na festiwal, bo cena biletów dla miejscowych to kilka euro, natomiast dla białych - pięćdziesiąt euro za wszystkie koncerty. A nawet miejscowi, aby dostać dla siebie bilet muszą się zarejestrować. Wraz z biletem dostaje się opaskę na rękę, która jest sprawdzana przy wejściu. Postanawiamy pokręcić się po okolicy. I w jednym z ciemnych zakamarków widzimy, jak miejscowy chłopak pomaga wspinać się na mur miejscowej dziewczynie. Podążamy bez słowa za nimi. Za murem już czeka inny chłopak, który kasuje od nas po niecałe dwa euro i wprowadza prosto na festiwalowy teren, czyli ogrodzony kawałek brzegu, gdzie na platformie na rzece skonstruowana jest scena. Siadamy w tłumie na pochyłym betonowym wybrzeżu. Amadou i Mariam, na których czeka Kati, występują jutro. Dziś grają inne bardziej lub mniej znane miejscowe gwiazdy i zespoły. A grają z taką pasją i rozmachem, że po chwili piaszczysty kawałek tuż przed wodą i sceną zajęty jest przez tłum tańczących postaci.

Rebeka i ja rozłożyłyśmy na dachu namiot, a Kati postanowiła przespać się w pokoiku. Ale nie był to najlepszy pomysł, bo w nocy odwiedził ją Van, który wyznał, że się nią zauroczył, od razu poczuł więź i tak dalej.

- Przecież nie wiesz nawet, jak mam na imię - powiedziała mu na wpół przytomna Kati.
- Nie szkodzi. Nadam ci afrykańskie imię.

Podczas dnia dostęp na teren festiwalu jest otwarty. Rozdzielamy się i umawiamy pod wieczór przy głównej scenie. Bo scen jest tu kilka i w kilku miejscach jednocześnie występują miejscowe grupy, na przykład uzbrojonych myśliwych Buszmenów albo przybyłych z pustyni na północy Tuaregów. A ja chwilami nie wiem, czy ciekawsze są te zespoły, czy oglądający je tłumek kobiet we wzorzystych spódnicach, sarongach i ekstrawagancko wiązanych materiałach na głowach. Do tego - często z nieodłącznymi niemowlętami w chustach na plecach, które nie przeszkadzają im ani w sprzedaży noszonych w koszu na głowie bananów, ani w spontanicznym tańcu w rytm zasłyszanej właśnie muzyki. Główni czarnych niemowląt objają się delikatnie, rytmicznie o plecy tańczących mam. Główni nawet się nie budzą, ale chyba zachowują w sobie rytm, bo widziałam przed sceną pływające dzieci, które nigdy nie brały lekcji tańca, ale poruszają się z niespotykaną gracją, naturalnością i pewnością siebie.

Dziś wieczorem Kati, Rebeka i ja mamy wystarczająco dużo energii, aby przyłączyć się do tańczącego przed sceną tłumku. Zauważam, że każda biała dziewczyna ma przytulającego się do niej miejscowego adoratora. My też wkrótce nie możemy się opędzić... Ale bawimy się dobrze. A

kiedy wchodzi na scenę Amadou i Mariam, Kati jest w siódmym niebie i tańczy w podskokach jak szczęśliwa mała dziewczynka do rytmu „Dimanche a Bamako”. Zupełnie niespodziewanie poznaje wśród rozbawionego tłumu Polkę Wiołę, która mieszka chwilowo w Bamako ucząc się afrykańskiego tańca. Jest już późno w nocy, kiedy kończy się oficjalny koncert, ale jesteśmy tak rozbawione, że dajemy się jeszcze zaciągnąć chłopakom na kontynuację w miejscowym barze-dyskotece. Kati nie może opędzić się od Vana, a za Rebeką podążają dwaj Tuaregowie, do których czuje słabość. Wracamy do domu nad ranem. Przynosimy do pokoiku materace z dachu i śpimy dziś w trójkę, aby Kati mogła czuć się bezpiecznie.

Odkrywam prawdziwą miejscową gościnność - zawsze znajdzie się ktoś, kto zrobi dla ciebie albo załatwi ci dosłownie wszystko, czego sobie zażyczysz. Pierwszy człowiek, którego pytam, gdzie mogę wymienić pieniądze, wiezie mnie na swoim motorze do hoteliku, po czym zapoznaje ze swoim przyjacielem.

- Bardzo mi miło. Jestem Baba le Magnifique (czyli Baba Wspaniały). Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie wiem... Szukam czegoś do zjedzenia. Wiesz, gdzie mogę znaleźć sałatkę?

- Chodź. Znajdę ci najlepszą sałatkę na świecie.

Okazuje się jednak, że - tak jak przypuszczałam - sałatki serwują wieczorami. Ale Baba się nie zraża. Jest on tu znaną i poważaną postacią. Przywołuje chłopca na motocyklu, daje mu trochę drobnych i wysyła na targ. A mnie prowadzi na podwórko z tyłu sklepików, rozkłada matę, wysyła innego chłopaka po herbatę, cukier i węgle i zapewnia, że za chwilę będę miała sałatkę i herbatę. Czy jest jeszcze coś, czego sobie życzę? Aha, następnym razem w Segou możemy zatrzymać się u niego. Mieszka sam. Nie jest żonaty, więc wolę ustalić od razu, żeby nie spodziewał się, że się z nim prześpię.

- Dlaczego nie? - pyta Baba z uśmiechem niewinnego chłopca, pełnym białych zębów.

- Bo... wolę kobiety - mówię, żeby go nie urazić.

- Naprawdę? Załatwię ci kobiety. Bardzo ładną dziewczynę. Chcesz?

Rzeczywiście, miejscowa uczynność i chęć zadowolenia gościa nie ma granic.

Na festiwalowym wybrzeżu spotykam w barze Kati ukrywającą się przed kontrolerami bransoletek, przeczekuję więc z nią do wieczora. A potem - kolejna roztańczona noc. Spotykam też Wiołę i tańczymy przed sceną, a potem idziemy razem z jej przyjaciółmi Francuzami oraz Musą - Malijczykiem do baru-dyskoteki. Obie cieszymy się, że możemy pogadać sobie po polsku.

Poznałyśmy na festiwalu Agnes - Francuzkę, niesamowitą postać z długimi rozwichrzonymi dredami, która podróżuje po Afryce swoim domem-ciężarówką, a jutro rusza do Burkina Faso. Kati za kilka dni ma samolot ze stolicy Burkina, więc dogadałyśmy się z Agnes, że nas zabierze. Rebeka postanawia już dziś ruszyć w swoją stronę. Umawiamy się za trochę ponad tydzień w Nia-mey - stolicy Nigru, dokąd dotrze, jeśli nie wyjdzie po drodze za jakiegoś Tuarega. Pamiętając wczorajsze zaproszenie Baby le Magnifique, mówię Kati, że pewnie możemy przenocować u niego, a nie powinno być trudno go znaleźć. Łapiemy stopa do centrum. Okazuje się, że Baba wyjechał gdzieś z turystami, ale możemy przenocować na tarasie budynku za około pięć euro. Póki co, zostawiamy tu plecaki i idziemy się powłóczyć po mieście. Spotykam się jeszcze raz z Wiołą. Kupuję szybko na targu trzy miski z kalabasy, które Wioła zabierze mi do Polski, bo wraca już pod koniec miesiąca.

Dzisiejszy targ jest niesamowity. Chodzę, próbuję różnych przekąsek - smażonych bananów, frytek ze słodkiego ziemniaka, zmrożonego napoju imbirowego sprzedawanego w woreczkach. Potem siadam pod daszkiem budynku i obserwuję przesuwający się przed moimi oczami kolorowy tłum. Jestem w idealnym miejscu do fotografowania długim obiektywem - i nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie zauważam nawet, kiedy robi się późno. Po drodze do miejsca, gdzie zostawiłyśmy plecaki spotykam Mohameda - uśmiechniętego gościa poznanego na festiwalu, z niesprawnymi nogami, jeżdżącego na trójkołowym motocyklu, który zna tu wszystkich i zawsze wie, co się dzieje.

- Wiem gdzie jest Baba. Chodź, podrzucę cię - mówi.

Jedziemy więc i ku mojemu zdziwieniu spotykam Babę razem z Kati. Okazuje się, że też poznała go wcześniej, nie wiedząc, że to Baba le Magnifique, bo jej przedstawił się tylko pierwszą

częścią imienia. Baba mówi, że oczywiście, jesteście zaproszone do niego do domu, tylko nie chce, aby chłopcy, którzy zaoferowali nam taras, wiedzieli, bo nie chce psuć im biznesu. Poczekaj więc na nas w kawiarence aż przyniesiemy plecaki.

- Poznaj moją żonę Isabelle - mówi Baba przedstawiając mnie młodej Francuzce, kiedy wprowadza mnie na pięterko budynku, w którym mieszka.

A więc to tak. Wczoraj jeszcze mieszkał sam, a dziś już ma ciężarną żonę - bo Isabelle jest w drugim miesiącu ciąży. Baba mruga do mnie porozumiewawczo, a pokazując na spory materac w pokoju mówi:

- Tu będziemy spać. Ty, Kati, Isabelle i ja.

A kiedy rzucam mu pełne dezaprobaty spojrzenie, poprawia się:

- Żartowałem. Tylko ty i Kati. My z Isabelle mamy materac w drugim pokoju.

Wieczorem schodzi się kilku przyjaciół Baby i jedna przyjaciółka. Tylko nie bardzo możemy włączyć się w rozmowę, bo jest prowadzona w języku bambara. W pewnym momencie Baba wywołuje mnie na stronę.

- Ta dziewczyna, to dla ciebie ją zaprosiłem. Też lubi kobiety. Chcesz ją?

- Baba, ja...

- Czy wolisz mniejsze, szczuplejsze dziewczyny? - pyta Baba, nie dając mi dojść do słowa, bo jego przyjaciółka szczyli się lekką tuszą i obfitymi kształtami.

- Rzeczywiście, jeśli mam być szczerą, nie jest w moim typie. Ale Baba...

- Sorry. Nie miałem wystarczających informacji. Jutro znajdę ci inną. Zobacysz, że ci się spodoba - oznajmia Baba i na tym urywa rozmowę, wracając do pogawędki ze swoimi przyjaciółmi.

Isabelle wychodzi rano do pracy. Uczy biologii i chemii w tutejszym college'u. A Baba odnajduje się wspaniale z niewymuszonym uśmiechem w roli wzorowego gospodarza, serwującego śniadanie i flirtującego lekko z Kati. Odwozi nas potem pojedynczo na motocyklu nad rzekę, gdzie zaparkowana jest ciężarówka Agnes. Umawiamy się na wieczór, kiedy to postanawiamy definitywnie opuścić Segou chociażby po to, aby wyjechać poza miasto i prznocować gdzieś po drodze, bo Kati boi się, że jeśli nie wyjeździemy dzisiaj, to może nie zdążyć na swój samolot z Ouagado-ugou za tydzień. Dogadane, zostawiamy plecaki w ciężarówce. Nie mamy nawet okazji zastanowić się, jak spędzimy ten dzień, bo Baba zaprasza nas na przejażdżkę łódką. A najpierw z powrotem do siebie na lunch.

Wczesnym popołudniem ruszamy nad rzekę Niger na małą przejażdżkę łódką. Z Babą, Mohamedem - tym niepełnosprawnym i wioślarzem. W upale dnia, pośrodku rzeki mam ochotę wskoczyć do jej rześkiej wody, ale pomijając już kwestię pasożytów wodnych, których wszyscy biali się obawiają, a wszyscy miejscowi ignorują, nie mam ochoty rozbierać się na oczach Baby i Mo-hameda. Zresztą docieramy po chwili na romantyczną wysepkę, która jak okiem sięgnąć pełna jest... wysuszonego krowiego łajna. Nie możemy z Kati powstrzymać się od śmiechu, a Baba nie rozumie, o co chodzi. Rozkłada matę w pobliżu drzewa, rozstawia nieodłączną maszynkę na węgle i po chwili serwuje nam szarmancko herbatę.

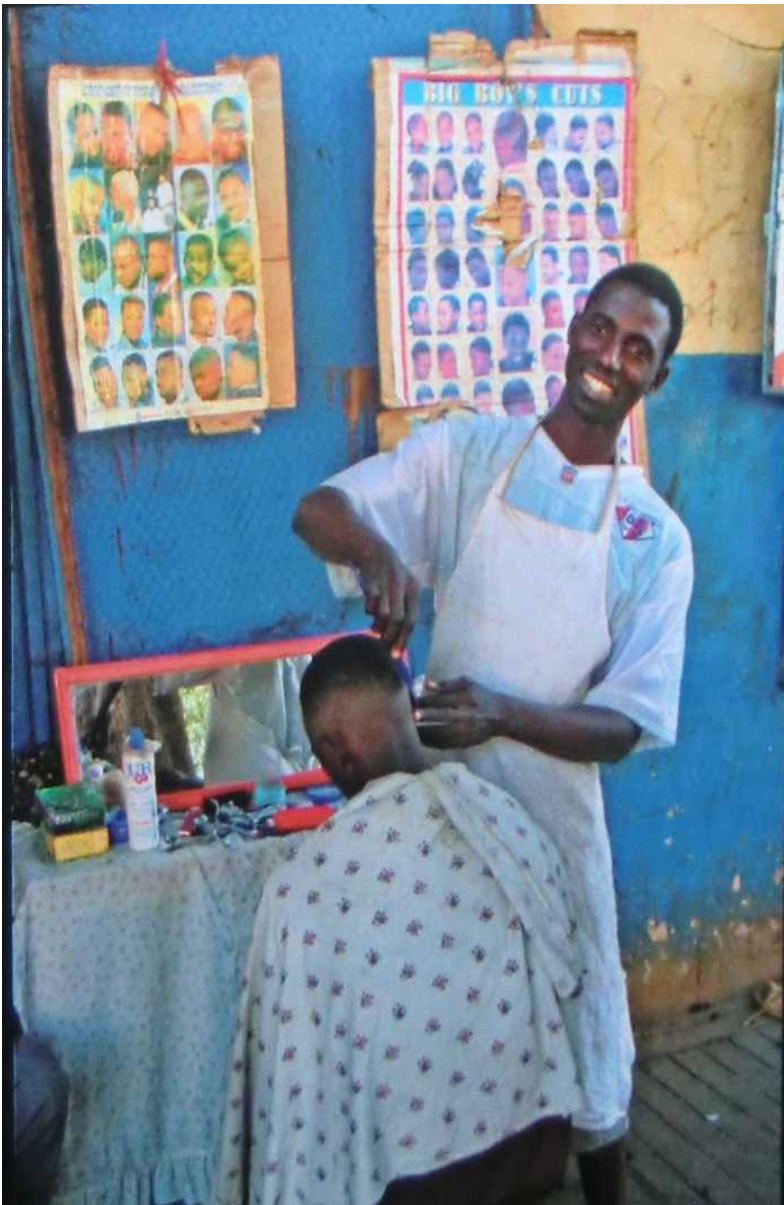
Wieczór spędzamy w pobliżu ciężarówki Agnes, która jak magnes przyciąga podróżników, głównie Francuzów. Jest wśród nich rudy brodaty gość - artysta, muzyk, poeta - jadący na rowerze z intrygującą przyczepą. Już po ciemku Gijan gra na akordeonie, ktoś akompaniuje mu na bębnie, a ktoś inny popisuje się żonglerskimi wyczynami przed zgromadzoną miejscową dzieciarnią. Dopiero koło północy udaje nam się zapakować do kabiny ciężarówki siebie oraz suczkę, którą Agnes znalazła porzuconą jeszcze w Europie i papugę otrzymaną od pary Franzuzów. Kupili ją od miejscowych, aby uratować i wypuścić, nie wiedząc, że ma podcięte skrzydła i nie polecą. Tak więc opuszczamy Segou. Jedziemy około godziny i parkujemy przy drodze, tuż koło punktu kontrolnego. W przestronnym, kolorowym, artystycznym wnętrzu ciężarówki, Agnes częstuje nas ziołową herbatką i gościnnym uśmiechem na dobranoc.



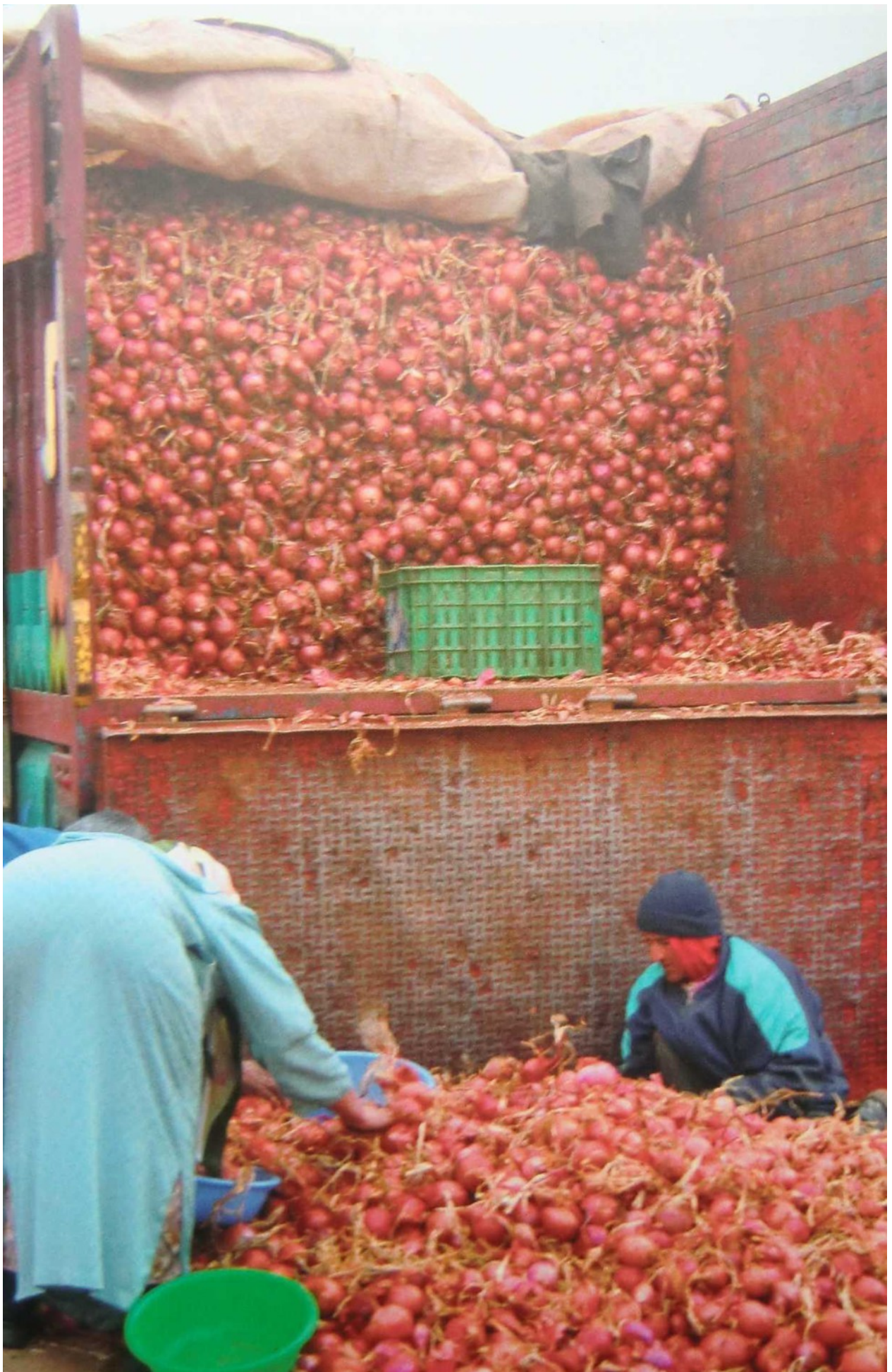
BAZAR

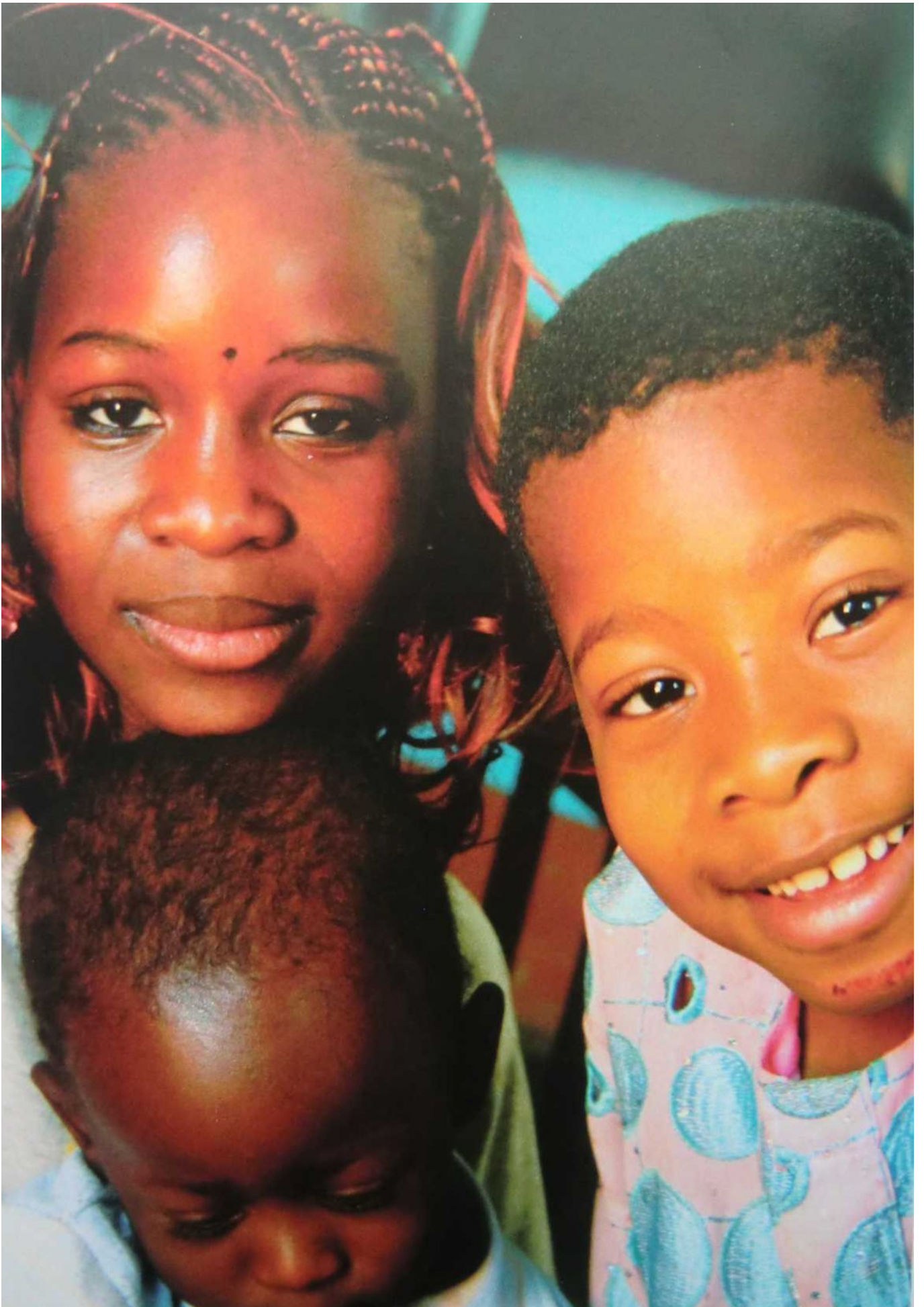






Tuż obok negocjuje się ceny kóz i wielbłądów, a przy okazji można skorzystać z usług miejscowego fryzjera.





CZEŚĆ VI

BURKINA FASO

08 - 12 LUTEGO

Jedziemy do granicy Burkina Faso. Przed nami jeszcze spory kawałek Mali. Miasteczko Bla, przystanek na zatankowanie, potem jedzenie w jakiejś wiosce - ryż, fasolka i zmrożony imbirowy napój. Jesteśmy szczęśliwe, w doskonałych nastrojach. Czuję, że mogłabym tak jechać w nieskończoność.

Agnes robi najbardziej niesamowitą rzecz, o jakiejkolwiek słyszałam. W małych, afrykańskich wioskach rozstawia dla dzieci dmuchany zamek ukradziony z jakiegoś McDonald[^] w Europie. Stwierdziła, że tutaj przyniesie on znacznie więcej pożytku i radości. A na białej ścianie swojej ciężarówki wyświetla z rzutnika afrykańskie filmy - w miarę możliwości, z danego kraju.

Tuż przed ostatnią malijską wioską przed granicą zatrzymujemy się i przesiadam się z kabiny do wewnątrz, gdzie kładę się na łóżku Agnes. Mam tylko wizę jednokrotnego wstępu do Mali, więc jeśli uda mi się nie dostać pieczątki wyjazdowej, będę mogła na nią z powrotem wjechać. Również nie mam wizy do Burkina Faso. Tę podobno można dostać tu na granicy, ale wolę już w stolicy spróbować zdobyć wizę do pięciu krajów, która zawiera też i Burkina. Przekroczenie granicy ciężarówką wymaga kilku długich przystanków na przeróżne formalności po jednej i drugiej stronie. Nie wiem nawet, jak długich, bo w ciemnym, gorącym wnętrzu ciężarówki przysypiam... Jesteśmy w Burkina Faso. Tylko co się stało z dniem? Bo jest nagle wieczorny półmrok. Suniemy powoli po ciemku przez nowy kraj. Tym bardziej powoli, że mają tu tyle punktów kontrolnych, co nigdzie indziej. Na szczęście nie pytają o paszporty. Głównie o dokumenty pojazdu, a czasem chcą zamienić parę słów. Agnes z uśmiechem i cierpliwością rozmawia ze wszystkimi.

Zbliżamy się do przedmieść Bobo Djulasso - drugiego największego miasta Burkina Faso. Wydaje się nawet większe, z szerszymi ulicami niż malijskie Bamako. Agnes jedzie tutaj do organizacji zwanej „Dispensaire Trottoir”, która zajmuje się projektami dla dzieci ulicy. Jest już tam kilkoro wolontariuszy z Francji prowadzących różne zajęcia, w tym teatr. Agnes chce zatrzymać się tu na trochę i zorganizować warsztat recyklingu i może coś artystycznego. Kati jutro w nocy ma samolot z Ouagadougou, więc pojedę z nią. Ale z Agnes, mam nadzieję, zobaczę się jeszcze. Może w drodze powrotnej. Może kiedy będzie jechała do jakiejś wioski rozstawić swój magiczny zamek...

Kati nie chce ryzykować spóźnienia się na swój samolot za tysiąc dolarów, więc wcześniej rano zegnamy się ze śpiącą Agnes i jedziemy na drogę wyjazdową, po czym łapiemy ostatniego stopa naszej wspólnej podróży. Już od wczoraj melancholijnie mi trochę, bo wiem, że to nasze ostatnie wspólne chwile. Szukamy w przewodniku taniego miejsca do zatrzymania się. Ouagadougou jest chyba najgorętszym miastem, w jakim dotychczas byliśmy. Ociekające potem idziemy do pobliskiego kościoła, gdzie podobno oferują nocleg, ale tam wszystko zajęte. W końcu jakiś chłopak prowadzi nas do hoteliku.

| To sto metrów stąd | twierdzi.

Po jakimś kilometry docieramy wykończone upałem do hoteliku nie wyglądającego bynajmniej na tani. Ale nie mamy już siły. Bierzymy na spółkę pokoik z czystą łazienką (za prawie dziesięć euro) i po małej drzemce idziemy zrobić ostatnią rzecz, na której Kati zależy - wypalić płytkę z moimi zdjęciami.

A kiedy na ulicznym stoisku jemy nasz wspólny ostatni posiłek, Kati kupuje zebrzącemu

mężczyźnie i jego koledze po misce ryżu z sosem.

- W ten sposób mogę odhaczyć dwa posiłki z mojego karmicz-nego długu hojności i gościnności - wyjaśnia.

Ostatnie wspólne parę godzin spędzamy przesypiając w hoteliku.

- Nie płacz, to tylko sen - mówi Kati widząc łzy w moich oczach, kiedy przytulamy się na pożegnanie. - Przylecę do ciebie na Madagaskar. Albo do Etiopii.

A ja wierzę, że przyleci.

No to zostałam już zupełnie sama. Ale tak naprawdę ciężko tu być samej. Muszę przyznać, że mam szczęście do spotykania na swojej drodze wyjątkowych ludzi. Wczoraj podwiózł mnie kawałek na motocyklu jeden miejscowy chłopak, a dziś czeka na mnie od rana. Jest gotów towarzyszyć mi, dokąd tylko sobie zażyczę. Szkoda, że dziś bez motocykla. Idziemy więc pieszo przez miasto do ambasady Wybrzeża Kości Słoniowej, bo chcę zobaczyć, czy dostanę tutaj tę wizę pięciu krajów, łącznie z wizą Burkina - wtedy byłabym tu legalnie. W eleganckiej, okazałej, ale pustawo wyglądającej ambasadzie, pani urzędniczka mówi, że owszem, wydają tu taką wizę, ale... skończyły się wizowe znaczki. Skończyły się w czerwcu zeszłego roku. Ciągłe czekają na nowe. Więc chyba nie będę czekać razem z nimi... Pod wieczór zabieram plecak z hoteliku i przenoszę się do dormitorium, które widziałyśmy wczoraj po drodze.

Ouagadougou szczyli się opinią najbardziej przyjaznej stolicy świata i rzeczywiście wszyscy, których dotychczas spotkałam, są superprzyjaźni. W jednej z piaszczystych uliczek przyglądam się zaplataniu warkoczków. Tutejsze kobiety mają niesamowite, misterne fryzury, każda inną, często z setek miniwarkoczków, a zro-, bienie takiej fryzury zajmuje dwóm dziewczynom całe dwa dni. Właścicielka saloniku, Irene, mówi zadziwiająco dobrze po angielsku. Nauczyła się po prostu na studiach, bo podoba jej się ten język. Zaprasza, aby odwiedzić ją jeszcze.

Dormitorium, w którym nocuję, należy do fundacji, która wspiera miejscowy dom dziecka. Idę do niego, a pracująca tam kobieta mówi, że dziś niedziela i nie ma odwiedzin. Ale uśmiecham się ładnie i pozwala mi na chwilę zobaczyć dzieciaki. To jest dom małego dziecka. Odwiedzam najpierw najstarszą grupę na dole, pełzające po podłodze ogrodzonego tarasu maluchy. Dzieci są czyste, ładnie ubrane w pochodzące z darów europejskich ciuszki. Jedna z dziewczynek, o okrągłej buzi i bystrych oczach, imieniem Flora, natychmiast wyciąga do mnie rączki, a kiedy ją podnoszę, uczepia się mnie mocno. Oczywiście, kiedy opiekunka chce ją zabrać do przewijania, wybucha łamiącym serce płaczem. Ale ma już nowych rodziców - zostanie adoptowana do Francji, czekają tylko na zakończenie długotrwałego procesu adopcyjnego.

Kiedy wstępuję odwiedzić znowu Irene w jej saloniku warkoczków, mówi, że porozmawiała z rodzicami i mogę przenieść się do niej. Mieszka przy rodzinie, ale ma swoje mieszkanie w oddzielnym budynku, z supernym komputerem, który zamierza niedługo podłączyć do internetu. Irene pracuje w banku i jak na tutejsze warunki całkiem nieźle zarabia. Po południu pokazuje mi miejsce na obrzeżach miasta, gdzie zamierza wybudować niewielki domek. Wieczorem poznaję rodziców Irene. To katolicka rodzina, więc znają Polskę jako kraj niedawnego papieża, którego błogosławieństwo mają na ścianie w pokoju.



13 - 18 LUTEGO

Na mnie już czas, choć szkoda wyjeżdżać właśnie wtedy, kiedy zaprzyjaźniłam się z ciekawą, mówiącą po angielsku miejscową dziewczyną. Umawiamy się, że Irene będzie śledzić moją podróż, a jak wrócę, odwiedzi mnie w Polsce. Idę jeszcze na internet posłać walentynkowe życzenia wszystkim, których kocham, a po południu Irene podwozi mnie na drogę wyjazdową z miasta w stronę Nigru, prowadzącą przez Dori na pustynnej północy.

Dawno nie jechałam już sama stopem. Ale jak tylko odjeżdża Irene, zabiera mnie mężczyzna do punktu kontrolnego poza miastem. Tam od razu zatrzymuje się minibusik i nawet, kiedy dziękuję i mówię, że ja stopem, nalegają, abym wsiadła. Jadę więc bu-sikiem pełnym głównie młodych, ogolonych mężczyzn ze dwie czy trzy godziny do miasteczka, a raczej większej przydrożnej wioski Pissila.

- Bonjour madame. Poczekaj lepiej tutaj, tu jest dworzec. Tam dalej nie ma już nic - mówi młody mężczyzna zaniepokojony faktem, że wyglądam jakbym chciała pójść dalej przed siebie.

„Dworzec” składa się tutaj z kawałka poszerzonego pobocza, na którym - tak jak ja - przycupnęło kilka złowrogo wyglądających, nie wiadomo, na co czekających ogromnych ptaszysk wyglądających jak sępy.

- Dziękuję, ale nie potrzebuję dworca, bo nie czekam na auto-bfts. Czekam na stopa.

- To już lepiej czekaj tutaj. A jak nic nie przyjedzie zanim się ściemni, możesz przenocować u mojej rodziny.

Gdyby to był poranek, powędrowałabym pewnie dalej. Teraz jednak słucham rady mężczyzny i otoczona gromadką dzieci oglądam zachód słońca. A kiedy się ściemnia, przychodzi po mnie Abuba i prowadzi do pobliskiego domu. Będę spała u żony jego najstarszego brata.

Abuba wysyła ze mną chłopaka o imieniu Azuna, aby oprowadził mnie po targu i okolicy. Kupuję dwa owoce drzewa baobabu i poskubując białe kawałeczki chodzę wśród stoisk z różnościami. Potem idziemy z Azuną przez pustkowie jakiś kilometr poza wioskę, gdzie zaczyna się ceremonia z ministrem, na placu, pomiędzy targiem kóz a targiem bydła. Ustawiono tam parę rzędów krzeseł dla oficjalnie ubranych przybyłych gości, mównicę i głośniki. Tłum gapiów wokół oraz przycupnięte w słońcu zespoły folklorystyczne jako przerywnik w przemówieniach. Wysłuchawszy parę górnołotnych przemówień i zobaczywszy tańce kilku zespołów, stwierdzam, że czas ruszyć dalej. Kiedy w końcu wychodzę na drogę, zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście nie jest ona jakoś szczególnie uczęszczana. W pewnej chwili zatrzymuje mi się ciężarówka z ogromną koparką na pace i tylko trzema mężczyznami w niewielkiej kabinie. Dotaczamy się do miejsca, gdzie kończy się asfalt i dokąd ciężarówka wiezie koparkę do pracy przy budowie dalszego odcinka drogi. Stąd zabiera mnie pickup aż do jakiejś wioski, w której spotykam wędrujące nie wiadomo skąd i dokąd, kolorowo ubrane kobiety z miskami i tobołkami na głowach oraz wielkimi srebrnymi monetami wplecionymi po trzy czy cztery w warkoczyki po obu stronach twarzy.

Tu trafia mi się ciekawy środek transportu - lokalna ciężarówka robiąca jednocześnie za płatny autobus. Na pace załadowanej workami, tobołkami, metalowymi prętami oraz rowerem podróżuje tłumek miejscowych. Wspinam się do nich i po chwili podziwiam widoki z góry, a pozostawiana przez nas chmura pomarańczowego pyłu otacza mijane wozy. Ciężarówka jedzie aż do samego Dori. Ale kiedy zatrzymuje się po drodze w wiosce Bani, w której widzę wyrastające na wzgórzach wieże meczetów w kolczastym stylu, wysiadam spontanicznie tutaj. Natychmiast przejmuje mnie chłopak z dredami, mówiący dużo i głośno po angielsku, który przedstawia się jako Niebieski Ptak Pustyni - syn Tuarega i córki proroka. Bierze mój plecak i mówi, że oprowadzi mnie po okolicy, nie pytając nawet, czy mam na to ochotę. Pozwalam mu, po czym plecak zostawiamy w wiosce, a sami wchodzimy na wzgórze z meczetami oświetlonymi ostatnimi promieniami zachodzącego właśnie słońca.

Rano wypijam miseczkę „bui” - gęstej masy z prosa kupionej od kobiety przy drodze i ruszam w stronę Dori. Niedaleko za wioską zabiera mnie zaprzężony w osiołka wóz. Jedziemy powoli spory kawałek, po czym schodzę, aby zrobić miejsce dla dwóch dziewczyn niosących ciężkie pakunki na głowach. Ja wędruję dla przyjemności - one muszą dotrzeć do swojej wioski. Kiedy zmęczona upałem siadam na plecaku przy drodze, pozdrawiają mnie mijający mnie ludzie, w

tym mężczyzna prowadzący... wielbłąda. A raczej dwa piękne białe wielbłądy - dużego i małego. Mężczyzna zatrzymuje się widząc, że zainteresowałam się jego zwierzętami. Nie mówi wiele po francusku, ale rozumiem, że nie są na sprzedaż. A tu jest kraina pojawiających się nie wiadomo skąd i podążających nie wiadomo dokąd samotnych jeźdźców na białych wielbłądach, jeźdźców w zwojach turbanów, długich szatach i z mieczami. Coś, co w Maroku było niemożliwe, tutaj jest codziennością. Znowu tnój umysł zaprzątnięty jest białym wielbłądem...

Wielbłądzie myśli przerywa nadjeżdżająca ciężarówka. Tak więc w końcu trzeciego dnia od wyjazdu z Ouagadougou docieram do miasteczka Dori, skąd prowadzi droga na wschód do nigerskiej granicy, oraz piaszczysta dróżka na północ, do miasteczka Gorom-Gorom. Dzięki moim dredom wszędzie znajdują mnie od razu miejscowi rastamani. A tutaj każdy, z kim się zaprzyjaźnisz (a zaprzyjaźniony jesteś mniej więcej po dwóch zdaniach), gotowy jest pomóc ci we wszystkim czy znaleźć to, czego potrzebujesz.

- Chcesz sałatkę? Możemy kupić sałatę i pomidory na targu i damy kobiecie, która zrobi ci zaraz sałatkę.

Nie, dzięki. Znajdę coś innego. A tak naprawdę to bym chciała znaleźć białego wielbłąda...

- Białego wielbłąda? - odpowiada mój rastaman dokładnie tak, jak się spodziewałam. - Znajdziemy ci białego wielbłąda. A na co ci wielbłąd?

- Aby wybrać się do Nigru. Myślisz, że to możliwe?

- A tak. Niger niedaleko. Chodź!

Prowadzi mnie do mężczyzny, który pod daszkiem nieopodal targu wyrabia biżuterię z rozgrzanego w ognisku srebra. Owszem, są wielbłądy, ale poza miasteczkiem. Można się wybrać, trzeba tylko znaleźć motocykl, potem odszukać pasące się wolno wielbłądy. Wieść roznosi się szybko i po chwili zjawia się przyjaciel ra-stamana z motocyklem, gotowy zawieźć mnie od razu do swojej nomadzkiej wioski, jeśli tylko zapłacę za dwa litry paliwa. Jedziemy więc do odległej o kilkanaście kilometrów osady. Kuzyn mojego przewodnika znika wśród pustynnych krzewów i po chwili pojawia się z białym wielbłądem.

- Ładny. Ale niewielki - mówię. - Ile ma lat?

- Cztery.

- Za młody.

Nie to, żebym była wielką znawczynią wielbłądów, ale wiem, że idealny byłby jakiś siedmio-, ośmioletni.

- Sama z wielbłądem do Nigru? Rzeczywiście, potrzebujesz bardziej dojrzałego - mężczyzna zna wszystkie w najbliższej okolicy. - Znalazłby się taki, ale nie jest biały.

Przysiadam więc tylko na chwilę z siedzącymi na piasku kobietami plotącymi sznurki z czarnej wełny, po czym wracamy do miasteczka. A „mój” rastaman zapoznaje mnie ze swoim kolegą, również dredziarzem, o imieniu Bura.

- Jutro w Gorom-Gorom, mojej wiosce, jest wielki targ. Tam możesz znaleźć wielbłąda. Chcesz pojechać dziś ze mną na motocyklu?

Poddając się więc biegowi wydarzeń, późnym popołudniem znajduję się na tylnym siedzeniu motocykla podążającego jakieś sześćdziesiąt kilometrów w stronę Gorom-Gorom. Motocykl ślizga się przez piasek, a mnie nie pozostaje nic innego jak zaufać Burze, wierząc, że nas nie wywróci. Oddycham z ulgą, kiedy pojawiają się w oddali mdłe światelka. Pokryci warstwą pyłu zsiadamy z motoru przed niewielkim budynkiem na obrzeżach wioski, w którym Bura wynajmuje pokój, a za ścianą mieszka rodzina z kilkorgiem dzieci.

Kiedy wyglądam z rana przez drzwi na podwórko, widzę świat w przytłumionym świetle, spowity pustynnym pyłem unoszącym się w powietrzu. O tej porze roku bywają takie dni. Szkoda, że ciężko nawet wyjąć aparat z obawy przed zapyleniem. Na targu, na piaszczystym placu przywiązanych jest kilka białych wielbłądów. Podchodzę do grupki Tuaregów w kolorowych szatach, okazałych turbanach i ciemnych okularach. Okazuje się, że to są wielbłądy, na których przybyli, nie na sprzedaż. A te na sprzedaż są młode, jeszcze nietresowane. Ale jest jeszcze wcześniej. Dorosły, dobrze wytresowany wielbłąd przyjedzie później. Mam więc czas, żeby spokojnie rozejrzeć się po targu. Kiedy wstępuję z Burą na śniadanie z bui, niespodziewanie słyszę:

„Cześć!” Ze zdziwienia na sekundę odejmuje mi mowę.

- Cześć. Nie mów, że nie rozumiesz po polsku! - mówi chłopak.

Okazuje się, że to polska para, która informowała mnie parę dni temu przez internet, że też podróżuje akurat po Mali i Burkina Faso. Wracają dziś autobusem o jedenastej do Ouagadougou, a za kilka dni do Warszawy. Więc tym razem do Polski pojedzie kupiona pospiesznie okrągła plecionka w kształcie płaskiego stożkowatego kapelusza do przebierania prosa i naczynko z wydrążonej kalabasy w kształcie wazonu - tutaj używane jako butelka na wielbłądzie mleko.

Przyjeżdża po mnie Bura na motorze i wracamy na placyk z wielbłędami. Przybył już „mój” wielbłąd. Jest wielki, piękny, z trzema śmiesznymi wypustkami na nosie, które sprawiają, że jest unikalny.

- Da się prowadzić, jeśli będę chciała sama na nim jechać?

- Zobacz sama - mówi Tuareg w zielonej szacie i każe wielbłądowi usiąść. - Wsiadaj.

Pierwszy raz siedzę na specjalnym, drewnianym wielbłądzim krzeselku, które po chwili znajduje się wraz ze mną dwa metry nad ziemią. Dostaję w ręce sznurek i mogę zupełnie samodzielnie przejść się po okolicy. I rzeczywiście - wielbłąd idzie powoli i precyzyjnie skręca w lewo lub w prawo, w zależności od tego, jak manipuluję sznurkiem. Potrafi też biec klusem i galopować, ale tego na razie nie próbuję. Wszystko jest pięknie, poza jedną rzeczą - nie jest biały... Mówię, że muszę przemyśleć i umawiamy się na jutro rano na pobliskim podwórku, gdzie wielbłąd nocuje.

Wspaniałe to było uczucie, tak jechać na wielbłądzie, ale... jeśli spełnić marzenie - to do końca. A marzenie jest o białym wielbłądzie. Musi przecież być jakiś w okolicy. Almoksin, przyjaciel Bury, mówi, że możemy wybrać się do jego wioski, jakieś czterdzieści kilometrów na północ, gdzie przynajmniej kilkoro ludzi ma białe wielbłądy. Mówię więc właścicielowi brązowego wielbłąda, że jednak dziękuję. Almoksin, niewysoki, chudy mężczyzna, nałogowy palacz, w dżinsach, skórzanej kurtce i słonecznych okularach, jest Tuaregiem, dumnym ze swojego pochodzenia. W domu ma turban oraz tradycyjny strój, a w wiosce Beldiabe do której się wybieramy, swoją tuareską rodzinę.

Obiecujemy Burze, że na pewno dziś wieczorem wrócimy. Al-moksin pędzi przez piaski jak szalony, a ja trzymam się mocno usiłując nie spaść i modląc się, aby motocykl się nie przewrócił przy kolejnym poślizgu. Kiedy przejeżdżamy koło wędrującego przez pustkowia mężczyzny w średnim wieku i długiej szacie, Almoksin zatrzymuje się na chwilę, aby porozmawiać z nim w języku tamaszek.

- Mówi, że chce się z tobą ożenić. Ma ponad sześćdziesiąt krów

- tłumaczy Almoksin.

- Powiedz mu, że krowy mnie nie interesują. Gdyby to było sześćdziesiąt białych wielbłądów...

Wsiadamy na motocykl, ale nie odjeżdżamy daleko, kiedy zmęczona maszyna krztusi się i... gaśnie. Almoksin próbuje kilkakrotnie odpalić, ale bez powodzenia. Jesteśmy już podobno jakieś pięć kilometrów od wioski. Almoksin zostawia więc motor pod krzakiem - wyśle później kogoś po niego. Idziemy pieszo, a ja martwię się, że Bura będzie się niepokoić, jeśli nie wrócimy na noc. Tuż przed zmrokiem docieramy do Beldiabe. Rodzina Almoksina zamieszkuje kilka kopułowych, elegancko wyglądających nomadz-kich chat. Almoksin dokonuje prezentacji:

- To mój młodszy brat, to siostra. To druga siostra. To dzieci siostry. A to córka naszej niewolnicy i jej córeczka.

- Niewolnicy?

- Mojej drugiej mamy. To ona mnie nosiła na plecach, jak byłem mały.

- Druga żona twojego ojca?

- Nie, skądże. My, Tuaregowie, mamy ludzi, którzy dla nas pracują. My dajemy im jedzenie, ubrania. Mieszkają z nami, a my się nimi opiekujemy. A to moja żona.

- Nie mówiłeś, że masz żonę, w dodatku w zaawansowanej ciąży

- mówię, pamiętajac jak zabawiał się wczoraj w barze ze śliczną przyjaciółką siostry Bury.

- No mam. Ale tylko tutaj.

Zona, też ładna, bardzo młoda dziewczyna, podaje mi rękę, bez uśmiechu i nie patrząc mi w oczy.

- Almoksin, możesz porozmawiać z żoną i wyjaśnić jej, że ja tylko w sprawie wielbłąda?
- Nie ma sprawy. Nie przejmuj się nią.

Jedynie umeblowanie kopułowatej chatki to małżeńskie łóżko z baldachimem oraz mniejsze, obok, które dostają na noc.

Mija trochę czasu, zanim pojawiają się dwie oturbanione postacie z dwoma wielbłędami, z których jeden tylko jest biały. Almoksin zakłada mu tradycyjne, ozdobne tuareckie krzeselko, do tego

zwieszające się z boku ozdoby, sam ubiera się w nowiutką szatę i turban i pierwszy dosiada wielbłąda.

- Twoja kolej - mówi po chwili.

Ściągam buty, bo Tuaregowie zwyczajowo jeżdżą na wielbłędach boso, przyczepiając sandały sznurkiem do boku siodła. Wielbłąd wstaje delikatnie, falistym ruchem i przechadzamy się wokół.

Wędrujemy niewielki kawałek do wioski, Almoksin pieszo, ja na wielbłądzie. Mój widok wywołuje lekkie podekscytowanie. Wielbłąd jest przyjazny, maszeruje dokładnie tam gdzie chcę. Ale kiedy przychodzi czas na konkretną rozmowę, okazuje się, że właściciel chce za niego nierealnie dużą jak na tutejsze warunki cenę, choć i tak mniej więcej połowę tego, co w Maroku. Ale wiem, że ceny wielbłądów wahają się tutaj w okolicy trzystu tysięcy tutejszych franków. Mówię Almoksinowi, że maksymalnie mogę zapłacić trzysta dwadzieścia pięć tysięcy (dokładnie pięćset euro) - i to już ze wszystkim - siodłem, sznurkami, kocami itd.

- Chodź, kilkanaście kilometrów stąd jest wioska, w której mój znajomy ma pięknego wielbłąda, jeszcze bardziej białego.

W nocy, z pomocą miejscowych przyjaciół udało się Almoksinowi naprawić i przyprowadzić motocykl, więc pojedziemy motocyklem, a ja mam nadzieję, że zaraz kupię wielbłąda i wrócę do Gorom-Gorom na nim, bo jazda z Almoksinem przez pustynię nie należy do przyjemności.

W wiosce Darkoy witamy się z dostojnym brodatym mężczyzną o imieniu Halib. Rzeczywiście, jego wielbłąd jest trochę bielszy i bardziej okazały niż ten pierwszy. I równie dobrze wytrenowany.

- I jak? Może być?

Najlepiej byłoby móc wybrać z kilku stojących obok siebie wielbłądów, ale mam tu tego jednego. Jest ładny, biały, wytrenowany

- wszystko, czego chciałam. Czyżby nadszedł właśnie czas na spełnienie białowielbłądniego marzenia?

- Może. Tylko jeszcze kwestia ceny.

Zaczynamy od wyższej, ale po delikatnym targowaniu cena spada dokładnie do takiej, o jakiej wspominałam wcześniej Al-moksinowi - trzysta dwadzieścia pięć tysięcy franków. Mam tylko nadzieję, że mam wystarczająco gotówki jeszcze z tej, którą wyciągnęłam z bankomatu w Maroku na tamtejszego wie a. a.cę większość sumy w euro, trochę we frankach, a ostatnie ważące pięć tysięcy w dolarach. W plecaku w Gorom-Gorom mam ostatnie pięćdziesiąt euro, które będzie musiało wystarczyć aż do Niamey w Nigrze, gdzie - mam nadzieję - są bankomaty. Albo do momentu, aż sprzedam wielbłąda. Tak więc równowartość pięćset euro oraz jeden biały wielbłąd zmieniają właścicieli.

- Pojedziemy na nim razem do Gorom-Gorom, a ja wyślę kogoś, aby potem przyprowadził motocykl - mówi Almoksin. Szkoda, że nie mogę od razu usiąść sama i odejść w dal z moim wielbłądem. Ale już wkrótce. Tymczasem Almoksin siada w krzeselku z przodu, ja na kocyku z tyłu, poinstruowana, aby trzymać się sierści garbu i krzeselka. Tutaj kobiety w ogóle nie dosiadają wielbłądów, a jeśli już - to tylko z tyłu. Dlatego w ten sposób musimy opuścić wioskę. Za wioską się zmieniamy. Wielbłąd idzie spokojnym tempem. Kiedy wkrótce, pośrodku pustkowia słyszymy nadjeżdżający motocykl, Almoksin zatrzymuje gościsi i prosi, aby zabrał mnie ze sobą do Gorom-

Gorom, a on sam przyjedzie na wielbłądzie. Tak będzie dwa razy szybciej. Tuż po zmroku docieramy prosto pod dom Almoksina, gdzie od wczoraj czeka na nas zaniepokojony Bura. W ogóle nie wychodził, aby nie minąć się z nami, kiedy przybędziemy. Idziemy razem na sałatkę, na internet, a potem odwiedzić przyjaciół, a kiedy wracamy, mój biały wielbłąd stoi już pod drzewem na podwórku.

Kati miała nadzieję, że nazwę wielbłąda jej imieniem, nie zważając na to, czy będzie to samica, czy samiec. Ale jakoś nie mogę tego zrobić. Kati jest zbyt unikalna i żadne zwierzę, nawet mój okazały wielbłąd nie będzie miał tak na imię - bo to nie to samo. Więc na cześć Kati przestawiam tylko sylaby i nazywam mojego wielbłąda Tika, chociaż to raczej imię dla samicy, a nie dla wykastrowanego samca. Miałabym ochotę głaskać go i przytulać, ale nie jest to prosta sprawa. Wielbłądy, tak jak i wszystkie zwierzęta tutaj, traktowane są wyłącznie utylitarnie i nikt się z nimi nie cacka ani nie zaprzyjaźnia w taki sposób, w jaki ja bym chciała. Tika nie pozwala się dotknąć, wydając ryki protestu za każdym razem, kiedy wyciągam rękę. Ciekawe, ile czasu zajmie, zanim się ze mną oswoi...

Pierwsza rzecz z rana - idę przywitać się z Tiką. Widzę, że obskubał liście z dolnych gałęzi jedyne drzewa na piaszczystym podwórku Almoksina. Chcę poczęstować go czymś w rodzaju ciastka z suszonych owoców pustynnych krzewów, ale mija trochę, zanim pozwala mi zbliżyć rękę do swego pyska. Almoksin mówi, że trzeba zaprowadzić wielbłąda poza wioskę, aby pojadł liści rosnących tam krzaków. Dostaję też pierwszą lekcję siodłania. Za wioską, gdzie wokół studni zgromadzone jest stado bydła, Almoksin znajduje jednego ze swoich „niewolników”. Oswabdzamy więc wielbłąda z siodła i ze sznurka, związując mu przednie nogi, tak że będzie mógł dreptać tylko małymi kroczkami od krzaka do krzaka i powierzamy go „niewolnikowi” aby go doglądał.

Potrafię już samodzielnie zamontować i zdemontować siodło, wsiąść i zsiąść z wielbłąda. Mam jednak problem z nakłonieniem Tiki, żeby usiadł przed osiodłaniem. W tym celu trzeba mocno pociągnąć za przyczepiony do kolczyka w nosie sznurek, ale ja nie potrafię robić tego brutalnie, więc Tika ignoruje moje polecenie. Nie wiem też, jak uda mi się przyczepić sznurek, kiedy będzie puszczony wolno ze związanymi nogami. Dziś w każdym razie, osiodławszy wielbłąda, wybieram się na przechadzkę po wiosce, aż na rynek w centrum. Widok samotnej białej kobiety na białym wielbłądzie wywołuje niemałą sensację:

- Chodźcie zobaczyć białą na wielbłądzie! - krzyczą dzieci po francusku na mój widok.

Tika maszeruje spokojnie, lekko oszołomiony ilością ludzi i ruchem wokół. Idących ludzi, kozy, wozy z osiołkami i rowery ignoruje. Na motocykle podnosi uważnie głowę, ale uznaje je chyba za niegroźne. Ale kiedy pojawia się ciężarówka - zdecydowanie głośniejsza i większa od niego - Tika panikuje i nie zważając na mnie zaczyna prawie galopować, a ja nie jestem w stanie go zatrzymać. Z pomocą przychodzi mi przechodzący nieopodal Tuareg, który łapie sznurek, hamuje wielbłąda i prowadzi przez chwilę, aż ten ^{się} uspokaja. Postanawiam wrócić do domu. Ale... którędy? Do tej pory zawsze przemierzałam identycznie wyglądające uliczki Go-rom-Gorom z Burą czy Almoksinem, a kiedy idę z kimś, nie zawsze zwracam uwagę na drogę. Błądzimy więc trochę, kluczymy, pozdrawiani nieustannie krzykami dzieci, ale w końcu trafiamy do domu.

Pod wieczór spotykamy się w barze z Alim, któremu właśnie urodziła się córeczka. Ali ma problem, bo za tydzień trzeba wyprawić ceremonię, coś w rodzaju chrzcina, i powinien rodzinie żony dostarczyć barana czy kozę. A okazuje się, że nie ma nawet pieniędzy na ubranko czy najpotrzebniejsze rzeczy dla dziecka. Bura jako przyjaciel czuje się zobowiązany pomóc, więc wieczorem kupujemy w sklepiku parę kostek mydła i puder dla niemowląt, a jutro z rana nabędziemy jakiś niemowlęcy komplecik. Bura oczekuje też przelewu jakichś pieniędzy od przyjaciół z Francji i kiedy je dostanie, zakupi worek ryżu. Tutaj tak to działa. Jeśli mają pieniądze, to wydają je hojnie i szybko, często w miejscowym barze. Jeśli nie mają - zawsze mogą liczyć na rodzinę i przyjaciół.

Zycie w Gorom-Gorom płynie spokojnie i bez pośpiechu. Jako że wszyscy się tu znają, pozdrawiają się nieustannie. A tutejsze pozdrowienia nie składają się wyłącznie z „dzień dobry”, a wyglądają mniej więcej tak: „Dzień dobry. Jak zdrowie? W porządku? To dzięki Bogu. A rodzinka?”

Jak dzieci? A zmęczenie?” Potem następują bardziej konkretne pytania skierowane do danej osoby. Mnie oczywiście pytają zawsze: „Jak wielbłąd?” Pozdrowieniu towarzyszy specyficzny, rozbudowany uścisk ręki - uścisk, pstryknięcie środkowymi palcami, stuknięcie się pięściami, przyłożenie ręki do serca. Nie wiem, z czego żyje tu większość ludzi, ale na przykład w domu Alego o każdej porze jest mnóstwo młodych ludzi oglądających filmy akcji na VCD. A dom rodziny Bury pełen jest siedzących na podwórku pod domkiem kobiet i drepczących lub pełzających wokół małych dzieci. Natomiast w domu Almok-sina pojawiają się sporadycznie i znikają dostojnie ubrani i dostojnie zachowujący się oturbanieni kuzyni Tuaregowie, a przez większość czasu leci na okrągło CD z tuareską muzyką z Nigru.

Oplacam parę bidonów wody, które pracownik Almoksina przynosi ze studni. Będziemy myć wielbłąda, aby był prawdziwie biały, bo jest trochę przykurzony. Pytałam Almoksina, czy robi się takie rzeczy, czy można kąpać wielbłąda, a on mówi, że jak najbardziej. Więc w parę osób polewamy go wodą z proszkiem, a Tika leży spokojnie poddając się higienicznym zabiegom. Ze zmoczoną sierścią wygląda ciut mętnie, ale Bura mówi, że zobaczą, jaki jest śliczny i biały, jak tylko wyschnie.

Dziś jedziemy motocyklem po wielbłąda, z którym wrócę sama, bo znam już drogę. Kiedy docieramy pod krzaki, gdzie zostawiliśmy rano Tikę, dostaję lekkiego szoku. Czy to na pewno mój wielbłąd? Bo mój był biały, szczególnie dziś - świeżo wyprany. Ale okazuje się, że chyba nie lubi być czysty. Albo - po prostu umyślnie zrobił nam na przekór - wytarzał się cały w szaro-brązowym pylu! Bura pociesza mnie, że wystarczy go trochę poklepać, wytrzeć... W każdym razie, nie ma chyba sensu ponownie go myć.

Zakładam Almoksinowi, który pierwszy raz w życiu dotyka komputerowej klawiatury, konto internetowe na francuskim Yahoo. Następuje mały problem, kiedy przy rejestracji trzeba podać dokładną datę urodzenia, bo Almoksin urodził się na pustyni, a jego tuareška rodzina nie miała wtedy kalendarza. W dowodzie osobistym ma podany tylko rok. Wpisuję więc - pierwszy stycznia. Bura mówi nam potem, że w jakimś miejscowym urzędzie widział spis ludności - większość jest urodzona pierwszego stycznia...

Kolejny dzień targowy w Gorom-Gorom, co oznacza, że spędziłam tu już cały tydzień. Ale dobrze czasem zatrzymać się na trochę i stać się częścią miejscowego krajobrazu. Mam z Almoksinem odnaleźć na targu przybyłego tu dziś byłego właściciela mojego wielbłąda, aby podpisać dokument kupna-sprzedaży - w momencie kupowania, z radości zupełnie o tym zapomniałam. Ale Almoksin mi gdzieś znika, a na targu tyle się dzieje... Pozdrawiają mnie liczni znajomi, pytają o wielbłąda, dają rady co do trasy. A jest stąd kilka różnych dróg przez pustynię prowadzących do nigerskiej granicy. Skserowałam kawałek miejscowej mapy i rozmawiałam wczoraj z chłopakiem, który zna najkrótszą chyba trasę, bo przebył ją wielokrotnie na motocyklu. Wypisał mi nazwy wiosek i przybliżone odległości między nimi. Zresztą - będę pytała po drodze, bo każdego dnia powinnam dotrzeć do jakiejś osady.

Po południu znajdujemy w końcu Halida, ubranego jak zwykle w zieloną szatę, w turbanie. Halid jest niepiśmienny. Almoksin średnio. Ja nie znam na tyle francuskiego. Ale znajduje się człowiek, który za opłatą sporządza kwitek potwierdzający zakup białego wielbłąda. Kto wie - może być to przydatne w momencie sprzedaży.

Choć większość ludzi wątpi, aby kobieta, a w szczególności biała mogła samotnie dotrzeć wielbłądem gdziekolwiek, ja czuję się prawie gotowa. Wieczorem jeden z tuareških kuzynów Almoksina pokazuje mi, w jaki sposób przymocować z tyłu za wielbłądzim garbem mój duży plecak. Postanawiam dać sobie jeszcze jeden dzień i wyruszyć pojutrze rano.

Bura zajęty jest z Alim różnymi sprawami związanymi z jutrzejszymi „chrzcunami”, więc siodłam Tikę i jadę za wioskę sama. Docieramy na miejsce jakąś inną ścieżką, na której wyrasta wielkie drzewo i zanim udaje mi się zwolnić czy inaczej wymanewrować Tikę, kroczy my wprost przez kolczaste gałęzie, a Tika nie bierze poprawki na to, że moja twarz jest ciut wyżej niż jego głowa i wychodzę z tego z dwiema szramami od kolców w poprzek twarzy. Bura stwierdza potem, że jestem już ochrzczona. No to mogę chyba jutro ruszyć. Bura jednak przekonuje mnie, że powinnam koniecznie zobaczyć święto nadania imienia córeczce Alego. No więc jeszcze jeden

dzień...

Rano zastaję dom Almoksina zamknięty wraz z moim siodłem i plecakiem. Prowadzę więc dziś Tikę na popas po prostu na sznurku, a towarzyszy mi Aisha, ośmioletnia córeczka sąsiadów. „Ładny wielbłąd. I ładna córeczka” - komentują ludzie po drodze. Dokładnie - biały wielbłąd i czarna córeczka - czego jeszcze mogłabym pragnąć? Jeśli chodzi o chrzciny córeczki Alego, to wcześniej rano byli marabuci¹ odprawić modły i krótką ceremonię. Teraz w domu Alego mężczyźni grają na podwórku pod daszkiem w karty i będą grać aż do południa, a dopiero pod wieczór rozkręci się impreza. Zgodnie z tutejszym zwyczajem, kobieta po porodzie wraca do swojego domu rodzinnego - będzie tam mieszkać wraz z dzieckiem przez trzy miesiące. Teraz więc w domu żony Alego zgromadziła się rodzina. Wszyscy siedzą na werandzie wokół mężczyzny brzdąkającego na tradycyjnym strunowym instrumencie. Z kolei do domu Alego nadciągają elegancko ubrane starsze kobiety z bliższej i dalszej rodziny. Koza została już skonsumowana, mężczyźni nadal grają w karty, a z wystawionych na podwórko głośników leci głośna burkińska muzyka. Sam Ali natomiast znajduje się w barze, gdzie z przyjaciółmi pije piwo.

Zamiatam dziś podwórko przed domem Almoksina, bo pełno na nim wielbłądzich bobków. Zdecydowanie jutro już na mnie czas. Mam nadzieję, że dam radę. Że zaprzyjaźnię się z Tiką, że nie zbuntuje mi się i nie ucieknie, zostawiając mnie bez wody i plecaka pośrodku pustkowia. Oraz, że nie spotkam bandytów, którymi wszyscy mnie tu straszą. Podobno napadają i ograbiają ludzi z motocykli, ale nie wiem, czy wielbłędami też są zainteresowani.



26 - 27LUTEGO

„Kto chce podróżować z wielbłądem, musi wstawać wcześniej” - powiedział mi Almoksin, więc wstaję dziś o siódmej. Idę na targ na ostatnie w Gorom-Gorom śniadanie z bui i dokupuję jeszcze dwie świeże bagietki i pomidory na drogę.

- Tika, dzisiaj wyruszamy. Nie tylko na popas, ale trochę dalej - mówię witając się z moim czworonożnym, jednogarbnym, biało-sierścim przyjacielem.

Nie wiem, czy zrozumiał i czy jest zadowolony, ale czas się szykować. Tuareski kuzyn Almoksina, dostojnymi jak zwykle ruchami pasującymi do dostojnych szat i turbanu, pokazuje mi raz jeszcze, jak przywiązywać plecak. Kiedy jednak próbuję przymocować go sama, trochę mi to nie wychodzi, więc Almoksin mi pomaga. Jedzenie wkładam do worka po ryżu, który przywiązujemy do oparcia siedzenia z jednego boku wielbłąda, a mój plecak fotograficzny i dwulitrowy bidon z wodą - z drugiego boku. No to jestem spakowana i gotowa. Gotowa do opuszczenia Gorom-Gorom i do rozpoczęcia mojej białowielbłądzkiej przygody.

Bura odprowadza mnie pieszo poza wioskę, na drogę. Będzie tęsknił. Założył sobie konto e-mailowe. Będzie pisał. Robi mi na drodze pożegnalne zdjęcie i patrzy, jak powoli się oddalam. „Powoli” to odpowiednie słowo, bo Tice najwyraźniej nigdzie się nie spieszy. Kroczy sobie dostojnie, swoim własnym tempem. Wiem, jak sprawić, aby szedł szybciej czy biegł truchtem.

Mam do tego nawet odpowiedni, całkiem elegancki, ozdobny przyrząd, ale nie mogę jakoś zmusić się do uderzenia Tiki. Zresztą - mi też się nie spieszy. Wędrujemy więc prostą, szeroką, nie asfaltowaną drogą, skręcając z niej tylko wtedy, kiedy z rzadka pojawia się na niej auto lub - nie daj Boże - ciężarówka. Reakcje mijanych ludzi są różne: od zaniemówienia ze zdziwienia, poprzez machanie i pytanie czy wszystko w porządku, po wybuch radosnego, niedowierzającego śmiechu.

Wczesnym popołudniem docieram do odległej o dwanaście kilometrów wioski - Saouga. Stąd mam odbić w lewo, na wschód, w stronę nigerskiej granicy. Ale czas na odpoczynek. Zatrzymuję Tikę nieopodal budynku, pod którym sędzą w cieniu zdziwieni moim widokiem mężczyźni. Zdejmuję bagaże i siodło, odprowadzam wielbłąda nieopodal pod pustynne krzaki, aby je sobie po-skubał, zwiążuję mu przednie nogi i uwalniam ze sznurka przyczepionego do koleczka w nosie. Teraz dopiero mogę sama odpocząć i pożywić się bagietką z pastą z orzeszków ziemnych i pomidorem. Nie jest to zbyt długa przerwa, bo wyruszyłam dziś późno, ale mam nadzieję, że kiedy będę startować wczesnie rano, będę mogła pozwolić sobie na dłuższe postoje podczas najgorętszych godzin dnia.

Po jakiejś godzince przyprowadzam i siodłam wielbłąda i wjeżdżamy na drogę skręcającą stąd na wschód. Jest trudniejsza, mniej uczęszczana, ale ciągle można nazwać ją drogą, więc zaczynamy iść spokojnie, nie na przelaj piaskowych wydm, a w miarę cywilizowanie i bezpiecznie. Ciężko łapałoby się tu stopa, bo w moim kierunku nie przejechało jeszcze nic oprócz roweru i wozu z osiołkami. I dopiero po ponad godzinie marszu muszę odprowadzić Tikę kawałek od drogi, bo nadjeżdża z naprzeciwka pick-up. Okazuje się, że z dwoma białymi. Zauważywszy mnie hamują z niedowierzaniem i wracają kawałek, a jeden z nich wysiada, aby zrobić mi zdjęcie. Nowozelandczycy. Pracują przy wierceniu w wiosce Es-sahau, przez którą będę przechodzić jutro i do której mnie zapraszają, a teraz częstują chłodnym piwem, za które dziękuję, ale chętnie przyjmuję butelkę zmrożonej wody.

Miejscowość, do której mam teraz dotrzeć, nazywa się Kora-zena i odległa jest o kolejne dwanaście kilometrów. Pieszko pokonałabym ten dystans pewnie w tym samym czasie, bo Tika wędruje mniej więcej w tempie raźnie maszerującej osoby. Późno-popołudniowe światło nadaje intensywność barwom otaczającego świata. Niebo staje się przeraźliwie niebieskie, a droga i pustkowia wokół - mocno pomarańczowo-brązowe. Na krawędzi popołudnia i wieczoru docieram do pierwszych chat Korazena. Kiedy zsiadam z wielbłąda i pytam o możliwość noclegu, mówią mi, że najlepiej rozmawiać z szefem wioski. Szef jest sympatycznym starszym panem w długiej szacie, nie mówiącym za bardzo po francusku, ale dającym mi znać, że Tika i ja jesteśmy mile widzianymi gośćmi. Rozsiodłuję więc wielbłąda pod wielkim drzewem na podwórku, a szef osobiście przywiązuje go nieopodal i przynosi mu dwie bele suchego pokarmu, coś w rodzaju suchych sprasowanych liści. Dla mnie natomiast poleca przynieść matę do odpoczynku i krzesło. Dostaję też wiadro wody, żeby wziąć polewaną kąpiel. Wiem, że wiele par ciekawskich oczu obserwuje bacznie każdy mój ruch z oddali. A kiedy zapalam przywieziona z Gorom-Gorom świeczkę, zbliża się do mnie i siada w półokręgu obok mojej maty kilka kobiet i dziewczynek, wpatrując się intensywnie w płomień. Jest to jedyne światło w okolicy.

- W sklepiku w waszej wiosce nie ma świeczek? - pytam.
- Nie ma. Tu używamy lamp naftowych. Jeśli ktoś ma pieniądze, aby kupić naftę.

Wygląda jednak na to, że niewielu stać na taki luksus. W Gorom-Gorom nauczyłam się paru pozdrowień w najpopularniejszym tam języku - peul. Ale tutaj już się nie przydają, bo to inna wioska. Tu mówią w języku soraj. Moje ulubione słowo w peul to „dziolobo” czyli wielbłąd. Tylko jedna kobieta mówi po francusku i podtrzymuje konwersację tłumacząc całej wiosce, wydającej na zmianę okrzyki zachwytu, zdumienia i niedowierzania. Szczególnie, kiedy mówię, że tam, skąd pochodzę, nie ma wielbłądów i gdybym pojechała tam na Tice, umarłaby z zimna.

- A rośnie w twoim kraju prosa? - pytają.
- No... nie bardzo.
- A co wyjecie?

Bo tutaj życie miejscowych kobiet obraca się wokół prosa. Co rano przed każdą chatą kolorowo ubrana kobieta tłucze ziarno prosa wielkim drągami w drewnianym mózdzierzu.

Najpierw, aby oddzielić ziarna od łodyg. Potem, aby obłupać ziarna ze skorupki. Z masy z prosa robi się napój bui oraz smażone okrągłe ciasteczka, zwane po prosu „masa”. A na główny posiłek dnia, czy to południowy, czy wieczorny, serwowane jest „to”, czyli gotowana masa z prosa z sosem albo mięsny, albo z baobaba. Jak więc może wyglądać życie bez prosa? Wszystkie mijane po drodze, stojące samotnie na polach okrągłe budyneczki ze słomianymi dachami, wyglądające jak chatki krasnoludków, to właśnie składy-schowki na prosa. Bo to chyba jedyne, co rośnie na tej piaszczystej, spalonej słońcem ziemi.

Kiedy wypala się moja świeczka, kobiety zyczą mi dobrej nocy i oddalają się w ciemności. A ja zasypiam szczęśliwa pod gwiazdzistym niebem tuż pod chatką szefa wioski Korazena, słysząc jak nieopodal Tika pochrupuje suszone liście.

Przed ósmą rano siedzę już na grzbiecie wielbłąda i z tej zaszczytnej pozycji oglądam poranny świat. Tika kroczy swoim zwykłym, to znaczy mającym w nosie wszelki pośpiech tempem. Aż do momentu, kiedy przechodzimy koło obfitej kępy wyschniętej trawy, gdzie mój wielbłąd stwierdza, że jest zbyt apetyczna na to, aby ją tak po prostu minąć, zatrzymuje się i nic sobie ze mnie nie robiąc zaczyna skubać i niespiesznie przeżuwać. Wiem, że jest to absolutnie nieakceptowalne podczas jazdy zachowanie, ale tak jak nie mogę skłonić Tiki do szybszego marszu, tak nie mam serca odmówić mu przysmaku. Mam tylko nadzieję, że nie uczyni sobie z tego nawyku i nie będziemy zatrzymywać się co pięć minut. Kiedy decyduję, że czas ruszać, staczamy małą bitwę. Tika wydaje ryk niezadowolenia, ale odrywa się od kępy i drepczemy dalej.

Robi się coraz goręcej. Woda w moim plastikowym bidonie osiąga temperaturę zaparzonej niedawno herbaty. W miarę jak zbliżam się do wioski Essahau, której jeszcze nawet nie widać, droga zaczyna się zaludniać kolorowymi postaciami. Po jednej i drugiej stronie drogi, na wyschniętym, lekko pagórkowatym pustkowiu pracują ludzie wykopując i przesypując ziemię. A przed wioską, do której docieram tuż przed południem, krajobraz cały jest rozkopany. Być może gdzieś w okolicy mieszkają poznani wczoraj Nowozelandczycy. Mówili, że koło masztu-anteny. A okazuje się to być sporo poza wioską. Kiedy udaję się w tamtą stronę, spotykam przejeżdżającego akurat Roya. Mówi, abym się rozgościła, a on zaraz wróci.

W pobliżu jest tylko skupisko nomadzkich chatek z jednej strony i obóz pracowników wykopalisk z drugiej. W cieniu drzewa rozsiedluję Tikę. Podbiegają najpierw zaciekawione półnagie dzieci. Pojawiają się też elegancko, dostojnie wyglądające dwie kobiety ze srebrnymi monetami we włosach. Umawiam się, że za niewielką opłatą popilnują mi bagażu oraz wielbłąda, podczas kiedy ja odwiedzę Nowozelandczyków. Prowadzą mnie tam dwie inne - jakże inaczej wyglądające - młode dziewczyny: w dzinsach, obcisłych koszulkach, przeklinające po angielsku. To przyjaciółki moich znajomych. Wchodząc do niewielkiego domku-kabiny doznaję małego szoku kulturowego. Tu jakimś cudem jest nie tylko elektryczność, ale i klimatyzacja! Telewizor, DVD, półki z książkami, a w kuchni dwie potężne lodówki, wypełnione zimnymi napojami, warzywami, w szafce europejskie przysmaki w puszkach.

Mają tu nawet przywiezione z Ouagadougou owoce mango. Roy jest tu od ponad roku. Andrew od paru tygodni. Ale wcześniej był przez dwa lata w Mali z tą samą firmą - West African Drilling Services. Wiercą dziury w ziemi szukając dobrych miejsc na kopalnię złota. A te wykopaliska przed wioską to dzieło miejscowych poszukiwaczy szczęścia. Roy pokazuje mi albumik ze zdjęciami. Ma afrykańską żonę i dwie śliczne czekoladowe córeczki. Teraz są w Nowej Zelandii. Zostaję zaproszona do zostania tu na noc, jeśli mam ochotę - mieszkalna kabina tuż obok jest wolna i ma klimatyzację, a lodówki pełne prawie zapomnianych przysmaków są do mojej dyspozycji. To naprawdę kusząca propozycja. Ale nie po to przemierzam kawałek Afryki wielbłądem, aby poszukiwać wygód zachodniej cywilizacji. Noc u szefa kolejnej wioski bez światła będzie chyba prawdziwszym doświadczeniem.

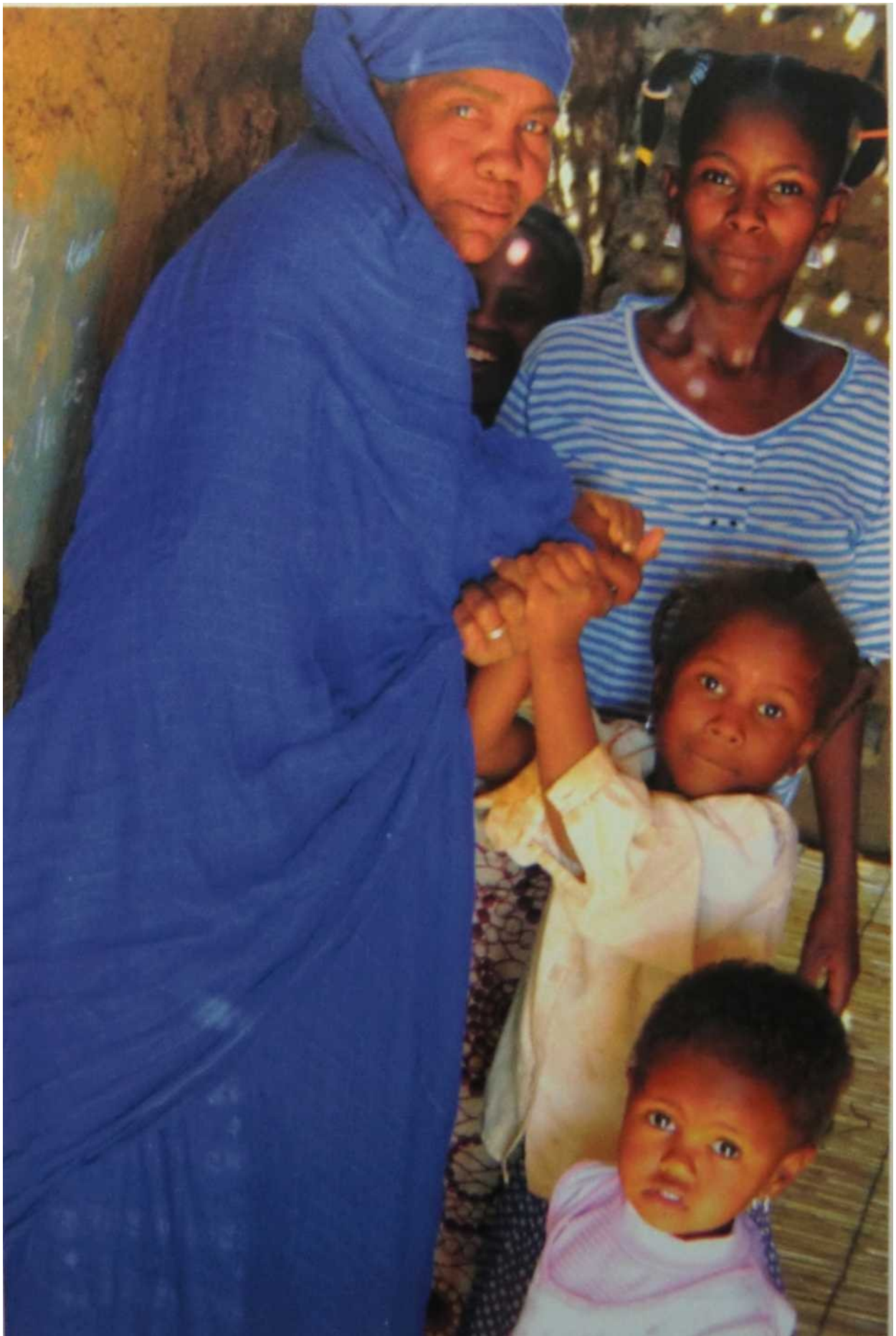
Andrew filmuje, jak przyprawiam i siodłam Tikę, po czym z pomocą jednej z kobiet przymocuję plecak. Zabieram ze sobą butelkę zamrożonej na lód wody, która roztapia się całkowicie zanim docieram do Falagountou. To ostatnia większa burkińska miejscowość na tej drodze. Jako że nie mam ani burkińskiej wizy, ani pieczętki wjazdowej, mam nadzieję, że nie jest to oficjalne przejście graniczne i nie będzie tu kontroli paszportowo-celnej. Na początku wioski

jednak znajduje się posterunek policji i umundurowany oficer zaprasza mnie do siebie. Zsiadam, przywiązuję Tikę do pobliskiego drzewa i poproszona o paszport potrzebny do wypełnienia formularza, wykręcam się faktem, że został w plecaku przymocowanym do wielbłąda, a to trochę zachodu - lepiej wypełnię z pamięci. Ale i tak to tylko formalność nie mającą nic wspólnego z przekraczaniem granicy.

-Jeśli potrzebujesz przyjaciela w Burkina, przyjdź do mnie wieczorem - mówi młody policjant.

Uśmiecham się niezobowiązująco na pożegnanie i pieszo, prowadząc Tikę na sznurku podążam za innym młodym gościem prowadzącym mnie do szefa Falagountou. Ten szef mówi świetnie po francusku, wita mnie bardzo serdecznie, mówi, że dostanę zaraz miejsce do spania dla mnie i dla mojego wielbłąda, najlepsze, jakie może mi zaoferować. W gospodarstwie jego brata, bo tam więcej miejsca. Tika dostaje dla siebie całą zagrodę dla bydła, ja będę mieć

do swojej dyspozycji jeden cały domek zbudowany z ziemi, z piaszczystą podłogą. Wygląda, jakby trzymali go dla gości. Wieczorem szef wioski przysłała mi w darze sałatkę. Dzielę się z nią z chłopakiem, który mi towarzyszył, oraz bratem szefa. Tutaj też po zachodzie słońca wioska pogrąży się w ciemności, ale chyba specjalnie dla mnie znajduje się lampa naftowa. Korzystam z niej tylko przez chwilę, bo dzień na wielbłądzie okazuje się jednak męczący, tak że idę wcześniej spać.

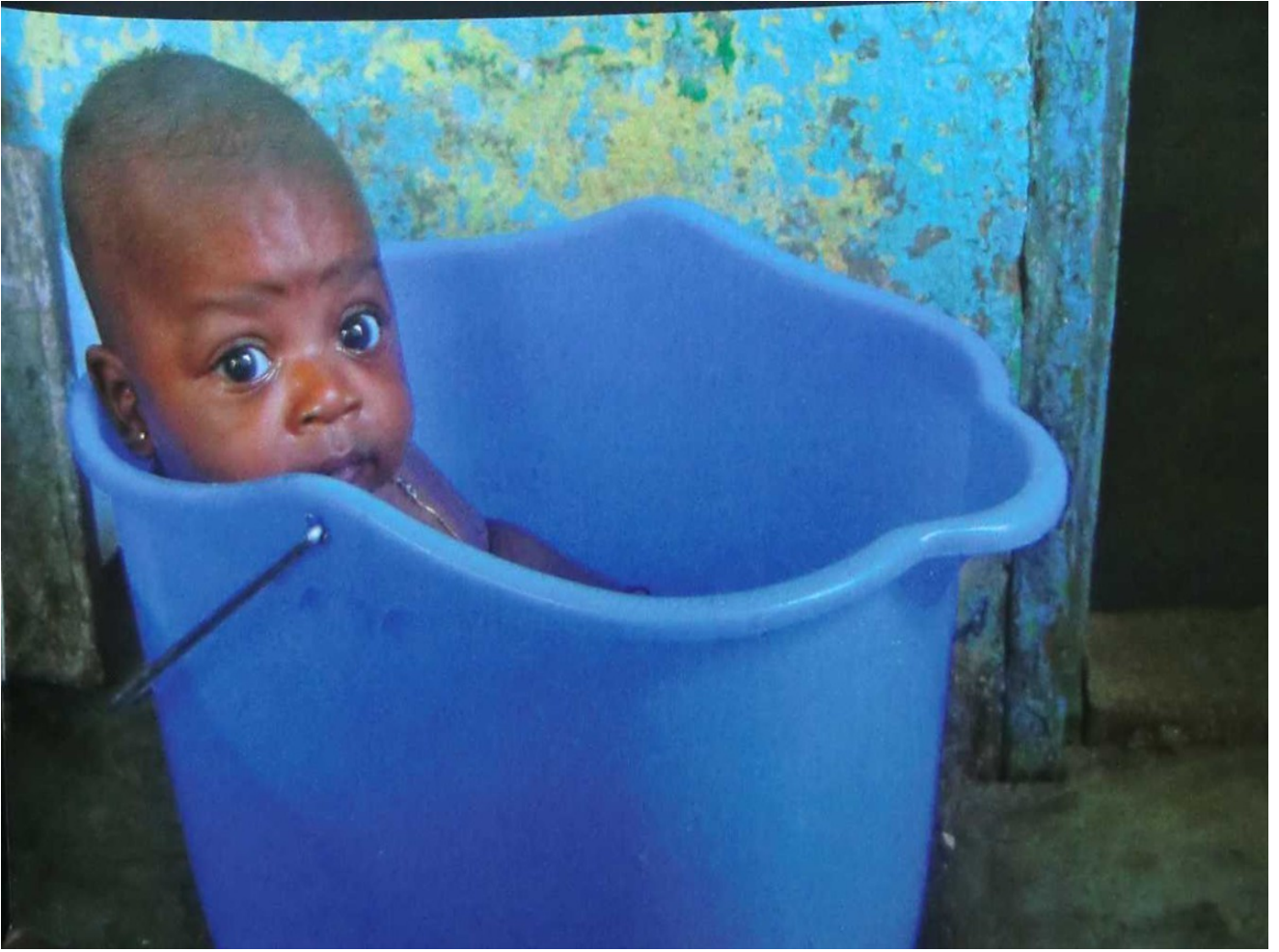




DZIECI
AFRYKI

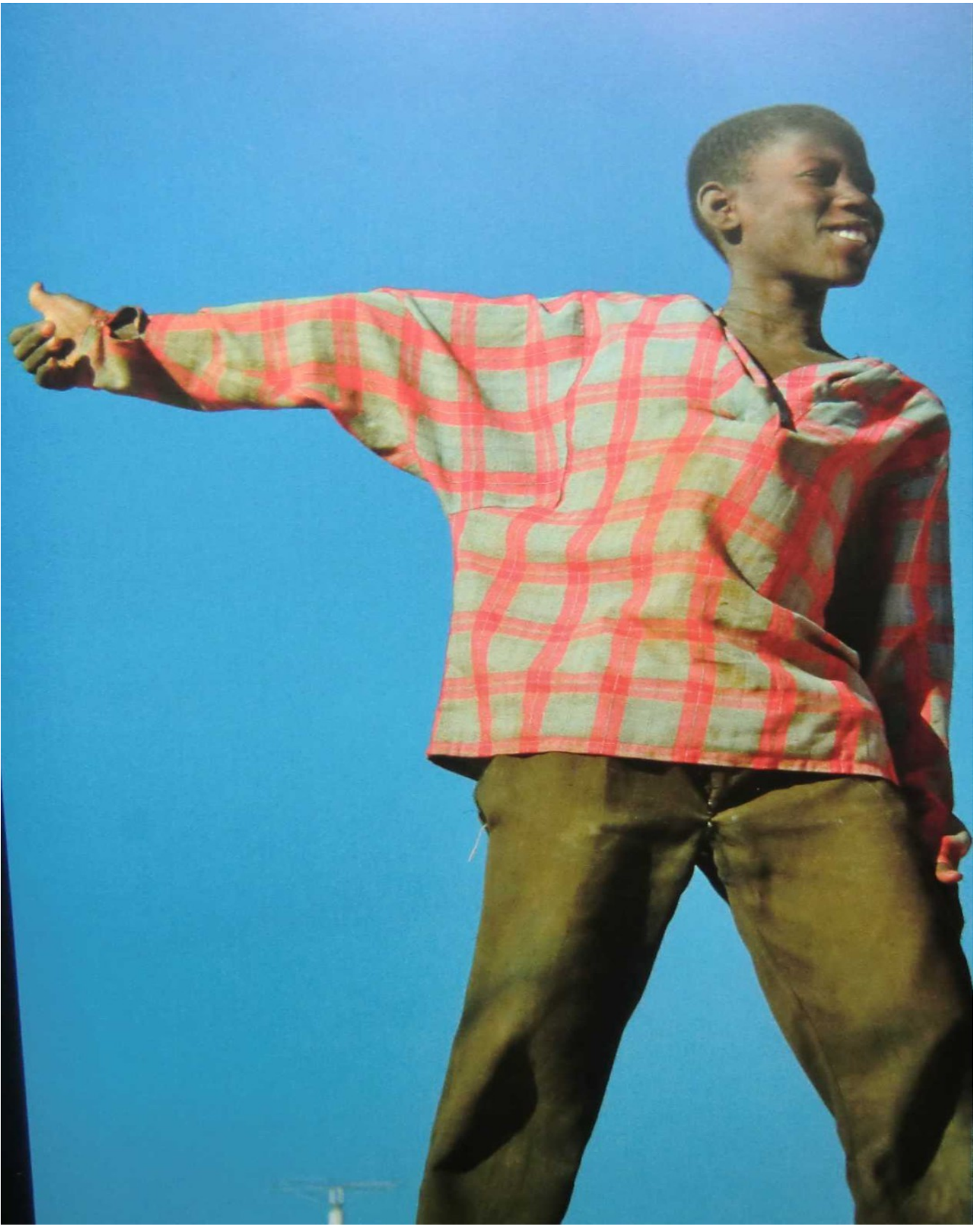


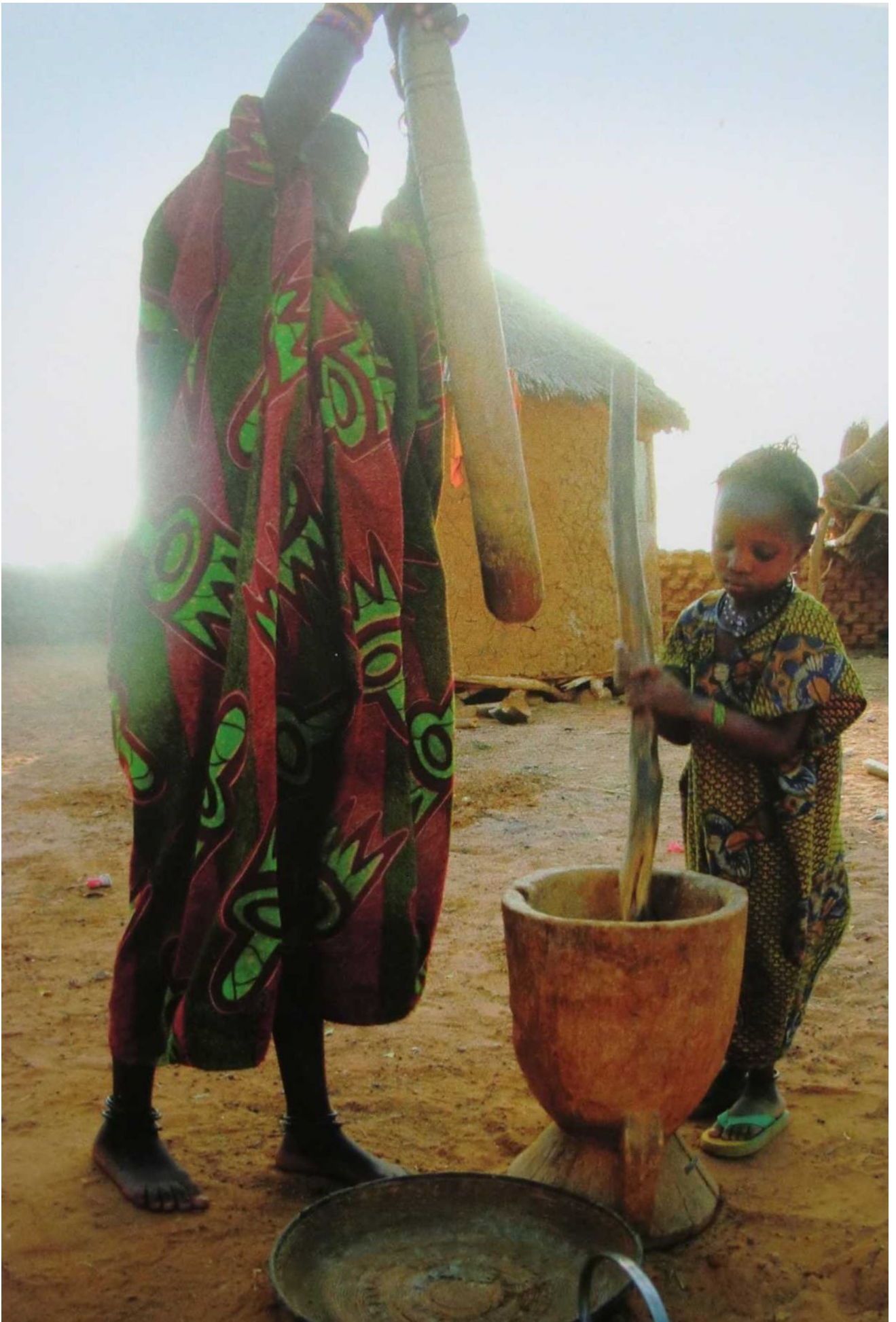












CZEŚĆ VII

NIGER

Pierwsze, co widzę z rana wychodząc przed chatkę, to kobiety i dziewczynki ubijające drągami proso. Natychmiast też, kiedy się pojawia, zostaje mi wręczona miska ze słowami:

- Szef wioski przesyła masę.

Dzielę się ciasteczkami z całym podwórkiem. Żegnam gościnnego szefa wioski, siodłam Tikę. Brat szefa pomaga mi przymocować plecak. Dopiero za wioską każę Tice usiąść, dostarczając uciechy dzieciakom - biała kobieta dosiadająca białego wielbłąda.

I odjeżdżająca na nim powoli samotnie w siną dal.

W Falagountou skończyła się droga. Stąd prowadzi tylko wy-dreptana-wyjeżdżona ścieżka, rozwidlająca się niejednokrotnie na kilka alternatywnych, kiedy ta główna staje się zbyt piaszczysta. Staram się podążać tą najgłówniejszą, prowadzącą przez wysuszone pustkowie już w miarę prosto do nigerskiej granicy. Nie wiem, czy można nazwać to pustynią, bo okolica pełna jest kolczastych krzaków, a nawet gdzieniegdzie kolczastych drzew. W oddali widać wzgórze z płaskimi wierzchołkami. Od czasu do czasu mijam skupisko prostych, okrągłych chatek z ziemistych cegieł, otoczonych mniejszymi: bez drzwi, tylko z okienkiem - to spichlerze na proso. Do ostatniej burkińskiej wioski, Sela, mam około piętnastu kilometrów. Mija mnie wóz z dwoma osiołkami wiozący dwie metalowe beczki. Zagaduje mnie mężczyzna w kolorowej szacie. Też jedzie z okolicy Gorom-Gorom. Co tu robi? Po nigerskiej stronie napełni beczki wodą i pojedzie w pustynię sprzedawać ją w no-madzkich osadach. To jedyny sposób, w jaki może zarobić parę groszy. Pyta, czy mam coś do jedzenia.

- Mam tylko rzeczy, które trzeba ugotować - ryż, makaron, fasolkę. Jak dojedziemy do wioski i coś tam będzie, to zapraszam pana na posiłek. A daleko jeszcze?

- Nie, nie. Tuż, tuż.

Tutejsze „tuż, tuż” może oznaczać wszystko. W każdym razie osiołki truchtają podobnym tempem, co Tika kroczy, więc je-dziemy razem.

Sela to nawet nie wioska, a kilka porzrzuconych budynków oraz garstka okrągłych chatek. I pompa, wokół której zgromadzony jest tłumek miejscowych i stadko bydła pijące wodę ściekającą do betonowego zbiornika. Tika też gasi pragnienie, parszając pociesznie. Mój znajomy z osiołkami tu napełni beczki. Mówi, aby iść dalej prosto - mniej więcej trzy do pięciu kilometrów - do pierwszej nigerskiej wioski. Tam się spotkamy.

Wędrujemy więc dalej, przekraczając wyschniętą zupełnie rzekę, jak się domyślam - granicę. Bez kontroli paszportowej, bez pieczętek. Na szczęście - bo nie mam ani burkińskiej, ani nigerskiej wizy. Ani nawet pieczętek z kilku ostatnich granic. A więc na wielbłądzie wkroczyłam do kolejnego afrykańskiego państwa. Pierwsze pojedyncze chatki, jakie tu mijam, są niewielkie, okrągłe, nawet nie z cegieł, a z plecionych mat. Kiedy w końcu pojawiają się domy wioski Amarasinge, nadjeżdża mój znajomy. Tuż przed wioską zatrzymujemy się. Młody Tuareg w ozdobnej zielonej szacie, turbanie i z mieczem zgadza się za drobną opłatą popilnować wielbłąda i bagażu. Mój burkiński znajomy zaprasza na wóz i w ten sposób wjeżdżam do Amarasinge.

Od razu kierujemy się do domu marabuta. Brodaty marabut w czarnej szacie i turbanie wita nas na swoim podwórku. Pośrodku stoi podwyższona platforma z matą - jego łożo. A w dwóch przeciwnych rogach są podobne platformy, tylko dodatkowo zadaszone, na których spoczywają dwie jego żony, każda otoczona gromadką dzieci. Po chwili konwersacji idę z moim znajomym zobaczyć, czy znajdziemy coś do zjedzenia w wiosce. W sklepiku, przed którym sprzedają ciasteczka z masy dogadujemy się, że jak kupię u nich kilo ryżu i kilo fasolki, to ugotują mi to i za godzinę zaserwują polane olejem. Wracamy więc na podwórko marabuta, gdzie dostają leżak z drewnianych prętów i gdzie gromadzi się tłumek miejscowych zaintrygowanych moim

pojawieniem.

- Skąd jesteś? - pyta jeden z Tuaregów w ciemnych okularach.
- Z Polski.
- Polski? Czy to na Wybrzeżu Kości Słoniowej?
- Nie. Jak ci to wyjaśnić... to w zupełnie przeciwnym kierunku niż Wybrzeże Kości

Słoniowej.

- Aha.

Po jakiejś godzinie przychodzi chłopiec z ogromną miską ryżu z fasolką. Tłumek zostaje wyproszony, a mój znajomy i ja posilamy się z jednej miski zapraszając też marabuta i żony. Marabut kurtuazyjnie tylko kosztuje i wraca do studiowania zapisanych arabskimi znaczkami kartek z fragmentami Koranu. Ale zostaje jeszcze ponad pół miski jedzenia, które trafia potem do żon i dzieci.

Marabut mówi, że mój wielbłąd i ja możemy zostać jak długo tylko chcemy. Posyła natychmiast swoich chłopców, aby przynieśli spod drzewa siodło i bagaże, zwolnili Tuarega i sami pilnowali dalej Tiki. Najmłodsze dzieci biegają tu nago. Starsze ubrane są w przypadkowe kawałki garderoby. Jeden chłopiec w samych szortach. Inny, może czteroletni, w nie wiadomo skąd wziętej za dużej kurtce, która jest jego jedynym ubraniem - nie ma poza tym nic: ani butów, ani majteczek. Jedna z żon wraz z córką tłucze proso. Druga wyrusza z wiadrem na głowie po wodę. Chłopcy zaprzęgają osiołka i wybierają się gdzieś, marabut leży rozłożony pośrodku swojego królestwa, a młoda kózka wzięła właśnie tyk z przyniesionej dla mnie miseczki wody. Spędzam popołudnie w cieniu drzewa, usiłując skupić się na pisaniu pamiętnika.

Daję Mohamedowi, najstarszemu synowi marabuta, pudełeczko herbaty i garść kostek cukru z przywiezionych przeze mnie zapasów. Młodsze rodzeństwo wygrzebuje skądś trochę na wpuł spalonego węgla i Mohamed zabiera się do zaparzania. Widzę, na krawędzi jakiego ubóstwa żyją, kiedy pyta, czy ma wsypać całe opakowanie czy tylko pół. Mówię, że pół w zupełności wystarczy i dorzucam jeszcze cukru, aby starczyło na drugie pół na jutro. Wszędzie dotąd jedno małe opakowanie starczało na jedno zaparzenie supermocnej, supersłodkiej herbaty. Dla mnie pół jest jak najbardziej OK, przynajmniej da się bez skrzywienia wypić.

Robi się ciemno. Wyciągam moją ostatnią świeczkę, która przełamała się na pół. Zapalam połówkę.

- Może zgasić, dopóki nie zagotuje się woda? - sugeruje nieśmiało Mohamed. - Żeby zaoszczędzić, bo i tak nic nie robimy.

- Nie, niech się pali. Przyjemnie ze światłem - mówię, zdając sobie nagle sprawę, że brzmi to pewnie trochę ekstrawagancko.

- Mohamed, ile dzieci ma twój ojciec? - pytam z ciekawości.

- Być może... około czternastu chyba - odpowiada niepewnie.

Po chwili wyłania się z ciemności jedna z żon z ogromną miską. Wieczorny posiłek, składający się z ryżu. Samego, ugotowanego białego ryżu, polanego odrobiną oleju. Młodsze rodzeństwo musi poczekać, aż skończą starsi. Postanawiam zostawić jutro rodzinie marabuta większość przywiezionych przeze mnie z Gorom-Gorom zapasów.

Kiedy z braku światła idzie się wcześniej spać, nietrudno jest wstać szarym świtem, szczególnie jeśli śpi się na łóżku na podwórku pod rozgwieżdżonym niebem, a o poranku słyszeć odgłosy budzącej się wczesnie wioski. Do najbliższej wioski, Lemdu, jest podobno piętnaście kilometrów. Choć wszelkiego rodzaju miary - czy to czasu, czy odległości - są tutaj dość abstrakcyjne, bardzo dowolnie rozumiane. Z ciekawości pytam parę osób, które pozdrawiają mnie po drodze. Mężczyzna na rowerze mówi, że jakieś dziesięć, a wędrujący pieszo Tuareg twierdzi z przekonaniem, że siedemnaście. Przy okazji pomaga mi porządnie przymocować plecak, bo to wciąż moja słaba strona. Idziemy więc krok za krokiem przez dość opustoszałe pustyne stepy, gdzie nie ma wiele wioski ani wielu ludzi. Tika wypatruje tylko co smakowitszych krzaków i drzewek i nie rozumie, kiedy tłumaczę, że zatrzymamy się niedługo i będzie puszczonej wolno, aby wcinąć, ile wlezie.

Kiedy piaszczysta dróżka wspina się na bardziej zadrzewione wzgórze, domyślam się, że to

już Lemdu. Rzeczywiście. Zostawiam Tikę wśród drzewek, gdzie nieopodal pasie się też inny wielbłąd, a sama idę do wioski, która jest niewielka, może nawet mniejsza niż Amarasinge, ale dziś tętni życiem, a cały piaszczysty plac zajęty jest przez niewielkie, rozłożone na ziemi pod prowizorycznymi daszkami stoiska targowe. Nawet bez wielbłąda mój widok budzi tu małą sensację. Kupuję miskę ryżu z sosem z dyni. Przyglądam się kobietom, które pochodzą z różnych grup etnicznych. Są te, co noszą wplecione w warkoczyki srebrne monety, i te, które przystrajają warkoczyki srebrnymi ozdobami, a także tuareskie kobiety z ekstrawaganckimi fryzurami. Najbardziej podobają mi się dziewczynki z ogolonymi głowami, mające jedynie linię włosów zostawionych na obrzeżach, z kępką pośrodku. Nagle widzę młodego mężczyznę, którego spotkałam wczoraj w Amarasinge. Zaprasza mnie z moim posiłkiem do domu swojej rodziny, gdzie mogę usiąść w cieniu i spokojnie zjeść, odpocząć i napić się chłodnej wody z glinianych dzbanów.

Upał się nasila, ale do kolejnej większej wioski, Tartaku, gdzie mogę zatrzymać się na nocleg, jest dość daleko, więc wyruszamy z Tiką w dalszą drogę. Wędrując i przez dłuższy czas nie spotykając nikogo, zaczynam podśpiewywać swoją własną wielbłądzą piosenkę:

Tuareg na motorze w zwiewnej szacie w kolorze tak niebieskim jak niebo Burkiny mija nas pozdrawiając i Allacha wzywając a obok przechodzą dziewczyny z ozdobami w warkoczach błyskiem uśmiechu w oczach balansując na głowie wodę co przynoszą ze studni każda się tym tu trudni a na plecach niemowlę młode Tika kroczy niespiesznie strzygąc uchem pociesznie szybkie tempo Tice nie w smak nigerskie przestrzenie Tika kocha szalenie Tika uj, Tika uj, Tika tak.

Piosenka pewnie byłaby dłuższa, ale pozdrawia mnie człowiek podążający samotnie w tym samym kierunku, co ja i mniej więcej w tym samym tempie. W plastikowych klapkach, bez bagażu, tylko z niewielką podręczną torbą Okazuje się, że idzie aż z Mali. Przez Niger, aż do Nigerii. On też jest tutaj pierwszy raz, więc nie ma pojęcia, czy jeszcze daleko. I nie ma nawet kogo zapytać.

Nareszcie tuż przed zmrokiem ukazują się w oddali ziemiste zabu-

dowania Tartaku. W momencie, gdy wkraczamy na główny plac wioski, nadjeżdża obładowany towarami i pasażerami pickup i pierwszy samochód, jaki dziś widzę. Jutro o świcie wyrusza do Tera i tam, dokąd zmierzam i ja. Tera to większe miasteczko, a jutro odbywa się tam cotygodniowy, wielki targ. Łącznie z targiem wielbłądów.

- Tylko tam uda ci się sprzedać swojego wielbłąda - mówi kierowca pickupa. - I tylko w dzień targowy. Dasz radę dotrzeć tam jutro?

Po pierwsze - nie wiem, czy jestem gotowa rozstać się z Tiką już jutro. Po drugie - do Tera stąd są podobno czterdzieści cztery kilometry. Czyli w tempie, w jakim wędruję z Tiką to bardzo spokojne dwa dni albo bardzo długi jeden dzień, więc w najlepszym razie dotarłabym późnym wieczorem. Najpierw jednak muszę znaleźć nocleg, odpocząć i potem zastanowię się, co dalej. Znajduje się chłopak, który prowadzi mnie do szefa wioski. Szefa akurat nie ma, ale jeden z jego braci wita mnie mówiąc:

- Nasza rodzina jest twoją rodziną. Ty i twój wielbłąd jesteście zawsze mile widziani.

Tika dostaje zagrodę i suszoną słomę, ja - łóżko pod daszkiem w podwórku. Został mi jeszcze makaron, koncentrat pomidorowy i cebula, więc przyrządzam kolację, na którą zapraszam brata szefa wioski i kobietę, która użyczyła mi garnka. To, co zostaje, dzielimy wśród zgromadzonych wokół dzieci. Dopiero najedzona i umyta powracam do ciężkiego tematu sprzedania wielbłąda.

- Większość ludzi żyje tu na skraju ubóstwa i jedynie na targach zwierząt znajdują się bogaci pośrednicy kupujący i sprzedający wielbłądy - słyszę. - Najbliższy, największy taki targ znajduje się w Tera. Jeśli chcesz, możemy poszukać kogoś, kto dostarczyłby tam twojego wielbłąda jutro przed południem. Sprawny jeździec zrobi to w parę godzin, a ty pojechałabyś tym autem, które jedzie do Tera jutro z rana.

Choć nie byłam przygotowana na tak nagłe rozstanie z Tiką, faktem jest, że robi się coraz goręcej, że jestem już trochę zmęczona oraz że brzmi to całkiem sensownie. Postanawiam oddać się w ręce losu. Jeśli znajdzie się ktoś chętny do szybkiej czterdzieści-stokilometrowej przejażdżki na wielbłądzie i nie będzie zbyt wiele za to żądał, to mogę to rozważyć. I od tego momentu wszystko toczy się błyskawicznie. Zjawia się mężczyzna o imieniu Aruna. Może zawieźć wielbłąda. Zajeździe

do Tera w niecałe pięć godzin. Wróci pieszo w tyle samo. Negocjujemy. Umawiamy się, że będę czekać na niego na targu wielbłądów. Dogadujemy się na pięć tysięcy franków, czyli około ośmiu euro. Jak na tutejsze warunki, to fortuna. Tu, szczególnie na wsi, mało kto ma okazję zarobić tyle w jeden dzień. Skoro auto odjeżdża o świcie, powinien zjawić się tu bardzo wcześnie. Piąta rano? OK. O piątej pojawia się jedna, bardzo jasna gwiazda. Aruna przyjdzie, jak tylko się pojawi. No to jesteśmy umówieni. Aruna poleca dobrze napoić Tikę przed jutrzejszą wyprawą i znika w ciemnościach. A ja z moim gospodarzem i jego kuzynem idę za wioską do dziury-studni. Miską z kala-basy na sznurkach czerpiemy wodę. Napełniamy dwa duże wiadra, które mężczyźni stawiają sobie na głowach i wracamy do zagrody Tiki. Kładę się spać z mieszanymi uczuciami, ale jestem zbyt wykończona długim dniem, aby rozpaczać nad zbliżającym się nieuchronnie rozstaniem, w które tak nie do końca wierzę. Może wcale nie uda mi się Tiki sprzedać...?

Aruna, kierujący się gwiezdą, jest bardzo punktualny. Idziemy po Tikę, który protestuje głośnym rykiem, wyrażając swoją niechęć - nie wiem, czy do tak wczesnego wyruszania, czy do nieuchronnego ze mną rozstania, które pewnie przeczuwa. Aruna, ubrany chyba w swoje najlepsze szaty - błyszczące, białe z kwiecistymi wzorkami - siodła Tikę. Tuareski miecz jest jego jedynym bagażem.

- Dobrej drogi - mówię.

Aruna kiwa głową, wprawnym ruchem dosiada mojego wielbłąda, wstaje i znika w ciemnościach. A mnie robi się nagle bardzo smutno... Wracam jeszcze na chwilę do łóżka, aż przychodzi po mnie mój gospodarz, mówiąc, że auto niedługo wyrusza. Wraz z kilkoma pasażerami wsiadam na pakę pickupa. Mknijemy przez piaszczyste bezdroża, a ja wypatruję białego wielbłąda z jeźdźcem w białych szatach. W wiosce Foneko chwila postoju, przesiadamy się do drugiego pickupa i wkrótce dojeżdżamy do miasteczka Tera, a ja doznaję małego szoku: po prawie tygodniu na pustkowiu, bez elektryczności - nagle asfalt (a ten ostatnio widziałam w Ouaga-dougou!), samochody, budynki, sklepy.

Za pozwoleniem kierowcy zostawiam plecak w magazynie z workami ryżu i prosa, i udaję się prosto na pobliski targ zwierząt. Tuż poza nim, na nieogrodzonym placu widzę parę wielbłądów oraz grupki mężczyzn w długich szatach i turbanach. Tiki póki co nie ma, ale jeszcze jest wcześnie. Postanawiam rozeznac się w sytuacji.

- Dzień dobry! Ile kosztuje ten wielbłąd - pytam brodatego właściciela młodego białego wielbłąda.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy franków. A co? Chcesz kupić?

- Nie, tak tylko pytam, bo chcę sprzedać. Ale mój jest droższy.

- Tak. A gdzie jest twój wielbłąd? - zaciekawia się, przysłuchujący się rozmowie mężczyzna w różowej szacie, różowym turbanie i okularach w złotej oprawce.

- W drodze. Będzie tu wkrótce.

- Kupię go od ciebie. Ale powiem ci od razu, że nie dostaniesz tyle, ile za niego zapłaciłaś.

- Ale to piękny wielbłąd. Dorosły, wytrenowany i ładniejszy niż wszystkie tutaj.

- OK. Zobaczmy jak się zjawi. Jeden rzut oka i powiem ci ile jest warty.

To pośrednik. Znawca i handlarz wielbłądów. Niepokojące jest trochę, że tu można kupić wielbłąda za sto pięćdziesiąt tysięcy, bo za swojego dałam przecież dwa razy tyle. Ale te są w większości młode i naprawdę nie tak okazałe, jak Tika.

- Masz wielbłąda? - pyta mężczyzna w średnim wieku i długiej brązowej szacie. - Ja dorzucę ci jeszcze pięć i pięć krów, jeśli za mnie wyjdiesz.

I jest to jeden z tych przypadków, kiedy nie jestem w stanie stwierdzić, czy to śmieszny żart, czy jak najbardziej poważna propozycja.

Więść o moim wielbłądzie szybko się roznosi i choć ściągają tu ciągle nowe wielbłądy, przywożone przez pełnych gracji Tuaregów - co chwilę ktoś pyta, czy mój już może przybyć.

- Wyruszył dziś rano z Tartaku? Oj, to nie będzie tu wcześniej niż przed czternastą - wyrokuje jeden z wielbłądziarzy.

- Właśnie, że będzie - mówię, - bo to szybki jeździec. O, już jest! Tika!!

Biegnę w stronę Tiki i Aruny, którzy właśnie wjeżdżają na placyk. Aruna rozsiodłuje Tikę,

a ja nawet nie mam czasu, aby się nim nacieszyć, bo zostaję już wciągnięta w negocjacje przez pulchnego Araba w białej szacie.

i Dam ci za niego sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Za sto pięćdziesiąt go nie sprzedam - mówię z przekonaniem.

- Więcej za niego nie dostaniesz. Tutaj takie są ceny.

Odciąga mnie jednak na bok różowo-zielono-złoty gość i tłumaczy:

- Zobacz ile tu jest wielbłądów i nikt ich nie kupuje. Dam ci za twojego dwieście tysięcy i to jest ostateczna cena. Nie sprzedasz go teraz, nie sprzedasz go wcale. A po południu, na koniec targu, ceny jeszcze spadają.

Nie wiem, czy to prawda, czy tylko technika doświadczonego dealera. Ale wygrał. No, bo co ja zrobię w miasteczku z wielbłądem skoro kolejny targ dopiero za tydzień, a nie mam póki co lepszych ofert. W momencie, kiedy mówię OK, pośrodku placu, wśród tłumku ciekawskich gapiów, mężczyzna w różowej szacie odlicza i wręcza mi dwieście tysięcy franków i zabiera siodło i osprzęt, bo tak się dogadaliśmy. Odcinam tylko ozdobną, dyndającą końcówkę od kija do poganiania wielbłąda. Na pamiątkę.

Nie spodziewałam się tak drastycznie szybkiego rozstania. Nie mam nawet możliwości spokojnie, sam na sam pożegnać się z Tiką, bo ciągle otacza mnie tłumek. Ale mój... jeszcze przed chwilą mój wielbłąd na razie nigdzie nie odjeżdża. Więc siadam sobie na pobliskim wielkim pniu i spędzam tu resztę popołudnia obserwując Tikę, kiedy w końcu zostawiony w spokoju zaprzyjaźnia się z innymi wielbłądami czekającymi na swoich nabywców.

Tak, jestem smutna po szybszym niż się spodziewałam rozstaniu z Tiką. I zarazem szczęśliwa wszystkimi pięknymi chwilami, które razem przeżyliśmy. Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że Tika mnie pokochał. Ale w każdym razie zaczął mnie akceptować i tolerować, z cierpliwością i uśmiechem. A te kilka dni wędrówki było jednymi z najintensywniejszych w moim życiu. Nie jestem najlepszą wielbłądzą dealerką. Sprzedałam Tikę za mniej więcej dwie trzecie ceny. Ale doświadczenia, nauki, uciechy, niespodzianek... nie da się przeliczyć na pieniądze. I to już zostanie. I to ciężko nawet opisać.



03 - 07 MARCA

Po traumatycznym rozstaniu z Tiką przenocowałam wczoraj w pokoiku przy posesji rodziny kierowcy pickupa, który mnie tu przywiózł. Wstaję dziś trochę zdezorientowana, bo nie ma siodła, sznurków, wielbłąda. Nie ma kogo osiodłać i wyruszyć ledwo widoczną piaszczystą ścieżką w nieznane, na spotkanie nowych przyjaznych ludzi w zapomnianych przez świat wioskach... Zabieram więc plecak, który znowu przychodzi mi nieść na własnych plecach i idę w stronę drogi do Niamey.

Funkcjonariusz punktu kontrolnego chce zobaczyć moją wizę, której nie posiadam, ale jestem już wewnątrz kraju, więc nie może mnie nie wpuścić.

- Załatwię formalności w stolicy, obiecuję. Przyjechałam na wielbłądzie z Burkina Faso, a tam nie ma nigerskiej ambasady - tłumaczę zgodnie z prawdą.

Po jakimś czasie zabiera mnie terenowe auto z dwoma mężczyznami jadącymi prosto do Niamey. Suniemy pustą drogą przez wyblakły od słońca krajobraz. Wkrótce wjeżdżamy na przedmieścia stolicy. Mężczyźni wysadzają mnie przed domem, który jest biurem jakiejś organizacji, i w którym jest też kawiarenka internetowa. Widząc, że jestem z plecakiem i nie mam jeszcze noclegu, młodzi Nigerczycy z kafejki czują się zobowiązani mi pomóc:

- Jeśli chcesz, możesz zatrzymać się u mnie i mojej rodziny - proponuje jeden chłopak - o ile nie przeszkadzają ci proste warunki i brak elektryczności.

Brak elektryczności w środku stołecznego miasta? Jestem lekko zdziwiona.

- Ale skądże miałby mi przeszkadzać - przez ostatni tydzień przywykłam.

Jedziemy więc jego motocyklem parę ulic dalej. Wjeżdżamy w piaszczystą uliczkę, po czym wchodzimy przez bramę w podwórko, gdzie normalnie powinien stać dom, ale zamiast tego stoi kilka prowizorycznych schronień ze słomianych mat oraz jeden okrągły domek, jakich wiele widziałam w wioskach. W tym domku właśnie mieszka Djibo, który mnie tu przywiózł. Teraz mi go oddaje, a sam będzie spać z kuzynami w jednym z pobliskich pomieszczeń.

Na podwórku od rana biega gromadka roześmianych dzieci. I choć małe dziewczynki robią w miskach pranie dla całej rodziny, a potem szorują sporą liczbę garów po wczorajszym wieczornym posiłku, robią to niespiesznie, bawiąc się tym, co robią i chodząc po wodę w podskokach. Poranne godziny to jedyny czas dnia, kiedy jest idealna, przyjemna temperatura. Nadrabiam zaległości pamiętnikowe, potem jadę z Djibo na internet, a po południu - na największy w kraju targ, „grand marche”. Szukam CD z nigerską, tuareeską muzyką, którą słyszałam u Almoksina w Gorom-Gorom. Ale choć nie brak tu stoisk z kasetami i płytami, serwują one głównie pirackie kopie najpopularniejszych tutaj w tym momencie kawałków.

Po superintensywnych dniach podróży z Tiką, spędzam teraz dla kontrastu relaksujące dni w Niamey - całkiem przyjemnym jak na stolicę mieście, gdzie pomiędzy głównymi asfaltowymi ulicami znajdują się uliczki pełne pomarańczowego piasku, a nad rzeką Niger - pas zieleni i żyzne ogródki. Wszyscy się tu też długo i kurtuazyjnie pozdrawiają. Kiedy chcesz kupić parę placuszków z prosa od ulicznej sprzedawczynie, nie podchodzisz i nie mówisz od razu: »Poproszę placuszków za pięćdziesiąt franków» Musi być to poprzedzone zwyczajowym: „Dzień dobry, jak leci? W porządku?” Oraz co najmniej jeszcze jednym pytaniem. Byłam już pytana przy różnych okazjach: „Jak praca?” „Jak biznes?” „Jak dzieci?” - na co potwierdzałam za każdym razem pogodnie, że biznes oraz dzieci mają się jak najlepiej, dziękuję.

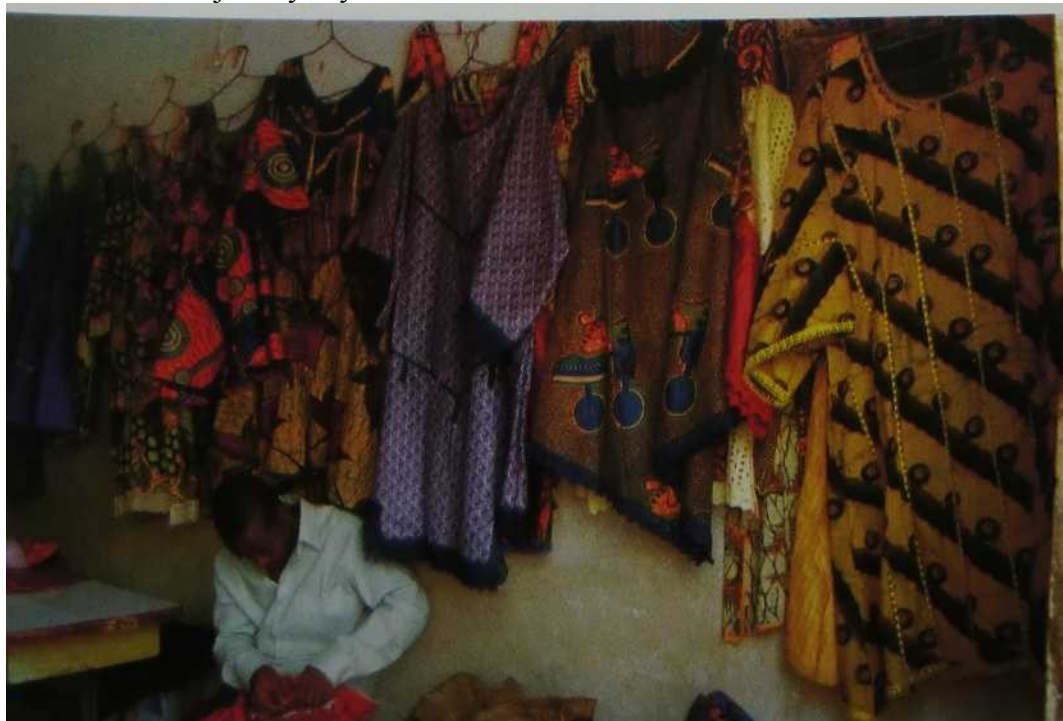
Kupuję trochę paliwa do motocykla Djibo i jedziemy do ambasady Beninu w nadziei, że może tu dostanę tę wizę pięciu krajów, która zawiera Niger i Burkina Faso, więc będę tu legalnie i będę też mogła bez problemu wjechać z powrotem do Burkina. Tu jednak odsyłają nas do biura spraw terytorialnych w centrum miasta. W biurze pani urzędniczka oglądając mój paszport dziwi się, jak się tu znalazłam, bez wizy i pieczętek ani stąd, ani z graniczących krajów, ale dostaję do wypełnienia formularz, dołączam dwa zdjęcia, dwadzieścia pięć tysięcy franków i o siedemnastej mogę przyjąć po wizę. Rewelacja. Tak więc również Wybrzeże Kości Słoniowej, Benin oraz Togo stoją przede mną otworem.

Późnym wieczorem siedząc przed chatką pytam Djibo o rozlegające się zza muru nieopodal odgłosy wykrzykiwanych recytacji. Djibo mówi, że możemy przejść się tam i sama zobaczę. To małaletni chłopcy, uczniowie jednej z wielu koranicznych szkółek. W obszarpanych ubraniach, przy mdłym świetle lampy naftowej siedzą wprost na ziemi, recytując jednocześnie każdy inny kawałek Koranu wyryty na drewnianej tabliczce, pod nadzorem najstarszego, nastoletniego ucznia. Są to często pochodzący ze wsi chłopcy, wysyłani na nauki do miasta w gorącym i suchym okresie bez płońów, oddawani pod opiekę jednemu z marabutów. Pierwszym etapem jest pamięciowe opanowanie fragmentu Koranu. Potem faktyczne poznanie arabskiego alfabetu i nauczenie się czytania danego fragmentu. Na końcu dopiero zrozumienie znaczenia. Chłopcy ci nie uczęszczają jednocześnie do zwykłych szkół, więc nie nauczą się pisać i czytać w żadnym funkcjonującym tu języku, podtrzymując statystyki 85-procentowego analfabetyzmu w swoim kraju.

Wizyta tutaj pozwala mi spojrzeć inaczej na rzesze żebrzących na ulicach nigerskich miast i wiosek dzieci z miseczkami. Otóż są j-q głównie uczniowie tych właśnie koranicznych szkółek, którzy jedynie w ten sposób mogą się wyżywić. Czyli coś jak buddyjscy mnisi czy nowicjusze w południowo-wschodniej Azji - z tą różnicą, że ci nie mają pomarańczowych szat.

Wybieram się do centrum miasta. Odkrywam uliczkę miniaturowych zakładów krawieckich, z których każdy ma wywieszane przed wejściem modele ubrań prześcigające się fasonami i kolorami. Przychodzi się z własnym kawałkiem materiału, wybiera model, ewentualnie dostarcza własny, i w okamgnieniu dostaje się to, czego się życzy. Tutejsze kobiety chodzą na co dzień w niesamowitych strojach. Długa spódnica to raczej po prostu coś w rodzaju sarongu, zawiązany na biodrach kawałek batikowego materiału. Ale uszyte przeważnie z tego samego materiału do kompletu bluzki to już istne dzieła krawieckiej sztuki.

Wieczorem, siedząc jak zwykle na macie przed chatką Djibo na podwórku jego rodziny, dowiaduję się, że tu, w Nigrze i to całkiem niedaleko, bo jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd, można spotkać ostatnie w Afryce Zachodniej żyrafy na wolności. Nawet nie w żadnym parku narodowym, tylko po prostu, spacerujące sobie, podobno chronione, ale zupełnie wolne żyrafy. Natychmiast postanawiam więc zmienić kierunek jutrzejszego wyjazdu i przed opuszczeniem Nigru odwiedzić ichniejsze żyrafy.



Minibusik

wywozi mnie poza miasto. A tam, choć nie ma wiele ruchu, wkrótce łapię stopa do wioski Kure. Ciężko mi uwierzyć, że mogę zobaczyć żyrafy, tak zwyczajnie, niedaleko głównej asfaltowej drogi. Ale mój kierowca potwierdza:

- A tak, chodzą tutaj, czasem przechodzą przez drogę.

Wysadza mnie przy znaku oznajmającym, że ostatnie zachod-nioafrykańskie żyrafy witają mnie i życzą miłego pobytu. Mężczyzna w zielonym uniformie wyjaśnia żyrafą procedurę. Otóż muszę kupić bilet za około trzy euro - fundusze z zakupu biletów idą na ochronę żyraf. Zostanie mi przydzielony przewodnik, będziemy musieli znaleźć transport, który zawiezie nas kawałek stąd, po czym przewędrujemy parę kilometrów w poszukiwaniu żyraf. Przewodnikowi zapłacę tyle, ile będę uważała za stosowne. Wykupuję więc bilet i wraz z nim otrzymuję ulotkę informującą, że jeszcze w dziewiętnastym wieku region od Nigru aż do Senegalu zamieszkały był przez setki, jeśli nie tysiące żyraf, ale z powodu polowania, kłusownictwa oraz zwiększenia terenów uprawnych zostały one prawie doszczętnie wytrzebione i w 1996 roku zostało tylko pięćdziesiąt sztuk - wszystkie tutaj, w tym regionie. Teraz, dzięki pracy stowarzyszenia dla ochrony żyraf ich populacja wzrosła do ponad stu trzydziestu. Dziś mam nadzieję spotkać przynajmniej kilka.

Mój przewodnik, sympatyczny człowiek z tych okolic, doradza zaopatrzyć się w wodę przed wyruszeniem. Kupuję więc od dziewczynki dwa woreczki wody z tutejszej pompy. Znajdujemy auto, które za niewielką opłatą podwozi nas kilkanaście kilometrów główną drogą, po czym wysiadamy i maszerujemy na przełaj przez wysuszone pustkowie, porośnięte krzakami i z rzadka drzewami.

- Potrafisz daleko wędrować? - pyta.
- Oczywiście, że potrafię. Bez dużego plecaka, nie ma problemu.
- Ale w tych butach? Musi się ciężko chodzić... - przewodnik patrzy powątpiewająco na moje stopy.

Sam porusza się lekko i sprawnie w samych klapkach, jak większość Afrykańczyków.

- A nie, buty są w porządku. Wcale mi nie przeszkadzają.
- Skoro tak twierdzisz...

Wędrujemy więc dziarsko i faktycznie, muszę się sprężyć, aby dotrzymać mu kroku.

Idziemy jakieś trzy, może cztery kilometry i przewodnik stwierdza, że wkroczyliśmy właśnie w okolice, gdzie w tym momencie mogą przebywać żyrafy. Trzeba się bacznie rozglądać. Dzisiaj nie widać słońca, wieje lekki wiatr i cała okolica zasnuta jest unoszącym się w powietrzu pustynnym pyłem, który znacznie ogranicza widoczność, a przestrzeń nabiera dziwnie brązowego koloru. Średnio dobrze dla zdjęć, bo krajobraz jak za mgłą, ale zobaczymy, czy w ogóle będę miała co fotografować. Bo idziemy kolejne pół godziny, a żadna długa szyja nie wyłania się z zasnutej pyłem kolejnej kępy krzaków. Przewodnik zagaduje napotkaną dziewczynkę ze stadem bydła, ona coś odpowiada i pokazuje ręką za siebie. Kierujemy się w tamtą stronę i.... Jest! Moja pierwsza afrykańska żyrafa! Na zupełnej, nieograniczonej wolności, skubiąca sobie nonszalancko liście wysokiego drzewa, nie zwracając na nic ani na nikogo uwagi. Wielka, potężna żyrafa. A tak naprawdę, to „on” - żyraf.

- Masz szczęście - oznajmia mój przewodnik - trafiłaś na najokazalszego, największego osobnika ze stada. Nie ma większych żyraf niż ten tutaj.

A gdzie reszta stada? Tego nie wiadomo. Dziewczynka widziała dziś tylko tę jedną sztukę. Ale to mi wystarczy. Wpatruję się oniemiała w ten długoszyi cud natury. Podchodzę powoli i bezgłośnie coraz bliżej. Na to żyrafa odrywa się od skubania i zaczyna obserwować mnie czujnie. Po chwili decyduje się zmienić drzewo. Nie wiedziałam wcześniej (na przyrodniczych filmach chyba nie zwróciłam nigdy uwagi), że żyrafy chodząc podnoszą naraz zawsze dwie nogi z jednej strony ciała. Siadam pod krzakiem nieopodal, całkiem blisko, może jakieś dziesięć metrów - taką odległość żyrafa toleruje i stwierdziwszy, że jestem niegroźna, wraca do liścia-^{ste}g^o posiłku, wysuwając długi język manewrujący sprawnie pomiędzy kolcami drzewa.

Przewodnik daje mi spokojnie nacieszyć się tym spektakularnym widokiem, pofotografować i spędzić z żyrafą tyle czasu, ile mam ochotę. W drodze powrotnej stwierdza, że rzeczywiście, wędruję jak Afrykanka, bo on sam zmęczony jest tą kilkukilometrową przechadzką. A kiedy docieramy z powrotem pod daszek przewodników, nie może się nadziwić, że po prostu wychodzę z plecakiem na drogę i idę przed siebie licząc, że coś mnie zabierze.

Tutaj, pomimo że to główna droga w Nigrze, tylko naprawdę z rzadka coś przejeżdża. Pojawia się mężczyzna na rowerze i oferuje podwiezienie ze dwa kilometry na bagażniku do pobliskiej wioski. Po żyrafiej przechadzce całkiem zgłodniałam, więc w wiosce kupuję dla siebie i dla miłego pana miseczkę ryżu z pikantnym sosem z orzeszków ziemnych. Stąd po niedługim czasie zabiera mnie ciężarówka. Pięćdziesiąt kilometrów z powrotem do Niamey pokonujemy chyba w dwie godziny, ze względu na liczne kontrole policyjne, urzędowe, celne i inne, przy których trzeba się zatrzymać i kierowca za każdym razem musi dać urzędnikom zwyczajową łapówkę, aby móc jechać dalej.

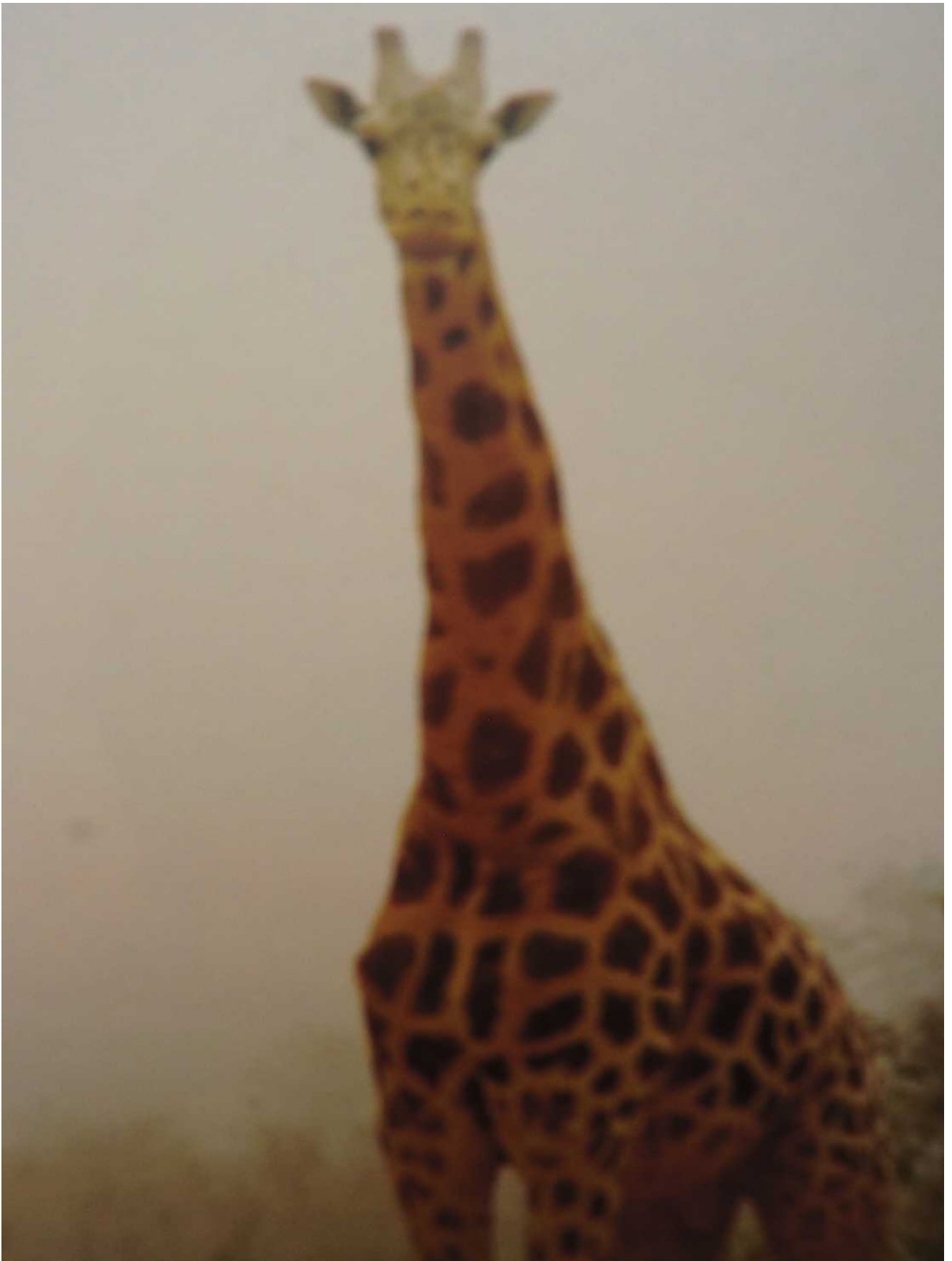
- Widzisz, to nie tak jak u was w Europie. Tu nawet, jeśli wszystkie papiery masz w porządku, i tak musisz dać w łapę.

Kiedy docieramy na obrzeża Niamey, natychmiast łapię stopa do centrum.

- Do Burkina chcesz jechać? Dzisiaj? Lepiej przenocuj tutaj. Jeśli nie masz gdzie, możesz u mnie. I wyruszysz sobie z rana - mówi mój kierowca, młody mężczyzna.

A że dobrze mu z oczu patrzy, zgadzam się, że pewnie to lepsza opcja.

Zajeżdżamy pod bramę, a za bramą - miła niespodzianka. Dom, w którym jest nie tylko elektryczność, ale i półeuropejsko wyglądający pokój z dywanem i nawet komputerem. Jest też prawdziwa łazienka, a w niej coś, o czym już prawie zapomniałam - prawdziwy prysznic. Oczywiście tylko z zimną wodą, ale w tym upale to nie ma znaczenia. W każdym razie - prawdziwy prysznic, z którego po odkręceniu kurka tryska wspaniale woda. Nie pamiętam, kiedy ostatnio korzystałam z czegoś takiego - chyba w Ba-mako w Mali... Tak więc dzisiejszy Dzień Kobiet pełen był miłych niespodzianek.

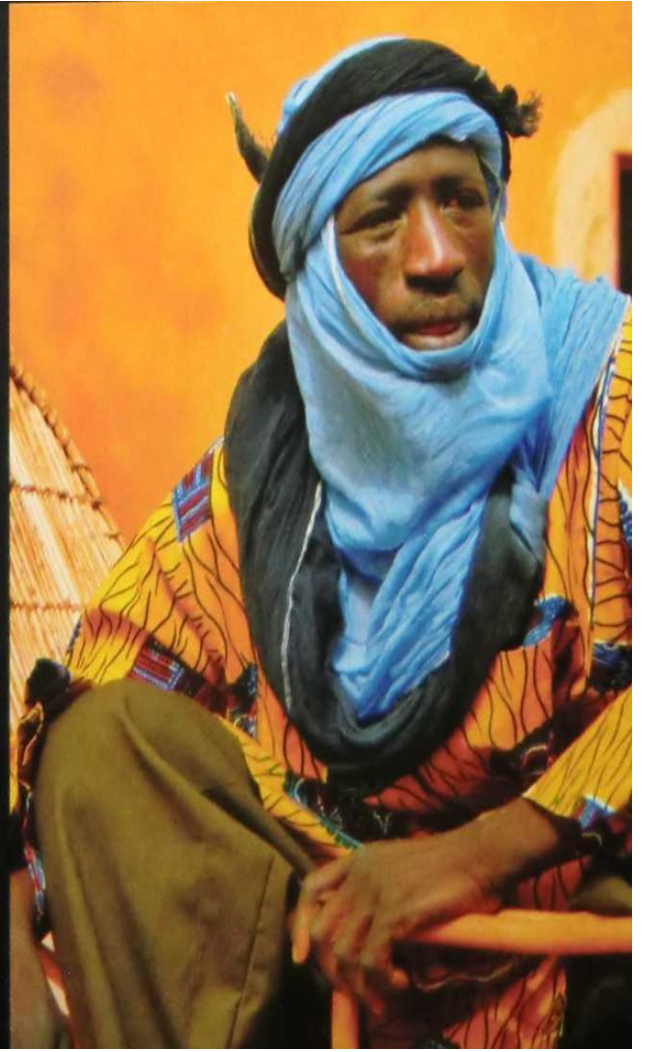






LUDZIE PUSTYNI

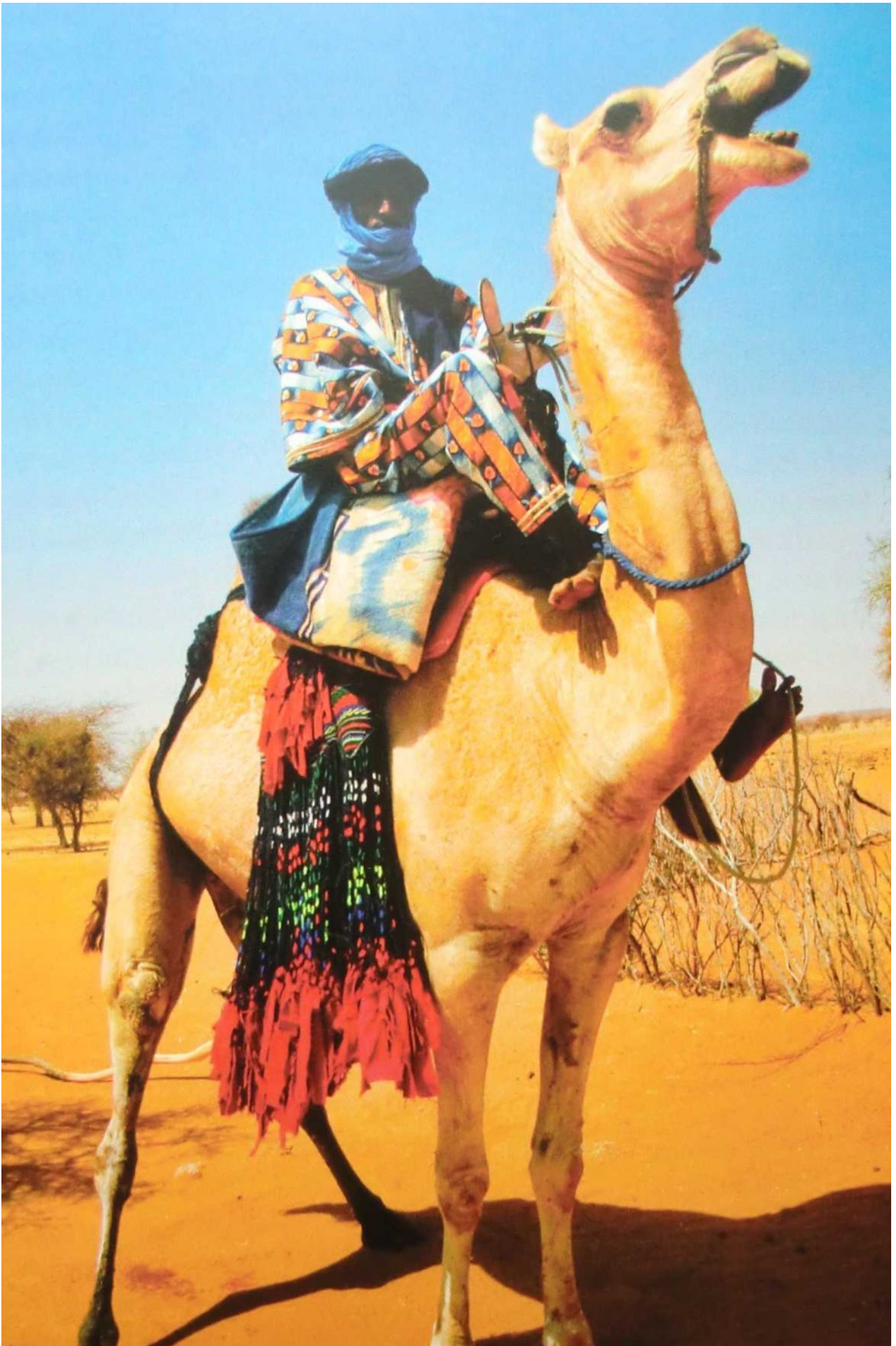
Od wielu pokoleń
przemierzają
pustynię ze swoimi
wielbłędami.
Mieszkają
w namiotach
skleconych z mat
z wielbłędziej wełny.
Na pustyni rodzą
się, żyją, umierają...





Częstym widokiem jest mężczyzna w turbanie, dostojnych szatach, z mieczem przy boku, jadący na wielbłądzie nie wiadomo, skąd i nie wiadomo, dokąd.





CZEŚĆ VIII

ZNOWU BURKINA FASO

17 MARCA

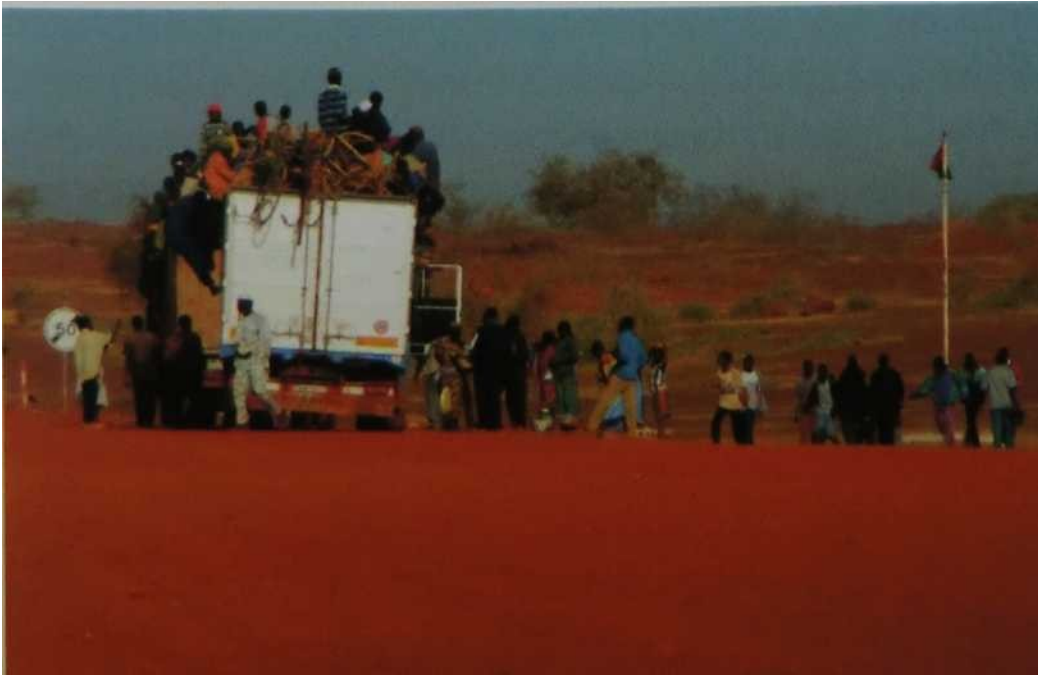
Oj, ciężko opuścić Ouagadougou oraz Burkina Faso. Tyle się tu wydarzyło, co w żadnym innym afrykańskim kraju do tej pory. Bura chciałby, abym została do niedzieli albo przynajmniej do jutra. Ale to niczego nie zmieni, będzie tylko jeszcze ciężiej... Tak więc jemy nasze ostatnie wspólne śniadanie na ulicznym stoisku w centrum miasta - „acheke” i „aloko” (smażony banan) i w południe jedziemy do Irene, która właśnie wróciła z pracy na kilkugodzinną sjęstę. Biorę prysznic, pakuję plecak i nadchodzi czas pożegnań. Ale wiem, że spotkamy się jeszcze z Irene, tak jak z Grace. Umawiamy się, że jak wrócę, odwiedzi mnie w Polsce, a kiedyś wybierzemy się razem do Ameryki. Teraz żegnam się z całą rodziną, z jej przyjemnym domkiem, rodzinnym podwórkiem, a Irene ze łzami w oczach odprowadza mnie za bramę. Bura odwozi mnie motorem na drogę wyjazdową w stronę Mali i kolejne pożegnanie...

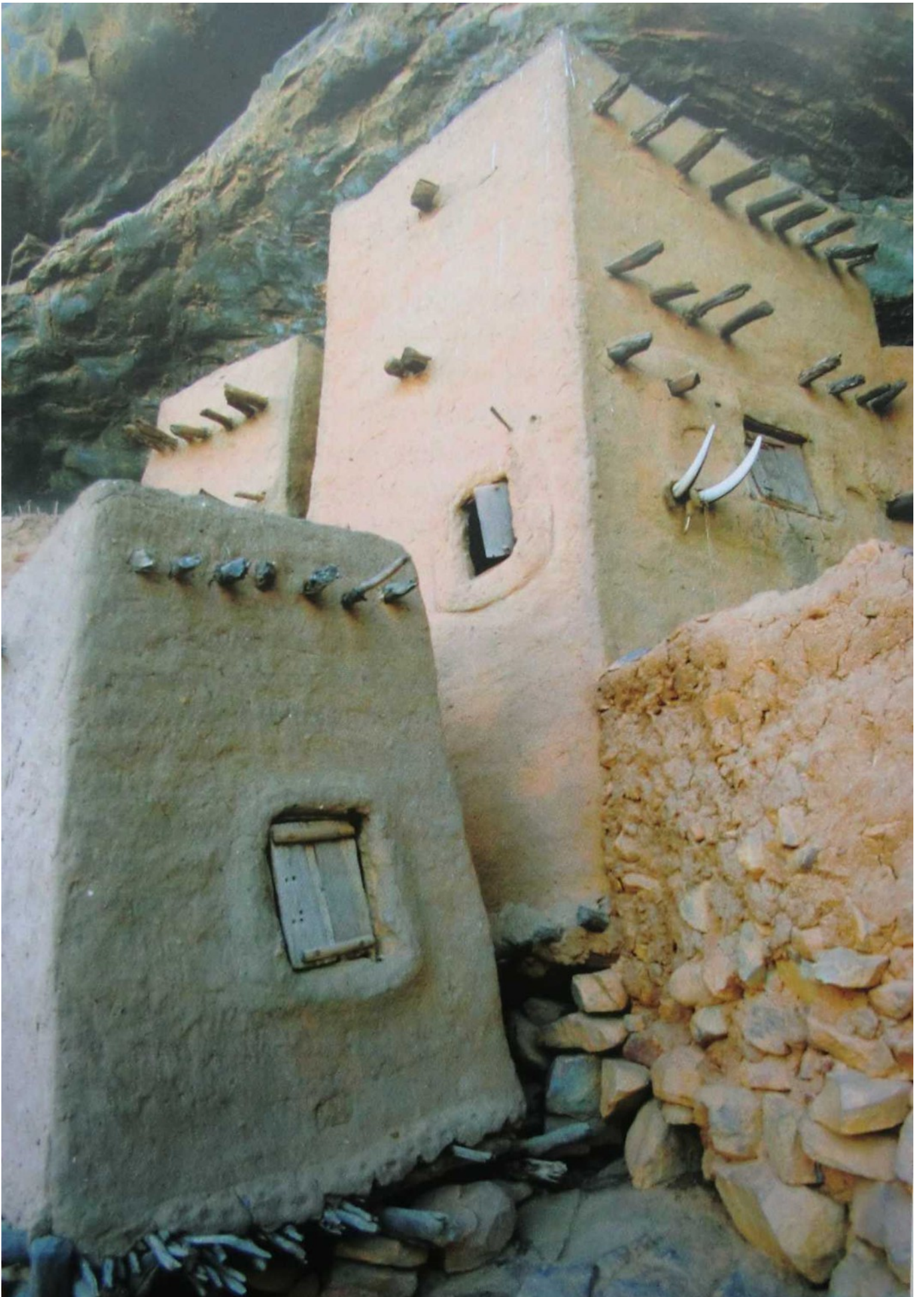
Termometr wskazuje czterdzieści jeden stopni! Kupuję woreczek mrożonego bisapu (napoju z hibiskusa) od przechodzącego obok chłopca i czekam na skrzyżowaniu. Po jakiejś upalnej godzinie zabiera mnie miły pan, wywozi poza miasto i zostawia na pustej drodze przy szlabanie w miejscu opłat drogowych. Tu każdy pojazd będzie jechać spory kawałek w tym samym kierunku, co ja. Tyle, że pojazdów nie widać. Stoję na rozgrzanej drodze i po chwili widzę nadjeżdżającą ciężarówkę. Kierowca i jego pomocnik patrzą na mnie ze zdziwieniem, zatrzymują się i pytają, dokąd jadę.

- W stronę Mali - mówię, choć chyba to oczywiste, bo ta droga prowadzi tylko w jednym kierunku. A może nie tak oczywiste, bo mogę jechać do miasteczka Ouhahigouya albo do którejś z wio

* W dzienniku brak zapisów z dni 9-16 marca, [przyp. red.], sek po drodze. Ale mam szczęście. Ciężarówka jedzie aż do Mopti przejeżdżając po drodze przez wioskę w Krainie Dogonów, w której będę chciała wysiąść. Ale zobaczymy, czy to dziś, czy już jutro, bo choć droga jest póki co asfaltowana i całkiem dobra, ciężarówka toczy się z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Na szczęście obszerna kabina jest prawie pusta i kierowca nie ma nic przeciwko, kiedy pytam, czy mogę się trochę zdrzemnąć na łóżku.

Pod wieczór dojeżdżamy do Ouhahigouya, gdzie kończy się asfalt, dalej podążamy ubitą, lekko wyboistą drogą. Teraz już nie da się spać, więc wpatruję się w pokarbowaną, brunatno pomarańczową powierzchnię oświetloną mdłym światłem reflektorów naszej ciężarówki toczącej się w głąb mroku, w stronę zagubionej gdzieś w mrocznym pustkowiu granicy z Mali. Nieopodal budynek kontrolni celnej kierowca oznajmia, że tu spędzimy noc. Mają dwa łóżka w kabinie i jedno rozkładane polowe, które rozstawiają na zewnątrz. Wybieram to na zewnątrz. Nieopodal jest nawet bar-restauracja z lampą naftową, ale jedyne, co w tym momencie mają do zaoferowania to kawę Nesca ze skondensowanym mlekiem (firmy Nestle) oraz coca-colę - produkty dwóch bojkotowanych przeze mnie firm. Posilam się więc orzeszkami i drobnymi kawałeczkami smażonego w cukrze kokosa, które podarowała mi na drogę Irene i rozkładałam śpiwór na polowym łóżku obok ciężarówki.





CZEŚĆ IX

MALI PO RAZ DRUGI

18 - 19 MARCA

W nocy temperatura spada, ale w moim śpiworku wysypiam [lilii się idealnie pod rozgwieżdżonym niebem. Wstaję, kiedy wstaje słońce i zaczyna się ruch wokół. Przechodzą dwie dziewczyny z miskami na głowach. Kupuję od jednej talerzyk pokrojonego w kostkę yamu² za pięćdziesiąt franków (około dziesięć centów), a od drugiej tłustych placuszków z prosa za tę samą kwotę. Zjawia się kilku chłopców z miseczkami lub sporymi blaszanymi puszkami uwieszonymi na sznurku u szyi. Funduję każdemu skromne śniadanie. Przejeżdżają dwie pasażersko-towarowe ciężarówki z pakami obładowanymi tobołkami i miejscową ludnością. To dla nich przywędrowały tu dziewczyny z miskami przekąsek.

Po jakimś czasie ruszamy powoli, już prosto w stronę malijskiej granicy. Ciężko dokładnie stwierdzić, w którym momencie ją przekraczamy, ale zatrzymujemy się jeszcze ze dwa razy po drodze na dopełnienie jakichś formalności (choć żadna z nich nie włącza podstemplowania mojego paszportu). W końcu, już w malijskiej wiosce Koro, nasza ciężarówka staje koło kilku innych, zaparkowanych na placyku przed urzędem policyjno-celnym, wyłącza silnik i nie wygląda, jakby szybko miała stąd ruszyć. Dogadujemy się z kierowcą, że wezmę plecak i pójdę, a jeśli dogoni mnie na drodze, to zabierze mnie znowu.

Omijając wszelkie urzędy (bo moja malijska wiza jeszcze z Mauretanii dawno straciła ważność) idę prosto do centrum wioski. To już początek Krainy Dogonów, więc widzę kobiety w sarongach z grubego, granatowego, tkanego przez siebie płótna w delikatne białe wzory. Niektóre mają sarongi z płótna w kolorowe pasy, a jeszcze inne - z lekkiego batiku sprowadzanego z Nigru. Przybyły też kobiety z plemienia Peul z bogatymi ozdobami we włosach i na szyjach. Zrobiło się tak gorąco, że nie chce się nawet jeść. Oglądam imponujący meczet z ziemi z licznymi wypustkami, po czym wychodzę na drogę prowadzącą do wiosek Krainy Dogonów. Większość podróżników dociera tam jedynie z przewodnikiem i zorganizowaną wyprawą. Ja - niezupełnie do końca stopem, bo nic tu nie jeździ, ale ciężarówko-busem wraz z miejscowymi.

Wysiadam w wiosce Kani Kombole. Mój plecak natychmiast zostaje przejęty przez młodego chłopaka o imieniu Dauda, który stwierdza, że zaprowadzi mnie do „encampamentu”, czyli wioskowego hoteliku. Upewniając się, że rozumie, że nie zamierzam wynajmować ani przewodnika, ani pasterza, podążam za nim do odległej o kilkaset metrów wioski u podnóża ogromnego, ciągnącego się przez około trzydzieści kilometrów skalnego klifu. Wśród tego klifu właśnie znajdują się pozosta- W łości, często całe budynki, a głównie spichlerze na proso po nieistniejącym już plemieniu Tellem. Cała Kraina Dogonów jest fascynującym miejscem, z unikalną mitologią oraz wioskami o bajkowej architekturze. Zostawiam plecak w hoteliku i idziemy obejrzeć pozostałości po tajemniczym plemieniu. Kiedy wracamy, widzę tłum ludzi, głównie dzieci i nastolatków, każdy z wielkim drągiem w ręku, czekających na coś w napięciu przed spichlerzem na proso. Ziemisty spichlerz stoi na czterech kamieniach, tak że jest trochę przestrzeni pomiędzy ziemią a podłogą i tam właśnie skierowane są oczy tłumu, a kilku chłopców wtyka tam kije.

- Co się dzieje? - pytam Daudy.
- Zwierzę...
- Jakie zwierzę? Wąż?
- Nie, nie wąż.
- Co za zwierzę?!

- Pies. Młody pies.
- Czy mają zamiar zabić pieska?
- Tak. My nie jemy psów.
- Nie zabijajcie pieska!
- Psy nie są dobre.
- Nie zabijajcie pieska! Ja go wezmę.

Dauda rozmawia ze starszym mężczyzną dowodzącym polowaniem na psa i ten się zgadza. Niestety, nie wszyscy chyba jednak zrozumieli, bo w momencie, kiedy wykurzony kijami szczeniaczek wynurza się w końcu z kryjówki, jeden z chłopców uderza go drągiem, zanim zdążam go złapać i ukryć w swoich ramionach. Rozumiem, że w wiosce, gdzie dzieci biegają półnagie i gdzie ledwo starcza jedzenia dla ludzi, nie ma chętnych do dzielenia się z psami, ale mimo wszystko, nie mogłam pozwolić na zatłuczenie szczeniaczka drągami. Zanoszę pieska na spokojne podwórko mojego encampamentu. Właściciel znajduje mi kawałek sznurka, który zastąpi smycz. Szczeniaczek jest tak przerażony, że kiedy tylko stawiam go na ziemi i przywiązuję, aby nie uciekł, szuka natychmiast najciemniejszego kąta i chowa się skulony. Minie pewnie wiele czasu, zanim nauczy się ufać ludziom. Ale dzisiejszą noc spędzi bezpiecznie, ze mną na materacu na dachu ziemistego budynku-hoteliku pod rozgwieżdzonym niebem.



Szczeniaczek ma spuchnięte i zaropiałe to oko, w które został wczoraj uderzony, i chyba stracił w nim wzrok. Kupuję dla niego woreczek świeżego, gęstego mleka od kobiety z plemienia Peul, po czym zostawiam w hoteliku, gdzie zapewniamy mnie, że będzie tu bezpieczny i pod dobrą opieką, a sama wybieram się na przechadzkę do dwóch wiosek. Ciężko trochę opędzić się od potencjalnych przewodników. W końcu wędruje ze mną jeden najbardziej uparty, może dziesięcioletni, mówiący niezłe po francusku oraz podążający za nim malec.

- Naprawdę nie potrzebuję przewodnika. Wiesz, że nic ci nie zapłacę.

- Ale ja nie jestem przewodnikiem. Pójdę z tobą jako przyjaciel.
- Jak chcesz. Jeśli nie masz nic innego do roboty.
- Dzisiaj niedziela, nie ma szkoły, pójdę z tobą.

Idę więc razem z moim nowym przyjacielem Alim oraz jego sześciolatkiem bratem piaszczystą dróżką wzdłuż wielkiego klifu. Powiewa wiatr, który sprawia, że upał jest ciut bardziej znośny, tyle że wraz z wiatrem zawiewa wszędobyłski pył. Ponad pierwszą, odległą o trzy kilometry wioską też znajduje się ciąg domków i spichlerzy wysoko w skale, a w wiosce meczet z ziemi z typowymi dla regionu wypustkami. Nie wspina się teraz na skały, tylko idę dalej prosto do wioski Ende. Kiedy częstuję moich przyjaciół orzeszkami i wkrótce potem przechodzimy koło głazu przy dróżce, Ali mówi:

- Cokolwiek jesz, zostaw tutaj odrobinę, tu na tym kamieniu.

Choć w tej okolicy Dogonowie w większości wyznają islam, pozostało jeszcze sporo animistycznych wierzeń.

Kiedy zmęczeni upałem dochodzimy do obrzeży wioski Ende, wstępujemy do encampamentu, gdzie Ali ma starszego brata. Odpoczywamy tu trochę, pijemy wodę, idziemy na targ. Kupuję dla siebie i dla chłopców kulki z pasty z orzeszków ziemnych w sosie z jakimś liściem. Przechadzamy się po wiosce z domkami i spichlerzami jak z krainy skrzatów i wracamy na targ. Tym razem kupuję napoje z prosa i imbiru w woreczkach i siadamy na wielkiej skale tuż nieopodal, która jest genialnym punktem obserwacyjnym.

Ali, który przywędrował ze mną tak daleko, po prostu jako przyjaciel, okazuje się, że nie zrobił tego tak do końca bezinteresownie. Pyta, czy kupię mu na targu zegarek. Mają tu tanie, za około jedno euro. A Jason przesłał mi pieniądze, aby sprawiać drobne przyjemności miejscowym dzieciom...

- A co powiesz na piłkę?
- Naprawdę? Kupiłabyś mi piłkę?

Bo piłka jest droższa. Kosztuje półtora tysiąca franków (trochę ponad dwa euro).

- Masz w domu piłkę?
- Nie mam. Nikt w naszej wiosce nie ma prawdziwej piłki.

Stwierdzam, że większy pożytek z piłki niż z zegarka. Bo z piłki skorzysta więcej dzieci naraz, a może dzięki temu rozwiną się jakieś sportowe talenty.

Wniebowzięty Ali z braciszkiem nie ma nic przeciwko, kiedy kupuję jeszcze trochę mleka w woreczku i potrawki z orzechowych kulek i odsyłam go z tym z powrotem do naszej wioski, aby dostarczył pieskowi. A ja dzięki temu mam resztę dnia spokojnie dla siebie. Albo tak mi się wydaje... Bo kiedy siadam znowu na skale i obserwuję kolorowe targowe scenki, przysiadają się do mnie grupka dzieci, a mały chłopiec pyta:

- Madame, kupisz mi piłkę?
- Słuchaj, kupiłam już dziś jedną. Wystarczy - odpowiadam, przede wszystkim dlatego, że

chcę posiedzieć tu trochę i popatrzeć dalej na targ. Ale kiedy po jakiejś może godzinie zauważam, że mały siedzi dalej spokojnie i cierpliwie nieopodal, mówię:

- Chodź.

I idziemy na znajome stoisko. Robię to z trochę mieszanymi uczuciami. Super jest kupić piłkę bosonogiemu chłopcu, który normalnie tylko może o niej pomarzyć, ale nie wiem, czy od teraz każdy biały, jaki się tu pojawi nie będzie molestowany przez miejscowe dzieci o piłkę. Już teraz podąża za mną mały tłumek domagający się piłek...

Z powrotem w Kani Kombole przytulam mojego pieska, którego właśnie ochrzciłam „Kani”. Nie wiem, czy chce pamiętać o tym miejscu, ale to też miejsce, gdzie zaczyna się jego nowe życie. Kiedy relaksujemy się wraz z Kanim na fotelu-leżaku na podwórku, zjawia się sześciuosobowa grupka starszych francuskich turystów, wędrująca po Krainie Dogonów z przewodnikiem, porterami oraz kucharzami. Mam wrażenie, że patrzą na mnie i Kaniego z góry, zjadając swoje frytki z kurczakiem popijane zimnymi napojami, podczas kiedy ja dzielę z Kanim „to” serwowane w misce z tykwy wraz z sosem z liści baobabu - przesłane nam w podarku od szefa encampamentu.

Po zachodzie słońca w wiosce nie dzieje się wiele. Tylko na niewielkim placu zgromadzona jest wokół wielkiego ogniska grupka dzieci i młodzieży, uczniów wieczornej szkoły koranicznej. Ogromne ognisko karmione jest dorzucanymi co chwilę przez wyznaczonych chłopców stertami grubych słomianych patyków, które rozniecają się mocno w okamgnieniu oświetlając tabliczki z tekstami i tak samo szybko gasną, aż do następnego dorzucenia.

Jeśli o mnie chodzi, nie chcę oglądać więcej Krainy Dogonów. Biorę rano Kaniego na ręce i w towarzystwie grupki dzieci idę do miejsca, gdzie go uratowałam. Kiedy ze ściany meczetu zeskakuje na ziemię niewielka jaszczurka, zostaje ukamienowana na miejscu przez kilku chłopców, zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć.

- Dlaczego zabiliście tę jaszczurkę?
- Bo dreptała po meczecie. To nasze święte miejsce. A jaszczurki to nic dobrego.
- A pieski? Czy nie słodki jest mój piesek?

Tutaj nie są przyzwyczajeni do okazywania uczuć czy spoufalania się ze zwierzętami. Ale kiedy przysiadam z Kanim na korzeniu baobabu, dzieci ośmielają się, otaczają nas blisko i widzę, że ich dzikie odruchy delikatnieją i jedno po drugim podchodzą pogłaskać pieska - takie zachowanie to dla nich zupełna nowość.

Pakuje się, żegnam i wyruszam, z plecakiem i pieskiem. Kani nie wie, co to takiego chodzenie na smyczy, a raczej na sznurku. Kiedy usiłuję skłonić go do podążania za mną, zapiera się mocno czterema łapkami, Ale po chwili spokojnych prób i perswazji rozumie chyba, że przecież idzie ze mną - a lepsze to niż pozostanie samemu na pastwę miejscowych. Truchta więc potykając się i wpadając czasem na moje stopy. W każdym razie udaje nam się jakoś dotrzeć do drogi.

Pierwsze, co nadjeżdża, to płaski wóz ciągnięty przez potężną krowę, wiozący z wioski białą parę z małym śpiącym chłopczykiem. Wsiadają tutaj, bo pod pobliskim baobabem zaparkowany jest ich biały van. Idę się przywitać. Zapraszają mnie oraz Kaniego do wspólnej przejażdżki, skoro jedziemy w tę samą stronę. Tylko ostrzegają, że nie będzie szybka, bo są z małym dzieckiem i zatrzymują się codziennie na przeczekanie najgorętszych godzin dnia. Mnie się nie spieszy, więc wsiadam z pieskiem do mieszkalnej części vana, którym Elise, Marcial i Mael przyturlali się aż z Francji, pokonując trasę podobną trochę do mojej. To pierwszy miesiąc ich sześciomiesięcznej podróży, podczas której pokręcą się tylko po Afryce Zachodniej. Wymieniamy się doświadczeniami z podróży, a Elise pyta:

- Jaka była reakcja miejscowych na widok samotnej białej na białym wielbłądzie?
- Myślę, że mniej więcej taka jak na widok dwuletniego białego chłopca.

Rzeczywiście - kiedy zatrzymujemy się na targu w miasteczku na drobne zakupy, mały Mael wywołuje natychmiastową sensację i wszędzie, gdzie choć na chwilę przystajemy, gromadzi się wokół niego ciekawski tłumek.

Wczesnopopołudniowy upał przeczekujemy w cieniu na jednym z campingów, na którym Mael zabawia się polewając wodą mojego dyszącego z gorąca pieska. Potem kontynuujemy jazdę prawie do zmroku, kiedy to parkujemy w niewielkiej wiosce. Tu też gromadzi się miejscowy tłumek, ale pierwsze lody zostają przełamane, kiedy pojawia się dmuchana piłka-globus i mały blondynek w pampersie kopie ją w stronę swoich nagich czarnych kolegów. Zabawa się rozkręca, niepomna różnic kulturalno--kolorowych.

Spędzam pół dnia w przyjemnym towarzystwie francuskiej rodzinki. Elise i Marcial chcieliby podróżować jeszcze więcej. Też są nauczycielami, a we Francji mają opcję pracowania na pół etatu albo przez sześć miesięcy w roku - dostając półeta-tową pensję przez cały rok. Po Afryce marzą o Ameryce Południowej, choć zdają sobie sprawę, że sześć miesięcy może nie wystarczyć.

Jedziemy razem do miasteczka San, w którym Francuzi odbijają na południe do Bamako, a ja skręcam do Se-gou. Do Segou, gdzie ponad miesiąc temu spędziłam parę dni z Kati i Rebeką na festiwalu. Tu też poznałyśmy Agnes, Francuzkę z ciężarówką, tę, co ukradła dmuchany zamek z McDonald's. Nie łąpałam jeszcze stopa podróżując z pieskiem, nie wiem więc, czy będzie łatwo. Ale prawie natychmiast zatrzymuje się auto z chrześcijańskim pastorem pochodzącym z Krainy Dogonów, który jako mały chłopiec wraz z kolegami z wioski też tłuł na śmierć małe pieski kijami. Teraz dopiero rozumie, że to niezupełnie w porządku i cieszy się, że może nas choć kawałek

podwieźć. Przy barierce policyjnej nie zdążam jeszcze zabrać Kaniego i plecaka z auta, a już mam drugiego stopa. Dwaj mężczyźni jadą akurat do Segou, tylko wstępują po drodze do jakiejś wioski. Przesiadam się więc do ich pick-upa. W wiosce załadowują na pakę ogromną skrzynię kremu „karite” - wyrabianego z miejscowego drzewa. Do tej pory, podróżując z Kanim i z Francuzami, mój piesek przechodził prawie niezauważony w towarzystwie takiej sensacji jak biały chłopiec. Ale teraz, kiedy jestem z nim sama, wywołuje lekkie poruszenie i od razu gromadzi się grupka podekscytowanych dzieci.

W Segou pierwszym miejscem, jakie odwiedzam, jest kawiarenka internetowa - chcę zobaczyć, czy Agnes już wróciła z Bur-kina Faso, czy w ogóle już wyjechała. Okazuje się, że... właśnie się rozminęłyśmy - wyruszyła łódką wczoraj w stronę Krainy Dogonów. Więc kiedy wróci, może ruszymy gdzieś razem dalej.



A w kawiarence internetowej spotykam znajomego sprzed paru tygodni, który ma dziwną właściwość bycia zawsze wszędzie. Zawsze, gdzie są jacyś biali. To Mohamed z niepełnosprawnymi nogami, poruszający się na dłuższe dystanse swoim trójkołowym motocyklem. Teraz też jest w towarzystwie jakiejś francuskiej pary. Przedstawia mnie swojemu przyjacielowi Daudzie - profesorowi djembe, który nie pytając o wiele szczegółów, mówi, aby wrzucić plecak i pieska do vana Francuzów - jedziemy wszyscy na nocleg do niego. Do niego, to znaczy na podwórko sporej afrykańskiej rodziny. Po herbacie, posiłku i pogawędce jedziemy wszyscy do klubu, gdzie odbywa się dziś bębnienie i muzykowanie. Nieformalni, zapaleni utalentowani młodzi muzycy dają niesamowity spontaniczny pokaz. Dzwonię do Baby le Magnifique i mówię, że jestem właśnie w Segou, w klubie „El Golfe”.

- Aaa... Kingaaaa...! - wykrzykuje Baba w słuchawkę i zjawia się w przeciągu paru minut.
- No nie, nie mów, że nocujesz dziś gdzie indziej. Chodź, przywitasz się przynajmniej z moją żoną, na pewno się ucieszy. Jak tam Kati? Wiem, wyjechała już. Jak podróż? Dobrze? Aaa... Kinga... -Baba nie może uwierzyć, że znowu mnie widzi. - Jutro muszę pojechać na jeden dzień, biznesy w wiosce. Zostaniesz z Isabelle, poczekasz aż wrócę. Zostaniesz parę dni z nami - bardziej stwierdza niż pyta Baba, mając już dla mnie cały plan.

Kani wciąż jeszcze nie opanował sztuki chodzenia na smyczy, więc trochę drecząc, a trochę siedząc u mnie na rękach dociera ze mną rano do miejsca, gdzie umówiłam się z Babą. Baba zawozi nas do swojego mieszkanka z tarasem, na którym wystawione mają teraz łóżko z moskitierą, bo jest zbyt gorąco, aby spać wewnątrz.

- Zimna woda w lodówce, włącz sobie wiatrak, możesz korzystać z laptopa w pokoju, a tu masz klucze. Baw się dobrze. Isabelle wróci wieczorem. Ja będę jutro po południu - Baba przebiera się, zabiera strzelbę i znika.

Spędzam większość dnia w domu z pamiętnikiem i laptopem. A że Baba jest bardzo

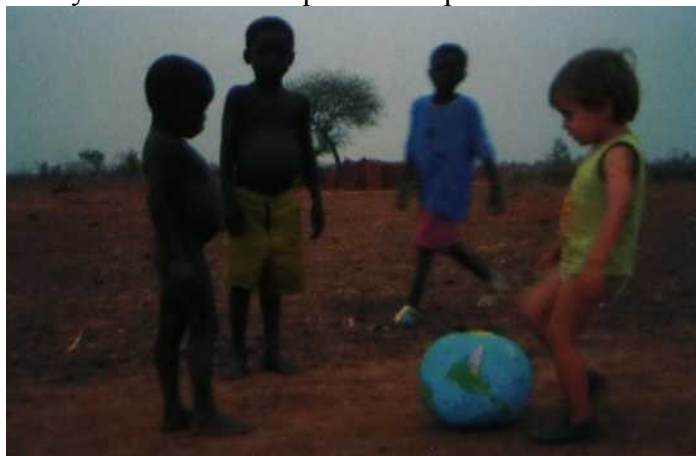
popularną postacią i ma niezliczonych przyjaciół, przez cały dzień co chwilę ktoś wpada i muszę tłumaczyć, że Baba będzie jutro.

Wieczorem Isabelle rozkłada mi na tarasie drugi ogromny materac, na którym w nocy przytula się do mnie Kani.

Ciągle nie mam wieści od Agnes. Ale wiem, że warto na nią poczekać. Baba i Isabelle namawiają, aby zostać jeszcze trochę z nimi, nigdzie mi się przecież nie spieszy. Tak więc zostaję. Isabelle pracuje dziś tylko przez pół dnia i jest to ostatni dzień pracy przed zaczynającymi się dzisiaj malijskimi dwutygodniowymi wakacjami szkolnymi. W pogodnym nastroju wybiera się ze mną po południu na znalezienie czegoś do przekąszenia, bo tu wszystko ma swoją porę, a piąta po południu to czas kiedy rozstawiają swoje stoiska kobiety z frytkami ze słodkich ziemniaków, smażonymi platanami i tłustymi kuleczkami.

Wieczorem, siedząc na tarasie, słyszymy dziecięce śpiewanie i klaskanie. Wychodzimy na uliczkę i widzimy tam grupkę dzieci z sąsiedztwa świętujących rozpoczynające się właśnie wakacje. Nie mają radia ani magnetofonu, ale to nie przeszkadza im w urządzeniu swojej własnej minidyskoteki. Kilkoro dzieci siedzi w kucki pod murkiem i entuzjastycznie śpiewa i klaszcze, podczas kiedy reszta tańczy w najlepsze pośrodku piaszczystej uliczki, jakby były na koncercie najpopularniejszego zespołu świata.

Wybieram się też z Isabelle na przejażdżkę do mieszkających w innej dzielnicy rodziców Baby - jej przyszyłych oficjalnych teściów, bo za miesiąc mają malijski ślub. Na podwórku przed domem rodziców spotykam Baby mamę. Niestety, niewiele widzę, ponieważ wyłączyli im elektryczność - Baba zapomniał zapłacić rachunek...



Agnes jeszcze się nie odezwała, ale poczekam na nią w Bamako, szczególnie, że mogę się tam zatrzymać u Anounou, który zabrał mnie, Kati i Rebekę na stopa jakiś ponad miesiąc temu. Zostawił swoje namiary i zaprasza do siebie. Na jego adres też Jason przesłał mi paczkę z Ameryki.

Spakowana, znoszę piaska ze schodów na rękach, stawiam na ziemi i... następuje mała walka. Bo Kani nie chce się ruszać, najchętniej spędzałby cały czas w bezpiecznym, ustronnym miejscu, czyli pod łóżkiem na tarasie. Ciągnę go delikatnie, ale kiedy odwracam się i widzę, że wlekę go brzuszkiem po ziemi z czterema łapkami w czterech kierunkach - daję za wygraną i biorę go na ręce. W upale, ociekając potem, maszeruję z plecakiem na plecach i pieskiem na rękach wzdłuż głównej, ruchliwej ulicy. Muszę wyjść za rondo, na drogę zmierzającą w kierunku wyjazdu z miasta. Kani dyszy szybko z wywieszonym językiem. A co ja mam powiedzieć? Przejeżdża sporo aut, zanim jedno hamuje, zabiera mnie i wysadza w punkcie kontrolnym już poza miastem.

Tu wysiadam, stawiam plecak na ziemi, opierając go o blaszaną beczkę i Kani natychmiast wczołguje się pomiędzy plecak i beczkę-w poszukiwaniu cienia. To główna droga w kraju, ale ruch jest bardzo niewielki. Dopiero po jakiejś godzinie zatrzymuje się terenowe auto z miejscowym kierowcą oraz z parą niemieckich turystów. Z początku chłopak obawia się, że piesek zanieczyści auto, ale opowiedziana szybko historia znalezienia Kaniego zmiękcza serca. Suniemy szybko prosto do Bamako. Tu zatrzymujemy się w centrum, kierowca dzwoni ze swojej komórki na numer mojego znajomego, który mówi, że zjawi się tu na motocyklu za parę minut.

Rzeczywiście 1 zjawia się szybko, ale... nie Anounou, a inny młody mężczyzna, wysoki, w

fioletowej szacie. Przedstawia się jako Rougou, jego bratanek. Anounou jest przewodnikiem, więc wyjechał gdzieś akurat, ale będzie dziś wieczorem albo jutro. Do tego czasu Rougou się mną zaopiekuje. Anounou mieszka sam w sporym domu z kwadratowym podwórkiem ze studnią pośrodku, otoczonym budynkami, w których mieszkają ludzie wynajmujący je od jego ojca. Wnętrze domku jest zakurzone, ale przestronne i ma nawet łazienkę z europejską toaletą oraz prysznicem. Przywiązuję Kaniego na zadaszonym tarasie, biorę prysznic i jadę z Rougou na-kupić owoców - sezon mangowy w pełni, więc przede wszystkim mango, ale też papaje i banany.

A wieczorem - wybieram się na megakoncert, z Tiken Jah Fa-koly jako główną gwiazdą. Rougou też się wybiera. Nie jestem pewna, czy też chce zobaczyć koncert (tak twierdzi), czy jedzie z obowiązku, jako mój bodyguard. Udaje nam się zaparkować i zakupić dwa bilety (niecałe dwa euro sztuka), a chwilę później przekonuję się, że dobrze mieć takiego osobistego ochroniarza. Bo przed stadionem tłoczy się gęsty, chaotyczny tłum, który ochroniarze odganiają pasami, usiłując wpuszczać tylko ludzi z kolejki. A końca kolejki nie widać. Rougou jednak swoją postawną osobą toruje mi drogę. Okazuje się, że ma tu wśród ochroniarzy „brata”. No więc przepychając się przez tłum wraz z oficjalnym ochroniarzem, udaje nam się wejść przez bramkę prowadzącą na teren stadionu. Koncert jeszcze się nie zaczął. Nie mieliśmy czasu wcześniej na porządny posiłek, ale jest tu kilka kobiet sprzedających przekąski. Biorę więc kanapkę z bagietki i świeżo smażonych bananów. Banany są słodkie, ale tutaj serwuje je się w kanapce z solą, cebulą i czasem sosem pomidorowym.

To ten sam stadion, gdzie byliśmy na koncercie wraz z Kati i Rebeką ponad miesiąc temu i tak samo rozgrzana jest miejscowa publiczność, z tym, że jest jej teraz znacznie więcej i cią-_vgle jeszcze przybywa. Trawiasta przestrzeń wokół sceny odgradzona jest od trybun ponaddwumetrową siatką. Ale... po chwili nic nie jest w stanie powstrzymać publiczności, która szturmuje siatkę i wskakuje tuż pod scenę. Ochroniarze, będący w mniejszości, z góry skazani są na porażkę i wkrótce wokół sceny kłębi się roztańczony, rozśpiewany tłum, wciąż większy i większy.

A kiedy pojawia się główna gwiazda wieczoru - uwielbiany przez Malińczyków Tiken Jah Fakoly - publiczność szaleje. Głos kilku czy kilkunastu tysięcy wtórujących mu młodych ludzi zagłusza jego własny, transmitowany przez gigantyczne głośniki. Tłum wystukuje rytm plastikowymi butelkami po wodzie, butelki zresztą fruują nieustannie w powietrzu, podobnie jak nadmuchiwane prezerwatywy, rozdawane w ramach walki z AIDS.

Myślałam, że będzie to tylko kilka dni, ale okazało się, że Agnes zrobiła sobie powolną wycieczkę wzdłuż rzeki Niger, a potem do-głębsze odwiedziny u Dogonów. A ja w tym czasie... zadomowiłam się trochę w Bamako. Każdego ranka, kiedy biorę Kaniego na spacer do pobliskiego sklepiku, towarzyszą nam radosne okrzyki, nie jak zawsze „tubab”, a po imieniu: „Kinga!” „Kani!” Miło poczuć się czasem trochę jak „swoja”.

Pomimo, że robi się w ciągu dnia nieznośnie gorąco i pomimo, że czekam po prostu w okolicy - żyje mi się dobrze i cieszę się każdym nowym afrykańskim dniem. Afrykańska gościnność nie ma sobie równej. Rougou upewnia się, że niczego mi nie brakuje, i nie pozwala mi nawet prac moich własnych rzeczy, powierzając je swojej młodszej siostrze.

- W Afryce tak to działa - wyjaśnia.



Mój przyjaciel Jason z Kalifornii przesłał mi parę opakowań kredek, książeczek do kolorowania, naklejek i innych gadżetów, a także pieniądze, aby sprawić trochę radości miejscowym dzieciom. Nie lubię rozdawać słodyczy czy pieniędzy żebrzącym na ulicy, więc wpadam na lepszy pomysł - organizuję mały warsztat i konkurs rysowania. Powiadomiliśmy tylko rano dzieci sąsiadów, aby przyszły z przyjaciółmi, a po południu już podworko pękało w szwach od tłumu małych artystów. Dzięki Jason! Wszyscy świetnie się bawiliśmy, a pieniędzy jeszcze zostało, tak że będę mogła zaprosić na posiłek więcej żebrzących na ulicy ludzi albo zrobić coś innego, jeśli mi przyjdzie do głowy.

A tak w ogóle, jeśli chodzi o sprawianie radości - obserwuję życie wokół i... myślę, że miejscowi nie bardzo potrzebują mnie ani kogokolwiek do tego. To tylko nasza, zachodnia perspektywa, ludzi zaprzęgniętych materialnymi dobrami, która każe nam wierzyć, że tylko dlatego, że są biedni, nie są szczęśliwi. Z tego, co widzę, Afrykańczycy są w rzeczywistości najbardziej radosnymi, najszczęśliwszymi ludźmi, jakich spotkałam oraz są mistrzami w radzeniu sobie najlepiej na świecie z tym, co mają. Ale mimo wszystko, miło jest uczestniczyć w ich radosnym życiu, a jeśli mogę sama czymś się podzielić, to jeszcze lepiej.

Wyprawa za miasto, do „brata” Anounou, który w szopie z animistycznymi gadżetami służącymi do uzdrawiania, składania ofiar bóstwom itd. przepowiada mi przyszłość, robiąc mistyczne znaki w świętym popiele. Aby przepowiednia nabrała mocy oraz aby sprzyjał mi los, muszę jeszcze złożyć ofiarę z białego gołębia oraz umyć się w wywarze z liści miejscowego drzewa. Choć większość Malijczyków oficjalnie wyznaje islam, a niewielka część chrześcijaństwo - jedni i drudzy mieszają nowe religie z pradawnymi animistycznymi wierzeniami obecnymi na co dzień w różnych sferach życia.

Odwiedzamy też farmę dalszej rodziny, gdzie pomagam kobietom zbierać mango. Kobiety strącają owoce z drzew długimi drągami, zbierają do misek czy wiader, sortują i na głowach transportują do wioski czy miasteczka na targ. Miska pełna mango jest tak ogromna i ciężka, że sama nie podniosłabym jej nawet. Ale na głowie podobno lżej się nosi. Próbuję więc, najpierw z

niewielkim plastikowym wiadrzem mango, podtrzymując je póki co obiema rękami. Chyba całkiem nieźle mi idzie, ale długa droga do tego, aby iść tak lekko jak miejscowe kobiety...

Czas jednak ruszyć w dalszą drogę - reszta Afryki czeka.

Okazuje się, że Agnes, na którą czekałam, ma jednak trochę inne plany. Chce sprzedać ciężarówkę, a jeśli uda jej się kupić coś mniejszego, ruszy troszkę inną drogą. Może spotkamy się jeszcze gdzieś później,

Rougou wywozi mnie z pieskiem i plecakiem na drogę wyjazdową w stronę Kayes i senegalskiej granicy. Mówi, że on, nawet gdyby mu dobrze za to płacili, nie podróżowałby w ten sposób. A mnie nie tylko za to nikt nie płaci, ale jeszcze tracę swój czas i pieniądze. Wystawiam się dobrowolnie na upał, zmęczenie i dobrą lub złą wolę przejeżdżających ludzi.

Na szczęście więcej jest tej dobrej woli i już wkrótce siedzimy w pierwszym aucie, nie jadącym daleko, tylko do pobliskiej wioski na targ. Kolejny kierowca podrzuca nas do następnej wioski. Wreszcie trafia nam się osobowo-dostawcze auto z niewielką kabiną oraz paką pełną kartonów z soczkami i z wielkimi workami paczek herbatników, które rozwozi po sklepikach w mijanych miejscowościach, dlatego zatrzymuje się co chwila. Ale za to jedzie aż kilkaset kilometrów.

Kierowca, Laminę, jest mniej więcej w moim wieku. Pieszczotliwie nazywa mnie „moja Malaika”, „mon cheri” i tak dalej, i wydaje się niepokieszony, kiedy mówię, że jestem już zamężna. Może po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie ma tu prawdziwej równości. Mężczyzna może mieć cztery żony, ale kobieta nie może mieć dwóch mężów. To zawsze jest dobrym argumentem dla każdego muzułmanina. A Laminę jest jak najbardziej praktykujący i, podobnie jak większość mężczyzn tutaj, kiedy nadchodzi czas modlitwy, zatrzymuje się w wiosce, rozkłada matę, dokonuje rytualnego obmywania polewając wodą z plastikowego czajnika i twarzą do odległej Mekki oddaje cześć Allachowi. Zajmuje to parę minut.

Ściemnia się już, a my tłuczemy się powoli po wybojach dalej -głodni, zmęczeni, zakurzeni, ale podziwiając idealną kulę pomarańczowego słońca i przesuwające się na jej tle kształty grubych, majestatycznych baobabów.

Tuż przed północą docieramy do wioski. Laminę dzieli się z Kanim kawałkami mięsa, rozładowuje po okolicznych sklepikach resztę swojego towaru i wiezie nas do hoteliku-campingu, gdzie spędzimy noc na materacach położonych wprost na betonowej podłodze.

Dziś sobotnia noc, a podwórko hoteliku okazuje się też miejscem lokalnej dyskoteki. Przy głośnej muzyce z ogromnych głośników zasilanych z pracującego obok generatora bawi się w najlepsze roztańczony tłum miejscowych nastolatków. Próbuję usnąć, ale głośna muzyka i entuzjastyczne krzyki wdzierają się do mojego pokoiku nawet przez zamknięte drzwi. Więc daję za wygraną i idę popatrzeć na tańczące postacie, które nieustannie mnie fascynują.

Za wioską zaczyna się znowu asfalt, aż do senegalskiej granicy. Ale nie oznacza to jeszcze, że wiele tym asfaltem jeździ. Niewielka ciężarówka podwozi mnie kawałek, do następnej wioski, z której słychać odgłosy bębnów, śpiewów i świętowania.

Podchodzi do mnie jakiś mężczyzna.

- Co to za święto? - pytam.

- Betonage. Chcesz zobaczyć? Możesz zostawić plecak i psa tu, pod daszkiem.

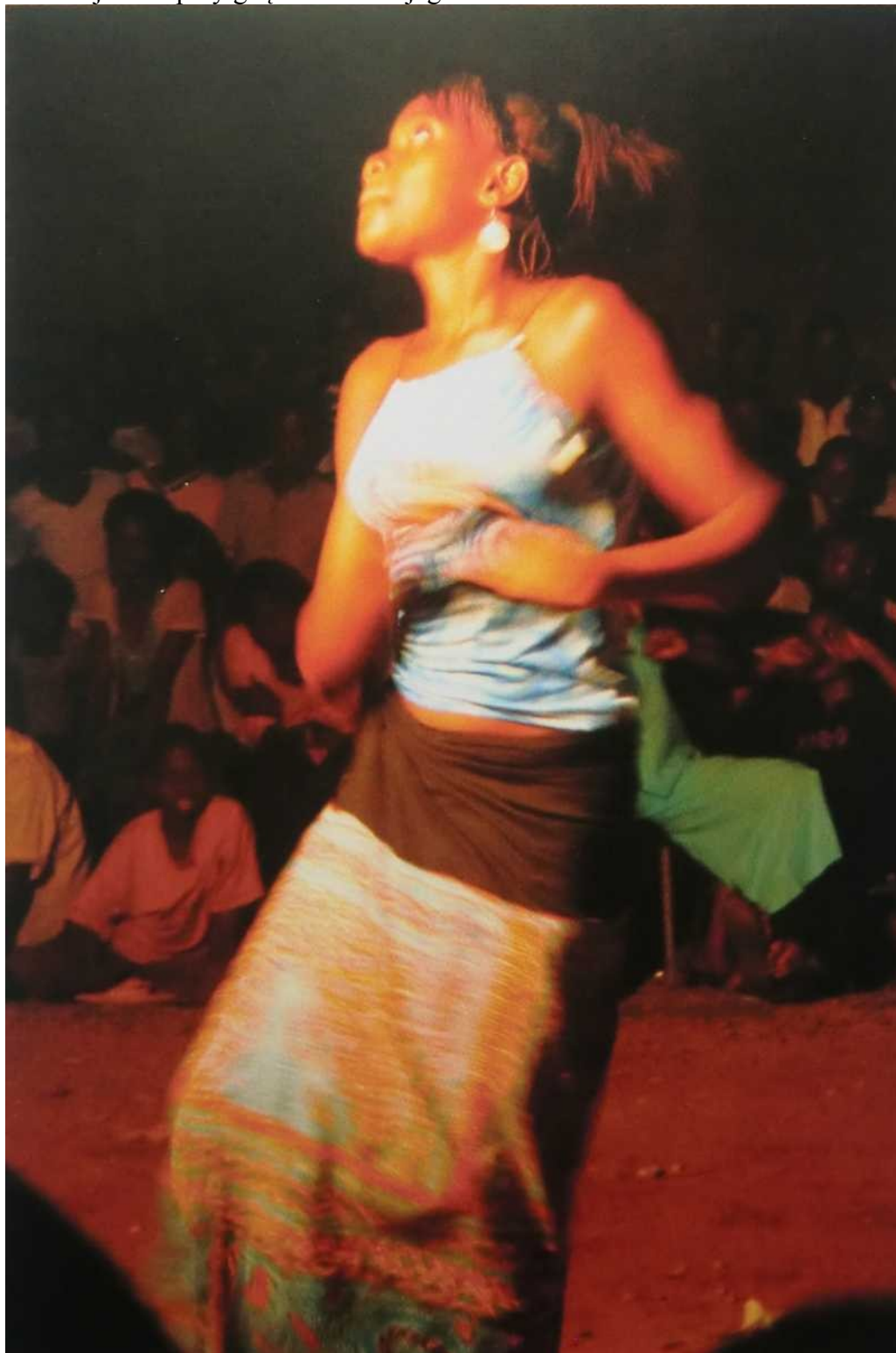
Okazuje się, że ktoś właśnie skończył budować dom i teraz go betonuje. W tej końcowej fazie uczestniczy cała wioska. Mężczyźni wspólnie mieszają beton i rozprowadzają go po ścianach budynku. Kilku innych entuzjastycznie wygrywa na bębnach rytmy zachęcające do pracy, a tłum zgromadzonych kobiet klaszcze i śpiewa. To się nazywa prawdziwa miejscowa solidarność.

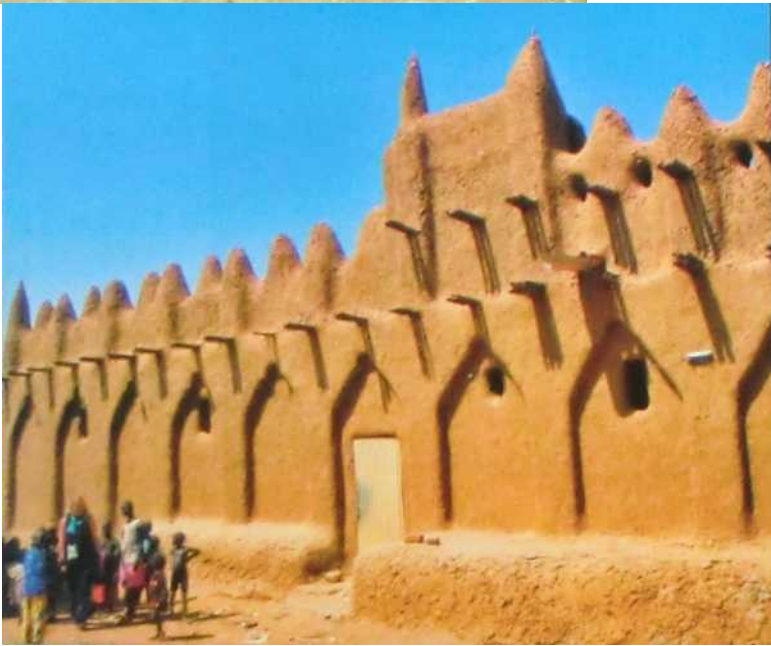
Zanim zdążę odwiązać Kaniego od słupka pod daszkiem, zatrzymuje się auto z dwoma mężczyznami i kobietą. Też jadą z Bamako. Kierowca jest zmęczony, więc daje mi poprowadzić auto aż do samego Kayes - ostatniego większego malijskiego miasteczka przed senegalską granicą.

W Kayes mam odebrać w biurze Western Union pieniądze, które Jason przesłał mi na prezent urodzinowy oraz na „joy spread-ing fund” czyli „fundusz szerzenia radości”. Muszę tylko znaleźć internet, aby spisać numer kodu potrzebnego do zrealizowania transakcji. Okazuje się to jednak niełatwą sprawą, bo dziś niedziela, więc nieliczne kawiarenki internetowe są pozamykane.

W końcu trafiam na jedno otwarte miejsce. Łączę się, spisuję numer kodu* jadę pod jedno z biur Western Union i... znajduję je zamknięte, bo przecież niedziela.

Postanawiam spędzić tu noc, odebrać rano kasę i wtedy ruszyć dalej. Kani jest cały umazany w jakimś smarze. Tylko parę stopów mu to zajęło. Nie wiem, dlaczego wszystkie moje zwierzęta wydają się umyślnie brudzić - Tika przecież wytarzał się przekornie w popiele... Na podwórku mojego „hoteliku”, pod kranem usiłuję doprowadzić pieska do oryginalnego koloru, ale na próżno, bo smar jednak przyłgnął mocno do jego sierści...







KRAINA
DOGONÓW,
CZYLI
POCZTÓWKA
Z SYRIUSZA





Plemię Dogonów zamieszkuje kilkanaście wiosek w środkowej części Mali.

Ich kraina to fascynujące miejsce z unikalną mitologią, wierzeniami animistycznymi i budowlami z gliny i kamienia o bajkowych kształtach. Zdziwiała niezwykła wiedza astronomiczna Dogonów - mówi się, że wiedzieli o istnieniu Syriusza jeszcze zanim naukowcy odkryli tę gwiazdę.





CZĘŚĆ X

1

Marabut - islamski przywódca duchowy, obdarzany czią przez społeczność, uważającą go za świętego i zasięgającą jego rad; często przypisuje mu się zdolności nadprzyrodzone, [przyp. red.]

2

Yam - jadalne bulwy pochryznu (*Dioscorea*), przypominające ziemniaki, [przyp. red.]

Z POWROTEM W SENEGALU

Dwa wielkie słodkie mango na śniadanie, plecak na plecy, sznurek z Kanim w rękę. Bierzymy taksówkę do biura Western Union, ale biuro oraz bank, znajdujące się w tym samym budynku, dziś też są zamknięte.

Od mężczyzn relaksujących się na podwórku dowiaduję się, że dziś święto. Wiem, że są moje urodziny, ale nie przypuszczam, aby aż tu świętowali.

-Jakie święto?

- Nie wiesz? Święto proroka Mahometa. Dziś i jutro. Przyjdź pojutrze, w środę.

No nie, nie spędzę tu dwóch kolejnych dni. Mam nadzieję, że uda się Jasonowi przekierować kaskę bez problemu do innego miejsca, już w innym kraju.

Przynoszę Kaniemu z targu mleko i „fru fru” (placuszki z prosa) i idziemy w stronę wyjazdu z miasteczka. Tam znajduje się dla nas miejsce w wielkiej ciężarówce i już suniemy w upale w stronę Senegalu.

Nie jadę tak, jak wszyscy, prawie do Dakaru, ale w stronę Gambii, małego kraju całkowicie przez Senegal otoczonego. Póki co jednak utykamy jeszcze po malijskiej stronie na jakieś graniczne formalności. Te nigdy nie wiadomo ile zajmą, szczególnie, jeśli przekracza się granicę ciężarówką. Mam tylko nadzieję, że nikt się raną nie zainteresuje, bo przecież moja malijska wiza dawno już jest nieważna, a senegalskiej nie mam wcale.

Po dłuższym czasie przekraczamy wreszcie most nad graniczną rzeką i stajemy bezpiecznie już poza punktem kontrolnym. Tu wszyscy wysiadają, kierowca rozkłada w cieniu ciężarówki matę do posiedzenia lub zdrzemnięcia się i idzie zmagać się z biurokracją po senegalskiej stronie. Zdążyłam zgłodnieć, idę więc zobaczyć co ma do zaoferowania pobliski, jedyny w prowizoryczny budyneczek sklecony ze słomianych mat. Z trzeszczącego radia leci akurat jeden z moich ulubionych kawałków Amadou i Mariam. Siadam i wdaję się w konwersację ze sprzedawcą. Chłopak jest z Mali, przyjechał tu niedawno w poszukiwaniu grosza. Jego sklepik oferuje artykuły pierwszej potrzeby dla kierowców ciężarówek, jak papierosy, zapalniczki, mydło, herbatę czy cukier. Z rzeczy do jedzenia - bagietki do wyboru z topionym serkiem, majonezem lub omletem. Wegańska jest tylko bagietka z olejem, cebulą i „jumbo”, czyli czymś w rodzaju maggi w kostce. Dobrze i to. Kiedy chcę zapłacić sto franków, chłopak odmawia przyjęcia pieniędzy twierdząc, że to co zjadłam, to jest nic. Jestem jego gościem.

Pytam, czy mogę posiedzieć tu jeszcze trochę, posłuchać muzyki z jego radia. I w momencie, kiedy nie patrzy - wsuwam pod tackę banknot tysiącfrankowy, aby dziesięciokrotnie wynagrodzić jego gościnność.

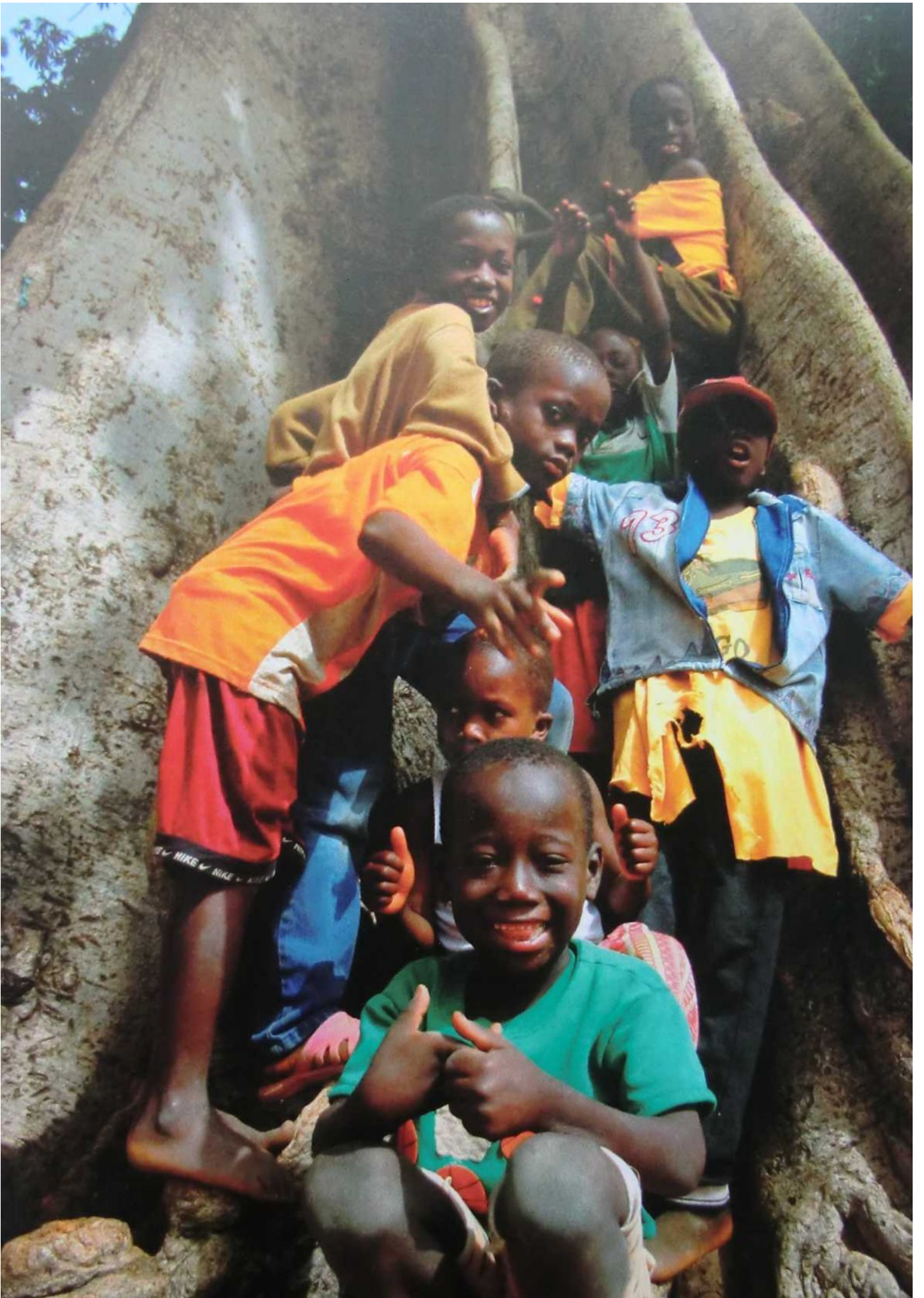
Afryka jest niesamowita. Wszystko jest tu prostsze, bardziej wyraziste, nawet prawo karmy działa tutaj z zadziwiającą dosłownością.

W końcu ruszamy, po ciemku już jedziemy przez pustawe rejony Senegalu i wieczorem docieramy do Tambacounda - miasteczka na rozdrożu, skąd jedna droga prowadzi do Dakaru, druga w stronę Gambii - tu się zatrzymujemy. Kiedy dziękuję za stopa i wysiadam, kierowca mówi niespodziewanie:

- Masz, kup sobie kolację - i wciska mi do ręki tysiącfrankowy banknot nie zważając na to, że stanowczo odmawiam.

Byłam w Afryce zapraszana przez kierowców na nocleg, na posiłek czy coś do wypicia, ale to pierwszy raz, kiedy zaoferowano mi pieniądze - dokładnie taką kwotę, jaką parę godzin temu zostawiłam pod tacką chłopakowi pod malijską granicą. Ale to jeszcze nie koniec. Na stoisku-wózku z grillowanym mięsem kierowca kupuje specjalnie dla Kaniego kawałek mięsa, więc mój piesek ma prawdziwą ucztę. A młody mężczyzna z budki-skle-piku zaprasza na nocleg do domu swojej rodziny. I wynosi mi na podwórko wielki materac, bo wewnątrz za gorąco. Tyle dobrych gestów naraz - czyżby cały świat wiedział, że dziś mam urodziny?





GAMBIA

Senegalskie stoiska ze śniadaniem oferują kawę ze skondensowanym mlekiem, bagietki, jajka na twardo lub omlet oraz ugotowane w łupinkach ziemniaki, które - obrane i pokrojone - są serwowane w bagietce z majonezem albo podsmażane z omletem. Ja zamawiam podsmażone z cebulką. A dla Kaniego miseczkę mleka. Tutaj rzadko coś przejeżdża, a jeśli już, to są to miejscowe „bush-taxi”, czyli osobowe vany. Pojawia się pickup z dwoma mężczyznami, którzy mówią, że z pieskiem - nie ma mowy i szybko odjeżdżają. Poprawni muzułmanie... Czekam więc dalej. Cztery dziewczynki sprzedają wodę. Nalewają ją w woreczki schłodzoną w plastikowych coolerach z lodem. Podbiegają razem do każdego zatrzymującego się na punkcie kontrolnym pojazdu, trzymając po dwa woreczki w każdej ręce. Pięć centów każdy. Kupuję cztery piękne mango za około dwadzieścia centów od kobiety i woreczek wody od dziewczynki. Mija kolejna godzina...

Kiedy prawie decyduję się wziąć „bush-taxi”, nadjeżdżają dwaj inni mężczyźni, którym nie przeszkadza piesek. Wysadzają mnie tuż pod gambijską granicą, w miejscu postoju „bush-taxi”. Tym razem decyduję się na taksówkę, które jedzie prosto do Gambii. Działa to tak, że płacisz z góry, wrzucają twój bagaż na dach i czekasz, aż van wypełni się szczerze pasażerami. Kiedy to nastąpi - ciężko powiedzieć. Idę więc przejść się po targu. Jest akurat czas popołudniowego posiłku. Posilający się ludzie często pozdrawiają mnie nie tylko zwyczajowym: „Bonjour! ɛa va?”, ale dodatkowo: „Vien manger”, czyli: „Chodź jeść”. Nie wiem, czy jest to tylko grzecznościowy zwrot, czy prawdziwe zaproszenie, w każdym razie - miło.

Po jakiś dwóch może trzech godzinach zostaję zawołana do wypełnionego w końcu „bush-taxi”. Po niedługiej chwili zatrzymujemy się przy punkcie granicznym. Miałam nadzieję, że nie będzie tu kontroli paszportowej, bo nie mam gambijskiej wizy, ale nic z tego. Miejscowi wjeżdżają na dowód, ja muszę okazać paszport. Ale... zostaję tylko odnotowana w księdze przybywających i dostaję po prostu pieczętkę wjazdową. A kiedy oficerowie graniczni dowiadują się, że jestem z pieskiem, pokazuję im jeszcze książeczkę szczepień i wszystko jest w porządku. W ten sposób wjeżdżam do kolejnego kraju. Pierwszego anglojęzycznego na mojej afrykańskiej drodze. Dziwnego, niewielkiego, ciągnącego się od Atlantyku wzdłuż rzeki Gambia.

Podziwiam mijane po drodze kopce termitów. O zachodzie słońca docieramy do Basse-Santa-Su, podobno największego miasta we wschodniej części Gambii. Co dalej? Widziałam nieopodal budynek z szyldem „Basse Guesthouse”. Idziemy tam, ale drzwi są zamknięte. Pytam spotkanego pod budynkiem chłopaka czy guesthouse funkcjonuje.

- Potrzebujesz noclegu? Chodź lepiej do mnie. Do domu mojej rodziny - mówi po prostu.

No więc idę. Po drodze spotykamy jego starszego brata -Ebrimę. Ebrima, pomimo młodego wieku (dwadzieścia trzy lata), jest właścicielem „telecenter” w tym samym budynku, co guesthouse. Dom umeblowany jest z lekkim przepychem, w europejskim stylu, ale kuchnia znajduje się w oddzielnym budynekczku obok, gdzie przyrządzanie posiłków odbywa się na podłodze, a gotowanie na prostej kuchence na drewno. A prysznic to tradycyjnie afrykańskie wiadro wody i blaszana puszka...

Kiedy idę z Ebrimą kupić bagietkę na śniadanie, Kani wybiega za mną, co jest dużym postępem, bo normalnie ciężko go wyciągnąć z ciemnego kąta. Drepcze więc z nami i widzę, że bez sznurka lepiej mu idzie. Sam pilnuje, aby zawsze być blisko mnie. Po śniadaniu Ebrima oprowadza mnie po miasteczku. Najpierw idziemy nad rzekę Gambia, gdzie kursują nieustannie łódki przewożące ludzi z jednego brzegu na drugi. Ciekawe jednak, że nie ma łodzi pływających wzdłuż, w dół i w górę rzeki. Byłoby przyjemniej dotrzeć nad Atlantyk w ten sposób niż wyboistymi, zakurzonymi drogami. Potem na targ, na internet i do biura Western Union, bo

Jason przelał do Gambii pieniądze, których nie udało mi się odebrać z Mali. Wypełniam

formularz i dołączam do kolejki czekających na wypłacenie pieniędzy miejscowych ludzi. Pieniądzy przysyłanych przez członków rodziny, którym udało się wyjechać do Europy, USA lub innych bogatszych afrykańskich krajów. Z tego, co widzę, wydaje się, że połowa miasteczka z tego się utrzymuje.

Ebrima opowiada, jak to dwa razy usiłował przedostać się nielegalnie do Europy. Legalnie też próbował, ale oczywiście nie dostał wizy. Za pierwszym razem zapłacił tysiąc euro przemytnikom, którzy obiecali przewieźć wszystkich pełnych nadziei na lepsze życie niedoszłych emigrantów statkiem z Senegalu prosto do Hiszpanii. Statek został jednak wykryty, organizatorzy aresztowani, uciekinierzy odesłani do swoich krajów. Za drugim razem - trzy tysiące euro, bo operacja była bardziej skomplikowana. Dostał wskazówki, jak dostać się do Nouakchott w Mauretanii. Tam, wraz z kilkudziesięcioma innymi uciekinierami z różnych afrykańskich krajów koczował przez jakiś czas w bazie przemytników czekając, aż zbierze się odpowiednia liczba ludzi i nadejdzie odpowiedni czas. Przetransportowano ich na północ Maroka. Obiecano, że albo dotrą do Hiszpanii, albo zginą. Trzeciej opcji nie przewidziano - takiej, że trzeciego dnia na morzu łódź będzie miała problem z silnikiem, że zostanie wypatrzona, złapana i znowu - liderzy do paki, reszta z powrotem do swoich krajów.

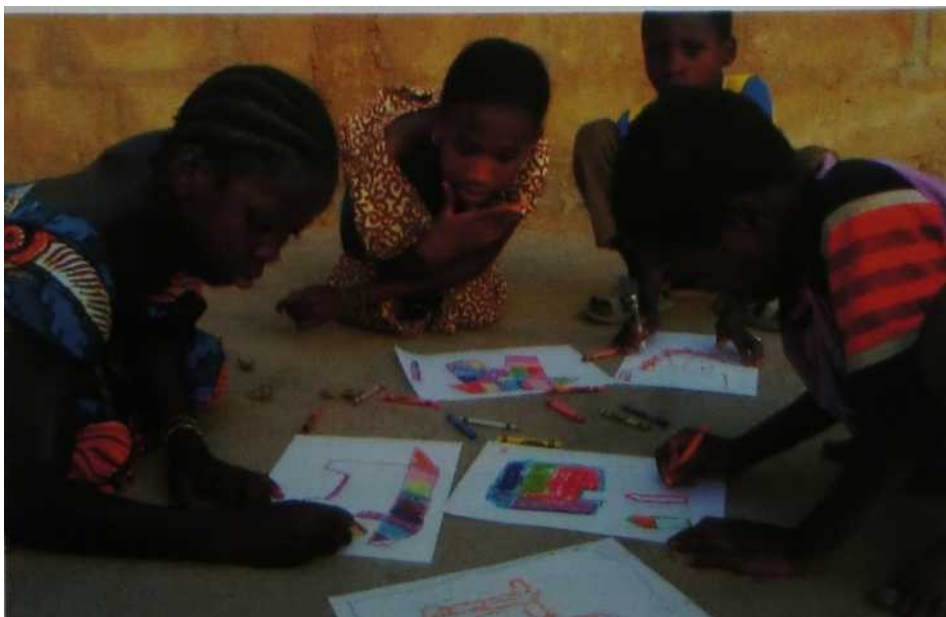
Ebrimie wcale źle się tu nie wiedzie, ale mimo wszystko niedostępna Europa wydaje mu się obiecany rajem. Zarówno on, jak i jego koledzy - wyluzowani, w dżinsach i za dużych T-shirtach, niektórzy rastamani, wszyscy z komórkami, popalający trawkę - twierdzą, że „tu nic się nie dzieje, nie ma pracy, nie ma przyszłości”. Ebrima ma jednak pracę - swój telecenter, który dostał od ojca, kiedy ten zajął się innym biznesem w stolicy.

Telecenter ma trzy kabiny telefoniczne oraz olbrzymią zamrażarkę schładzającą coca-colę oraz trzy rodzaje fanty. Sugeruję Ebrimie, że jeśli chce, aby jego kraj lepiej prosperował, powinien wspierać miejscowe biznesy i sprzedawać gambijskie butelkowane napoje albo jeszcze lepiej - przygotowywany przez miejscowe kobiety pyszny napój z hibiskusa. Ebrima twierdzi jednak, że nikt by tego nie kupował, bo wszyscy wolą fantę i colę.

Zostało mi jeszcze trochę kredek od Jasona, więc kiedy słońce nie pali już z taką mocą, zapraszam dzieciaki z sąsiedztwa na zabawę. I po raz kolejny okazuje się to pouczającym doświadczeniem. Podczas kiedy my chcemy wierzyć, że robimy coś dla nich, na przykład „sprawiamy trochę radości ich biednym dzieciom” w rzeczywistości to oni robią coś dla nas. Jestem ich gościem, więc zrobią wszystko, aby mnie zadowolić: „Masz ochotę na sałatkę? Załatwimy ci sałatkę. Chcesz kupić białego wielbłąda? Pomożemy ci znaleźć białego wielbłąda. Życzysz sobie zobaczyć, jak dzieci rysują? Zorganizujemy ci dzieci od ręki. Ile potrzebujesz? Te się nadadzą? Czy wolisz młodsze, czy starsze?”

Nie znaczy to, że dzieci się dobrze nie bawią. Zjawiają się tłumnie i wypełniają białe kartki intensywnymi kolorami dziecięcego świata. Chyba jeszcze barwniejszymi i odważniejszymi niż te w Mali. Za pomocą taśmy robię małą wystawkę na murze wewnątrz podwórka, a najlepsze prace nagradzam: czwórka dzieciaków dostaje po pudełeczku kredek, aby mogły dalej rozwijać plastyczne talenty, a reszta - długopisy.

Kani większość upalnego dnia przesypia w cieniu krzaków tuż pod domem. Wieczorem się ożywia i w nocy biega po podwórku znajdując sobie coś do gryzienia. Kiedy widzę, jak mu tu dobrze, przychodzi mi do głowy myśl, której się boję i przez cały czas ją od siebie odsuwałam - czy nie powinnam go tu zostawić?



Rodzinka

zaprasza i namawia mnie, abym została dłużej, jak długo tylko chcę, a przynajmniej jeszcze jedną noc. Ale ja czuję, że powinnam ruszyć, szczególnie, że... myślę, że jest to dobre miejsce dla mojego pieska i już mi strasznie smutno. Kiedy pytam moich gospodarzy, co myślą o szczeniaku, odpowiadają, że nie ma najmniejszego problemu, z przyjemnością przygarną Kaniego i będą traktować go jak członka rodziny. Powinnam ucieszyć się na taką wiadomość, ale... nie mogę powstrzymać łez.

Wyruszam jednak dopiero wczesnym popołudniem. Zapłakana idę z Ebrimą do cyberkafejki i zakładam mu konto mailowe, abyśmy mogli być w kontakcie i aby mógł dawać mi znać, jak się ma Kani.

Kiedy nadchodzi pora rozstania, Kani słodko drzemie w cieniu krzaka pod domem. Nie chcę go budzić. Głaszczę go tylko ze łzami w oczach. Nigdy nie kochałam żadnego zwierzątka tak mocno, jak tego nieskoordynowanego, półślepego szczeniaka, który całym sobą odwzajemniał moje uczucie. Żegnam się z rodziną, z moją kolejną afrykańską mamą, po czym Ebrima z bratem odprowadzają mnie do centrum miasteczka na dworzec „bush-taxi”. Opuszczam więc Basse ze złamanym sercem, ale może jeszcze tu wrócę kiedyś, specjalnie po Kaniego...

„Bush-taxi” wiezie mnie poprzez zielony gambijski krajobraz w stronę Georgetown, miasteczka na wyspie na rzece Gambia. Jedna przesiadka, przeprawa promem, jeszcze parę kilometrów i zostaję wysadzona tuż przy campingu z chatkami-pokoikami. Jest mi w tym momencie trochę wszystko jedno, więc nie rozglądam się nawet za niczym innym. Pytam, czy mogę dostać trochę wody. Miejscowy rastaman tłumaczy mi, że mają problem z wodą. Oni piją wodę z rzeki, ale mnie jej nie polecają. Mogę kupić mineralną za trzydzieści dalasi (około jednego euro) za butelkę albo wziąć łódkę za dwa dalasi do wioski na brzegu rzeki - tam mają dobrą wodę ze studni i działającą pompę. Nie mam nic innego do roboty, więc postanawiam wybrać się do wioski, a rastaman Sal w czapeczce i koszulce na ramiączkach w jamajskich kolorach jedzie ze mną. Wyjaśnia mi, że Gambia to taka afrykańska Jamajka. Wszyscy słuchają tu reggae i uwielbiają Boba Marleya. Rzeczywiście, spotykam tu więcej dredziarzy niż gdziekolwiek indziej.

Błaszaną motorową łódką przedostajemy się do wioski na brzegu. Przy jedynej chyba w wiosce pompie zgromadzony tłumek kobiet z wiadrami, żółtymi plastikowymi bidonami oraz miskami. Widząc, że my mamy tylko dwie butelki i niewielki bido-nik, zapraszają mnie do nabrania wody bez kolejki, ciesząc się na widok białej pompującej wodę. Naśladując kobiety stawiam sobie pięciolitrowy pojemnik wody na głowie, ale niestety bez przytrzymywania ręką nie dają rady go ponieść. Muszę dobrze poćwiczyć, aby opanować coś, co tutaj jest jak najbardziej naturalne - nawet Sal, który normalnie tego nie robi, bo noszenie wody to domena kobiet, stawia sobie butelkę na głowie i bez trzymania niesie ją zgrabnie i sprawnie.

Ściemnia się już, więc wracamy na przystań, a tam okazuje się o tej porze nie ma już

pasażerów i jeśli chcemy przedostać się na drugi brzeg, musimy zapłacić za wszystkie miejsca w łódce pięćdziesiąt dalasi. Nie spieszy nam się jednak. Siedzimy chwilę podziwiając wschodzący księżyc prawie w pełni oraz gwiazdy i cena spada do trzydziestu dalasi - to tyle, ile mogłam zapłacić za butelkę wody nie ruszając się z miejsca. No ale wtedy nie byłoby tak ciekawie.

Czas na kąpiel w rzece. Sal prowadzi mnie do chwiejnego drewnianego pomostu, z którego wskakujemy do wody. Kładę się na plecach dając swobodnie unosić delikatnemu prądowi, podziwiając konstelacje na rozgwieżdżonym niebie.



Georgetown to dość historyczne miejsce, gdzie rozegrało się trochę tragicznej niewolniczej historii. Przywożono tu i przetrzymywano niewolników zanim zostali kupieni, załadowani na statek i zawiezieni do Ameryki. Oglądam opuszczony, na wpół zrujnowany dom niewolników oraz zarośnięty krzaczorami niewolniczy targ, a potem resztę spokojnego miasteczka wśród zieleni wyspy, po czym biorę prom do wioski, w której czerpałam wczoraj wodę. Z przejeżdżającym akurat pickuperem zabieram się do Wassu - wioski z kamiennymi kręgami. Sal mówił, że na każdym z wielkich, pionowych, okrągłych kamiennych obelisków trzeba położyć niewielki kamyk. Wśród kręgów trzej mali chłopcy wypatrują turystów. A kiedy ktoś się pojawi, zasiadają i zaczynają grać na trzech wielkich, drewnianych cymbałach. Całkiem niezłe im to idzie i robią to z pasją, więc wrzucam im dwadzieścia pięć dalasi do miseczki.

Wychodzę na drogę. Po jakichś dwóch godzinach dopiero zabiera mnie pickup, ale tylko parę wiosek dalej. Tam znowu siadam w cieniu drzewa koło stoisk kobiet sprzedających mango i niespiesznie łupiących orzeszki ziemne na sos do ryżu do wieczornego posiłku. Zabiera mnie w końcu auto nadzorczy prac drogowych, też niedaleko. Potem ciężarówka z czterema robotnikami w kabinie. Potem inna ciężarówka i w ten sposób docieram późnym popołudniem do miasteczka Farafenni tuż przy senegalskiej granicy.

Kiedy wysiadam, młody mężczyzna łapie mój plecak.

- Hej, dokąd idziesz z moim plecakiem?
- Pomogę ci zanieść go na dworzec „bush-taxi”.
- Nie idę na dworzec. Zostaję tu na noc.
- Masz gdzie się zatrzymać?
- Jeszcze nie.
- Chodź do mojego domu.

Nie chce pieniędzy. Ani mnie nie podrywa. Na imię ma Lamin. Jest dwudziestotrzyletnim robotnikiem drogowym, który właśnie wrócił z pracy. Zarabia trzydzieści pięć dalasi, czyli dokładnie jedno euro za dwunastogodzinny dzień pracy. Nie rozumie, kiedy pytam, dlaczego mnie zaprosił. Czy nie jest to oczywiste? Jestem obcokrajowcem w jego miasteczku, nie mam się gdzie zatrzymać. Czy nie jest najnaturalniejszą rzeczą na świecie, że powinien mnie zaprosić?

Lamin mieszka w pokoiku budynku należącego do misji muzułmańskiej, której pokojowe hasła widnieją na naklejkach w jego pokoju: „Miłość dla wszystkich. Nienawiść dla nikogo”. Ma tu dwa łóżka, każde z moskitierą. Biorę polewaną kąpiel z wiadra wody i idziemy coś zjeść. Poza śniadaniem Lamin jada jeszcze jeden, główny posiłek, wieczorem po pracy. Wykupuje go za stałą

miesięczną kwotę od kobiety przygotowującej jedzenie specjalnie dla pracujących mężczyzn, nie mających jeszcze żon, które by im gotowały. Codziennie wieczorem Lamin zostawia kobiecie pustą miskę, a odbiera pełną, zawiniętą w chustę i niesie do domu. Oczywiście, zaprasza mnie również, ale tłumaczę, że nie jem ryb, więc idziemy poszukać mi czegoś w centrum miasteczka. Dziś mam kolację z podsmażonych z cebulką ziemniaków.

Lamin pracuje siedem dni w tygodniu, ale dziś bierze sobie wolne tłumacząc, że potrzebuje odpoczynku, choć wiem, że to ze względu na mnie. Więc daję mu się rano oprowadzić po miasteczku, w którym nie ma wiele do zobaczenia, ale które bardzo chce mi pokazać. Rzeczywiście, z dumą prowadzi mnie pod całkiem okazały budynek nowego szpitala. Bo poza szpitalem - tylko piaszczyste uliczki, niskie budynki, ogromne baobaby oraz inne gigantyczne drzewa z imponującymi korzeniami.

Lamin mówi, że od ponad roku już nie widział swojej rodziny. Jego rodzinna wioska jest oddalona o jakieś sto kilometrów, transport kosztuje około stu dalasi (trzy euro) w jedną stronę, a nie może się przecież zjawić tam z pustymi rękami. Więc kiedy pakuję plecak, wsuwam niepostrzeżenie sto dalasi w kieszeń wiszącą na gwoździu na ścianie dzinsów mojego gospodarza...

„Bush-taxi” wiezie mnie do Essau, tam wsiadam na prom do Banjul, gambijskiej stolicy i z najwyższego pokładu obserwuję ujście rzeki Gambii do Atlantyku. Dotarłam znowu na wybrzeże, nad ocean!

Kiedy zsiadam z promu, nie umundurowany oficer kontroluje mi paszport, ale nie zwraca uwagi na brak gambijskiej wizy. Ważne, że mam pieczętkę wjazdową. Pytam, czy zna może tanie miejsce do spędzenia nocy w mieście. Dzwoni do swojego przyjaciela, który zjawia się natychmiast i prowadzi niedaleko, do budynku, w którym na piętrze mieści się prowadzony przez Senegalczyków miejscowy hotelik-schronisko. Za jakieś dwa euro i dwadzieścia centów dostaję jeden wyłożony materacami pokój, tylko dla kobiet, w którym i tak jestem sama.

Banjul jest jedną z najbardziej wyluzowanych stolic, jakie widziałam, bardziej niż prowincjonalne miasteczko. Ze spokojnymi uliczkami z kolonialnymi budynkami, z których trochę odchodzi farba. Nie ma wielkiego ruchu, a chwilami mam wrażenie, że jestem z powrotem w Mauretanii, bo uliczkami przechadzają się lub siedzą w drzwiach sklepików mężczyźni w typowych luźnych, niebieskich szatach. Większość sklepików i biznesu w miasteczku rzeczywiście należy do obrotnych Mauretańczyków lub Senegalczyków. Jak również kafejka internetowa, którą odwiedzam już po zmroku i która jest też centrum handlu filmami na DVD. Filmy posortowane są według dwóch gatunków. Na jednej ścianie wystawione są filmy akcji, karate, „Rambo”, itp., na drugiej i filmy islamskie, z których można dowiedzieć się, dlaczego to Koran, a nie Biblia jest prawdziwym słowem od Boga albo dowiedzieć się o roli kobiety w islamie. Jest też tytuł „Islam a terroryzm”, a ja z maili dowiaduję się, że dziś sobota wielkanocna...

Tuż nieopodal budynku, gdzie nocowałam, znajduje się ry-backo-portowa plaża. Obserwuję, jak grupa mężczyzn pomagając sobie rytmicznymi okrzykami wciąga linami na brzeg łódź, a kobiety sprzedają z misek świeżo złowione ryby. W miejscu, gdzie kończy się plaża, wkraczam pomiędzy szereg prowizorycznych szop i piaszczysta uliczka prowadzi mnie prosto na wielki targ.

Przechadzam się między stoiskami, trafiam na szkółkę kora-niczną na świeżym powietrzu, do której uczęszczają też dziewczynki, wszystkie w niebieskich chustkach na głowach, a chwilę potem, zupełnie przypadkowo, na spory katolicki kościół, skąd dochodzą entuzjastyczne śpiewy, więc wstępuję. Ciekawe, że jest to chyba pierwszy raz w Afryce, kiedy wchodzę do kościoła i akurat wypada to podczas wielkanocnej mszy. Miejscowe kobiety i tak na co dzień są pięknie kolorowo poubierane, ale dzisiaj ich stroje są jeszcze bardziej uroczyste. To raczej muzułmański kraj, ale kościół jest pełen. Kobieta-ministrantka akurat rozdaje komunię, a potem rozbrzmiewa jeszcze więcej śpiewów. Wielkanoc jest przecież podobno radosnym świętem, ale dopiero tu widzę prawdziwą wielkanocną radość, u nas większość kościelnych pieśni brzmi raczej smętnie.

Postanawiam spędzić noc gdzieś przy jednej z plaż bardziej na południe. Miejscowy van zostawia mnie przy głównej nadmorskiej drodze - szerokiej, o europejskim standardzie, wzdłuż której wyrastają hotele i nadmorskie rezydencje bogatych Europejczyków. Wystawiam kciuka i

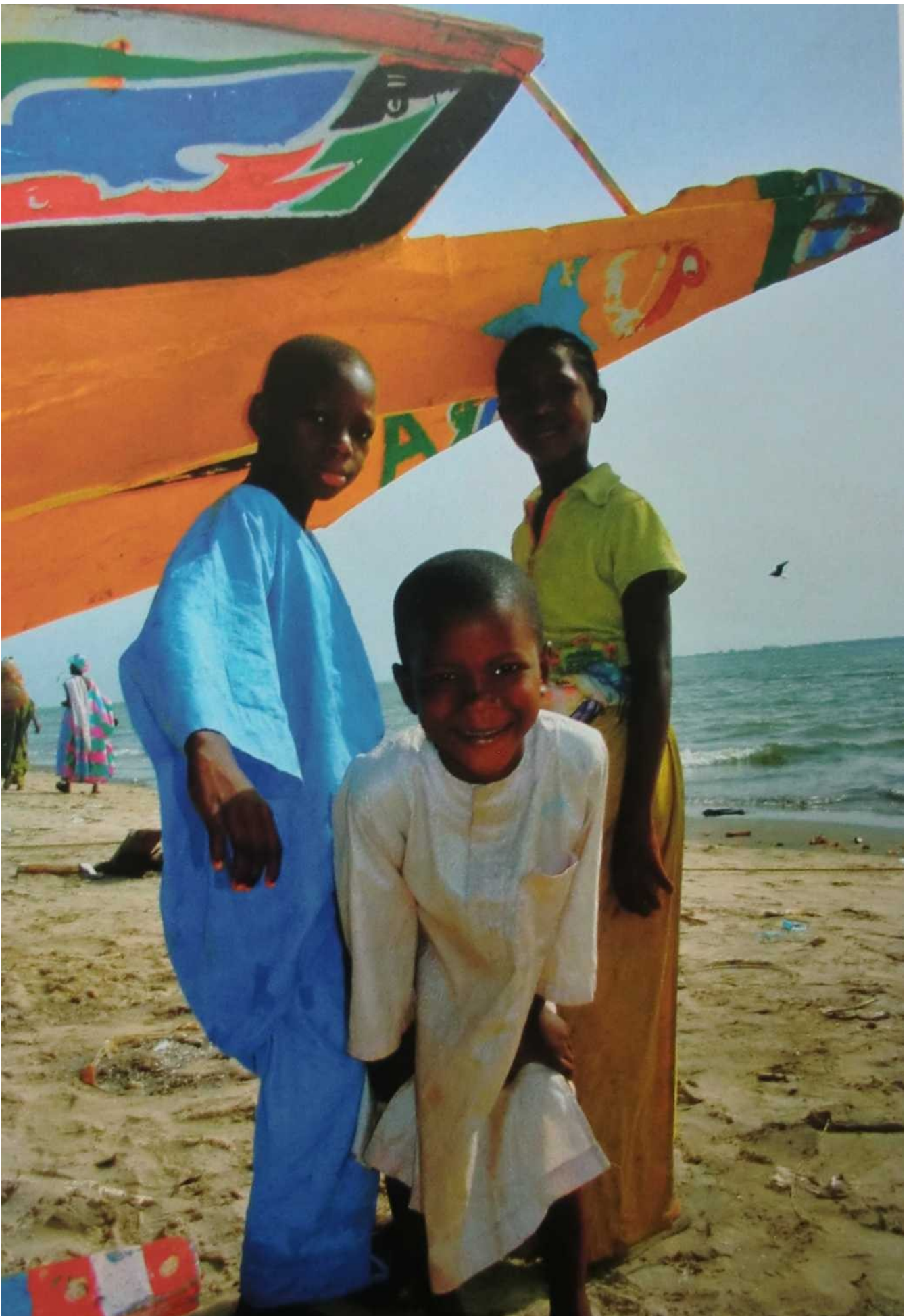
natychmiast zatrzymuje mi się niewielka ciężarówka z płaską, pustą paką. Kierowca, kolejny Lamin, jedzie właśnie do jednej z rybackich wiosek kupić trochę ryb na kolację. Zawiezie je do swojej siostry, aby mu je usmażyła. Jestem zaproszona - zarówno na ryby u siostry, jak i na nocleg u niego w domu, niedaleko oceanu.

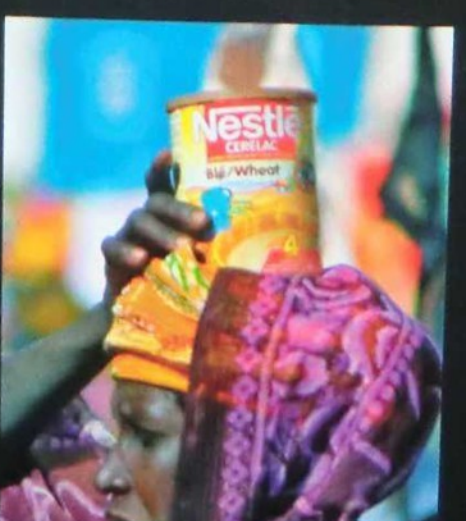
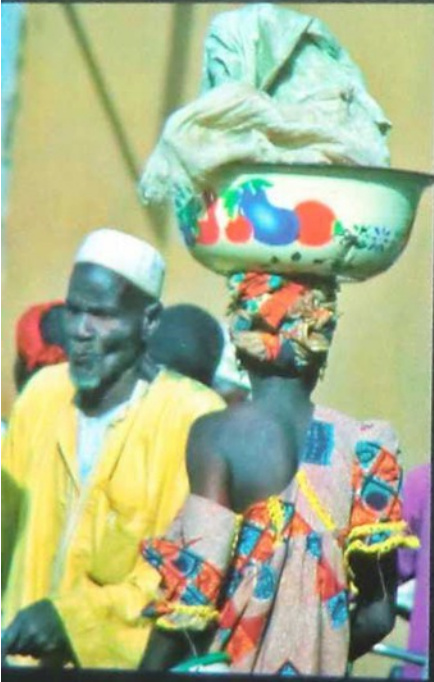
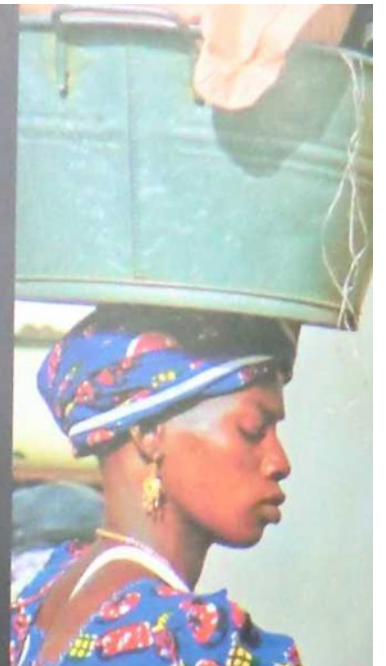
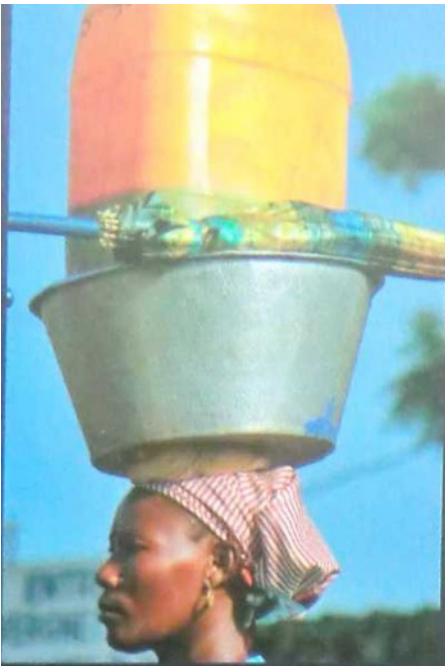
Plaża o zachodzie słońca pełna jest rybaków wracających z morza, kobiet i mężczyzn sprzedających świeże ryby, kraby i stwory wodne, oraz krążących nisko nad głowami ogromnych mew. A dom siostry Lamina na obrzeżach Serekundy pełen jest siedzącej przy świeczkach rodziny.

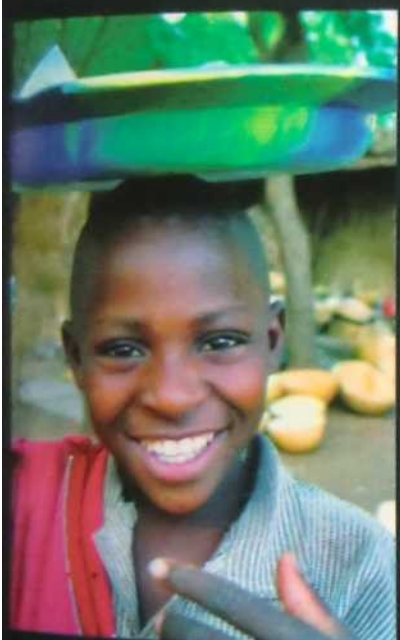
- Od trzech dni nic nie robimy, tylko świętujemy Wielkanoc -oznajmia mi mąż siostry Lamina.

- Ale czy nie jesteście muzułmanami?

-Jesteśmy. Ale tu, w Gambii, jesteśmy rodziną. Kiedy chrześcijanie świętują Wielkanoc, świętujemy z nimi. Albo Boże Narodzenie. Dlaczego mielibyśmy nie świętować? A kiedy my świętujemy Tabaski¹, oni świętują z nami.







CAŁY ŚWIAT NA GŁOWIE
Noszenie ciężkich pakunków to w Afryce domena kobiet, a na głowie podobno lżej się nosi. Umieściwszy sobie na głowie miskę z jedzeniem, wiadro z wodą, kosz z bielizną czy też towary przeznaczone na targ, afrykańska kobieta idzie szybko, lekko, krokiem pełnym gracji. Oczywiście, zazwyczaj nie podtrzymuje ładunku rękami.













CZEŚĆ XII

SENEGAL RAZ JESZCZE

17 -19 KWIETNIA

O poranku podziwiam w ogrodzie Lamina różnorodność drzew. Oprócz pospolitych mango i bananowców są tu też fleszowce (cherymoje), awokado, nerkowce i nawet chlebowce, ale ich owoce - jackfruity - są niestety jeszcze niedojrzałe. Chwilę później jestem już na drodze, gdzie bez problemu łapię kilka szybkich, choć krótkich, miejscowych stopów. Parę osób ostrzega mnie, abym nie jechała przypadkiem przez senegalską prowincję Casa-mance, bo to separatystyczny region pełen aktywnych rebeliantów i bardzo tam niebezpiecznie. Ale tamtędy właśnie wiedzie moja droga...

Z piskiem opon hamuje na mój widok terenowe wojskowe auto. Młody kierowca ubrany jest po cywilnemu, ale pokazuje mi swoją wojskową legitymację. Na imię ma Sanna. Pyta, dokąd jadę. Patrzę na wyrwaną z przewodnika mapę Gambii.

- Jadę do Brikama. A potem pod senegalską granicę. To chyba najbliższe przejście graniczne. Ale możesz wysadzić mnie gdziekolwiek.
- Zawiozę cię na granicę. I tak nic innego nie mam do roboty. A spędzać czas z tobą, Malaika, to przyjemność.

Na jednym z punktów kontrolnych policjanci proszą, aby Sanna zabrał kilkoro miejscowych ludzi.

- Widzisz, dzięki temu, że mnie tu wiesz, możesz jeszcze zrobić przysługę innym - mówię.
- To tylko dzięki tobie, Malaika. Jesteś przejeżdżającym tędy aniołem (bo Malaika znaczy w miejscowych językach „anioł”).

Ale to Sanna jest raczej teraz moim kolejnym chwilowym aniołem stróżem, których tylu spotykam po drodze. Nie tylko dowozi mnie do samej granicznej wioski, ale jeszcze pomaga wymienić parę ostatnich dalasi na franki CFA oraz czeka, dopóki nie upewni się,

że mam dobry transport. Za dwa ostatnie dalasi kupuję nam po tłustym kukurydzianym ciasteczku. W pobliskiej chacie podstem-płowują mi paszport pieczętą wyjazdową Gambii, nie wnikając w fakt, że nie mam gambijskiej wizej. Na szczęście to jest trudniej dostępne, mniej uczęszczane przejście graniczne i po senegalskiej stronie nie ma w ogóle punktu paszportowo-celnego.

W końcu zabiera mnie pickup z dwoma Gwinejczykami. Je-dziemy przez gęsty busz. Przez drogę przebiega nam mała i niknie w gęstwinie. Zostaję wysadzona w miasteczku. Dochodzę do mostu nad mokradłami-rozlewiskami. To jest droga prowadząca do Ziguinchor - głównego miasta prowincji Casamance. Raczej nic tędy nie jeździ, ale jednak po chwili pojawia się spore auto z kilkoma białymi i jednym miejscowym. Znajduje się miejsce i dla mnie.



Kierowca,

Szwajcar Patrick, który mieszka tu od kilku miesięcy, dokonuje prezentacji. Siedzący obok niego młody miejscowy to Zal - jego nauczyciel djembe i tańca. Dwaj pozostali biali to jego bracia, Adrian i Roman, oraz Melani, dziewczyna Romana. Ta trójka przyleciała na trzytygodniowe wakacje. Jadą właśnie prosto z Dakaru, gdzie wylądował ich samolot. A kiedy Zal dowiaduje się, że od pięciu miesięcy samotnie podróżują po Afryce, jest pod wrażeniem i zaprasza mnie do siebie.

Przejazd przez zielone przestrzenie Casamance przerywany jest licznymi kontrolami drogowymi, ale jedynie kierowca ma sprawdzany paszport i dokumenty, a ja uchodzę w tłumie za Szwajcarkę. W Ziguinchor zajeżdżamy prosto pod dom Zala.

- Chodźcie, przywitajcie się z mamą. To nasza „Mama Africa”.

Mama Africa wita nas wszystkich jak swoje dawno nie widziane dzieci. Trójka świeżo przybyłych ze Szwajcarii jest lekko oszołomiona, a Patrick puszcza do mnie oczko.

Mama przynosi nowo przybyłym dzieciom wielką miskę ryżu oraz mięsny sos. Na szczęście Melani też jest wegetarianką, więc dla nas jest sos z liści hibiskusa i okry. Przez cały czas słychać dochodzące z sąsiedztwa entuzjastyczne bębnienie. Po posiłku idziemy zobaczyć, co to takiego.

To znajomi Zala, mistrzowie djembe, głównie Gwinejczycy. Mając za publiczność jedynie miejscową dzieciarnię dają na podwórku obok niesamowity, energetyczny spektakl - jest kilkoro bębniarzy oraz kilkoro tancerzy. Po to właśnie przyjechał tu Patrick - uczyć się sztuki od samych mistrzów.

Szwajcarskie towarzystwo zamierza pobyc przez tydzień na jednej z pięknych plaż na wybrzeżu. Zapraszają, więc postanawiam pojechać z nimi choć na jeden czy dwa dni. Najpierw jednak załatwiamy w miasteczku różne formalności. Ja - wizę do pobliskiej Gwinei Bissau, którą dostaję bezproblemowo od ręki za dziesięć tysięcy franków. Szwajcarom wydobyć pieniądze z banku i przedłużenie swoich senegalskich wiz zajmuje znacznie więcej czasu.

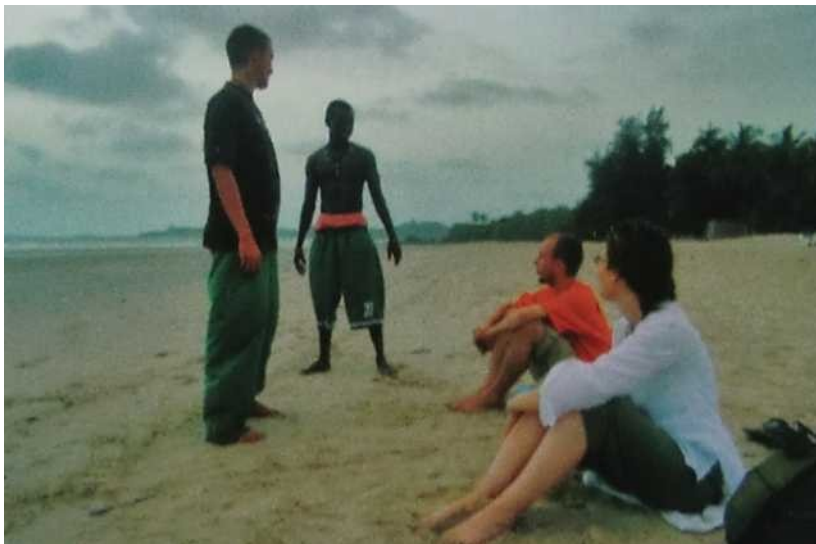
Wczesnym popołudniem ruszamy podziurawioną drogą w stronę wybrzeża, do turystycznej miejscowości Cap Skiring. Zatrzymujemy się, żeby kupić owoce i napoje, po czym jedziemy dalej w poszukiwaniu kawałka raj, w którym Szwajcarzy spędzą najbliższych kilka dni.

Nie brak tu przeróżnych rezydencji, hotelików, plażowych dom-ków o różnym standardzie i cenach. Znajdujemy jednak miejsce przyjemne, a niedrogi, przynajmniej jak dla Szwajcarów - „Au-berge de la Paix”. W półotwartym miejscu restauracyjnym szerokie okna bez szyb wychodzą prosto na zalaną słońcem skarpe z tropikalnymi drzewami i palmami oraz rozległą plażą w dole. W cienistym podwórku rozpostartych jest parę hamaków. I... cała plaża nasza.

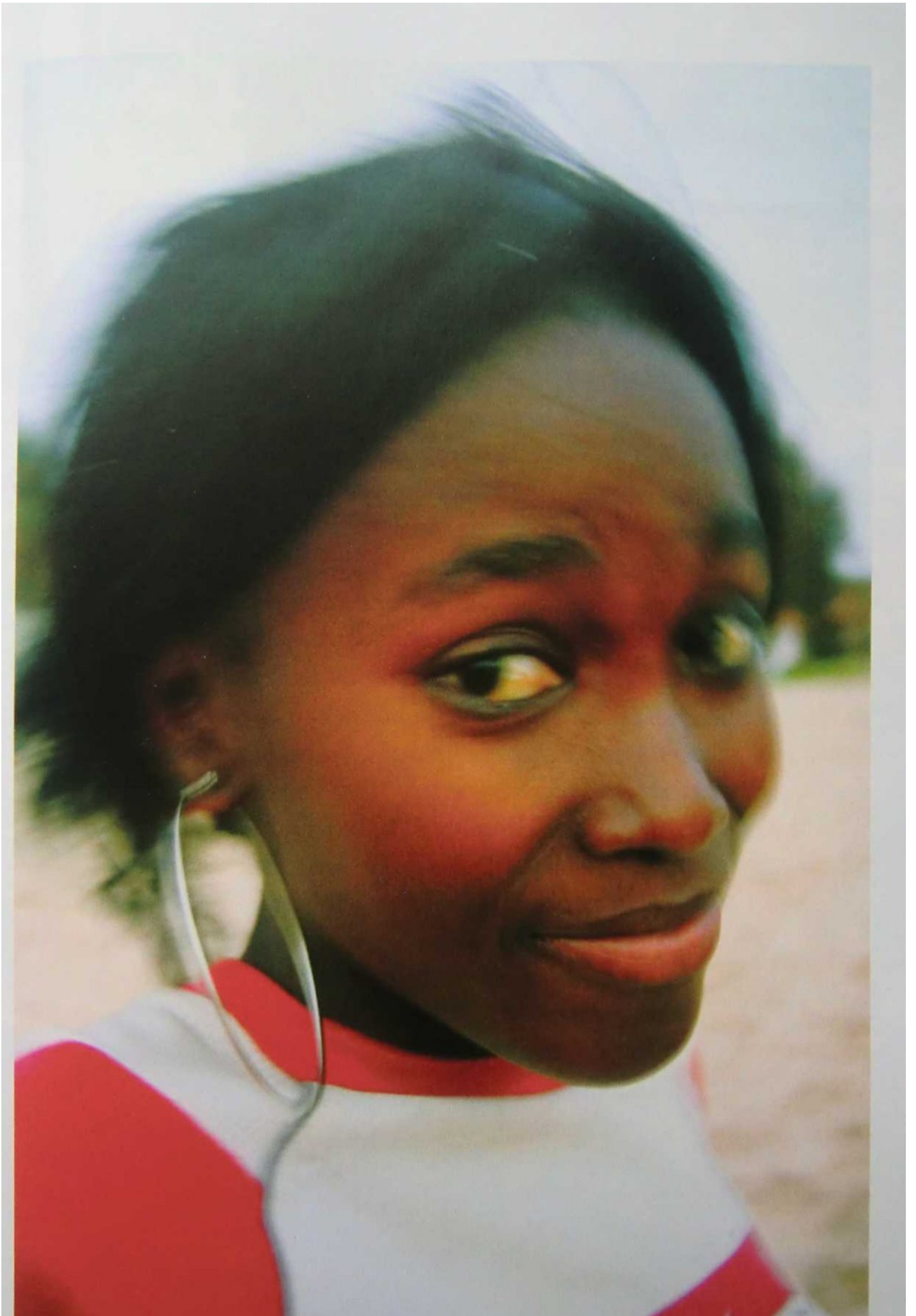
Przebieram się w zwiewną, kolorową sukienkę i biegnę w stronę ciepłego, zapraszającego

oceanu.

Budzę się pod moskitierą na wielkim łóżku, słysząc delikatny szum oceanu. Schodzę bosą schodkami na plażę. Tam znajduję zadyszanych Szwajcarów podążających truchtem za Zalem, tam i z powrotem. Przyłączam się do nich. Na szczęście kończą bieganie i zaczynają bardziej statyczną gimnastykę. Nikt z nas, białych, nie jest nawet w połowie tak sprawny jak Zal, ale dajemy z siebie wszystko nie zważając na to, że cali jesteśmy mokrzy i utyłani w piasku, bo robimy pompki, siadamy i kładziemy się na mokrej plaży, gdzie właśnie zaczyna się przyływ.



Po południu wracam do Ziguinchor. Jest już zbyt późno, by ruszać dziś dalej, wpadam więc tylko na internet i wracam do afrykańskiej mamy w rodzinnym domu Zala, gdzie mam nieustające zaproszenie. Trzynastoletnia Mami, która uczy się w szkole angielskiego, na wieść, że jestem nauczycielką tego języka prosi, aby napisać jej po angielsku parę zdań, które ona dyktuje po francusku: „Mam trzynaście lat”, „To jest moja siostra”, „Moja siostra z tego samego ojca”. Właśnie. Tu, gdzie bliższe i dalsze kuzynostwo nazywa się braćmi i siostrami, przedstawiając komuś swoją prawdziwą siostrę mówi się: „To moja siostra. Z tego samego ojca i matki”. Albo tylko „z tego samego ojca” jeśli ojciec ma dwie żony i to jest córka tej drugiej.





CZEŚĆ XIII

GWINEA BISSAU

Żółta miejscowa ciężarówka zabiera mnie pod samą granicę z Gwineą Bissau. Idę do punktu kontrolnego przy drodze. Nikt mnie nie zatrzymuje ani o nic nie pyta, ale skoro już mam wizę w paszporcie, dają go do podstemplowania. Tu zatrzymują się „bush-taxi” i jest to jedyny tutaj środek transportu, więc wsiałam do jednego z nich, jadącego aż do miasteczka o nazwie Bulu. W pierwszej miejscowości za granicą, Sao Domingos, taksówka zatrzymuje się na chwilę i widzę, że pełno tu mocno uzbrojonych żołnierzy, niektórzy z jakimiś ogromnymi głowicami u boku. To tu, w przygraniczne rejony Gwinei Bissau, przeniesli się podobno rebelianci z Casamance. W każdym razie moje „bush-taxi” przejeżdża spokojnie, a dalej w głębi kraju nie widać już żołnierzy.

Jedziemy przez zielone krajobrazy, mijając niewielkie wioski lub skupiska kilku chat. Chat z ziemistych cegieł, z wielkimi, spadzistymi, słomianymi dachami. Większość zieleni wokół to drzewa „caju”, czyli nerkowce - przez otwarte okna taksówki wdziera się słodkawy, intensywny zapach ich lekko sfermentowanych owoców. Zmienił się język. Jako że Gwinea Bissau to dawna kolonia Portugalii, mówią tu ciekawą mieszanką - portugalskim-kreol-skim, z którego, jak dobrze się wsłucham, potrafię trochę załapać (spędziłam kiedyś dwa miesiące w Brazylii), ale niełatwo się mogę przestawić z francuskiego na rozmawianie po portugalsku. W niewielkiej miejscowości Sao Vincente droga urywa się tuż przy rzece, którą trzeba przebyć promem. Nabywam od miejscowej kobiety woreczek zmrożonego napoju z owoców baobabu o konsystencji kremu i wraz z innymi ładuję się na prom. Po drugiej stronie rzeki pojazdy zjeżdżają z promu, ale nie widzę wśród nich mojego „bush-taxi”. Zabrakło dla niego miejsca w tym kursie. Nie pozostaje mi nic innego, jak poczekać aż prom wróci i przypłylnie znowu. Trwa

to mniej więcej godzinę. Jszczt kawałek do Bulu, a tam przesiadam się do kolejnej taksówki i jadę już prosto do Bissau - stolicy kraju. Nagle, na peryferiach, pośrodku jakiejś ruchliwej drogi, prowadzącej - jak mniemam - do centrum miasta, „bush-taxi” się zatrzymuje, wysadza resztę pasażerów i oznajmia, że to koniec trasy.

Nie wiem nic na temat Bissau. Lonely Planet stwierdza, że nie udało się niczego w tym kraju sprawdzić osobiście, bo z powodu niedawnej wojny domowej było zbyt niebezpiecznie, więc nie ma nawet mapy miasta. Cóż - wędruję więc z plecakiem wzdłuż drogi, na której robi się lekki korek. Mija mnie powoli biały mercedes z mężczyzną i kobietą w środku. Podwoją mnie. Mężczyzna ma na imię Bambo, kobieta to jego siostra. Rozmawiamy łamaną mieszanką francuskiego z portugalskim. Wjeżdżamy w jakieś nie asfaltowane uliczki dzielnic miasta wyglądających raczej jak desperacko biedne wioski. Kobieta zaprasza mnie na noc do siebie. Jej brat mnie tam teraz zawiezie, jeśli kupię im parę litrów paliwa, bo prawie się skończyło, a nie mają pieniędzy. Gwinea Bissau... To, że są słupy z drutami elektrycznymi na ulicy, nie oznacza jeszcze, że płynie w nich prąd. A to, że ktoś ma białego mercedesa nie oznacza, że ma pieniądze na paliwo. Oczywiście, przystaję na taki układ.

Wysadziwszy siostrę i zatankowawszy cztery litry paliwa Bambo wiezie mnie do kolejnej wioski-dzielnicy. Wśród chat ze słomianą strzechą znajduje się kilka okazalszych, solidniejszych domów. Przed jednym z nich zatrzymuje się Bambo i przedstawia mnie zamieszkującej tam licznej rodzinie. Zajmuje się mną tam jego kolejna siostra o bardzo obfitej tuszy, z niemowlęciem przy wielkiej piersi. Nie ma bieżącej wody ani elektryczności. W pokoju zapalają świeczkę, a kiedy ktoś potrzebuje coś znaleźć, przyświeca sobie światłem z... telefonu komórkowego. Unikalne połączenie biedy i przepychu.

Rano Bambo miał przyjechać po mnie i po kobietę, u której goszczę. Ale coś się nie zjawia, a ona też potrzebuje dostać się do miasta, więc ubiera się w eleganckie fioletowe szaty, a na głowie zaplata w majestatyczny sposób kawałek takiego samego materiału i idziemy razem do asfaltowej

drogi. Spotkamy się z jej przyjacielem, który też ma samochód i może podwieźć nas dalej. Przyjaciół, niewielki okrągły mężczyzna w średnim wieku, przedstawia się jako pracownik ministerstwa i na wieść, że jestem z Polski, mówi, że studiował w Rosji, więc przechodzimy z francuskiego na rosyjski. Miło, że ktoś ma pojęcie, co to Polska. Bo na przykład kobieta, od której kupuję woreczek napoju z owoców baobabu, pyta:

- Skąd jesteś?
- Polonia - odpowiadam.
- A... Kolonia - kiwa głową z udawanym zrozumieniem i nie jest to pierwszy tutaj

przypadek, kiedy ludzie myślą Polonię z Kolonią, tak jakby istniał taki kraj.

Ale po chwili kobieta dodaje:

- Zabierz mnie ze sobą do Kolumbii.
- OK. Pakuj swoje stoisko. Jedziemy do Kolumbii.

Wysiadam koło kafejki internetowej. Odpowiedziawszy na najpilniejsze maile zmierzam prosto do portu. Pełno tu zaniedbanych, kolonialnych budynków. Patrząc na mapę wymyśliłam, że wezmę prom czy łódź do Enxude, po drugiej stronie rozległej zatoki, która jest też częścią rzeki Corubal. To skróci znacznie moją drogę. W momencie, kiedy przekraczam portową bramę młody chłopak bierze ode mnie plecak.

- Chodź, popłyniesz moją pirogą.
- Czekaj, ale dokąd płynie twoja piroga?
- Na wyspę Bolama. Chodź!
- Ale ja chciałam do Enxude.
- Do Enxude odpływa jedna łódź dziennie. Wcześniej rano. I nie z tego, a z innego portu.

Chodź, popłyniesz lepiej na Bolama.

Kilka zapytanych dla pewności osób potwierdza tę informację, więc pozwalam chłopakowi wrzucić mój plecak na zarytą w błotnistym mule przy pomoście pirogę i pytam, czy już odpływa, nie zastanawiając się, jak niby miałyby odpłynąć przez muł.

- Odpływamy za jakieś pół godziny. Możesz poczekać na łodzi, możesz poczekać na zewnątrz.

Postanawiam wykorzystać ten czas na znalezienie czegoś do jedzenia, co nie jest tu łatwą sprawą, bo jedyne, co sprzedają tu kobiety na ulicy to bagietki z pastą z ryby i gotowane jajka. Młody chłopak, chodzący o lasce z powodu krótszej nogi, mówi, że pomoże mi coś znaleźć i prowadzi mnie na targ po warzywa i bagietkę, bo nic gotowanego raczej tu nie będzie. Chłopak ma na imię John, bo jego ojciec pracował kiedyś dla jednego Amerykanina i na jego cześć nazwał syna. Jest z Gwinei, więc rozmawiamy po francusku.

Wracamy do portu, bo nie chcę, aby piroga odpłynęła beze mnie. Okazuje się, że John też płynie na wyspę Bolama. Włazimy więc do środka zadaszonej pirogi z otwartymi bokami, pełnej już tobołków i pasażerów, i znajdujemy kawałek miejsca z tyłu. Łódź dalej tkwi w przybrzeżnym mule, ale już zaczął się przypływ, więc jak tylko dotrze tu woda, odpłyniemy.

Stojąca nieopodal podobna piroga już się zapełniła i odpływa. W końcu i nasza zwija liny. Przychodzą na tył chłopcy odpalić dwa silniki. Ale... nie dają się uruchomić. Rozbierają je więc, potem próbują znowu. W końcu odpływamy. Ale jest to przerywany rejs, bo silniki co i rusz gasną. Następuje chwila ciszy, spokojnego unoszenia się na wodzie, gorączkowej pracy młodych, pięknie umięśnionych miejscowych chłopaków, którym udaje się w końcu odpalić czy to jeden, czy drugi silnik, więc znowu płyniemy kawałek, i tak do kolejnego przestoju. Kiedy już pokonaliśmy ponad połowę drogi i widać w oddali naszą wyspę, silniki odmawiają pracy na dobre. Wracająca do portu w Bissau piroga rzuca w naszą stronę liny i... jesteśmy holowani z powrotem. Pasażerowie przyjmują to ze zrezygnowanym spokojem. Tak jak przerwy w dostawie albo zupełny brak prądu, tak i psujące się silniki są na porządku dziennym. Chłopcy z załogi tamtej pirogi przechodzą na nasz pokład i pomagają zdziałać coś z krnąbrnymi silnikami. W momencie, kiedy docieramy prawie do portu, z którego wypłynęliśmy, jeden z silników zaczyna pracować. Podobno już nie zgaśnie. Odłączamy się więc i... zawracamy w stronę wyspy. Wszyscy jesteśmy trochę już zmęczeni. Udaje mi się zdrzemnąć trochę. Kiedy otwieram oczy, widzę zachodzące za wodnym horyzontem słońce

oraz zbliżający się brzeg naszej wyspy. Dobijamy do brzegu w ciemności. Po śliskich schodkach wychodzę na pomost. John przedstawia mnie swojemu przyjacielowi Sekou i mówi, że zanocujemy dziś u jego rodziny. Sekou ma ze sobą niewielką torbę i wielki radiomagnetofon nadający nieustannie głośną muzykę, głównie po portugalsku. John nie ma ze sobą nic.

- Przyjechałeś bez bagażu? - pytam.

- Mam spodnie, koszulkę, czapkę. Albo noszę, albo zdejmuję. Co więcej miałbym mieć? Daj, poniosę ci plecak.

Docieramy do jednej z chat ze słomianą strzechą w piaszczystej uliczce. Dostaję spore łóżko, które będę dzielić z kilkuletnią córeczką gospodarzy. Domyślam się, że normalnie śpi na nim co najmniej kilka osób. Gdzie będą dzisiaj spać?

- Nic się nie przejmuj - jest miejsce dla wszystkich - uspokaja mnie John.

Po raz kolejny zostaję przyjęta przez ludzi, którzy nie pytają, kim jestem ani skąd jestem, ale bez słowa oddają mi swoje łóżko.

Miasteczko Bolama było kiedyś stolicą tej portugalskiej kolonii. Dziś główny plac jest z lekka zarośnięty, uroczy niegdyś kościółek w ruinie, a kolonialne budynki wyblakłe i zakurzone. Przebieram się w sarong. Zjawia się Sekou - pójdziemy do jego domu przy plaży, w innej części wyspy. Wychodzimy poza wioskę, tam gdzie zaczyna się wybrzeże z czarnym mułem i tysiącem uciekających na nasz widok albo na odgłos naszych kroków krabików. Domyślam się, że podczas przyływu to wszystko zalane jest wodą. Teraz zdejmujemy buty, to znaczy, oni klapki, ja sandały, podwijam sarong i bniemy przez czarny muł uważając, aby nie stanąć na krabika, który nie zdążył umknąć. Przechodzimy parę wpadających dalej do oceanu strumieni i w końcu wkraczamy na bardziej stały i suchszy ląd - do nerkowcowego gaju. Znowu otacza nas egzotycznie słodkawy zapach owoców caju. Pełno ich na drzewach i pełno ich na ziemi wokół. Te, które spadły, powoli się rozkładają wydając jeszcze intensywniejszy zapach. W głębi zagajnika widzę grupki ludzi zbierających owoce i wyciskających z nich na miejscu sok za pomocą drewnianych korytek, z których sok ścieka do wiadra. Pełno też wokół intrygująco wyglądających, ogromnych, ozdobnych kopców termitów. Ale nie mam szansy zatrzymać się nigdzie na dłużej, bo Sekou, z nadającym nieustannie głośną muzykę radiomagnetofonem, narzuca szybkie tempo.

Dochodzimy do samotnie stojącego domu, używanego przez rodzinę Sekou tylko podczas zbiorów owoców caju. Nie ma w nim nic oprócz kilku materacy. Zostawiamy tu rzeczy i idziemy na plażę. Siadamy na piasku w cieniu drzewa, bo tu nerkowcowy gaj podchodzi pod samą plażę. Jeden z pomocników Sekou rozpala ognisko, a John obiera kupione przeze mnie w wiosce dwa wielkie owoce drzewa chlebowego i po niedługim czasie zajadamy się wielkimi i smacznymi frytkami. Przez cały czas dudni zagłuszająca naturę oraz myśli muzyka, więc zostawiam tu chłopaków i oddalam się z pamiętnikiem w poszukiwaniu ustronnego, spokojniejszego kawałka plaży. Przeżywam tam najazd miejscowych, półnagich, półdzikich chłopaków na wyrastające wprost z piasku pojedyncze drzewo caju. Odrywają z opadłych owoców „orzechy”, czyli duże nasiona w skorupkach, a samych owoców używają do rzucania w drzewo, aby strącić jeszcze więcej owoców, z których będą mogli oderwać orzechy. Potem zjawia się kilka dziewczynek, od których kupuję trochę świeżego soku z owoców nerkowca.

Późnym popołudniem, kiedy wracamy przed dom, chłopcy pytają, czy mam może pięćset franków - wysłaliby kogoś, aby kupił kilo ryżu. Daję im pieniądze. No tak. Żyją tu nie tyle z dnia na dzień, co z chwili na chwilę. Jak widać, czasem dopiero wtedy, kiedy nadchodzi pora posiłku zastanawiają się, skąd wezmą ryż. Posłaniec wraca, ryż się gotuje, a John zaczyna przygotowywać sos - z resztek pasty orzechowej, pomidorów, cebuli, z dodatkiem zielonych mango, które nadają egzotycznego posmaku. A na deser - orzechy caju. Pierwszy raz widzę, jak się je przygotowuje. Wysypuje się na rozgrzany na ogniu kawałek blachy i praży, aż skorupki szernieją i zaczną wydobywać się z nich z sykiem opary. Potem praży się jeszcze trochę, zostawia do ostygnięcia, kamieniem rozbija spaloną łupinę i wydobywa lekko upieczony pyszny orzech.

Kręcący się wokół przyjaciele Sekou zegnają się z nami i odchodzą, a ja widzę, że Sekou siedzi dosyć smętny.

- Dziś dyskoteka w miasteczku. Chłopaki poszli, a jego nie stać na wstęp - wyjaśnia John.

- Tysiąc franków.

- Chodźcie. Zapraszam was dziś na dyskotekę - mówię.

Choć pewnie powinnam powiedzieć „Mój przyjaciel Jason zaprasza was na dyskotekę”, bo to z jego funduszu kupię im bilety i może po drinku. Sekou zmienia spodnie. John i tak ma tylko jedno. Ja biorę tylko plecaczek, wyciągam latarkę i idziemy jakieś pięć kilometrów przez nocną dżunglę. Okazuje się, że jest normalna, prosta ścieżka prowadząca do miasteczka, a poranna przeprawa przez nabrzeżny muł była tak dla frajdy. Miasteczko pogrążone jest w ciemności - poza dyskoteką i barem, gdzie światło i muzyka zasilane są z potężnego generatora. Wstęp kosztuje dwieście pięćdziesiąt franków (niecałe pięćdziesiąt centów), więc oprócz wejścia stawiam chłopakom po piwie, a sobie importowany z Portugalii napój w puszcze. Jest około dwudziestej trzeciej, a dyskoteka dopiero zaczyna się rozkręcać. Pełno tu miejscowej młodzieży - chłopaków w wyluzowano-europejskim stylu oraz dziewczyn w sukienkach, spódnicach lub obcisłych dżinsach i skąpych bluzeczkach. Moi przyjaciele wraz ze mną raczej spokojnie obserwują, nie wiem czy dlatego że się mnie wstydzą, czy dlatego że nie mają kasy, aby stawiać dziewczynom importowane napoje. Trochę po północy wszyscy jesteśmy zmęczeni długim dniem. Jest zbyt daleko, aby teraz znowu iść przez dżunglę, więc zatrzymujemy się w tej samej chacie, gdzie spaliliśmy zeszłej nocy.

Postanawiam ruszyć dziś dalej, więc o poranku wybieramy się do domu Sekou po mój duży plecak. Kiedy chcę robić po drodze zdjęcia i otwieram plecaczek, widzę że aparat włożony jest inaczej niż zwykle. Mam złe przeczucie. Otwieram wewnętrzną kieszonkę z dokumentami i pieniędzmi. Euro i dolary są na miejscu. Moje miejscowe franki miałam w portfeliku w kieszeni spodni, których nie zdjęłam do spania ze względu na komary. Ale... otwieram kopertę z funduszem Jasona. Tak... z grubszego pliku zostały trzy pięciotysięczne banknoty. Było czterdzieści pięć tysięcy. Mówię o tym chłopakom. Są tak jak ja zszokowani i zde gustowani. Wiem, że większość ludzi żyje tu na skraju nędzy, ale żeby w taki sposób okraść swojego gościa... Choć, jeśli dobrze pomyśleć, złodziej był całkiem wyrozumiały - nie zabrał całego plecaczka, co mógł łatwo zrobić, a co dopiero byłoby tragedią (bo paszport, aparat, zdjęcia...), nie zabrał obcej waluty, zostawił mi nawet trochę miejscowej - pewnie abym mogła spokojnie opuścić wyspę. Johnowi, który spał w tym samym domu, ufam w stu procentach. Sekou tu nie nocował, bo ma jeszcze krewnych nieopodal. Więc pewnie to ktoś z tej desperacko biednej rodziny. Ale nikt się przecież nie przyzna. Policja - też tu nic nie wskóra.

- Malaika... Zostaw. Zostaw to pomiędzy nimi a Bogiem. Bóg jest wielki. Z nimi się rozliczy, a tobie pomoże w podróży... - radzi mi John i nie pozostaje mi chyba nic innego, jak pójść za jego prostą, ale całkiem mądrze brzmiącą radą.

Wędrówka przez pachnącą owocową dżunglę uspokaja trochę rozgoryczenie. Zabieram plecak. Sekou już tu zostaje. Chciał przy pożegnaniu poprosić mnie o małe finansowe wsparcie, bo nie mają tu nawet za co kupić ryżu, ale skoro zostałam okradziona w domu jego rodziny... John odprowadza mnie z powrotem do do portu. Z mapy wynika, że jeśli przedostanę się przez niewielki odcinek wody do wioski Sao Joao, stamtąd już niedaleko będzie do drogi, która prowadzi do granicy z Gwineą. W porcie okazuje się, że nie ma pasażerów, więc owszem, zawiozą mnie tam, ale będę musiała zapłacić za całą łódź, czyli dwa tysiące franków. Zbijam więc cenę naprawdę niedalekiej przeprawy do półtora tysiąca franków (około dwa i pół euro), żegnam się z Johnem, który zapewnia, że nie zapomni mnie nigdy i wsiamam do drewnianej łodzi. Chłopak odpala silnik i przewozi mnie przez kawałek spokojnej wody na zielony brzeg. Tam mnie wysadza, a ja wędruję do centrum wioski. Jakies czternaście kilometrów. Z plecakiem, w upale to mało ciekawie wyglądająca perspektywa. Kiedy widzę chłopaka z rowerem, wpadam na pomysł. Łamanym portugalskim pytam, czy gdyby udało się znaleźć jeszcze jeden rower, miałby ochotę przejechać się ze mną te czternaście kilometrów, on na swoim rowerze, ja na drugim z bagażem, a potem on wróciłby z dwoma.

- Tu nikt więcej nie ma roweru. Mogę zawieźć cię sam na swoim. Plecak na bagażniku. Ty na ramie. Dziesięć tysięcy franków.

To jakieś piętnaście euro, więc chyba mocno przesadził, poza tym wizja przejażdżki na ramie czyjeś roweru po piaszczystych wybojach jest średnio zachęcająca. Przejeżdża jeszcze inny

chłopak na rowerze. Więc jednak ktoś jeszcze ma tu rower. Mówi trochę po angielsku, przedstawia się jako Gabriel, ale rzuca podobną kwotę. Dziękuję więc i zaczynam iść dalej. Po chwili jednak Gabriel mnie dogania.

- Chodź, podwiozę cię kawałek. Ale kawałek tylko.

Okazuje się, że Gabriel nie jest zupełnie bezinteresowny.

- Słuchaj, dasz mi dwa tysiące franków i swoje spodnie, a zawiozę cię do Nova Sintra - proponuje. - Podobają mi się twoje spodnie - dodaje.

- Nie mogę dać ci spodni, bo mam tylko jedno. Wiesz, co mogę ci dać? Mam książkę po angielsku, którą już przeczytałam. Amerykańską. Skoro uczysz się angielskiego, może ci się spodoba.

- Pokaż - mówi Gabriel i zatrzymuje się w cieniu.

Okazuje się, że książka może być, ale podwiezie mnie tylko kawałek. A podczas tego kawałka wynegocjowuje sobie jeszcze tysiąc franków za dodatkowe dwa kilometry, bo jutro ma się dostać do szkoły w Bolama, a nie ma za co opłacić łódki. Zgadzam się na ten tysiąc. Nie zgadzam na pocałunek, choć za pocałunek gotowy jest wieść mnie na ramie swojego roweru na koniec świata, bo przez tę krótką chwilę zdążył się już zakochać

Jest środek dnia. Szczyt upału. Ale co mi pozostaje? Wędruję piaszczystą ścieżką, zatrzymując się na odpoczynek w cieniu drzew caju. Zrzucam plecak i posilam się super soczystymi owocami, aż sok ścieka mi po brodzie i po rękach aż po łokcie. A potem zdarza się cud - nadjeżdża nie wiadomo skąd minicieżarówka z otwartą paką. Zabiera mnie do kabiny. W wiosce Nova Sintra, gdzie miałam znaleźć transport na dalszą drogę okazuje się, że jedynym transportem jest... ta sama ciężarówka, którą przyjechałam. Owszem, jedzie dalej. Ale jutro. Kierowca pokazuje mi chatę na początku wioski, która jest niedrogim miejscowym gościńcem i zaprasza na jutro rano.

Zanim udam się do gościńca, przysiadam pod drzewem i rozmawiam trochę z kobietą karmiącą piersią niemowlę. Zbiera się tłumek dzieci. Zaczynam puszczać im bańki mydlane, bo jeden ze Szwajcarów w Senegalu zostawił mi bańkowomydlany sprzęt. Dzieci najpierw patrzą oniemiałe nie wiedząc, co to ani co można z tymi unoszącymi się w powietrzu bańkami robić. Dopiero po chwili wpadają na to, że można je gonić, łapać, unicestwiać. A kiedy dają im podmuchać, następuje prawdziwy wybuch radości.

Kiedy jestem już w swoim pokoju, słyszę dochodzące z niedaleka klaskanie, bębnienie, śpiew. To grupka dziewczynek w ciemności. Jedna z nich wystukuje rytm dłońmi na plastikowym bido - nie jak na profesjonalnym djembe. Reszta stoi w kółku, klaszcze, śpiewa i po kolei każda wskakuje do środka kręgu na kilka lub kilkanaście sekund, żeby wykonać taneczną solówkę. Ucieszone obecnością światła mojej latarki w swoim kręgu, dziewczynki tańczą i śpiewają z jeszcze większym entuzjazmem. A kiedy kończą, odprowadzają mnie śpiewając pod same drzwi mojego gościńca.

Dostaję honorowe miejsce w kabynie, choć na dwóch ławeczkach wzdłuż boków otwartej paki siedzi już kilkoro pasażerów, bo ta ciężarówka to regularny miejscowy środek transportu. Jedziemy przez zielone, lekko dzunglowate tereny. W trochę większej wiosce, która jest nawet na mapie, w Falacunda, kierowca parkuje ciężarówkę w cieniu drzewa na głównym placu i gasi silnik. Pasażerowie zsiadają, ale zostawiają swoje bagaże. Domyślam się, że to mała przerwa i zaraz ruszymy dalej. No, może niezupełnie zaraz. Bo kierowca gdzieś znika. Obserwuję toczące się na placu poranne życie. Sklepiarz ma wystawioną na zewnątrz niewielką wagę. Przychodzi mała dziewczynka z plastikowym pojemnikiem na głowie pełnym świeżych, to znaczy oberwanych, nie uprażonych, nie obłuskanych orzechów nerkowca. Sklepiarz waży. Nie ma kilograma. Odważa więc pół kilo, wysypuje do niewielkiego worka, resztę oddaje dziewczynce wraz z niewielkim woreczkiem, w którym jest może pół szklanki cukru. Przychodzi później bosonogi chłopczyk w samych tylko za dużych szortach związanych w pasie sznurkiem. Też przynosi pół kilo orzechów. I bierze bagietkę, z którą uradowany wraca w podskokach do domu. Okazuje się, że orzechy caju są dla miejscowych rodzajem waluty.

Część pasażerów wraca i siada na pace naszej ciężarówki. Ale nie dlatego bynajmniej, że mamy zaraz ruszyć. Po prostu nie ma tu nic innego do roboty, a ciężarówka stoi w cieniu.

Podróżowanie w tej części świata jest prawdziwą lekcją cierpliwości. Nie wiem dokładnie, bo zatraciłam rachubę czasu, ale mijają ze trzy godziny jak nic, zanim paka ciężarówka maksymalnie się wypełnia, co oznacza, że można i że warto jechać dalej. Kiedy spoglądam z kabiny przez tylną szybę na pakę, widzę, że przynajmniej trzy osoby tłoczą się usadowione na moim plecaku. Mam nadzieję, że coś z niego zostanie...

Tuż przed miejscowością Buba wysiadam i zaraz odjeżdżam busikiem po asfaltowej drodze prosto do miasteczka Quebo, tuż przed gwinejską granicą. Tam pytam o transport do Gwinei. Okazuje się, że dziś udaje się tam jedynie niebieska ciężarówka, którą widzę zaparkowaną przy drodze. W jej pobliżu znajduję pomocnika kierowcy.

I Do Konakry? Nie ma sprawy, biała kobieto. Zabierzesz się z nami. Ale nie jedziemy zaraz. Bo za mocne słońce. Przyjdź o siedemnastej. Jak chcesz, możesz wrzucić plecak do kabiny.

Genialnie. Mam więc czas, żeby spokojnie znaleźć coś do zjedzenia. O siedemnastej zjawiam się przy ciężarówce, ale widzę, że dopiero zaczął się rozładunek przywiezionego z Gwinei towaru. Siadam więc na macie pod pobliskim domkiem, wśród kilku mężczyzn i jednej kobiety, którzy też czekają na gotowość ciężarówka do drogi, nie wydając się wcale zniecierpliwieni. Przsypiam na macie. Budzi mnie po zmroku pomocnik kierowcy, aby oznajmić, że już zbyt późno. Ruszymy jutro z rana.





CZEŚĆ XIV

GWINEA

25 KWIETNIA

Rano ciężarówka stoi tak jak stała i nie widać znaków, aby miała za chwilę ruszyć. Francuski napis na jej boku oraz tyle głosi: „Nic nie może zaprzeczyć woli Boga”. Domyślam się, że pewnie nie jest jego wolą, abyśmy zaraz ruszyli... Kupuję śniadanie - ryż z odrobiną zielonego bezmięsnego sosu, obficie polany czerwonym palmowym olejem. Wkrótce widzę, jak grupka mężczyzn zaczyna z mozolem pchać ciężarówkę i po chwili rozlega się głośny warkot silnika. Więc jest nadzieja, że ruszymy.

Część ludzi wsiada na towarową pustawą pakę bez dachu. Ja zostaję zaproszona do kabiny[^] gdzie oprócz młodego kierowcy w ciemnych okularach i elastycznej żółto-czarnej bluzie, siedzi jeszcze trzech młodych mężczyzn oraz kobieta o imieniu Adama -żona jednego z nich, umięśnionego przystojniaczka. Jeszcze zanim ruszamy, przystojniak puszcza do mnie oko, a Adama wspaniałomyślnie oświadcza, że może się nim ze mną podzielić. Wszystko tu jest proste i bezpośrednio. Jeden z pozostałych mężczyzn, z którym nie zamieniłam wcześniej ani słowa, pyta mnie:

- Wyjdiesz za mnie?
- Czekaj, bo mąż Adamy też chciałby się ze mną ożenić.

- Widzisz, jakie masz dzisiaj szczęście, Malaika - komentuje trzeci chłopak. - Dwóch kandydatów na męża. Teraz tylko musisz wybrać.

Wybieram jednak skupienie się na mijanych krajobrazach, bo tuż za miasteczkiem ciężarówka skręca nagle w jakąś boczną ścieżkę, prowadzącą przez wioski. Ścieżka jest tak wąska, że ciężarówka prawie ociera się o płoty. Po czym... wjeżdża prosto w dżunglę, w tropikalny gaj pełen palm, drzew caju i dzikiej zieleni. Nie wiem, czy to tylko chwilowy skrót aż dojedziemy do czegoś, co będzie można nazwać drogą, czy też może ciężarówka coś przemyca i potrzebuje przedostać się przez zieloną granicę. Pomimo otwartych bocznych okien (a raczej okien w ogóle nie posiadających szyb) robi się okrutnie gorąco, a to z powodu temperatury silnika znajdującego się tuż pod kabiną. Ciężarówka nie posiada ani jednego lusterka, nie działa też żaden ze wskaźników na zdezelowanej desce rozdzielczej. Ale to wydaje się nie mieć znaczenia. Ważne, że odpaliła i sunie głośno, powoli, ale do przodu, poprzez coraz to gęstszy busz, a gałęzie drzew przy ścieżce smagają przednią szybę. Raz na jakiś czas kierowca wyciąga rękę i zrywa okazały owoc nerkowca.



Dojeżdżamy do jakiejś wioski ze szlabanem ze sznurka pomiędzy dwoma patykami i koślawym stolikiem przed szopą tuż obok. Więc jednak to oficjalna granica. Wysiadamy. Kierowca daje zwyczajową łapówkę nie umundurowanemu oficerowi granicznemu. Ja muszę okazać paszport i dostaję nawet pieczętkę wyjazdową z Gwinei Bissau. W głębi wioski zatrzymujemy się i mężczyźni zaczynają załadowywać na pakę wielkie worki ryżu. Znowu odpalają na pych i ruszamy dalej powoli przez dżunglę, która robi się lekko pagórkowata i odkrywam z przerażeniem, że to żaden skrót prowadzący do drogi. To po prostu JEST droga...

Kolejna wioska to już wioska gwinejska. Znowu szlaban ze sznurka. Znowu kierowca musi dać kasę, a ja - pokazać paszport. Podaję go z bijącym sercem i proszę mojego Ducha Opiekuńczego, aby nie zwrócili uwagi na brak wizy i nie kazali mi wracać przez tę dzicz do stolicy. Celnik w koszulce na ramiączkach ogląda paszport ze wszystkich stron. Ogląda, ogląda... I pyta:

- A świadectwo szczepień przeciwko chorobom tropikalnym masz?

Zupełnie mnie to zaskoczyło, bo to pierwszy raz w Afryce, a tak naprawdę pierwszy raz gdziekolwiek na świecie, kiedy ktoś mnie o to pyta. Ale akurat mam - wzięłam ze sobą książeczkę szczepień ze stemplem szczepienia na żółtą febrę jeszcze z Wenezueli. Wyciągam ją z plecaczka i podaję mężczyźnie, który oczywiście pieczętek w środku nie jest w stanie rozszyfrować, ale francuski napis na okładce, że jest to międzynarodowa książeczka szczepień wystarczy. Mogę wjechać do ich kraju.

Pierwsze, co nasza ciężarówka robi w Gwinei to łamie i miażdży parę gałęzi jednego z drzew mangowych w wiosce, starając się podjechać pod kolejny składzik z workami ryżu. Wynika z tego głośna i długa kłótnia pomiędzy załogą ciężarówki a mieszkańcami, którzy domagają się zapłaty. Nie wiem, czym się kończy, bo Adama odciąga mnie na bok, w spokojniejsze miejsce.

Mija dłuższy czas zanim ciężarówka gotowa jest znowu do drogi. Teraz już potężnie obciążona. Wyjazd z wioski jest pod górkę, więc pasażerowie idą kawałek pieszo. Na wyjeździe koślawy napis na budynku bez dachu oznajmia, że to miejscowa szkoła podstawowa. W tym momencie pusto, ale z ciekawością zaglądam przez uchylone drzwi klasy. Tam, z boku zapisanej po francusku tablicy wisi... czaszka małpy. Pakujemy się z powrotem do rozgrzanej kabiny i wolniutko, z mozołem przemierzamy teraz już gwinejski fragment dziczy. Silnik ciężarówki, aby uciągnąć przez wyboje ciężar kilkunastu ton ryżu na pace oraz całą wagę ciężarówki, musi się nieźle napocić i wydaje z siebie tyle gorąca, że każda metalowa część w kabinie jest tak rozgrzana,

że aż parzy. Przekraczamy rzekę. Bez mostu. Na przełaj, po głazach i kamieniach, a ja patrzę i ledwo mogę uwierzyć, że ciężarówka nie utyka nigdzie, ale warcząc i krztusząc się przedostaje się na drugi brzeg i tam wspina się po skałach w górę, w stronę ścieżki. Tu krótki przystanek na dolanie wody do chłodnicy. Potem dalej ścieżką. Do momentu aż... ciężarówka łapie gumę w tylnym kole. Więc kolejna wysiadka. Wygląda na to, że nie mają po prostu zapasowego koła, bo chłopcy wydobywają z zakamarków ciężarówki narzędzia, zdejmują koło i następuje przycinanie kawałków gumy i łatanie opony czy dętki.

- Daleko jeszcze? - pytam jednego z pasażerów podróżujących na pace.

- Daleko? Jeszcze porządnie nie zaczęliśmy - odpowiada mężczyzna mało pocieszająco, ale wprost. - Dotrzemy do Boke pewnie koło północy.

- Nie do Konakry? Myślałam, że jedziemy do stolicy.

- Nie, to ciężarówka tylko do Boke. Chodź lepiej z nami na pakę. Tu jest chłodniej.

Wspinam się więc po wysokiej burcie i ląduję na workach ryżu. Rzeczywiście - jaka ulga! Kiedy ruszamy, robi się przyjemnie rześko. Jest nie tylko przyjemniej, ale i wygodniej. Zamiast siedzieć ściśnięta w sześć osób w ciasnej i parnej jak sauna kabinie, tu rozkładam się wygodnie na workach ryżu koło mojego plecaka i oglądam pojawiające się na gwinejskim niebie gwiazdy migające pomiędzy drzewami dżungli. Wyciągam z dna plecaka bardzo dawno już nie używaną kurtkę. Teraz jest idealnie, ciepło. Zapadam w relaksującą drzemkę.

Budzę się na chwilę w środku nocy, kiedy już nie buja i nie trzęsie i nie słychać silnika.

Chyba dotarliśmy do Boke. Ale tak mi tu dobrze, że nie mam siły ani ochoty się ruszyć, więc... śpię dalej.



26 - 27 KWIETNIA

Budzę się lekko zdrętwiała. Kiedy wyglądam poza burtę ciężarówki, widzę, że stoimy na poboczu asfaltowej drogi, z której jednej strony, u podnóża zielonego wzgórza, stoi ciąg chat. Dotarliśmy do miasteczka Boke. Stąd jest już normalna droga, jest też transport do Konakry. Tak jak przypuszczałam, przejazdka nie była darmowa. Pomocnik kierowcy zbiera opłatę za przejazd. Od tych przewożących towary ściągają całkiem spore sumy. Ja nie mam jeszcze tutejszej waluty, bo Gwinea nie używa zachodnioafrykańskiego franka. Pomocnik kierowcy idzie więc ze mną do sklepiku w pobliżu targu, gdzie wymieniam dwadzieścia dolarów na dziewięćdziesiąt tysięcy gwinejskich franków, z czego trzydzieści pięć tysięcy płacę za tego jednego z najciekawszych stopów.

Biorę zbiorową taksówkę za dziesięć centów do „gare voiture” czyli „dworca samochodowego” - odpowiednio nazwanego, bo rzeczywiście nie ma tu autobusów ani nawet minibusów, a raczej same osobowe taksówki długodystansowe. Ktoś już zabiera mój plecak i zaczyna wpakowywać go do bagażnika jednego z prawie pełnych aut, ale udaje mi się go powstrzymać.

- Zaraz, zaraz, czy powiedziałam że z wami jadę?

- A jak inaczej chcesz jechać? Stąd nic innego nie jeździ.

- Spróbuję stopem, ta droga prowadzi przecież do Konakry, nie?

- Tak, ale nie ma tu stopa.

- Zobaczmy. Jak nie znajdę, to wrócę, OK?

-Jak chcesz. Ale mówię ci, że stopa tu nie ma.

Nie zważając na te ostrzeżenia zabieram plecak i idę na drogę. Rzeczywiście, nie ma tu ruchu. Czasem tylko przejeżdża mocno wypełniona taksówka. Ale po całkiem niedługiej chwili zatrzymuje mi się prawie pusty minibus. Kierowca mówi, że zabierze mnie do Konakry. Po drodze zatrzymuje się dla machających ludzi z tobołkami. Podaje im cenę i podwozi do najbliższego miasteczka. Potem zgarnia kolejnych. Zabiera prawie wszystkich: mężczyzn z workami węgla, które ładują na dachu, kobietę z żywą kurą pod pachą, która ładuje w środku. Niektórzy jadą tylko kawałek, inni prosto do stolicy. Po chwili van jest pełny, a ja dostaję miejsce obok kobiety z przodu, żebym miała lepszy widok. Więc jest to prywatny, ale dorabiający sobie van. Kierowca jednak mówi, że ja jestem jego gościem i jeśli chcę, to w Konakry ulokuje mnie w domu swojego bratanka.

Póki co jednak przemierzamy lekko pagórkowate, urocze, soczyste zielone tereny. Mijamy zawieszane na patyku wbitym w ziemię przy drodze jakieś martwe futerkowe zwierzę z dżungli, coś w rodzaju lamparta - wystawione na sprzedaż. Kierowca zatrzymuje się przy innym stoisku i kupuje worek wielkich, płaskich, suszonych ryb. Przejeżdżamy też koło chłopca podnoszącego do góry żywą małpę ze związanymi nogami i rękami. To też do jedzenia. Małpę bym kupiła, ale po to, aby uwolnić ją gdzieś dalej, ale śmignęliśmy zbyt szybko. Mówię kierowcy, aby się zatrzymał jeśli jeszcze gdzieś zobaczymy sprzedawcę małp.

- Chcesz skosztować małpy? Nie ma sprawy. Zatrzymam się dla ciebie.

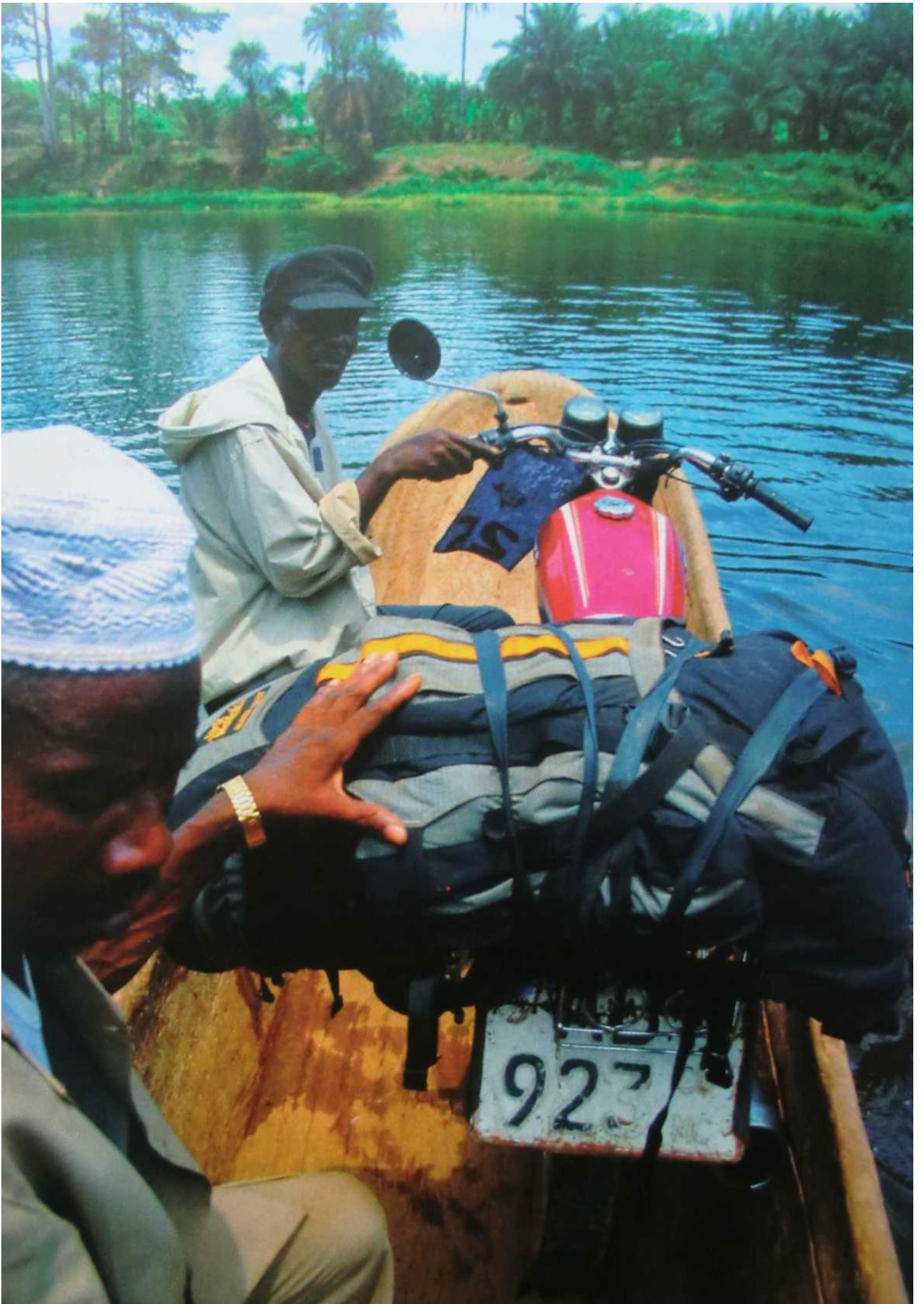
Ale niestety, a może raczej na szczęście, nie spotykamy więcej małp na sprzedaż.

Już kilkanaście kilometrów przed Konakry zaczynają się gęstsze, niskie zabudowania i zwiększa się ruch. Kierowca wysadza w paru punktach pasażerów i ich tobołki, po czym po przejeździe po centrum miasta, znajdującym się na półwyspie, gdzie parę razy miga mi wybrzeże i ocean, jedziemy w część zwaną Melina. Przeciskamy się uliczkami wśród zaparkowanych pojazdów wożących ludzi i towary prosto do i z Bamako w Mali, wśród ciężarówek, vanów oraz osobowych aut z towarami na dachu dwukrotnie przewyższającymi ich własną wysokość, wśród stoisk z różnościami, rowerów, ludzi pchających wózki z bidonami wody, kobiet balansujących na głowie przeróżne produkty na sprzedaż...

Dom Osmana, bratanka kierowcy, położony jest za torami kolejowymi. Dostaję elegancki pokój z ogromnym łóżkiem. W europejsko umeblowanym salonie mają kanapę i fotele, wielki telewizor. Ale i tak wszyscy siedzą na stołeczkach tuż przed domem, bo na zewnątrz znacznie przyjemniej. Osman zajmuje się sprzedażą samochodów - importowanych statkiem z Belgii prosto do portu w Konakry. To wyjaśnia jego elegancki dom i dobre auto.

Podarowuję sobie spokojny dzień odpoczynku u rodzinki w Konakry. Po dość intensywnych stopach ostatnich dni potrzebuję chwili bez przemieszczania. Wybieram się jedynie po awo-kado i pomidory na pobliskie stoisko oraz do równie niedalekiej cyber-kafejki, zasilanej przez generator...





SIERRA LEONE

28 - 30 KWIETNIA

Gwinea jest dość sporym, prawdziwie pięknym krajem.

I podczas kiedy u jej suchych, gorących północnych sąsiadów znajdowałam piękno w kolorowych strojach kobiet, w rozbudowanych pozdrowieniach i uściskach rąk oraz niezliczonych innych szczegółach, tutaj piękno po prostu mnie otacza - piękno przypominające raj, bujnej soczysto-zielonej natury rozpościerającej się na rozległych wzgórzach. Na razie jedynie leciutko liznęłam Gwinei. Kiedyś może wrócę właśnie tutaj, aby zagłębić się bardziej, teraz jednak jadę prosto do granicy Sierra Leone.

Żegnając się rano z mieszkańcami domu. Osman wiezie mnie na pocztę, skąd wysyłam list do urzędu podatkowego w Polsce wyjaśniając, że jestem w Afryce. Stamtąd krótkimi stopami wydostaję się poza miasto, biorę zbiorowego vana do wioski oddalonej jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Tam fotografuję dzieci z koszami bagietek na głowach i ruszam pustą drogą prowadzącą przez rozpościerającą się wokół bujną, pachnącą świeżo i wilgotno naturę. Powoli, po kawałku, trochę na piechotę, trochę miejscowymi stopami, trochę „bush-taxi” posuwam się do przodu, z przystankiem na zakup gigantycznego mango wielkości melona, które zjadam w cieniu potężnego drzewa w jednej z mijanych wiosek. Ostatni odcinek, już do samego przygranicznego miasteczka Pamelap, pokonuję vanem, bo rzeczywiście nic innego się nie pojawia.

Van wysadza mnie prosto przed budynkiem kontroli paszportowo-celnej, więc nie udaje mi się go uniknąć. Ale gwinejscy urzędnicy pobeżnie tylko zaglądną do mojego bagażu i nie wnikają w fakt braku gwinejskiej wizy w moim paszporcie. Obawiam się, że po stronie Sierra Leone może nie być tak łatwo, ale zobaczymy. Dziękuję taksówkarzom oraz chłopakowi z motocyklem, którzy oferują podwiezienie do pierwszego miasteczka w Sierra

Leone za całkiem niemałą kwotę i zabieram się z zamożnie wyglądającymi mężczyzną i kobietą, jadącymi białym jeepem. Budynek kontroli paszportowo-celnej jest niespodziewanie okazały i całkiem spory, kontrastujący z prostymi szopami na paru ostatnich granicach. Oj, wygląda na to, że będzie oficjalnie. Rzeczywiście - dostaję najpierw do wypełnienia formularz wjazdu. Urzędnik, marszcząc brwi, kartkuje strony mojego paszportu w poszukiwaniu wizy, której tam nie znajdzie. Tu rozmawiamy już po angielsku.

- Nie masz wizy?
- No... myślałam, że na granicy można dostać...
- Można. Kosztuje sto dolarów.

Tego się nie spodziewałam. To najdroższa wiza, z jaką się spotkałam. I do tak niewielkiego kraju...

- Nie, na tyle mnie nie stać.
- Czy w ambasadzie, czy tutaj, wiza kosztuje sto dolarów. Bez wizy nie możesz wjechać.



Jednak po chwili negocjacji, kiedy tłumaczę, że nie mam przy sobie nawet tyle kasy ani nie zamierzam zawracać, urzędnik znajduje rozwiązanie. Wbija mi do paszportu pieczętkę nakazującą mi stawienie się w urzędzie migracyjnym we Freetown w przeciagu

czterdziestu ośmiu godzin. Może być, ważne że zostałam wpuszczona, a już tu, wewnątrz kraju nikt nie będzie wnikał.

Mój kierowca wraz z żoną jadą właściwie prosto do stolicy, ale ja chcę pojechać najpierw do parku narodowego na północy, który znalazłam na mapie. Póki co jednak jedziemy razem. Kierowca z żoną mieszkają od piętnastu lat w Stanach. Jadą właśnie odwiedzić rodzinę tutaj. Ich dzieci nigdy jeszcze nie były w Sierra Leone. A oni też tu już nie wrócą. Choć w Ameryce mają ciepłą i zimną wodę w prysznicu za odkręceniem kurka, a tutaj kobieta nosiłaby ciężkie bidony ze studni - nie wiem, gdzie byliby szczęśliwi...

W aucie klimatyzacja, ale na zewnątrz jest intensywnie parno i gorąco. Po chwili spadają pierwsze, wielkie krople tropikalnego deszczu, a wkrótce zaczyna się masywna ulewa. Pierwszy mój deszcz w Afryce Zachodniej. Początek pory deszczowej w Sierra Leone.

Kierowca wysadza mnie przed komisariatem policji i poleca dyżurnemu policjantowi, aby się mną zaopiekował.

- Witaj. Tu będziesz bezpieczna. Nie masz się czego obawiać
- zapewnia mnie George, sympatyczny, starszy funkcjonariusz, który pełni tu dyżur dzisiejszej nocy.

Brutalna wojna domowa zakończyła się tu całkiem niedawno i trochę zajmie, zanim Sierra Leone porządnie się odbuduje, ale obecnie jest tu spokojnie. George przynosi mi plastikowy dzbanek wody.

- To ze świeżego deszczu. Najczystsza woda, prosto od Boga.

Kiedy deszcz trochę ustaje, prowadzi mnie na stoisko kobiety nieopodal, gdzie znajdują coś do jedzenia. A uwieńczeniem gościnności jest rozłożenie mi maty, koca i prześcieradła w jednym z biurowych pokoików. Mają tu też kilka cel dla aresztantów, ale te są brudne i obskurne.

Rano staję na rozdrożu, gdzie pustawa droga wiedzie w stronę miasteczka Makeni. Stamtąd zabiera mnie prywatny jeep zgarniający płatnych pasażerów po drodze. Droga prowadzi do Makeni i dalej na wschód, ale ja tu odbijam na północ, dróżką w stronę Ka-makwie i mojego wypatrzonego parku, który jest prawie pod gwi-nejską granicą. Jeep zostawia mnie przy punkcie kontrolnym z barierką. Kiedy w końcu nadjeżdża samochód i zatrzymuje się przy szlabanie, mam stopa. Tylko do jakiejś wioski po drodze, w której czekam na następną „okazję”. Przechodzący mężczyzna trzyma na rękach zwierzątko, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam.

- Co to?
- Freetambo.
- Freetambo? I co z nim robicie? Zjadacie?
- A nie. Tego zatrzymam. Jako zwierzątko domowe.

Freetambo wygląda jak coś w rodzaju niewielkiego jelenia z długą sierścią?

- Patrz, to jeszcze niemowlę... - mówię.
- Co, chcesz abym go oddał mamie? Zapłacisz mi, to oddam.
- A zapłaciłeś jego mamie za zabranie go?
- Hej, ale nagoniłem się za nim po buszu. Myślisz, że to łatwe? Mój wysiłek też kosztuje.

Albo daj mi pieniądze na jedzenie dla niego.

I Sam je złapałeś, to sam je teraz nakarm - nie daję się naciągnąć i w towarzystwie grupki dzieci, mężczyzny i freetambo czekam w cieniu, aż coś nadjedzie.

Po jakiejś może godzinie trafia się „bush-taxi”. Wnętrze jest tak ściśle napakowane pasażerami, że wydaje się, że nie da się wcisnąć szpilki, choć kierowca przekonuje, że miejsca jest dosyć, mogę wsiadać. Ale widzę kilku mężczyzn na dachu z tobołkami i ta opcja wydaje mi się atrakcyjniejsza, przynajmniej będzie powiew świeżego powietrza i lepsze widoki. Kierowca początkowo nie chce się zgodzić, bo jestem kobietą, a to niebezpieczne, ale kiedy nalegam, daję za wygraną, więc wspinam się na dach. Kiedy ruszamy, trzymam się mocno barierki, aby nie wypaść przy jakimś podskoku na wybojach i uważam, aby schylać się w odpowiednim momencie pod gałęziami. Jedziemy tak jednak tylko do pierwszej większej wioski, gdzie kawałek przed punktem kontrolnym wszyscy muszą zejść z dachu, a potem kierowca robi dla mnie odrobinę miejsca na środku i mówi, abym wsiadła, bo się o mnie boi. Kiedy w końcu do taczamy się do Kamakwie i

wypakowuję się z ulgą z „bush-taxi”, od razu podchodzi do mnie młody mężczyzna imieniem Ibrahim, oferujący moto-taxi do mojego parku narodowego Outamba. Bo stąd jeszcze czternaście mil (tu dystans mierzą w milach, a paliwo w galonach). Tam już nie jeździ nic. Jeśli nie mam własnego transportu, moto-taxi jest jedyną opcją, przekonuje mnie Ibrahim i pewnie to prawda. Rzuca najpierw jakąś mocno zawyżoną kwotę, ale mówię, że muszę póki co odetchnąć, znaleźć coś do jedzenia. Dopiero potem ponawiamy negocjacje, teraz już operując bardziej dostępnymi kwotami. Staje na piętnastu dolarach, za które zawiezie mnie tam, przenocuje, poczeka aż zobaczę zwierzaki i jutro po południu przywiezie z powrotem. Tuż za miasteczkiem droga przechodzi w jeszcze węższą i dzikszą ścieżkę niż dotychczas, prowadzącą przez porośniętą dżunglę i palmami pagórki. Od czasu do czasu mijamy małe wioski z chatami z ziemi, patyków i słomy. Promem przepławiamy się przez rzekę i śmigamy dalej, a Ibrahim powinien zostać raczej kierowcą rajdowym, a nie moto-taksówką-rzem. Dróżka robi się tak wyboista i chwilami stroma, że parę razy muszę zejść, a on poprowadzić motocykl pieszo. W końcu, już w zupełnej ciemności docieramy do niewielkiego campingu parku narodowego. Tu spotykam Amerykanina, który mieszka w Sierra Leone od dwudziestu lat i prowadzi badania nad populacją dzikich bawołów. Dostaję przyjemną okrągłą chatkę ze ścianami z plecionych mą, w której mieści się tylko łóżko. Chatkę z widokiem na płynącą tuż poniżej skarpy rzekę, w której jutro zobaczymy hipopotamy. Rzeka stanowi też jedyną opcję jeśli chodzi o umycie się, więc pod rozgwieżdżonym niebem biorę cudownie relaksującą kąpiel po dzisiejszej długiej drodze.

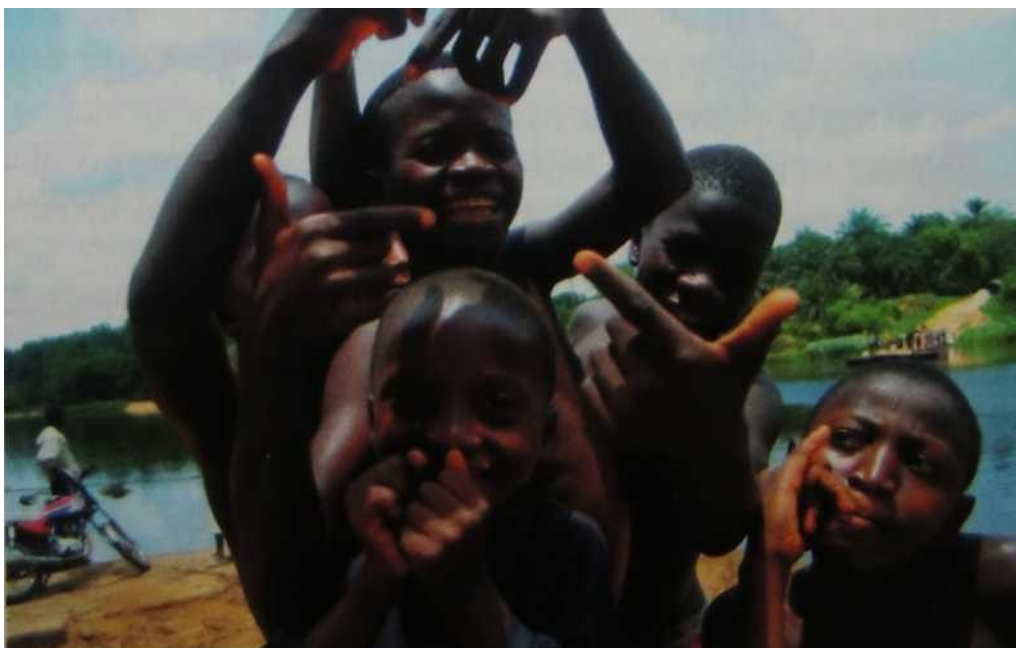
Wychodzę o poranku przed chatkę i od razu wskakuje mi w ramiona małpa. Tego się nie spodziewałam - dzikie zwierzęta tak się raczej nie zachowują. Amerykanin wyjaśnia, że to jedna z dwóch oswojonych małp przywiezionych przez kogoś ze stolicy w celu zwrócenia ich naturze. Ale one, choć buszują wolno po okolicznych drzewach, trzymają się jednak ludzi i patrzą, co by tu tylko wyludzić czy ukraść do jedzenia.

Miejscowy mężczyzna powiezie mnie łódką po rzece aż do hipopotamów. Wsiadamy do metalowego kajaka. Ja na samym dziobie, Ibrahim na środku, mężczyzna z jednym wiosłem z tyłu. Przemierzamy spokojnie zieloną wodę obserwując bujną naturę na brzegach rzeki. W niektórych drzewach słychać poruszenie - to małpy, tym razem te prawdziwie dzikie. Małp spotykamy tu parę rodzajów, od niewielkich, skaczących, prawie latających z gałęzi jednego drzewa na drugie, po znacznie większe, z długimi białymi ogonami. Na skałkach wystających z wody dostrzegam zastygłą w bezruchu iguanę, wokół pełno przeróżnych ptaków, w tym jakieś niesamowicie fluorescencyjnie niebieskie. Ale na większe zwierzęta muszę poczekać.

Dopiero po jakiejś godzinie spokojnego wiosłowania nasz przewodnik pokazuje na wystający z wody, zarysowujący się niewyraźnie w oddali kształt, a raczej kilka kształtów.

- Hippos.

Kształty poruszają się lekko, czasem wzbijając fontannę wody, ale kiedy podpływamy bliżej, zastygają, znikają pod wodą i wynurzają się tylko na chwilę na zmianę. To znaczy, wynurzają się głównie wylupiaste oczy, które obserwują bacznie sytuację nad powierzchnią wody, po czym nikną w głębinie. Całkiem niedawno jeszcze ta rzeka, tak jak większość rzek tego kraju i kontynentu, pełna była hipopotamów. Tu jednak większość z nich została zabita na mięso przez pustoszących te okolice rebeliantów, którzy potrzebowali się wyżywić. Brali oni także kości hipopotamich kłów. Przetrwała tu jednak ta garstka, pomimo że miejscowi ciągle na nie polują, chociaż to park narodowy. Chciałabym zobaczyć hipopotama w całej jego okazałej postaci, ale to można jedynie na krawędzi zmroku, kiedy wychodzą na ląd, aby karmić się wieczorną trawą albo o poranku, kiedy wracają do wody na cały upalny dzień.



Napatrzywszy się

na hipopotamie głowy na powierzchni rzeki, płyniemy do innego miejsca, gdzie przewodnik cumuje kajak wśród zarośli, po czym wychodzimy na brzeg i podążamy za nim ścieżką pośród dżungli, która prowadzi na rozległą polanę. Na jej skraju skonstruowana jest niewielka platforma na drzewie. Stąd można obserwować stada przeróżnych zwierząt, ale musi to być odpowiednia pora. W tym momencie polana jest pusta. Nagle mój przewodnik mówi w swoistym angielskim:

- Te ślady widzisz? To słonie.

Ale tym razem odcisnięte w błocie ślady są wszystkim co udaje mi się zobaczyć ze słoni, bo podobno powędrowały już dalej.

Wracamy więc do parkowego obozu, skąd Ibrahim odwozi mnie z powrotem do miasteczka. Znowu mam szczęście - zabiera mnie jeep z dwoma chłopakami, którzy jadą do Freetown. Nie mogłam lepiej trafić. Po drodze zajeżdżają do jakiegoś klubu, gdzie załatwiają swoje interesy, a ja widzę jak przechodzą z rąk do rąk grube pliki banknotów. Pojedzie z nami jeszcze Niemiec, właściciel auta. Szczupły gość koło czterdziestki z głową pełną warkoczyków w afrykańskim stylu, które - niestety - nie prezentują się tak ładnie jak u miejscowych, siada z przodu w wyluzowanej pozycji, z nogami na przedniej szybie, popijając piwo z puszki i paląc papierosa. Thomas mieszka w Sierra Leone od sześciu miesięcy, otrzymał status rezydenta i nie zamierza wracać do Europy. Nie rozmawiamy wiele, bo z głośników leci zagłuszający wszystko sier-raleoński rap.

W miasteczku Makeni przerwa na zimne napoje (ja) i kolejne piwo (chłopaki, łącznie z kierowcą) i śmigamy dalej. A kiedy dojeżdżamy do rozdroża, gdzie spędziłam noc na komisariacie policji, chłopcy zatrzymują się na kupienie grillowanych szaszłyków z przydrożnego stoiska. Mam więc okazję wysiąść na chwilę i pozdrowić mojego znajomego policjanta, który rozpromienia się na mój widok. Ściemnia się na długo zanim dojeżdżamy do Freetown.

Kierowca, miejscowy chłopak o imieniu Walbass pyta, czy mam się gdzie zatrzymać.

Nie znasz tu nikogo? Nie ma sprawy. Zatrzymasz się u nas.

U Thomasa i u mnie. Nie damy ci zginąć w tym mieście.

Noc spędzam w mieszkanku należącym do miejscowego architekta, w otoczonym murem i zwojem drutu kolczastego budynku w dzielnicy Hill Station, na wzgórzach, sporo poza centrum.

01 MAJA

Freetown jest położone na wzgórzach na półwyspie, z podobno pięknymi plażami wokół. Samo miasto to głównie wąskie uliczki i dwupiętrowe kolonialne budynki. Spędzam część dnia w centrum z Walbassem i Thomasem - dealerami diamentów - i przy okazji obserwuję proces zdobywania legalnych pieczętek i dokumentów do nielegalnie zakupionych kamieni. Spędzam kilka godzin w kawiarence internetowej w zakamarkach jakiegoś ciemnego budynku, a wieczorem, kiedy właścicielka, sympatyczna gruba kobieta chce już zamykać, wychodzę i czekam na Walbassa.

Jest zupełnie ciemno, tylko niewielkie olejowe lampy palą się na stoiskach porozstawianych

po obu stronach uliczki. Dla tutejszych mieszkańców drobny handelek jest jedynym sposobem zarobienia paru groszy, to znaczy paru leone. Stoisko kobiety obok składa się z wysokiego taboretu, na którym leżą woreczki cukru w trzech rozmiarach. Kobieta kupuje hurtowo cukier, sama przesypuje do woreczków i sprzedaje. Tu ludzie żyją z dnia na dzień, więc kupują papierosy na sztuki, cukru tyle, ile potrzeba do posłodzenia wieczornej herbaty, nawet olej odmierzany puszczką po miniaturowym koncentracie pomidorowym sprzedawany jest też w woreczkach, w ilościach potrzebnych do jednego posiłku. Tuż obok młody chłopak ma stoisko z mydłem, a inny- z papierosami. Przykucnięty obok chłopak nic nie sprzedaje, po prostu siedzi.

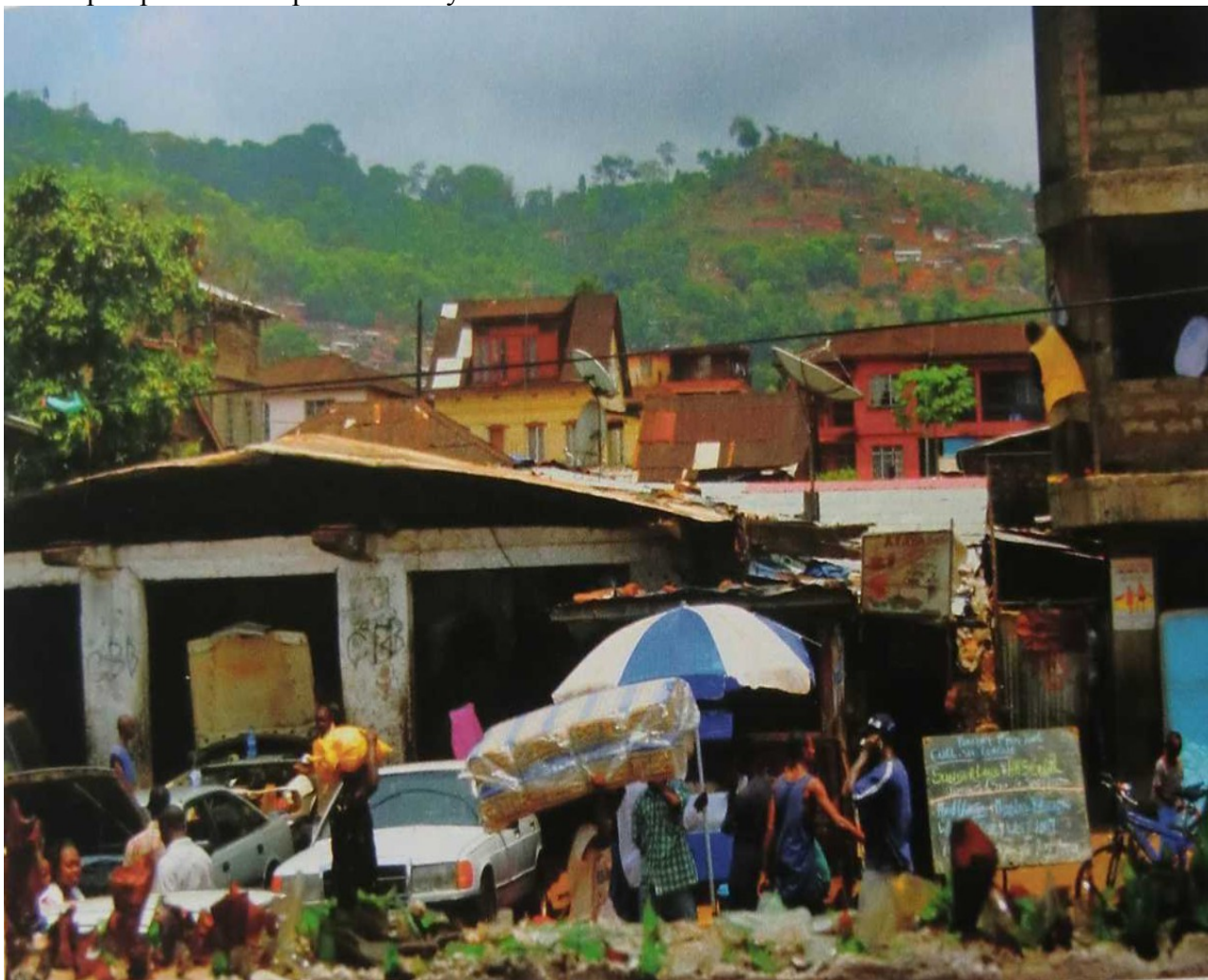
- A ty co robisz? Nic nie sprzedajesz? - pytam

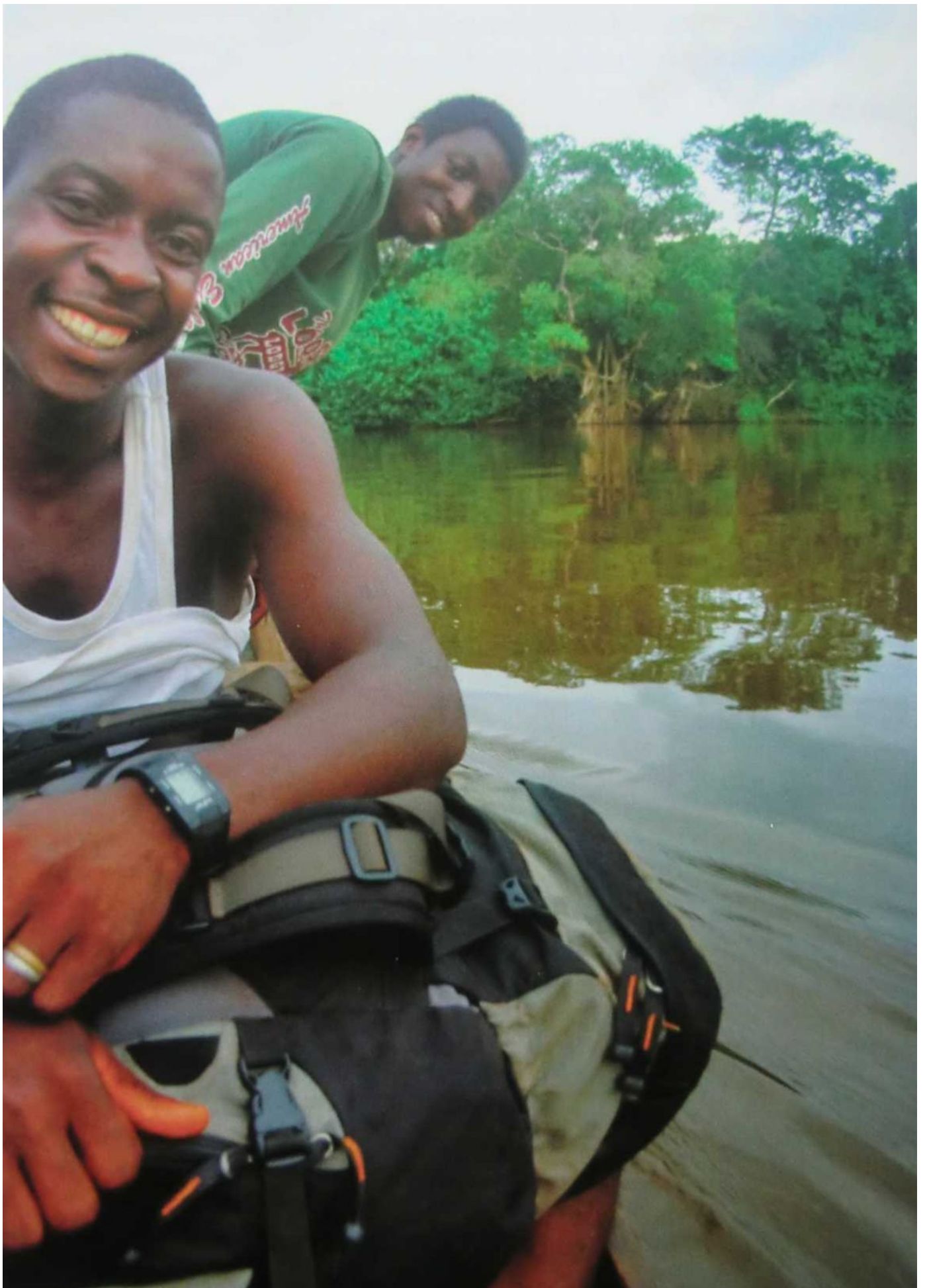
- Nie. Ja robię pedicure. Ale tylko w dzień. Teraz siedzę. I obserwuję ich stoiska. Bo pełno tu złodziei.

- Czyli jesteś ochroniarzem. Bodyguard wolontariusz.

Chłopak potwierdza z uśmiechem.

W końcu zjawiają się Walbass i Thomas. Jedziemy do pubu na plaży, gdzie siedzimy przy stoliku pod palmami do późna w nocy.





CZEŚĆ XVI

1

Tabaski, czyli Święto Ofiar - jedno z najważniejszych świąt muzułmańskich, upamiętniające ofiarę Abrahama, który był gotów poświęcić swego syna Izaaka. W ofierze składa się owce i kozy, które następnie przekazuje się biednym. Święto to rozpoczyna również pielgrzymkę do Mekki [przyp. red.]

2

Prawdopodobnie chodzi o kanczyla afrykańskiego - parzystokopytne zwierzątko wielkości królika, uważane za przodka jelenia europejskiego, [przyp. red.]

LIBERIA

05 - 06 MAJA

Poprzedniej nocy nie przespałam wiele, spędziłam ją bowiem tańcząc do najpopularniejszych sierraleońskich hitów na dyskotecę w małym miasteczku Waterloo. Dziś więc odsypiam, a rano, zanim zacznę graniczne formalności, rozglądam się za czymś na śniadanie. Niestety, wszędzie mają to samo - ryż albo z mięsem, albo z rybnym sosem. Ten rybny to zielony, z liści kassawy. Gdyby tylko nie było w nim tej ryby... Kończy się więc na bananach i świeżych frytkach ze słodkich ziemniaków. Na granicy widzę, że nie będzie raczej szansy ominięcia oficjalnej kontroli. Najpierw sierraleoński budynek celny. Tu wpisują moje dane z paszportu do księgi i, jako że nie mam nic do zadeklarowania, puszczają mnie dalej. Kolejny przystanek-budka, gdzie zyczą sobie książeczkę szczepień. Przeglądają ją nie wczytując się w znaczenie pieczętek i idę dalej. Idę drogą chyba zamkniętą dla kołowego ruchu, bo przemieszczają się nią tylko pieszo w jedną i drugą stronę miejscowi ludzie niosąc na głowach, pchając na taczkach czy ciągnąc na wózkach różne towary. Droga dochodzi do mostu przez rzekę, przed którym jest szlaban i budka. To kontrola paszportowo-migracyjna. Tu może być najciężej. No i jest tak, jak się obawiałam. Urzędnik przegląda kilkakrotnie mój paszport w poszukiwaniu sierraleońskiej wizy, której nie ma. Wzywa swojego szefa. Znajdują pieczętkę wbitą mi na wjeździe, nakazującą stawienie się w urzędzie migracyjnym we Freetown, którą zignorowałam. Domyślałam się, że mogą nie być z tego powodu zadowoleni, ale nie spodziewałam się, że nie będą chcieli mnie wypuścić z kraju.

- Madame, nie podporządkowałaś się przepisom naszego kraju. Musisz wrócić do Freetown i uregulować swoją sytuację prawną. Musisz wykupić wizę.

* W pamiętniku brak zapisów z dni 02 - 04 maja. [przyp. red.]

- Ale wasza wiza jest za droga. Przebyłam długą drogę z Freetown. Nie możecie mnie po prostu, w drodze wyjątku przepuścić?

Ale trafiłam na twardych urzędników. Pewnie gdybym poparła moje cienkie argumenty grubszą łapówką, mogłoby to ich zmiękczyć. Póki co - są nieugięci. A to dopiero wyjazd z Sierra Leone. A w jaki sposób wpuszczą mnie do Liberii, do której też nie mam wizy? Zabieram ostentacyjnym ruchem paszport i idę z powrotem. Spotykam mężczyznę, który wczoraj zaprowadził mnie do hoteliku.

- I co, nie przepuścili cię? Wracasz do Freetown?

- Ani mi się śni wracać do Freetown. Mogę ci zaufać?

- Oczywiście - odpowiada mężczyzna, bo co innego ma odpowiedzieć. A mnie... nic innego nie pozostaje, jak ufać ludziom...

- No więc tak: potrzebuję pogadać z kimś miejscowym, kto zna teren, kto zaprowadzi mnie albo wskaże drogę do jakiejś innej wioski nad rzeką. Tam przekroczę rzekę łódką i będę w Liberii.

- Jesteś szalona. To niebezpieczne. A jak tam cię złapią?

- Jak złapią mnie po drugiej stronie rzeki to najwyżej odstawią do Monrowii, do stolicy, a w tamtą stronę jadę. Nie zawrócą mnie do Freetown, bo to już inny kraj.

- Nieźle to obmyśliłaś. Ja nie jestem stąd, ale mam tu znajomych. Chodź.

Wchodzimy do chaty, gdzie mój nowy przyjaciel rozmawia z mężczyzną prasującym koszulę potężnym żelazkiem na węgiel. To chyba jego praca. Jeśli dam mu dziesięć czy dwadzieścia dolarów za przeprowadzenie mnie na drugą stronę rzeki, to będzie to więcej niż zarobiłby przez kilka dni prasowania. Mówi, że musi przemyśleć sprawę.

- Najbliższa wioska nad rzeką jest pięć kilometrów stąd. Poczekaj tu. Ja pójdę rozejrzeć

się, czy możemy niezauważenie przejść, bo sporo tu policji.

Dostaję do dyspozycji jego pokój z wielkim łóżkiem, gdzie najpierw czekam pisząc pamiętnik, a potem zmaga mnie sen. Kiedy się budzę, jest już popołudnie, a mężczyzny ciągle nie ma. Zjawia się jednak mój poranny znajomy i mówi:

- Spotkałem mojego przyjaciela. Prosił, aby ci przekazać, że cię nie zabierze. To zbyt ryzykowne.

- Szkoda, że nie mogłem przyjść wcześniej i sam mi tego powiedzieć - mówię. - Ale spoko. Rozumiem. Poradzę sobie sama. Dzięki.

Jedna z kobiet wskazuje mi drogę, prosto z ich podwórka za domem. Mam iść najpierw przez ich wioskę, a potem parę kilometrów, podobno prostą ścieżką, przez dżunglę. Zanim roznie się po wiosce wieść o moim pomysle, dziękuję kobiecie, biorę plecak i ruszam nie zważając na zbierające się na niebie złowrogo wyglądające chmury. Dopytuję jeszcze po drodze i bez trudu znajduję wąską, ale wyraźną ścieżkę wchodzącą w dżunglę. Nie ma na niej nikogo, ale są świeże ślady ludzi.

Ścieżka wiedzie do szeroko rozlewającego się strumienia, gdzie muszę ściągnąć sandały i podwinąć nogawki. Wydawało mi się, że idę dość szybkim krokiem, ale po chwili doganiają mnie zdziwione moim widokiem dwie kobiety z koszami na głowie. W końcu, po przekroczeniu w bród kolejnego strumienia, trafiam na przerzedzenie w dżungli i wkrótce na pierwsze chaty wioski. Przed jedną wita mnie grupka siedzących pod daszkiem mężczyzn. Zapraszają, aby przysiąść się, odpocząć, częstują wodą. Pytają co mnie tutaj sprowadza. Mówię, że potrzebuję przedostać się na drugą stronę rzeki. Mają tu łódkę? Mają! Ale sprawa nie jest taka prosta.

- Musisz zobaczyć się najpierw z szefem wioski. Nie ma go teraz, ale wkrótce przyjdzie. Musi wyrazić zgodę.

Z jednym z chłopaków udaje mi się porozmawiać na boku i tłumaczę, że wołałabym to zrobić bez wiedzy żadnych, chociażby tylko wioskowych władz.

- Ja bym cię za niewielką opłatą przewiózł - mówi chłopak. - Ale cała wioska widziała, jak przysłałaś. Nic się nie przejmuj, szef jest w porządku.

Rzeczywiście, szef wioski to nie celnik i da się z nim normalnie porozmawiać. Pyta, dlaczego nie przekroczyłam granicy w oficjalnym miejscu.

- Bo nie mam sierraleońskiej wizy - tłumaczę uczciwie. - Jest za droga, prawie sto dolarów.

Po chwili namysłu szef proponuje:

- Przewieziemy cię za siedemdziesiąt pięć dolarów.

Opowiadam więc, w jaki sposób podróżuję i mówię, że mogę zaoferować dziesięć, już spokojna, że da się negocjować. Rozmowie przysłuchuje się pół wioski. Szef niespiesznie przemyśla ofertę i mówi:

- Dwadzieścia.

Wyjmuję z plecaka czyniący cuda banknot i podaję młodemu pomocnikowi szefa. Szef wydaje kilka krótkich poleceń w swoim języku i po chwili schodzę wraz z trzema chłopcami do pobliskiej rzeki, na której drugim brzegu widzę ciemny pas gęstej zieleni - to już Liberia. Przy tym zaś brzegu uwiązane są dwie drewniane łódki. Plastikowym naczyniem jeden z chłopców wylewa wodę z dna na tyle, na ile się da, drugi odwiązuje łódkę, trzeci bierze mój plecak i ruchem głowy wskazuje, abym wsiadała. Łódka chybotrze się niebezpiecznie i kiedy wszyscy wsiadamy woda sięga prawie jej krawędzi. Siedzę tyłem i widzę jak oddala się powoli ląd Sierra Leone, a kiedy odwracam głowę, widzę przybliżającą się Liberię. Dobijamy do brzegu tuż obok olbrzymiego konaru i wychodzę na li-beryjski brzeg.

Myślałam, że chłopcy zostawią mnie tu i zawrócą, bo misję wykonali. Ale najwidoczniej polecenie szefa sięga dalej, bo jeden z nich zarzuca sobie mój plecak na plecy i pokazuje, abym podążała za nim. Więc wspinamy się wąską ścieżką z brzegu rzeki w głąb gęstej dżungli. Za chwilę zaczynam doceniać fakt, że chłopcy nie zostawili mnie tu tak po prostu, bo okazuje się, że pierwsza liberyjska wioska jest spory kawałek stąd, a ścieżka nie jest tak prosta, łatwa i wyraźna jak po tamtej stronie. Tu wiedzie najpierw przez trzciny, potem przez busz, tak gęsty, że ocieramy się

nieustannie o mokre od niedawnego deszczu krzewy, gałęzie i zwisające liany, tak że po chwili jestem cała przemoczona. Do tego ścieżka ginie po chwili w mokradłach. Odruchowo zdejmuję sandały i podwijam nogawki, zdając sobie po chwili sprawę, że przecież i tak bardziej mokra już nie będę. Mokradła przeradzają się w bagna i brniemy przez nie, a chłopcy mówią, że marzą o tym, aby wyrwać się stąd i pojechać do nas - krainy białych ludzi, gdzie żyje się łatwo i przyjemnie, i nie chcą wierzyć, że nie do końca jest to raj.

Skończyły się bagna i otacza nas pachnąca świeżością i tętniąca życiem dżungla. Kiedy splecione zarośla ustępują trochę plantacjom palm i manioku, domyślam się, że docieramy do wioski. Rzeczywiście - tuż przed zmrokiem wyłaniają się pierwsze chaty.

Tu też w pierwszej kolejności zostaje zaprowadzona prosto przed chatę i oblicze szefa wioski. Szef, którego kraj otrząsa się dopiero z długiej wojny domowej, używa wojskowego języka, aby wypytać o cel mojej wizyty:

-Jaka jest twoja misja tutaj, madame?

- Moja misja to zobaczyć Afrykę.

- Więc patrolujesz Liberię?

- No... można powiedzieć, że patroluję cały afrykański kontynent.

- No to bardzo dobrze. Witaj w naszej wiosce.

Dostaję wiadro wody do umycia się oraz pokój, który - jak się okazuje - jest pokojem samego szefa.

Kiedy potem siadam pod daszkiem przed chatką w towarzystwie połowy zaciekawionej wioski, jeden z mężczyzn mówi:

- Raz tylko widzieliśmy tu białych ludzi. Przyjechali autem z ONZ, spatalowali okolicę i odjechali. Żaden biały nie przywędrował jeszcze pieszo.

A kiedy błysk rozświetla nocne już niebo w oddali, inny mężczyzna pyta:

- W Portland, czy tam też słońce rozświetla niebo przed deszczem?

Mówiłam mu już, że to Poland, nie Portland, ale nie robi to różnicy, podobnie jak nie jestem w stanie wytłumaczyć, że to nie słońce rozświetla niebo przed burzą. W każdym razie, gawędzimy sobie w ten sposób do późna, a kiedy w nocy nadciąga tu burza, mam wrażenie, że zwieje mnie z powierzchni ziemi wraz z chatką. Wkrótce jednak wiatr przycicha, a na przeciekający dach z karbowanej blachy spadają z ogłuszającym łomotem ogromne ilości wody...

Kiedy budzę się rano, jedynym śladem po nocnej burzy jest zmoczona przyroda wokół, a zza lekko zachmurzonego nieba zaczyna już przeziierać słońce. Przeprane wczoraj spodnie i koszulka, choć powieszzone wewnątrz, oczywiście przy tej wilgotności nie wyschły, więc zakładam je mokre. Kupuję parę bananów od kobiety, która szykuje worek do zanieśienia na targ w przygranicznej wiosce. Jeśli sprzeda wszystkie banany, zarobi równowartość półtora dolara. Za zarobione pieniądze kupi ryż, przyprawy, cebulkę, suszoną rybę - produkty dla całej rodziny, które będą musiały wystarczyć do następnego targu za tydzień. Dziękuję szefowi wioski i ruszam wraz z kobietą oraz innymi mieszkańcami w stronę targu. Targ jest tuż przy tym moście przez rzekę, przez który wczoraj mnie nie przepuszczono, więc kiedy ścieżka się rozwidla, procesja ludzi z towarami na głowach wędruje w prawo, ja zaś w lewo, dróżką, która też ma mnie doprowadzić do głównej drogi, ale już parę kilometrów dalej.

Idę spokojnym tempem wdychając aromatyczny, wilgotny zapach dżungli. Nie wiem, czy moje ubranie będzie miało szansę wyschnąć, bo co podeschnie, to jest mokre od potu. Po jakiejś godzinie - hurra! - asfalt! Tak więc udało mi się obejść oficjalny punkt graniczny. Mogę potraktować to jako trening, na wypadek, gdyby trzeba było przekraczać inne zamknięte lub niedostępne granice.

Dotarłam do cywilizacji, ale to dopiero część sukcesu. Teraz jeszcze tylko nie dać się złapać na jakimś punkcie kontrolnym, gdzie odkryją, że jestem tu bez wizy, czyli nielegalnie. Podchodzę do stojącej przy drodze grupki ludzi, lekko zdziwionych na widok białej kobiety z plecakiem, wychodzącej ni z tego, ni z owego z lasu. Zagaduje mnie żołnierz służący tu w siłach ONZ i zatrzymuje dla mnie i dla siebie ichniejsze, białe auto. W Liberii stacjonuje w tym momencie piętnaście tysięcy żołnierzy i personelu ONZ, wprowadzających i utrzymujących tutaj pokój oraz

prowadzących programy repatriacyjne dla uchodźców i inne akcje. Mijamy prowadzony przez ONZ punkt kontrolny przy drodze - z workami z piasku służącymi za barykady i drutami kolczastymi wokół. Wszystkie pojazdy są tu obowiązkowo kontrolowane. Ale swoich przepuszczają, salutując na baczność kierowcy. Takich punktów mijamy kilka, więc nie mogłam lepiej trafić. Zajeżdżamy pod białe baraki bazy. Wczoraj mokra i ubłocona, potykająca się o korzenie w przygranicznej dżungli - teraz sprawdzam maila w klimatyzowanym baraku ONZ popijając mocno schłodzoną pepsi. A potem w ciągu kilku minut poznaję chłopaków - z Rumunii, Pakistanu, Filipin, Rosji, Nigerii... Rumun wybiera czyjś numer w swojej komórce. Połączenie jest trochę przerywane, ale udaje mi się pogadać ze stacjonującym w Monrowii Mirkiem, który z tradycyjnie polską gościnnością, na wieść, że jestem w Liberii, zaprasza mnie od razu do siebie. To chyba w ramach rekompensaty za wczorajsze wysiłki, dzisiaj wszystko samo się idealnie układa. Rumun zaprasza mnie na lunch. Nie jem mięsa? Nie ma sprawy. Poleca kucharce przyrządzenie mi frytek. Do tego dawno już nie widziane, importowane z Europy przysmaki - oliwki, konserwowe ogórki... Potem kolejnym klimatyzowanym autem śmigam prosto do Monrowii.

Miasto jest rozległe i tu ulice są ruchliwe. Z europejsko wyglądającej pizzerii, w której leci dobra afrykańska muzyka, dzwonię do Mirka. Za jakieś pół godziny witam się z sympatycznym gościem, łysym, ale z potężnymi wąsami. Mirek jest liderem zespołu obserwatorów ONZ, w którym są między innymi Etiopczyk, Ekwadorczyk, Chińczyk i Czech. Mieszka niedaleko centrum w jednym domu z honorowym konsulem Republiki Czeskiej, który prowadzi wraz z bratem czeski pub. Bramę do ogrodzonej wysokim murem posesji otwiera nam jeden z trzech miejscowych służących, a na podwórku wita nas kilka psów. Bujność roślinności maskuje druty kolczaste. Mirek zostawia mnie w przestronnym domu i wychodzi.

- Nie wiedziałem, co jedzą wegetarianie - mówi, kiedy wraca.

- Zobacz, czy to się nada - i wyjmuję z siatek kupiony w supermarkecie seler naciowy, marchewkę, jabłka, cytrynę oraz parę importowanych z Libanu soczków. Przyrządzam więc sałatkę, którą jemy przy stole na podwórku przed domem. O zmroku włączają generator, bo w całej Liberii nie ma prądu. Charles, czyli Karol, honorowy konsul Czech jest pod takim wrażeniem widząc samotnie podróżującą kobietę, że mówi, że załatwi mi liberyjską wizę. Chyba nigdy nie przestanie zadziwiać mnie splot przedziwnych zbiegów okoliczności, po których wiedzie mnie droga...



Liberia jest dość chrześcijańska, konkuruje tu ze sobą masa przeróżnych, reklamujących się na billboardach kościołów. Poza billboardami kościelnymi rzucają mi się w oczy obecne w całym kraju, a tu w stolicy szczególnie, tablice i plakaty akcji uświadamiającej związanej z AIDS oraz wieloma innymi tutejszymi problemami. Widzę więc zilustrowane sugestywnymi rysunkami hasła, takie jak: „Nie wystarczy nadzieja. Używaj prezerwatyw” „Edukacja to przyszłość. Posyłajmy dziewczynki do szkoły”, „Żaden z obywateli nie jest bardziej Liberyjczykiem niż inny. Zaprzeźdźmy walki plemiennej”, „Gwałt jest przestępstwem karanym więzieniem”, „Prawdziwy mężczyzna nie gwałci. Szanujmy liberyjskie kobiety”, „AIDS jest prawdziwy. Dzieci - nie zgadzajcie się na seks”. Jeśli pomyśleć, dlaczego te plakaty i skąd ich aż tyle, szczególnie te ostatnie - przechodzi mnie dreszcz.

W Monrowii nie ma wiele fascynującego do oglądania. Budynki o średnio ciekawej architekturze, niektóre zdewastowane podczas wojny, miejska plaża, która byłaby przyjemna gdyby

nie stanowiła miejskiego wysypiska... Zrobiwszy parę rundek po centrum, udajemy się za miasto, do biura Mirka bazy. Tam Mirek przedstawia mnie Chińczykowi na dyżurze jako nowo przybyłą obserwatorkę ONZ i daje mi do dyspozycji komputer z internetem na parę godzin. A wieczorkiem na podwórku mała impreza - pol-sko-hinduska, bo Mirek zaprosił znajomego Hindusa, też pracującego w ONZ, do którego właśnie dojechała żona - Polka Grażyna z kilkuletnim synkiem oraz Ania, polska dziewczyna, która się nim opiekuje. Mirek wynosi na zewnątrz kuchenkę i wprowadzając polski akcent w Liberii, przyrządza pyszne placki ziemniaczane, a w przerwie wznosi szampanem toast za „polskie kwiaty” które reprezentujemy my, czyli Grażyna, Ania i ja. A późnym wieczorem, po wyjściu gości, wpadamy na chwilę do czeskiego pubu, w którym popija piwo i tańczy w najlepsze do afrykańskich przebojów liberyjska młodzież.

Mirek daje mi do przeczytania artykuł o czarownicach w miejscowej gazecie. Ponieważ w zniszczonym przez wojnę kraju nie ma funkcjonującego systemu wymierzania sprawiedliwości, a silne są plemienne tradycje i animistyczne wierzenia, ludzie radzą sobie na swój sposób. Kobięcie oskarżonej o czary dają do wypicia wyciąg z trującego drzewa. Jeśli przeżyje, znaczy że jest niewinna, jeśli umrze - dowodzi to tym samym jej winy. Albo wkładają jej rękę do rozgrzanego oleju palmowego i jeśli jej nie sparzy, jest niewinna. W niektórych rejonach równie rozpowszechnione jest wierzenie, że AIDS jest wynikiem rzucenia przez kogoś uroku oraz, że może go wyleczyć wizyta u znachora, szamana czy czarownika. Ale najbardziej szokująca wiadomość znajduje się w przewodniku Lonely Planet po Afryce Zachodniej, który pożyczył mi do przejrzania jeden z Czechów. Dotyczy to kolejnego kraju na mojej drodze - Wybrzeża Kości Słoniowej, który jest największym na świecie producentem kakao. I podobno pracuje tam na porozrzucanych po kraju plantacjach piętnaście tysięcy dzieci-niewolników. Część z nich sprowadzona jest z biednych obszarów Burkina Faso czy Mali - czasem w obietnicy płatnej pracy, czasem kupowana wprost od zadłużonych rodziców, czasem porywana. Pracują bez wynagrodzenia, są rzadko karmione i regularnie bite. Jest nawet podobno targ dzieci-niewolników, na którym można kupić dziecko za około sześćdziesiąt dolarów. Postanawiam, że jeśli uda mi się znaleźć ten targ, kupię tam najmizerniej wyglądające dziecko i... nie wiem, co z nim zrobię, w każdym razie postaram się, aby miało lepszą przyszłość.



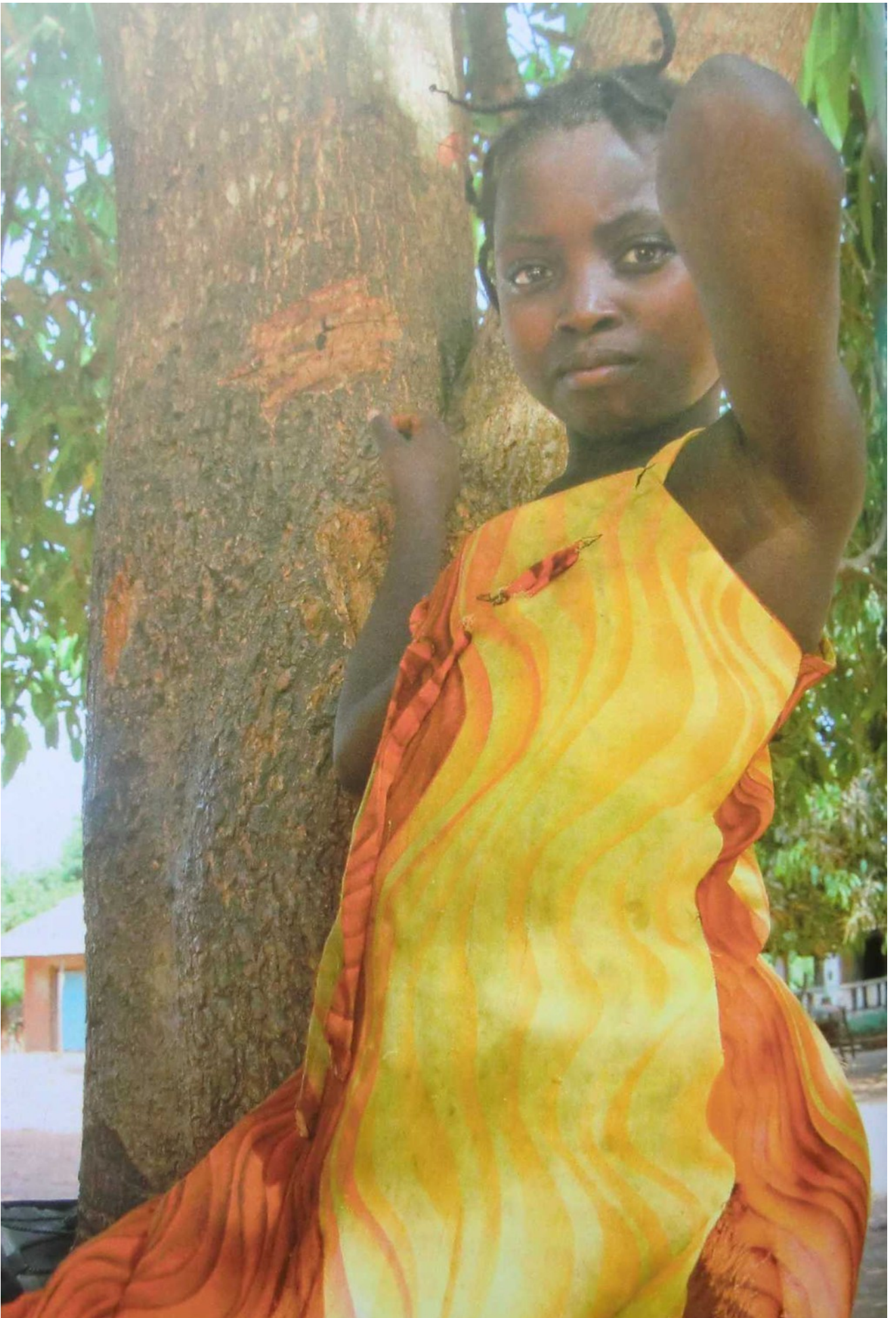
Mirek jest pełen obaw co do mojej wyprawy w stronę granicy z Wybrzeżem Kości Słoniowej, za którą podobno są tereny kontrolowane przez rebeliantów. Wykonał nawet parę telefonów i maili, ale niestety nie udało mu się nic konkretnego dowiedzieć. Obiecuję, że będę uważna oraz, że spróbuję wypytać po drodze o aktualną sytuację.

Kilkoma niedługimi stopami wydostaję się poza miasto. Przejeżdżam koło ogromnej, zatrudniającej tysiące robotników plantacji gumy i zastanawiam się, czy tu też pracują dzieci-niewolnicy. Już za plantacją mijam paru uchodźców, zabiera mnie ciężarówka wioząca na pace kolorową grupkę ludzi, głównie kobiet i dzieci i ich tobołki. Jedziemy z przerwami na rozładowanie worków ryżu, tobołków i pasażerów, i czym dalej, tym bardziej się na pace przeredza. Podziwiam kobietę podróżującą z czwórką dzieci. Najmłodsza dziewczynka prawie nieustannie przy piersi - zamiast smoczka. Kobieta w czasie wyboistej jazdy potrafi ją przewijać i to nie używając bynajmniej pampersów, a kawałków płótna wkładanych w wiązaną na kształt majteczek ceratkę.

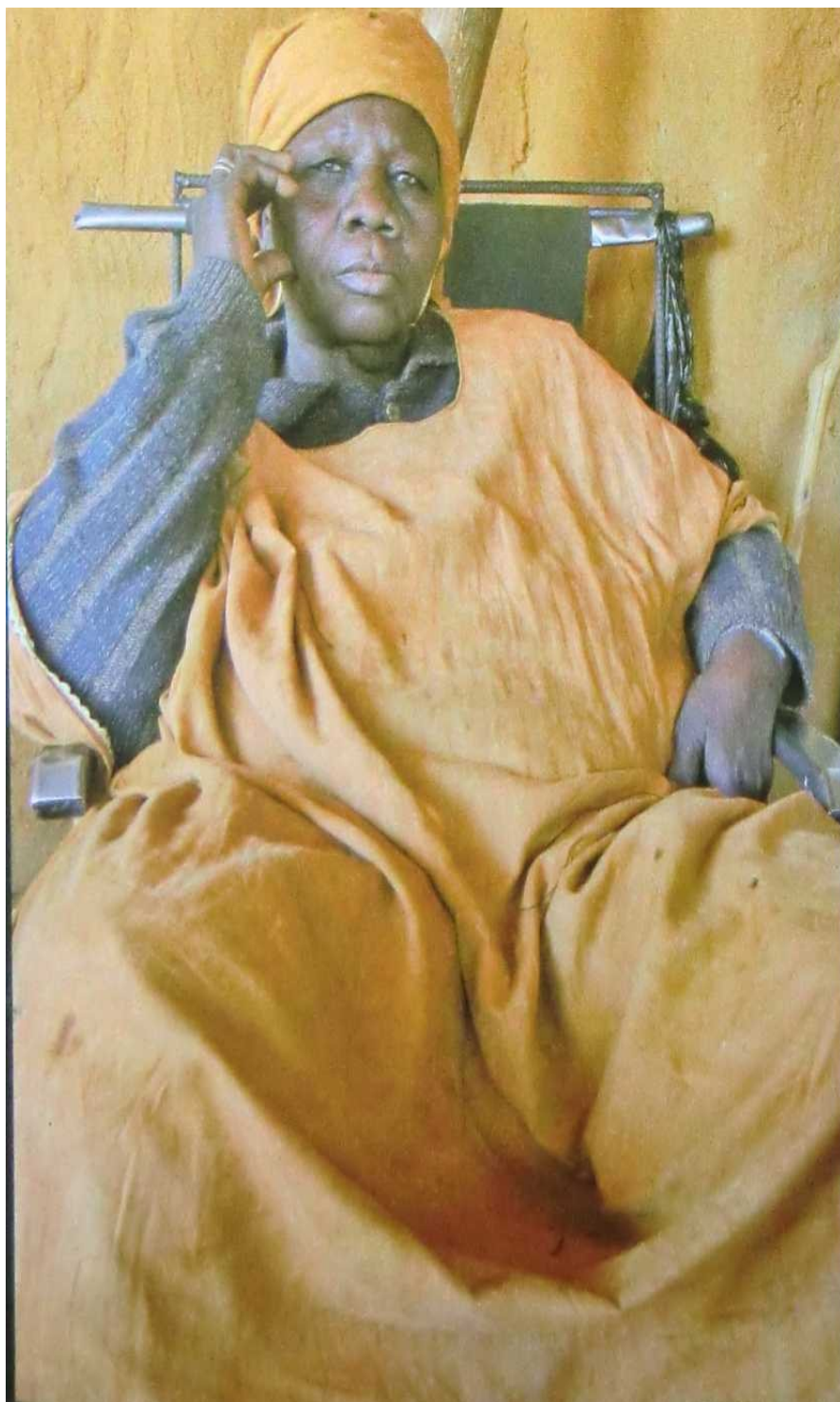
Dwóch małych chłopców i starsza dziewczynka grzecznie dzielą się kupionym przez mamę woreczkiem schłodzonej wody.

Po południu docieramy do miasta Ganta, gdzie wysiadam. Miejscowe auto podrzuca mnie do punktu kontrolnego poza miastem, który jest tuż przy bazie i obozie bangladeskiej drużyny ONZ. Usiłuję wypytać umundurowanych Banglijczyków z karabinami w rękach o sytuację w przygranicznym rejonie Wybrzeża Kości Słoniowej, ale niestety ich angielski wydaje się ograniczony do zdań typu: "You married, woman?" Po pewnym czasie zabiera mnie pickup i podrzuca do kolejnego niewielkiego miasteczka. Tam, pomimo że słońce chyli się ku zachodowi, próbuję jeszcze złapać stopa dalej, choć ruch tu sporadyczny. Podwozi mnie mężczyzna, który tłumaczy, że jedzie niedaleko, tylko do wioski na rozdrożu. Ale dobre i to. Zabiera się z nim też mieszkający właśnie w tamtej wiosce urzędnik emigracyjny, George, który mówi, że się mną zaopiekuje, bo między innymi na tym polega jego funkcja. Mówię, że OK, ale tylko wtedy, jeśli nie uda mi się już nic dzisiaj złapać. Idziemy więc pod ogromne drzewo w wiosce, którego rozległe wystające ponad ziemię korzenie służą za swoiste ławeczki, czyli miejsce spotkań, grania w karty, czekania na transport albo na cokolwiek, co się wydarzy, na co będzie można popatrzeć, o czym można będzie pogadać, jak na przykład niespodziewane przybycie białej kobiety. Zaczyna się już ściemniać, a piaszczystą drogą nic nie przejeżdża, więc decyduję się skorzystać z zaproszenia George'a, który prowadzi mnie do chatki swojej rodziny, a na noc oddaje mi swój własny pokój.

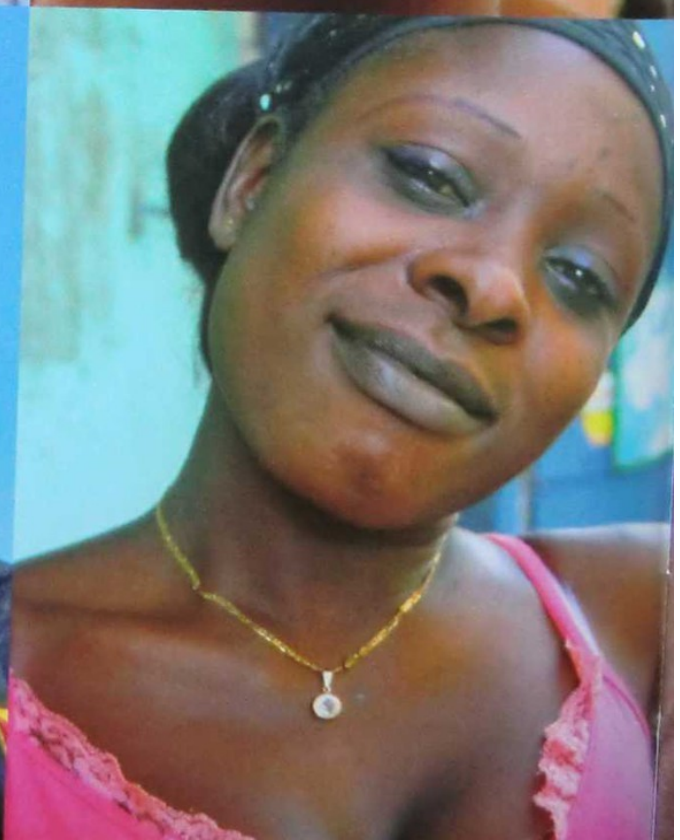
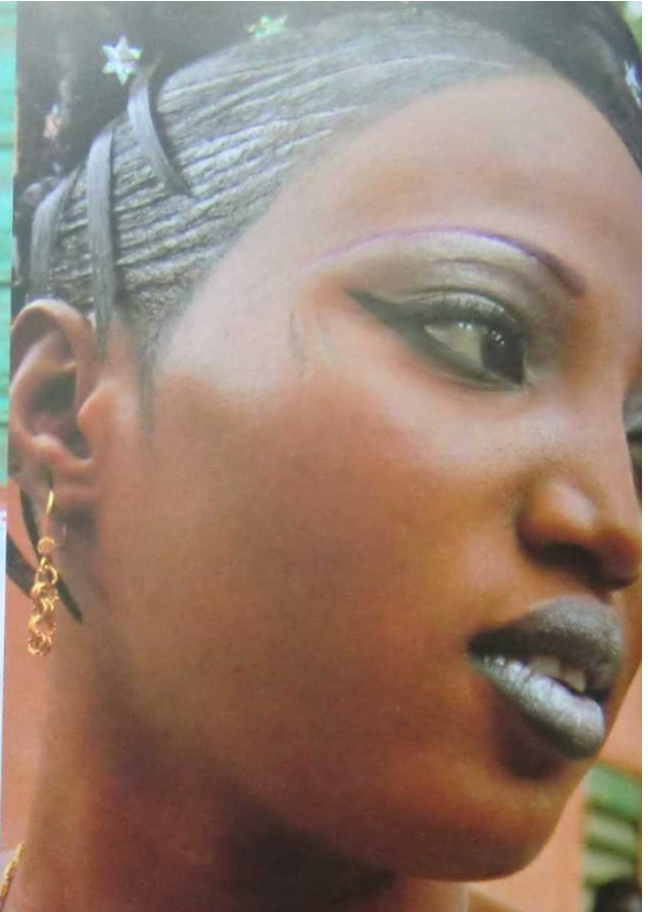


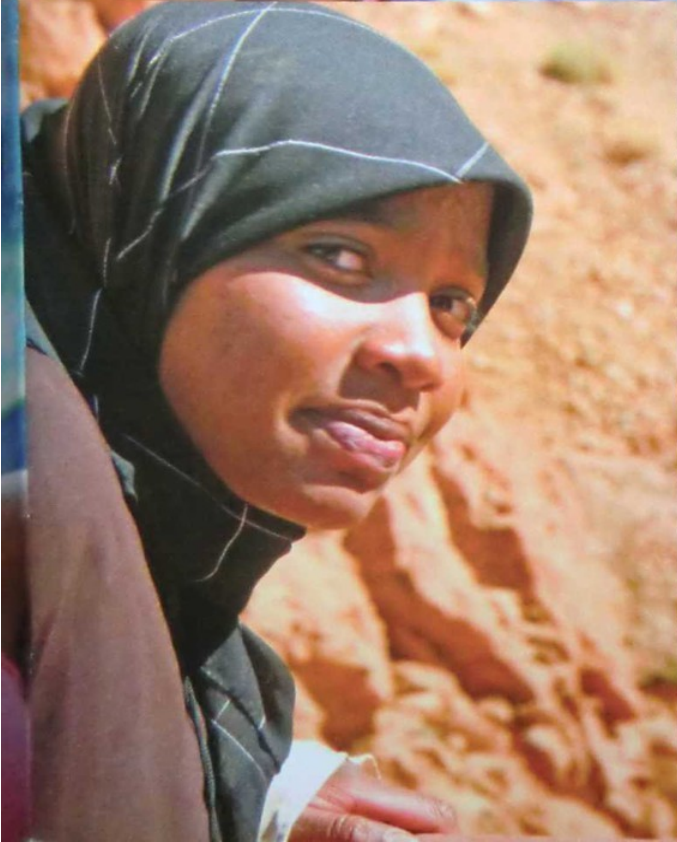






KOBIETY
AFRYKI

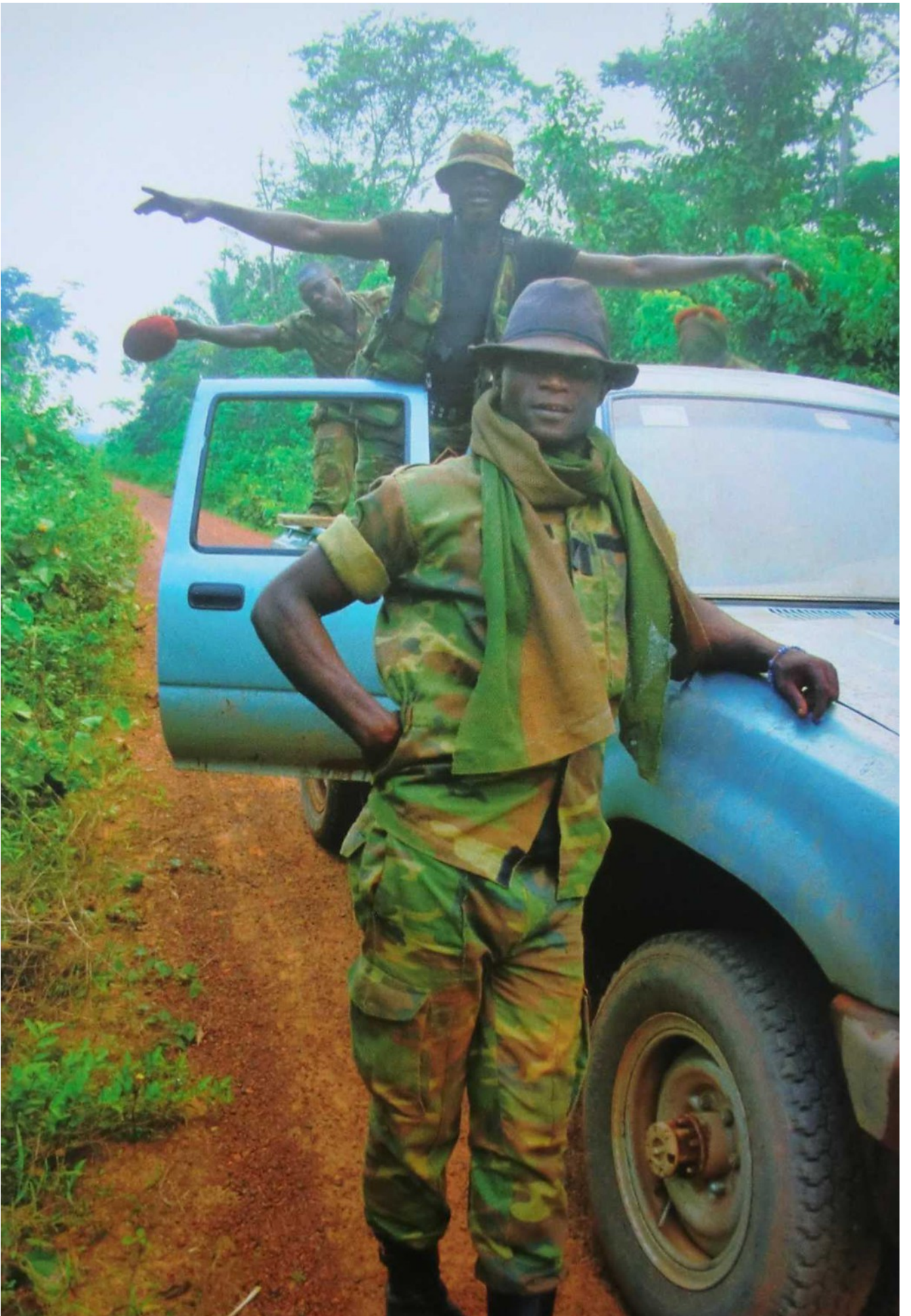












CZEŚĆ XVII WYBRZEŻE KOŚCI SŁONIOWEJ

10- 13 MAJA

Rano podjeżdża płatny busik-taksówka. Korzystam, bo raczej nie doczekam się na nic innego. Krajobrazy robią się coraz ciekawsze - jak zwykle zieleń wokół, ale na horyzoncie też zielone, ale w innym odcieniu, góry. Tylko wstążka naszej drogi wijąca się przez ten krajobraz jest pomarańczowa. Odpowiadam pozdrawiającym mnie machaniem dorosłym i dzieciom z mijanych wiosek, po czym znowu szybko łapię się metalowych prętów, aby nie wypaść z paki. Oddycham z ulgą, kiedy docieramy do Kahnple. Kupuję kilka mango tutejszej zielonej odmiany - skórka jest gruba i bardzo łatwo odchodzi odsłaniając słodki, pomarańczowy, miękki, niewłóknisty miąższ. Kiedy posilam się nimi w cieniu drzewa, otacza mnie ciekawski tłumek. Chyba nie przejeżdża tędy wielu białych.

- Dzień dobry! Mogę z tobą porozmawiać? - pozdrawia mnie młody chłopak, co należy tu do rzadkości, bo tu przeważnie wystarczy, że się z tobą przywitają i już uważają, że są twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Chłopak pyta standardowo, skąd jestem i dokąd jadę, i mówi, że stąd do granicy Wybrzeża Kości Słoniowej jest jakieś czterdzieści pięć minut jazdy, ale nic nie kursuje. Jedyna opcja to motocykl. Pod drzewem obok stacjonują chłop-cy-motocykliści. Po krótkiej negocjacji staje na pięciu dolarach. Zjawia się chłopak z butelką paliwa, które wlewa przez wielki lejek do baku motocykla, udekorowanego od frontu sztucznymi kwiatami. Młody kierowca przymocowuje z tyłu mój plecak i zegnani przez gęsty tłumek ciekawskich, odjeżdżamy w dal.

Docieramy do ostatniego punktu w Liberii: bazy ONZ i położonego tuż za nią budynku liberyjskiej kontroli paszportowej, gdzie znudzeni urzędnicy grają w karty. Jeden z urzędników odrywa się od gry, zostaje wpisana do księgi i dostaje pieczętkę wyjazdową. Pytam, wskazując na budynek za niewielkim mostem:

- Czy to iworyjski budynek migracyjny?
- Kiedyś był - słyszę w odpowiedzi. - Obecnie to baza rebeliantów.

Tak więc przekraczając pieszko chybliwy, graniczny mostek idę prosto w paszczę lwa. Ale wierzę, że przybывая z pokojowymi intencjami, nie będąc częścią ichniejszego ani żadnego w ogóle konfliktu, jestem bezpieczna. Za mostkiem, na placu za budynkiem odbywa się właśnie musztra i ćwiczenia ubranych na wpół wojskowo, na wpół przypadkowo chłopców. Zostaję zaproszona przez jakiegoś chyba ważniejszego rangą do budynku, gdzie z poważną miną wpisuje moje dane do księgi. Potem usiłuje przekonać mnie, że wpisanie do księgi podlega opłacie.

- Opłata za wpisanie? Słuchaj, mogę podzielić się z wami orzeszkami - mówię, oddając mu woreczek solonych orzeszków ziemnych, które chłopak przyjmuje, przywołuje innego i poleca mu odprowadzić mnie do wioski tuż obok.

Stąd też nie ma transportu, czasem tylko, choć nigdy nie wiadomo kiedy, zjawia się jakiś pickup czy ciężarówka, którą można zabrać się do miasteczka. Mogę znaleźć gościa z motocyklem, ale tu życzą sobie dwanaście dolarów. Postanawiam póki co poczekać przy budce-barze pośrodku wioski, gdzie siedzi na wysokich taboretach przy blacie parę osób, czekając nie wiadomo na co. Zagaduje mnie po angielsku (więc Liberyjczyk) chłopak, który robi tu interesy - sprowadza do Liberii kakao z tutejszych plantacji. Korzystając z okazji pytam go, czy nie wie czegoś na temat pracujących na plantacjach dzieci-niewolników.

- Tu masz dwoje z nich - mówi wskazując na siedzących obok nastoletnich chłopców, jeden młodszy, drugi prawie dorosły.

Chłopcy nie mówią nawet po francusku, ale z pomocą Liberyj-czyka pytają mnie, czy mogę zabrać ich do Europy. I podobnie jak inni poznani Afrykańczycy proszą, abym zostawiła im numer swojej komórki. Ja mogę zaoferować jedynie e-mail oraz adres mojej strony - daję im więc wizytówkę ze świadomością, że raczej nigdy nie będą mieli okazji z niej skorzystać.

Widzimy nagle wynurzający się z buszu, przejeżdżający przez wioskę w stronę granicznej bazy konwój rebelianckich aut. Po jakiejś godzinie wracają. Zatrzymują się widząc mnie machającą na drodze. Dostają zaproszenie do kilku aut naraz. Rezygnuję z wejścia na pakę pełną rozochoconych chłopców posyłających mi całusy i wsiamam do wnętrza innego auta, gdzie jest trzech mężczyzn z dzieckiem. Potem dopiero zdaję sobie sprawę, że dziecko, może dwunastoletnie, to też prawdopodobnie młody rekrut-rebeliant. Pędzimy przez dżunglę. Nagle z ciemnych chmur zaczyna padać szybki, gwałtowny deszcz. Dzięki niemu osiada kurz, ale dziury i doły w ścieżce wypełniają się pomarańczową wodą, rozchłapywaną spektakularnie przez jadące przed nami auta.

Nagle cały konwój się zatrzymuje. Deszcz zelżał. Wychodzimy z aut, niektórzy chłopcy z zielonymi pończochami-maskami na twarzy, niektórzy dzierżący jakieś potężne głowice. Złamany przez wichurę bambus zagroził drogę. Kilka ruchów ogromnymi maczetami i śmigamy dalej. Konwój jedzie gdzieś dalej, ale "moje" auto skręca i wysadza mnie w niewielkim miasteczku Danane. Kupuję „po afrykańsku” obraną pomarańczę, którą wysysa się po prostu albo pije z niej jak z miękkiej, okrągłej butelki. Wsiadam do vana, płacę, powoli ruszamy. Van robi jeszcze rundkę po mieście w poszukiwaniu dodatkowych pasażerów do upchnięcia. Przy pierwszym punkcie kontrolnym za miastem łapie gumę i musi zmienić koło, a niedługo potem, już pośrodku drogi, łapie drugą. Ale koła kolejnego nie ma już na zmianę. Mija dłuższa chwila zanim kierowcy udaje się złapać innego, pustego vana, który podwozi nas, czyli jego pasażerów do pobliskiego miasteczka. I na nowo zaczyna się proces czekania, bo kilkoro pasażerów tu odpadło, więc trzeba znaleźć nowych. Towarzyszy mi w tej transportowej tułaczce po europejsku ubrana dziewczyna w obcisłych spodniach i prześwitującej bluzeczce, i w nowym vanie rezerwuje mi miejsce koło siebie. Docieramy do Man w zaczynającej się właśnie tropikalnej nocnej ulewie. Dziewczyna daje mi znać, aby wysiąść razem z nią. Łapię taksówkę, która wiezie nas w ciemności jakimiś uliczkami na wzgórzu. Tu jest, a raczej był, bo obecnie jest zamknięty, jakiś elegancki hotel z basenem. A nieopodal dziewczyna ma przyjaciela, u którego się dziś zatrzymuje. A jako że hotel zamknięty i leje deszcz, przyjaciel zaprasza i mnie. Podobnie jak drugi mieszkający w tym domu mężczyzna, pracuje w międzynarodowej organizacji „World Food Programme” dystrybuującej żywność w rejonach dotkniętych klęskami żywiołowymi lub głodem. W domu jest akurat jeden wolny pokój z materacem.

Man nazywane jest miastem osiemnastu gór, bo otoczone jest przez piękne zielone góry i wzgórza. Dawniej było to ulubione miejsce turystów, ale od czasu, gdy region został opanowany przez rebeliantów, zniknęli nie tylko europejscy turyści, ale też i policjanci, i różni urzędnicy państwowi. Jestem chyba w tym momencie jedyną w okolicy białą podróżniczką. Idę rano z Pierre'em na chwilę do biura ich organizacji, mieszczącego się - jak biura wszystkich międzynarodowych organizacji charytatywnych - w eleganckim, klimatyzowanym budynku, ogrodzonym wielkim murem i zwojami drutu kolczastego.

Potem idę przejść się po kontrastującej z tym budynkiem okolicy. Na tętniących życiem uliczkach w centrum miasteczka dostrzegam dawno nie widzianą obfitość tropikalnych owoców i wszelkiego typu jedzenia. Trafiam na ogromny market, na którym ciągną się w nieskończoność stoiska z modną, europejską odzieżą - nową i używaną. Po wizycie w głównym meczecie z eleganckimi minaretami wracam do domu, gdzie poznaję Melanie, służącą moich gospodarzy. Melanie, ładna, dwudziestoletnia dziewczyna, przychodzi tu codziennie o świcie, zamiata podwórko i dom, gotuje, zmywa i pierze ubrania swoich pracodawców. Pracuje do wieczora, kiedy wracają jej patroni - serwuje im wtedy posiłek. Siedem dni w tygodniu. Zarabia dziesięć tysięcy franków, czyli dwadzieścia dolarów. Na kolację jest ryż z mięsnym sosem, ale kolega Pierre'a, Laurent, zabiera mnie do pubu-restauracji przy głównej ulicy na acheke i sałatkę, sam korzystając z okazji do wypicia piwa i dopiero upewniwszy się, że jestem najedzona, wracamy do domu. I oczywiście mam zaproszenie, aby zostać u nich tak długo jak będę chciała, nawet rok.

Tak tu spokojnie i przyjemnie, że chyba zostanę chwilę. Wybieram się pod wodospad i zapraszam Melanie - za zgodą jej pracodawców, którzy cieszą się, że będzie mi miał kto towarzyszyć. Muszę tylko poczekać, aż skończy przygotowywać południowy posiłek, na który Pierre i Laurent przychodzą w przerwie w pracy.

Dziś ryż i sos z escargots, czyli gigantycznych, gotowanych żywcem ślimaków, które mam ochotę uwolnić, ale byłoby chyba nietaktem pozbawić posiłku moich gospodarzy.

Wodospad na zalesionych wzgórzach poza miastem, do którego idziemy pieszo, jest lekko osłabiony po długiej porze suchej, więc spadają tylko cienkie strugi wody. Ale miejsce wśród kojącego cienia dżungli jest superprzyjemne. Do tego nie ma akurat nikogo wokół. Ściągam więc spodnie, wspinam się na wodospadowe skały i biorę energetyzujący, naturalny prysznic.

Po południu odwiedzam kilka sklepików z maskami, rzeźbami, autentycznymi, tradycyjnymi amuletami oraz masowej produkcji pamiątkami dla turystów.

-Ja nic nie kupię - mówię - bo podróżuję z jednym plecakiem i wiele się tam nie zmieści.

- Nic nie szkodzi, wejdź popatrzeć. I powiedz wszystkim innym białym w Europie, że tu jest spokojnie, żeby przyjechali.

Po południu odwiedzam miejscowe biuro UNICEF-u. Poruszałam temat dzieci-niewolników na farmach kakao z moimi gospodarzami - nic na ten temat nie wiedzą. Może więc tu czegoś się dowiem, w końcu to organizacja działająca na rzecz dzieci, którym źle się dzieje. Siedząca przed komputerem kobieta pyta, w czym może mi pomóc. Zaczynam od tego, że chciałabym dowiedzieć się czegoś na temat lokalnej działalności UNICEF-u. Kobieta uprzejmie, ale dość formalnie opisuje mi w skrócie poszczególne programy, takie jak akcje sanitarno-zdrowotne, repatriacyjne, zajmowanie się dziećmi osieroconymi czy też dziećmi-żołnierzami. Twierdzi jednak, że o dzieciach-niewolnikach nic nie wie. Przyznaje, że może i takie zjawisko istnieje, ale nie jest w stanie ani mi tego na pewno potwierdzić, ani zaprzeczyć.

Dziś dzień wielkiego koncertu w mieście. Bilet wstępu kosztuje tysiąc franków, czyli około półtora euro. Melanie oczywiście przy jej mizernej pensji na to nie stać, ale ją zapraszam. Tak więc koło południa, kiedy podwórko oporzędzone, a rzeczy wyprane i rozwieszane, bierzemy „shared-taxi” do centrum. Kupuję od chłopaka dwa bilety i obserwuję dzikie sceny rozgrywające się pod zamkniętym jeszcze stadionem. Afrykański sposób zapanowania

nad napierającym tłumem, czyli zrobienia trochę przestrzeni, to ochroniarz uzbrojony w zdjęty ze spodni pas, którym kręci w powietrzu kółka i dostanie nim każdy, kto nie oddali się na czas. Tutaj ochroniarze to chyba po prostu ubrani na wojskowo miejscowi rebelianci. W końcu udaje im się skłonić ludzi z biletami do ustawienia się w jednolitą kolejkę, organizując pasami i kijami wszystkich innych wokół. Afrykańska porządna kolejka polega na tym, że przylega się ściśle całym ciałem do osoby przed sobą, a osoba za tobą przylega do ciebie. Jedyne ten sposób gwarantuje, że nikt się przed nikogo nie wepchnie.

Korzystając z nieuwagi ochroniarzy, podchodzi do mnie kilku chłopców. Zwracają się do mnie per „tanti”, czyli „ciocia”. Tu rodzinny sposób zwracania się do siebie jest uważany za najkultu-ralniejszy. Mężczyźni na ulicy zaczepiają mnie wołając „młodsza siostró” lub „starsza siostró”, w zależności od tego czy myślą, że są starsi czy młodszy. Kobiety w średnim wieku mówią „moja córko”, a dzieci - „ciociu”.

- Ciociu, weźmiesz mnie na koncert? Na swój bilet możesz zabrać za darmo dziecko - próbuje jeden ze sprytnych chłopców.

- I mnie! I mnie! - przepychają się do mnie inni.

Ale widzę spokojną, małą dziewczynkę. Chłopcy sobie poradzą, wejdą na drzewo czy przeskoczą mur. Dziewczynki i raczej wątpliwie.

- Chcesz zobaczyć koncert? - pytam małej po francusku.

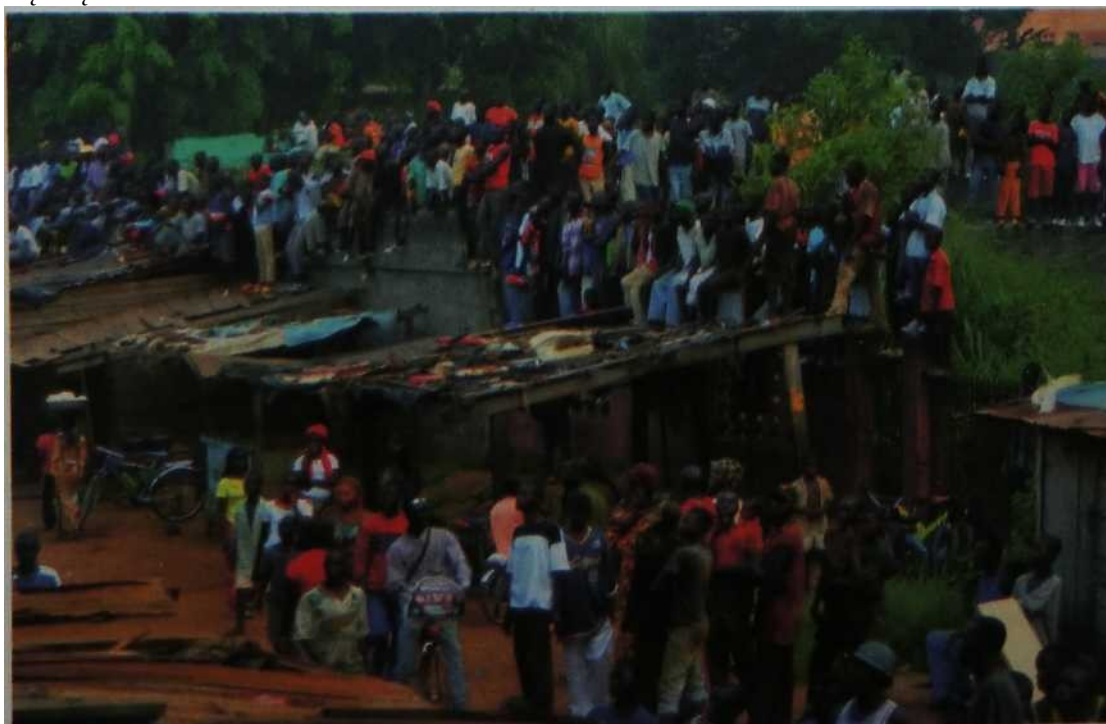
Kiwa głową, że tak, łapie mnie za rękę i dzięki temu zostawiają mnie chłopcy, patrząc z zazdrością na małą. W końcu brama się otwiera i ochroniarze wpuszczają powoli, po dziesięć osób. Patrzą pytająco na dziewczynkę, ale mówię, że jest ze mną i tego nie kwestionują.

Na ustawionej pośrodku stadionu scenie nie ma nawet jeszcze instrumentów. Jedyne didżej puszcza popularne iworyjskie kawałki, ale napływająca tłumnie publiczność jest tak podekscytowana samym faktem bycia na stadionie, że śpiewa, klaszcze i tańczy wraz z lecąca z głośników muzyką. Chłopcy - nastolatki i młodzi mężczyźni, których nie stać było na bilet - zaczęli oblegać przystadionowe drzewa, dachy, mury zburzonych budynków, słupy elektryczne, a nawet pobliskie wzgórze z wysypiskiem śmieci. Cokolwiek, z czego da się zerknąć ponad około

trzymetrowym murem stadionu.

Afrykańskim zwyczajem nikt nie liczy się tu z niczym czasem, zresztą czas to jedyne, czego większość ma pod dostatkiem, więc... zamiast o zapowiadanej trzynastej, pierwsi artyści wjeżdżają autami na teren stadionu przy goniącym za nimi tłumie dopiero o szesnastej, czyli po jakichś trzech godzinach oczekiwania.

I nawet w miarę gęsto poustawiani rebelianci-ochroniarze nie są w stanie powstrzymać wdrapujących się na ogrodzenie i odważnie zeskakujących z wysokości fanów. Wszystko po to, aby zobaczyć swoich narodowych idoli. Właśnie: zobaczyć. Bo staje się jasne, dlaczego na scenie nie pojawiły się do tej pory instrumenty. Po prostu, chyba żeby zaoszczędzić zachodu i wydatku ściągania całych zespołów, muzyka leci w dalszym ciągu z CD, a piosenkarze przy gromkich owacjach pojawiają się jedynie na scenie i tańczą, skaczą i wyginają się do swojej własnej muzyki. Większość ludzi opuściła stadionowe ławki i sporadycznie przeganiana przez ochroniarzy tłoczy się w tanecznych podskokach tuż pod sceną i wokół. Nawet ochroniarze osłaniający popularną puszystą piosenkarkę, której imienia nie pamiętam, też podrygują, patrząc jak zmysłowo kręci tylną częścią ciała...



Czas mi

już opuścić to przyjemne miasteczko i ruszyć przez kraj w stronę Abidżanu. Najpierw miejscową ciężarówką jadącą do punktu kontrolnego na rozdrożu. Tam witam się, ze stojącymi tam i zbierającymi łapówki od przejeżdżających pojazdów rebeliantami, którzy wskazują mi ławeczkę pod ogromnymi oponami leżącymi na drodze jako barykada, tuż obok worków z piaskiem i zwojów drutu kolczastego. Stąd pierwsze przymusowo zatrzymujące się auto zabiera mnie niewielki kawałek. A dalej dwaj mężczyźni pickupem.

- Mam cię zabrać na stopa? Za darmo, znaczy? - pyta kierowca.
- Co tam, zabierz ją - mówi jego towarzysz. - Słyszałem, że nawet w Paryżu są biedni.

Droga jest długa i powolna, bo kilkanaście razy zatrzymujemy się w punktach kontrolnych (to rebeliantów, to żołnierzy ONZ, to policji). Pod wieczór, kiedy pick-up wysadza mnie w jakimś miasteczku, udaje mi się jeszcze zatrzymać auto z dwoma chłopakami i podjechać do kolejnego miasteczka, Lakota, a następnie spędzić noc w pokoju ich „brata”.

Chcę zdążyć do Abidżanu przed południem, żeby złożyć w ambasadzie Ghany wniosek o wizę, bo postanowiłam dla odmiany do kolejnego kraju wjechać legalnie. Biorę taksówkę do punktu kontrolnego, przy którym stacjonują już nie rebelianci, a zwykli żołnierze. Nadjeżdża autokar z kartką na szybie „konwój pogrzebowy” i staje przed punktem kontrolnym. Tutaj wszyscy pasażerowie muszą wysiąść i przejść wąskim przejściem przy barierce okazując swój dowód

osobisty, a jeśli ktoś nie ma dowodu - zostanie przepuszczony dopiero po uiszczeniu należytej łapówki. Żołnierze chyba mnie polubili, bo załatwiają mi tym autokarem stopa prosto do Abidżanu. „Prosto do Abidżanu” nie oznacza bynajmniej „prosto i szybko”, bo autokar zatrzymuje się po drodze dla różnych dodatkowych krótkodystansowych pasażerów, staje też w jakiejś wiosce na zakup worków węgla. Dalej na przekąski. Na toaletę. Na zatankowanie. Nie wspominając już o licznych punktach kontrolnych - na szczęście nie na wszystkich trzeba wysiadać. Widzę, że nie mam szansy dotrzeć do ambasady przed południem, ale może po południu też będzie otwarta. Koło dwunastej docieramy na ostatni, potężny i groźnie wyglądający punkt kontrolny, już niedaleko miasta. Tu kolejna wysiadka i przejście za okazaniem dokumentów. Ale chyba nie wszystkim się udaje, bo kiedy wsiadamy z powrotem do autokaru już po drugiej stronie barierki, nie wygląda, jakby miał prędko ruszyć. Decyduję się więc pożegnać i spróbować stopa. I zaraz zabiera mnie niewielka ciężarówka z dwoma młodymi mężczyznami, którzy są tak mili, że wiozą mnie prosto pod ambasadę Ghany. Tam, zanim jeszcze udaje mi się wysiąść, podchodzi ochroniarz i mówi, że jeśli po wizie, to wniosek należy złożyć rano, przed jedenastą. Składa się cztery identycznie, szczegółowo wypełnione egzemplarze, do których trzeba dołączyć cztery zdjęcia i piętnaście tysięcy franków CFA, czyli trzydzieści dolarów. Jeśli o mnie chodzi, jest to totalna strata czasu, energii i pieniędzy, ale co zrobić? Dostaję przynajmniej od razu te formularze, aby przyjść jutro już z gotowymi.

Moi kierowcy wiozą mnie do centrum. Z daleka już widać wyrastające wysokie, nowoczesne budynki biznesowej dzielnicy Abidżanu. Dawno już nie widziałam tak dużego miasta, bo ani Ba-mako, ani Ouagadougou, ani Monrowia nie mogą poszczycić się wysokimi budynkami. Ale omijamy wysokościewce i wjeżdżamy do dzielnicy Treichville, już bardziej przypominającej afrykańskie miasto, z dwu-, trzypiętrowymi najwyżej budynkami i ruchliwymi ulicami, przy których widać stoiska z jedzeniem, kobiety z koszami towarów na głowie i tym podobne elementy. Tu wysadzają mnie pod bankiem z bankomatem. W kilku poprzednich krajach nie było tak zaawansowanych technologicznie luksusów, a balansowałam właśnie na krawędzi - mając ostatnie zachodnioafrykańskie franki w kieszeni i niewielką rezerwę dolarów w gotówce, których nie chciałam ruszyć. Dostaję więc zastrzyk miejscowej gotówki z bankomatu i w przydrożnej restauracji zatrzymuję się na acheke i aloko. Tu dosiada się do mnie młody mężczyzna mówiący po angielsku. Ghanijczyk, biznesmen. Mówi, że się mną tu zaopiekuje, skoro przybyłam dopiero do tego miasta i to z tak daleka. Mówię, że sobie poradzę, ale Nicky nalega, wiezie mnie gdzieś autem swojego przyjaciela, po czym znajduje i opłaca mi klimatyzowany pokój w hotelu. Robi to zupełnie bezinteresownie, ot tak, po prostu, nie próbując wprosić się na noc do tego pokoju. Dlaczego to robi?

- It's nice to be nice - mówi po prostu i życzy mi miłego pobytu.

Kiedy potem idziemy na zimne napoje w wieczornych uliczkach, dowiaduję się, że jest ghanijским księciem. Jego ojciec miał sześć żon i dwadzieścioro ośmiorgo dzieci. Normalnie muzułmańscy mężczyźni mogą mieć cztery żony, ale plemiennego króla nie dotyczą takie ograniczenia.



16-20 MAJA

Mój książę miał zawieźć mnie dziś do ambasady Ghany, ale kiedy dzwonię do niego po dziesiątej rano, tak jak się umawialiśmy słyszę w słuchawce półprzytomny, lekko zachrypnięty głos. Wygląda na to, że będę musiała pojechać sama. Wypełniam cztery formularze i szukam fotografa, bo zostały mi tylko trzy, a tu życzą sobie cztery zdjęcia. W niewielkim zakładzie fotograf usadza mnie na stołku w drzwiach, jego pomocnik trzyma za mną jednokolorowe płótno. Pstryk. Zdjęcia będą gotowe w pół godziny. To zakład, który zrzesza wielu niezależnych pracujących na własną rękę fotografów, korzystających wspólnie z maszyn do wywoływania zdjęć, ale każdy ma swoją niewielką szafkę i swój własny aparat. Siadam na ławeczce wraz z innymi klientami i czekam. Na zewnątrz zrywa się nagle potężna ulewa. Mija pół godziny, a moich zdjęć nie widać. Jest już po dziesiątej, a przed jedenastą mam być w dość odległej dzielnicy II Platou. Zaczynam się lekko niecierpliwic, zapominając, że jestem w Afryce, a tu słowa i czas miewają inne niż u nas znaczenie. Kiedy za piętnaście jedenasta dostaję moje zdjęcia, jest już zbyt późno, aby zdążyć dziś do ambasady. A i ulewa wcale nie zelżała. Przemykam więc szybko jedynie do pobliskiej kawiarenki internetowej, w której zaszywam się na parę godzin. Na ulicy nieopodal spotykam rastamana, który mignął mi wczorajszej nocy na bicyku. Podchodzi do mnie i wita się jak z siostrą - bo mam dredy, czyli należymy do tej samej rodziny.

- Chciałem przywitać się z tobą już wczoraj - mówi, - ale nie śmiałem, bo byłaś z tym innym gościem.

Ebenezer też jest Ghanijczykiem. Prosty, szczery, otwarty człowiek, od którego emanuje pozytywna energia i intencje, więc kiedy zaprasza mnie do siebie „na tak długo, aż będziesz gotowa do dalszej drogi” - nie waham się. Idziemy zabrać mój plecak z hoteliku. Prowadzi mnie na kwadratowe podwórko, otoczone połączonymi ze sobą niskimi budynkami, kryjącymi w sobie wiele malutkich mieszkańek-pokoików. Pokoik mojego rastamana jest niewiele większy niż jego łóżko, które trzema bokami dotyka ścian. Rasta oddaje mi łóżko, sam będzie spał na kocyku na podłodze obok. Na dwanaście pokoików (prawie każdy z wielodzietną rodziną -mój Rasta to wyjątek) w tym kompleksie mają dwie wspólne toalety i dwa pomieszczenia do kąpiel. Atutem jest prąd. Rzecz naturalną jest brak bieżącej wody. Wodę kupują za dwadzieścia pięć franków (pięć centów) za wiadro czy miskę od pobliskiego właściciela kranu. Gotowanie odbywa się na kuchenkach na węgle na zewnątrz, gdzie też toczy się większość życia.

Wczesnym porankiem, siedząc na stołeczku przed drzwiami pokoiku Rasty (tak go tu wszyscy nazywają) obserwuję, jak pulchna kobieta wachluje plecionym wachlarzem żarzący się węgiel pod wielkim garem z tradycyjnym wyciągiem-lekarstwem, podobno dobrym na wszystko - od zmęczenia do malarii. Wokół wyglądają zza drzwi lub przechadzają się do toalety, prysznic i z powrotem kobiety, nie do końca po nocy ubrane, oraz biegają lub pełzają półnagie dzieci. Wkrótce ruszam prosto do ambasady Ghany - do jakże innej dzielnicy, gdzie przed każdą elegancką willą siedzi przed bramą na krześle człowiek, którego jedynym zadaniem jest pilnowanie czyjegoś

bogactwa. A jedna z tych willi należy do ambasady Ghany. Normalnie po wizę trzeba zgłosić się następnego dnia, ale miła dziewczyna przyjmująca wnioski obiecuje, że poprosi konsula o wystawienie mi wizy dzisiaj, tak abym nie musiała tu przyjeżdżać ponownie. Kiedy wracam do ambasady o czternastej, dostaję paszport z ghanijską wizą ważną przez miesiąc od momentu wjazdu.

Późnym wieczorem, nie licząc na wiele, poruszam z Rastą temat dzieci-niewolników i targu. Może on coś o tym słyszał.

- Tak, jest tu targ dzieci. W Abidżanie możesz kupić wszystko - mówi Rasta.
- Zaprowadzisz mnie tam jutro? Chcę kupić dziecko.
- Nie ma sprawy. A co, masz plantację w Polsce?

Chwilę zajęło mi wytłumaczenie, no bo jeśli nie na plantację, to po co mi dziecko... Ale kiedy pojał, zaczął rzucać ofertami:

- Chcesz, dam ci mojego chłopca. Za darmo.

Bo sam ma dwójkę dzieci, każde z inną dziewczyną, obydwójce wychowuje rodzina jego mamy w Ghanie.

- Albo możesz wziąć córkę mojej siostry, jeśli wolisz dziewczynkę. Albo jeśli chcesz niemowlę, mam znajomą prostytutkę. Będzie wołała sprzedać dziecko tobie. Bo ty nie utniesz mu głowy.

- O czym ty mówisz, Rasta? - pytam, nie wierząc moim uszom.

- Bo jak sprzeda komuś innemu, to utną mu pewnie głowę. Z główek dzieci robi się lekarstwa.

-Jakie lekarstwa??

- Lekarstwa czarnej magii. Na wzbogacenie.

Podzieliłam się tą rozmową z czytelnikami mojej strony oraz na podróżniczym forum.

Wywołało to niemałe poruszenie i natychmiastowy odzew. Na polskiej stronie głównie przerażenie, niedowierzanie, szok. Ludzie nie mają pojęcia, że istnieje jeszcze na świecie niewolnictwo, handel dziećmi, a czarna magia i eliksiry z główek niemowląt to absolutna abstrakcja. Na angielskiej stronie zaś obawiają się o mnie i nawołują, abym zostawiła ten problem zanim zabrnę zbyt głęboko i komuś zacznie przeszkadzać, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Nie chcą mojego zniknięcia, chociażby dlatego że śledzenie moich losów dostarcza im rozrywki. Aleja, poruszywszy delikatny temat, nie zamierzam go tak po prostu zostawić.

Okazuje się, że handel dziećmi nie odbywa się na takim targu jak handel owocami, gdzie można przechadzając się wśród stoisk obejrzeć i wybrać „towar”. Ale jeśli wie się, z kim pogadać, wszystko jest do załatwienia, tak jak wspomniał mi wczoraj Ebenezer. Dziś rano prowadzi mnie do pobliskiego budyneczku na spotkanie ze swoim znajomym, młodym chłopakiem też Ghanijszczykiem, o imieniu Isaak, z pokazowymi bicepsami.

- Więc chcesz kupić dziecko - mówi chłopak. - Powiesz nam, czy potrzebujesz chłopca czy dziewczynkę, małe czy duże, a my znajdziemy kogoś, kto zorganizuje kilkoro takich dzieci.

- W jaki sposób „zorganizuje”?

- O to się nie martw, siostró. Mamy swoje sposoby. Zorganizujemy, nakarmimy je dobrze, a ty przyjdiesz i wybierzesz, które ci się spodoba. Widzisz tę kobietę? - mówi chłopak, pokazując na pulchną kobietę w sarongu i biustonoszu na balkonie parę budynków dalej. - Ona może zdobyć ci dziecko.

- Ta kobieta? - pytam powątpiewająco.

- Tak, to wpływowa kobieta. Dealerka kokainy. Czasem też zajmuje się dziećmi.

Próbuję ponownie, powoli i cierpliwie wyjaśnić, że kupowanie porwanego dla mnie dziecka albo dziecka odkupionego za grosze od zubożałych rodziców, to nie to, o co mi chodzi. W końcu Isaak pojmuje i rozmowa zaczyna się toczyć w innym, bardziej zgodnym z moimi intencjami kierunku. Okazuje się, że jest tu w Abidżanie (w całej Afryce zresztą pewnie też) cała masa dziewczynek pracujących jako służące czy wszelkiego rodzaju pomoc. Nie są formalnie niewolnicami, ale pracują ciężko, często w skrajnych warunkach, za nędzne grosze lub dach nad głową i skromny posiłek. Wiele z nich zostało przywiezionych tu z Ghany.

- Mam jedną taką zaprzyjaźnioną rodzinę - mówi Isaak. -Chcesz, możemy pójść tam od razu. Jest tam kobieta, dla której pracują młode dziewczyny. Najmłodsza to jeszcze dziecko.

- Chodźmy.

Parę ulic dalej wchodzimy na ciasne podwórko wypełnione kotłami i miskami, w których dziewczyny płuczą ryby, myją warzywa, gotują jedzenie do sprzedawania później na ulicznym stoisku. Witam się z całym podwórkiem oraz szefową, „mamą” tego obojętności i biznesu - pulchną kobietą w średnim wieku. Tu nikt nie pyta, w jakim celu przyszedłem. Wszędzie jestem mile widziana. Chcę zobaczyć dziewczynkę? Nie ma sprawy. Zostaje przywołana - trochę wystraszona, bez uśmiechu, krótko ścięta dziewczynka o imieniu Akua, w poplamionej, założonej na lewą stronę sukience. Ile ma lat? Ani ona, ani nikt nie wie. Wygląda na jedenaście, może dwanaście. Od jak dawna pracuje? Tego sama też nie potrafi określić. Pojęcie tygodni, miesięcy czy lat jest dla niej abstrakcją. Pracodawczyni mówi, że jakieś sześć miesięcy. Pytam, czy możemy porozmawiać. Wychodzimy z podwórka, gdzie już wszyscy zaczęli się interesować tym, co się dzieje i siadamy na ławeczkach na błotnistej uliczce. Na tyle dyplomatycznie, na ile potrafię, nie używając słów „niewolnik” i „wyzysk” badam sytuację, wyjaśniam, że jadę stąd do Ghany, że wioska Akuy jest po drodze oraz że mam amerykańskiego przyjaciela chętnego za-sponsorować afrykańskie dziecko i że posłalibyśmy ją do szkoły. Jeśli tylko dziewczynka wyrazi chęć, a jej pracodawczyni zgodę. Wołają Akuę oraz kobietę, która przywiozła ją z Ghany - pracującą dla tej samej „big mamy”

Akua nie mówi po angielsku, ale jej oczy rozświetlają się, kiedy tłumaczę jej pytanie czy woli zostać tutaj czy wrócić do Ghany i pójść do szkoły. Bez wahania odpowiada, że „go to school”. Następuje chwila burzliwej narady w jednym z ghanijskich dialektów i po niedługim czasie pada werdykt - „big mama” nie ma nic przeciwko.

- I tak nie było tu z niej aż tak wielkiego pożytku - mówi, ale zaraz zastrzega: - Ale pod warunkiem że pojedzie z wami kobieta, która ją tu przywiozła.

Z jednej strony rozumiem ją i cieszę się - bo znaczy to, że czuje się w jakiś sposób odpowiedzialna i nie powierza dziecka zjawiają*cej się nagle nie wiadomo skąd białej kobiecie. Ale z drugiej strony oznacza to podwójny wydatek na transport do Ghany, bo z dziewczynką i kobietą nie będę raczej jechać stopem. Znajduje się jednak rozwiązanie. Isaak sam wybiera się do Ghany - tyle, że w niedzielę. Jako przyjaciel rodziny jest zaufany i on mógłby pojechać z nami. Dla mnie oznacza to dwa dodatkowe dni w Abidżanie, ale nie będą to zmarnowane dni. Tak więc umowa stoi. Umawiam się, że zabiorę jutro Akuę na zakupy. A dziś idę na internet i opisuję wszystko Jasonowi. Jason odpowiada natychmiast i konkretnie:

- Ile mam przysłać?

Najdroższy ze wszystkiego jest tu transport - międzynarodowy autokar z Abidżanu do Akry kosztuje około czterdziestu dolarów od osoby. Razy dwa, plus jakieś nowe ubrania dla dziewczynki, ze-szyty, plecak, rzeczy do szkoły... Jason, nie wstając nawet od komputera przesyła natychmiast transferem Western Union sto pięćdziesiąt dolarów polecając mi zabrać małą na dobry posiłek, kupić jej jakieś zabawki i co tylko będzie chciała. Mówi, że parę dni temu wydał na posiłek w restauracji z dziewczyną sto sześćdziesiąt dolarów i nawet wszystkiego nie zjadła. Więc te pieniądze przyniosą więcej dobrego. Tym bardziej, że Jason zamierza pozostać w kontakcie i wspierać finansowo Akuę tak długo, jak będzie chodzić do szkoły, a może i dłużej.

Po południu, kiedy Ebenezer wraca, dochodzą nas odgłosy entuzjastycznych śpiewów i bębnienia. To z pobliskiego kościoła katolickiego, wypełnionego wiernymi w ekstatycznym uniesieniu, śpiewającymi pełnym gardłem, sercem i duszą do wybijanego na bębnach afrykańskiego rytmu. Ja jestem pod wrażeniem. Dla Ebe-nezera to codzienność.

- Malaika, zostań sobie tutaj. Ja idę zapalić ganję - mówi.

Zostaje więc, zastanawiając się, co to za okazja do tak niezwykłych śpiewów. Ale to po prostu msza. Ksiądz schodzi z ołtarza, przemawia żarliwie przechadzając się i gestykulując, nawołując złe duchy do wystąpienia. I nagle w kilku miejscach naraz zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Jedna kobieta zaczyna mieć konwulsje, inna wytacza się na środek kościoła w spazmatycznym transie. Inna jeszcze rzuca się na ziemię i zaczyna szlochać, podczas kiedy młoda dziewczyna zanoszą się opętańczym śmiechem. Ksiądz przemawia coraz żarliwiej, a asystenci w

białych szatach wynoszą zemdlone czy też rzucające się spazmatycznie kobiety do pobliskiego pomieszczenia, gdzie poddawane są egzorcyzmom.

Jadę z Akua na zakupy. Bierzymy taksówkę do dzielnicy, w której znajduje się rozległy targ. Jest tam też cała oddzielna sekcja z importowanymi, używanymi rzeczami i tam się właśnie kierujemy. Tu przywożone są rzeczy z europejskich lumpeksów - elegancko posortowane, odprasowane i porozwieszane na wieszakach prezentują się prawie jak w paryskich butikach. Nie są też najtańsze, ale - jak wszędzie - trzeba się targować. Zaczynamy od stoiska z sukienkami. Akua przymierza kilka i daje jej samej wybrać dwie, które najbardziej jej pasują. Potem spódniczka i spodnie, i kilka bluzeczek. Porozumiewamy się mieszanką gestów i łamanego francuskiego. Akua pokazuje, że ma małą siostrzyczkę i pyta, czy możemy też dla niej coś kupić. Znajdujemy lekkie, ładne, czerwone spodenki i kolorową bluzeczkę. Potem, już przy stoisku z nowymi rzeczami, mówię, żeby wybrała sobie trzy pary majteczek. Dziewczynka wybiera jedno dla siebie, jedno dla siostrzyczki, jedno dla braciszka. Kiedy wędrujemy dalej wśród stoisk, ani razu nie pokazuje na zabawki czy słodczyce, ale na przykład na ręczniki. Jak różne ma priorytety od swoich rówieśników opływających w dostatki w europejskich krajach...

Przychodzi czas na zakupy szkolne. Zaczynamy od plecaka - bierzemy jeden z tych używanych, ale ładny, pojemny. W sklepie papieżniczym zaopatrujemy się w parę zeszytów, długopisy, ołówki, kredki, gumki. Z kilku piórników Akua wybiera ten z przyklejoną małą lalczką. Lalczka będzie dla siostry.

Po kolejnej potężnej ulewie w nocy z rana podwórko zalane jest wodą, którą kobiety wymiatają pracowicie miotłami. Zapoznałam się tu już prawie ze wszystkimi rodzinami i stałam częścią podwórkowego krajobrazu. Na przestrzeni kilku metrów kwadratowych podwórka kobiety gotują na węglowych kuchenkach, zmywają w miskach naczynia, robią pranie, myją dzieci, plotkują, kłócą się i godzą, kochają i zdradzają, karmią piersią niemowlęta i przeganiają starsze niesforne dzieci. Odwiedzamy z Ebenezerem pobliski dach, gdzie ma zwyczaj palenia trawki. Na dachu siedzi jego sąsiad studiujący drukowane w gazetce numery wygranych w totolotka z ostatnich dni, tygodni, miesięcy. Siedzi, studiuje, kalkuluje, wierząc, że jest w tym jakiś system i jak tylko go rozgryzie, stanie się milionerem. Jego ciężarna kobieta i dwójka małych dzieci spędzają dzień siedząc na macie na chodniku - bo mężczyzna nie ma pracy nie ma pieniędzy, nie ma gdzie mieszkać. Nie wiem, jak mu to powiedzieć, aby zajął się lepiej szukaniem pracy niż szukaniem totolotkowego szyfru. Póki co, przynoszę jego kobiecie i dzieciom woreczek platanów z sosem.



Wczesnym popołudniem Rasta zabiera mnie na wycieczkę promem po zatoce, do miejsca pełnego świeżych i wędzonych ryb, z którego odpływają łódki do rybackiej wioski, gdzie skupia się też spora liczba Ghanijczyków, czekających tu na moment, kiedy zawinie do pobliskiego portu wybierający się do Europy statek. Wtedy próbują szczęścia podpływając w nocy dębami, zarzucając i zaczepiając o burtę statku długi bambusowy kij z hakiem, po którym się wspinają z nadzieją ukrycia na statku i przedostania do Europy. W ten sposób też Rasta wybrał się do Hiszpanii. Nie musiał podpływać dębami, bo pracuje w porcie i udało mu się od strony portu wśliznąć na statek z jednym plecakiem pełnym

jedzenia i wody na dziesięć ciemnych, samotnych dni, kiedy to dużo medytował, modlił się, recytował mantry, spał, jadł raz dziennie i znowu spał. W Hiszpanii trafił na swoich - przygarnełi go Ghanijczycy żyjący z handlu kokainą. Przez rok nie znalazł tam pracy - poza gotowaniem dla swoich przyjaciół-przemyt-ników, którzy przynosili spore ilości gotówki, ale też nękani byli najazdami policji. Po roku szajka została rozbita, a Ebenezer odesłany do Afryki. Teraz chciał pokazać mi tę rybacką wioskę ze swoimi pełnymi europejskich nadziei ghanijskimi przyjaciółmi. Ale nie ma akurat odpływających w tamtą stronę łódek, więc przechadzamy się tylko tu, po wybrzeżu, wśród rybackich stoisk. A raczej ja się przechadzam, a Ebenezer przejeżdża, bo zabrał ze sobą swój unicykl, z którego znany jest w całym Abidżanie.

Wracamy. Nieopodal domu Rasty zaczepiają mnie siedzące pod ścianą na ulicy dziewczyny. Elegancko poubierane w obcisłe bluzeczki i dżinsy, z lekkim makijażem - domyślam się że to „pracujące dziewczyny”.

- Skąd jesteś? - pyta młoda, wysoka piękność z głową pełną blond warkoczyków i w ciemnych okularach.

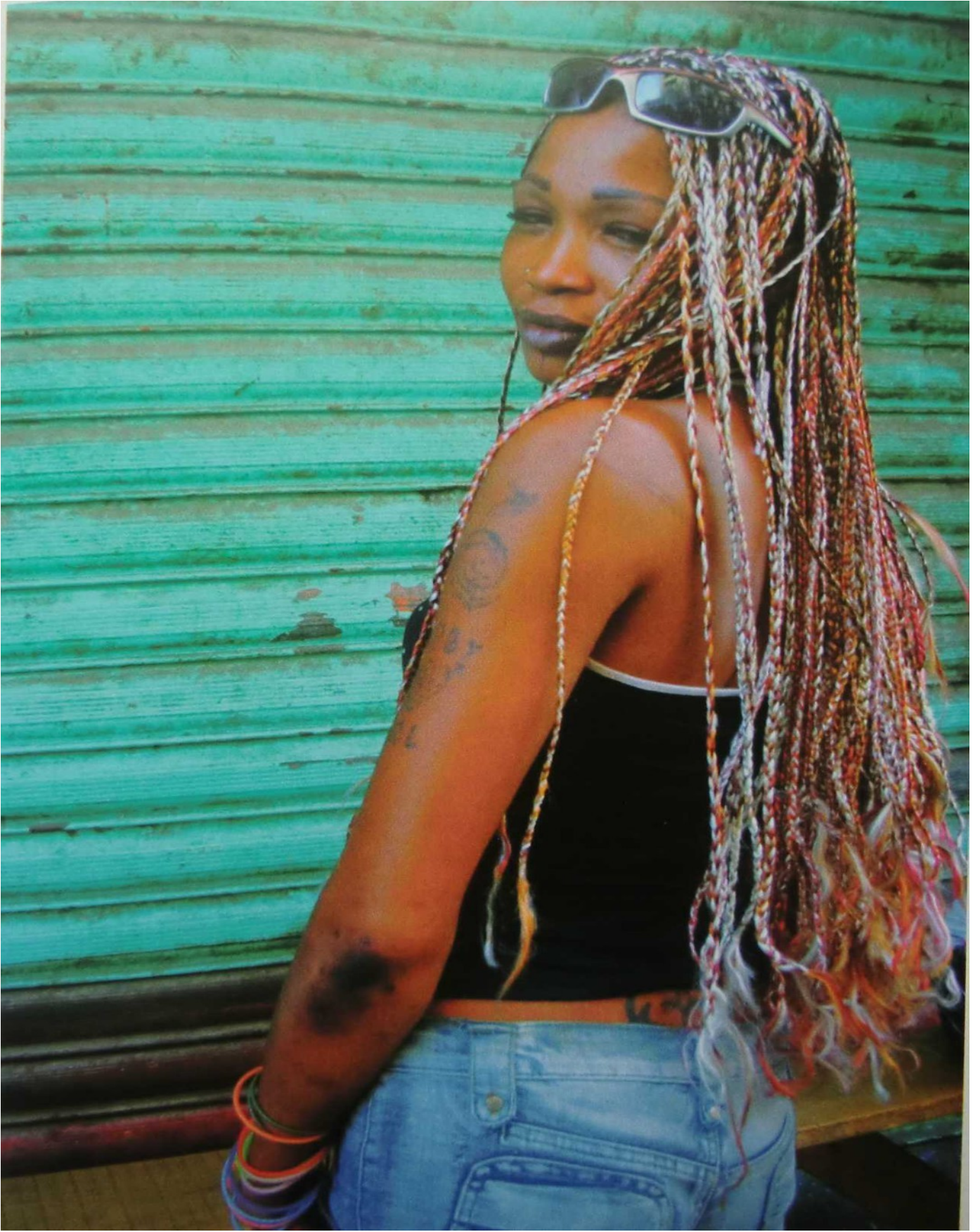
- Z Polski.

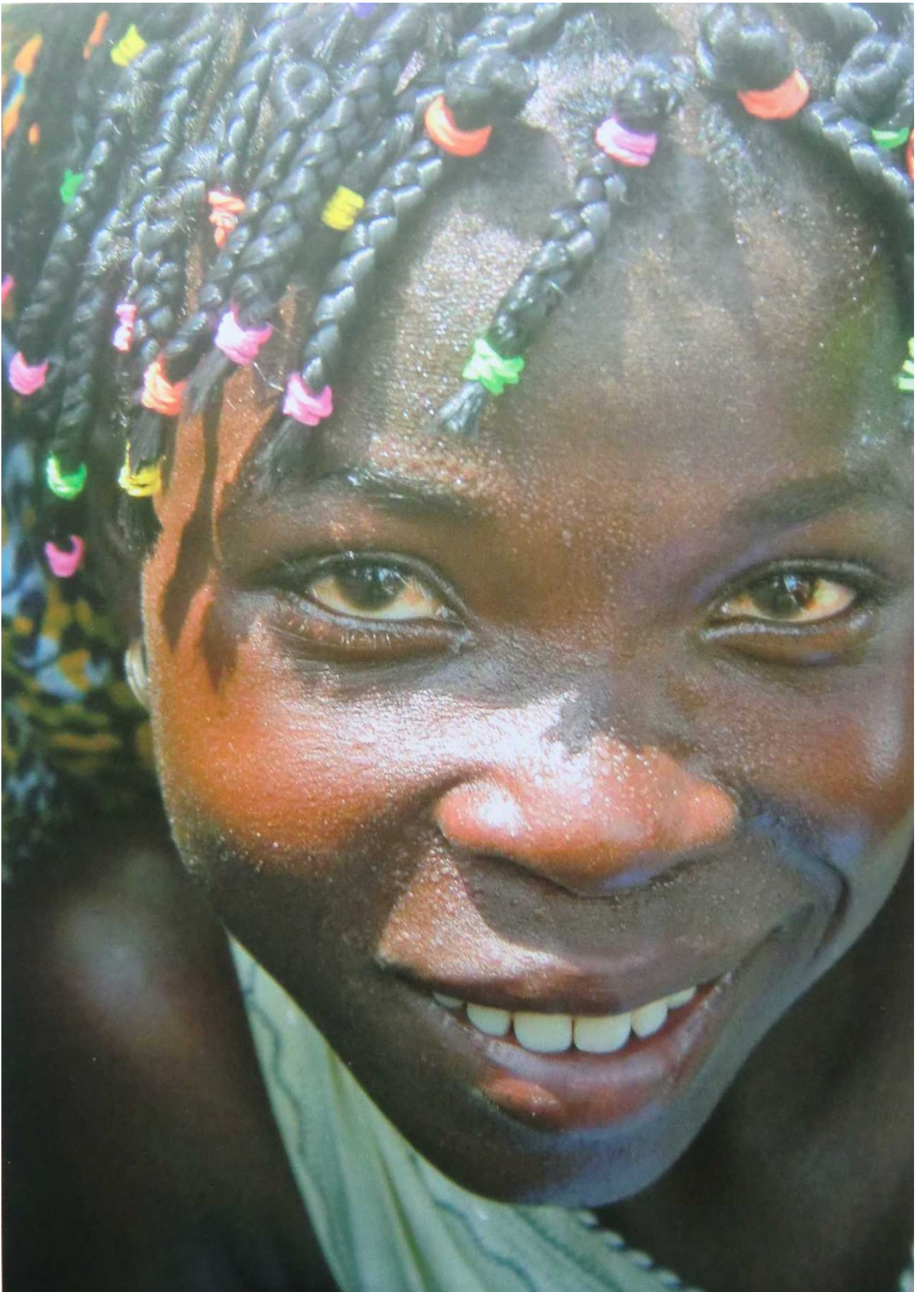
- O! Miałam kiedyś męża z Polski - chwali się.

-Ja też! - wtóruje jej koleżanka obok. - Nawet dwóch. Ostatni na imię miał Marek.

Okazuje się, że zawijają tu czasem polskie statki. A inna czarna piękność pyta, czy zrobię jej zdjęcie z synkiem - jaśniejszym o ton od niej - czekoladowym, skośnookim niemowlęciem - domyślam się, że to pamiątka po jakimś azjatyckim marynarzu. Po chwili wszystkie zaczynają mi pozować, po czym, jak na zawołanie, wszystkie wyjmują komórki i fotografują mnie.

Spotykamy się z Isaakiem żeby potwierdzić jutrzejszy wyjazd. A tu okazuje się, że on musi tu jeszcze zostać bo nie wypaliły mu jakieś interesy. I co teraz? Idziemy wszyscy do „big mamy” z nadzieją przekonania jej, aby puściła mnie z Akua samą. Ona nie widzi problemu. Problem jednak stwarza kobieta-rekruterka - ona dziewczynkę tu przywiozła i samej jej nie wypuści. A Jason przysłał kasę tylko na transport dla Akuy i dla mnie. Ale nieoceniony Ebenezer wpada na genialny pomysł. Jeśli pojedzie się inną trasą, tuż nad oceanem, miejscowymi środkami transportu i kawałek łódką, wychodzi nawet do czterech razy taniej niż bezpośrednim luksusowym autokarem. Jeśli tak, to mogę opłacić podróż w dwie strony kobiecie. Stawiam wszystkim miejscowym jabłkowy napój i wznosimy toast na cześć Akuy. Umawiamy się, że przyjdę po nią o siódmej rano.





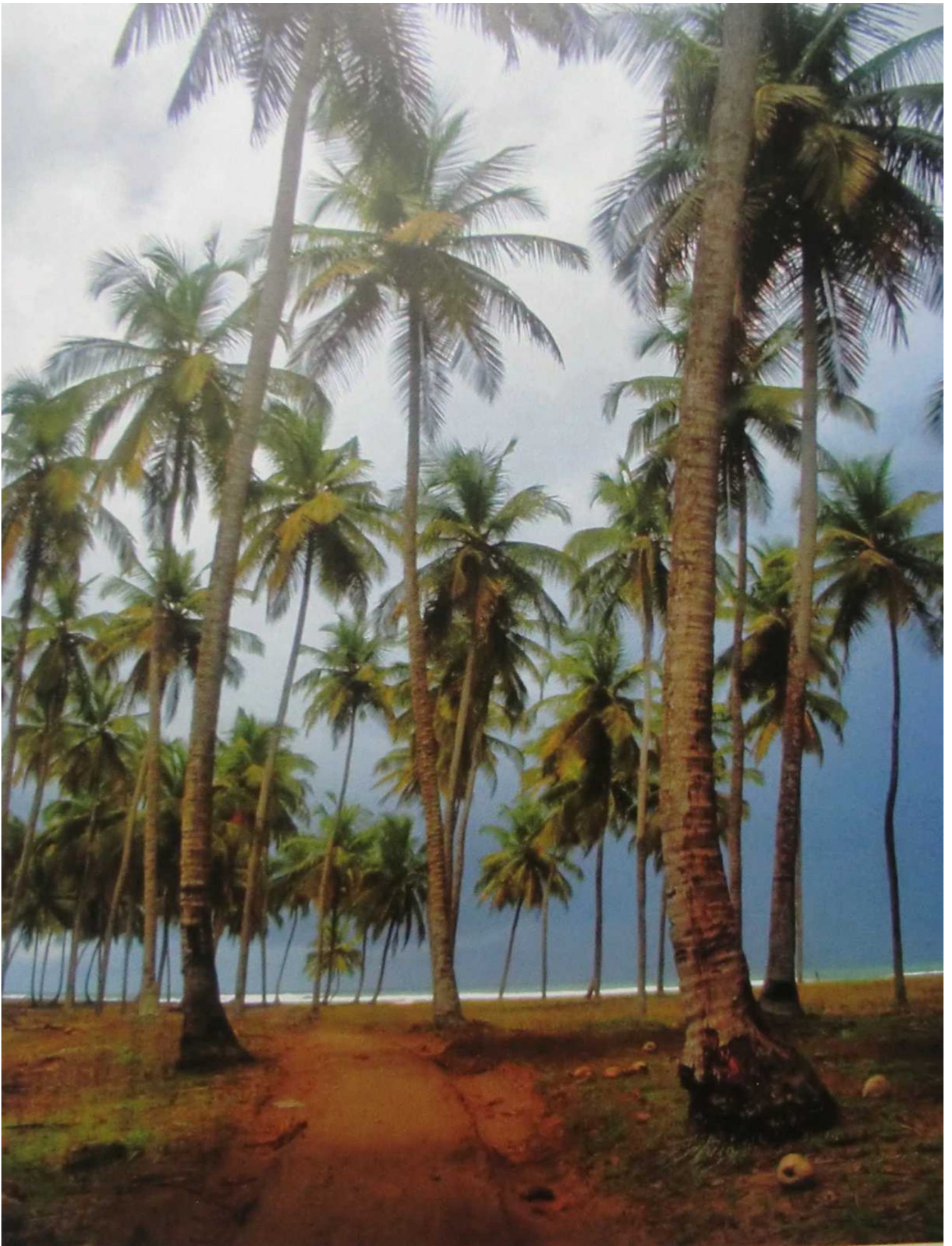
CZEŚĆ XVIII
GHANA
21 MAJA

Kiedy wstajemy wcześnie, niebo jest zachmurzone i lekko kropi, ale nie daję się namówić Ebenezerowi, aby przeczekać. Umówiliśmy się z rana, więc będzie z rana. Rasta podarowuje mi na pamiątkę dwie bransoletki z koralików, które specjalnie dla mnie zrobił, ja jemu wisiołek i idziemy do domu „big mamy”. Tam na podwórku Akua kończy pakować cały swój dobytek do niewielkiej torby, obserwowana przez trochę chyba zazdroszczące jej dziewczyny, które już od świtu pracują na podwórku. Kobieta, która z nami jedzie wraz z synkiem, nie zabiera bagażu, bo wraca tu wkrótce, ale dostaje od „big mamy” wielką torbę ryżu, trzy półlitrowe butelki z olejem i parę wielkich kostek mydła. Domyślam się, że to dla rodziny Akuy za jej pracę. Bierzymy taksówkę do dworca autobusowego. Czeka nas długi dzień i wielokrotne zmienianie środków lokomocji.

Pierwsza część podróży jest komfortowa, w wielkim, nie zatłoczonym autokarze. Ale wkrótce następuje parę przesiadek na „bush-taxi”, zwane tutaj „trotro”, czyli maksymalnie zatłoczone vany. Potem jazda autem osobowym - siedmioosobową taksówką, która dowozi nas do ujścia wpadającej do oceanu rzeki. Tu kupuję nam wszystkim grillowane banany jako przekąskę oraz na stoisku ze słodyczami siatkę lizaków i słodkości, które daję Akui do obdzielenia rodzeństwa oraz dzieci w swojej wiosce. Pakujemy się w końcu na sporą drewnianą łódź, gdzie oddzielnie kasują za osobę, oddzielnie za sztukę bagażu, w zależności od wielkości. Płyniemy wśród malowniczego wybrzeża porośniętego palmami, a słońce raz wychodzi i jaskrawo wszystko oświetla, raz się chowa za groźnie wyglądające chmury. Na drugim brzegu wysiadka. Zarzucam plecak na plecy, Akua swoją torbę na głowę, kobieta mocuje się z siatkami i synkiem, i wędrujemy przez rybacką wioskę do miejsca, gdzie stacjonują auta z półotwartą budą. Jedziemy piaszczystą ścieżką przez palmowy gaj na skraju plaży i oceanu. Bardzo malowniczo. A staje się jeszcze ciekawiej, kiedy doganiamy zieloną osobową taksówkę z pięciorgiem ludzi siedzących na dachu, jednym mężczyzną na masce z przodu i nie wiem, iloma osobami w środku.

Ciągle jesteśmy na Wybrzeżu Kości Słoniowej, a tu mają niemiły zwyczaj ustawiania punktów kontrolnych w najmniej oczekiwanych miejscach. Na każdym takim punkcie należy się wylegitymować. Kobieta-rekruterka nie posiada żadnego dokumentu, więc aby kontynuować podróż, musi wręczyć tysiąc franków (dwa dolary), oczywiście z mojej kasy. W końcu jednak docieramy do granicy Ghany. Tam podobno nie będzie tego problemu, ja muszę wykazać się paszportem i ważną wizą, natomiast kobieta, jej synek i Akua przechodzą bez żadnych dokumentów.

No to jesteśmy w Ghanie! W jakiejś niewielkiej, nadmorskiej wiosce. Stojący na placu van jest już zbyt pełen, więc musimy poczekać na następny. Wymieniam tu zachodnioafrykańskie franki na cedi, bo Ghana ma swoją odrębną walutę, chyba trochę zdewa-luowaną, bo w zamian za kilka banknotów dostaję teraz pokaźny plik liczący kilkaset tysięcy. Kiedy w końcu zaczynają zjawiać się pasażerowie z kolejnej łodzi, wsiadamy do vana. Z tej racji, że byliśmy pierwsze, dostajemy z Akua miejsce z samego przodu, więc i szansę na najlepsze widoki. Ale to jest chyba najdłuższy odcinek trasy i znużona Akua kładzie mi się na kolana i zasypia. Ja też zapadam w przerywaną drzemkę. W Takoradi przesiadka na kolejnego vana i już po ciemku suniemy dalej, teraz już prosto do Cape Coast, a stamtąd do Moree, wioski Akuy! Podążamy w ciemności błotnistymi uliczkami za kobietą, która mówi, że do rodziny dziewczynki pójdziemy jutro z rana, bo tam nie ma warunków dla mnie na nocleg. Dziś dostanę wraz z Akua pokoik u jej rodziny.





AKUA IDZIE DO SZKOŁY

[...] Nie sądziłam, że znaleziona przypadkiem w przewodniku informacja o dzieciach-niewolnikach doprowadzi mnie aż tu. Mam na myśli nie tylko miejscowość, z której pochodzi Akua, lecz przede wszystkim to, że mogę mieć wpływ na ludzkie losy. Bo życie Akuy zmieniło się diametralnie z dnia na dzień. Może nie była ona niewolnikiem w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale czymże różniła się jej codzienność od tej, której doświadczają niewolnicy? Jak długo to trwało? Akua nie potrafiła zliczyć mijających tygodni, miesięcy i lat, tak samo, jak nie potrafiła określić swojego wieku. Wiedziała tylko, że kiedyś nie dostała zapłaty. Pieniądze prawdopodobnie zostały wypłacone, nie trafiły jednak ani do dziewczynki, ani do jej rodziny, lecz przejęła je osoba, która przywiozła Akuę do pracy, twierdząc, że to na pokrycie kosztów transportu, zakwaterowania i wyżywienia.

Dziewczynka nie domagała się niczego, nie dbała o pieniądze ani zadośćuczynienie za niesprawiedliwość, jakiej doświadczyła - była po prostu szczęśliwa, że może wrócić do domu. Ten dom to niewielkie pomieszczenie u babci, które za dnia jest kuchnią, w nocy zaś - miejscem odpoczynku babci, ciotki, Akuy i jeszcze kilkorga dzieci, w średnio ciekawym, rybackim otoczeniu. O matce Akuy wiem tylko tyle, że nie ma jej tutaj. Ojciec-rybak czasem tu bywa, ale nie za bardzo interesuje się córką. Właściwie to sama Akua jest jakby matką dla swojego młodszego brata i jeszcze młodszej siostry. „Akua” w lokalnym języku znaczy „środa” - to niezbyt wyszukane, ale dość popularne imię dla dzieci urodzonych w tym dniu tygodnia. Jej rodzina, będąc pod wrażeniem powrotu Akuy do wioski w towarzystwie białego człowieka, poprosiła mnie, bym nadała jej jakieś chrześcijańskie imię. Ale ponieważ moje afrykańskie imię brzmi „Malaika” i znam też piękną piosenkę o takim ty tule, postanowiłam tak właśnie nazwać swą przybraną córkę. Tak, córkę, gdyż bardzo szybko zaczęła do mnie mówić „mamo”.

Zaprowadziłam Malaikę do szkoły. To niewielka, prywatna szkoła na obrzeżach miasteczka, w której chesne wynosi niespełna dziesięć dolarów za kwartał. Dyrektor dał mi listę potrzebnych książek. Włożyłam je do tornistra obok rzeczy przywiezionych z Abidżanu. Kupiłam nowe tenisówki, trochę różowego materiału na mundurek szkolny, zapłaciłam krawcowej za jego uszycie i już po trzech dniach Malaika pomaszerowała do szkoły z wszystkimi niezbędnymi przyborami, ubrana tak, jak pozostałe uczennice.

Dzieci w klasie Malaiki są od niej młodsze. Potrafią już mówić, czytać i pisać po angielsku, tymczasem Akua nigdy nie miała długopisu w ręce. Wierzę, że przy dobrej woli nauczyciela i jej staraniach wszystko nadrobi, niemniej jednak martwiłam się o to, jak odnajdzie się w klasie. Okazało się jednak, że Malaika jest bardzo towarzyska i choć nie odróżnia litery A od B, to zaskarbiła sobie sympatię czym innym. Była przecież w wielkim mieście za granicą, podczas gdy większość dzieci nie wychyliła nosa poza własne miasteczko. Mówi trochę po francusku, a co najważniejsze - wróciła w towarzystwie białego człowieka i już samo to sprawia, że jest dla nich kimś szczególnym.

A teraz opowiem wam, jak się odrabia lekcje po afrykańsku. Malaika siada na niskiej ławeczce pośrodku podwórka. Nie zwraca uwagi na kozy zajęte nieopodal poszukiwaniem pokarmu, na swego nagiego braciszka uganiającego się po podwórzu za kurczakiem, na kuzynów wskakujących raz po raz na ławeczkę ani na ciekawskie ciotki zebrane wokół niej. Otwiera zeszyt. Pisanie w nim cyfr okazuje się być na początek zbyt trudne. Więc biorę odłamek czarnego łupka i kreślę na nim kilka trójek jedna za drugą, podaję Malaice, by zrobiła to samo. Malaika uważa, że łatwiej jest napisać „3” obrócone o dziewięćdziesiąt stopni. Ciotka karci ją klepieniem w głowę. No tak, nie będzie łatwo, ale mam nadzieję, że sobie poradzi.

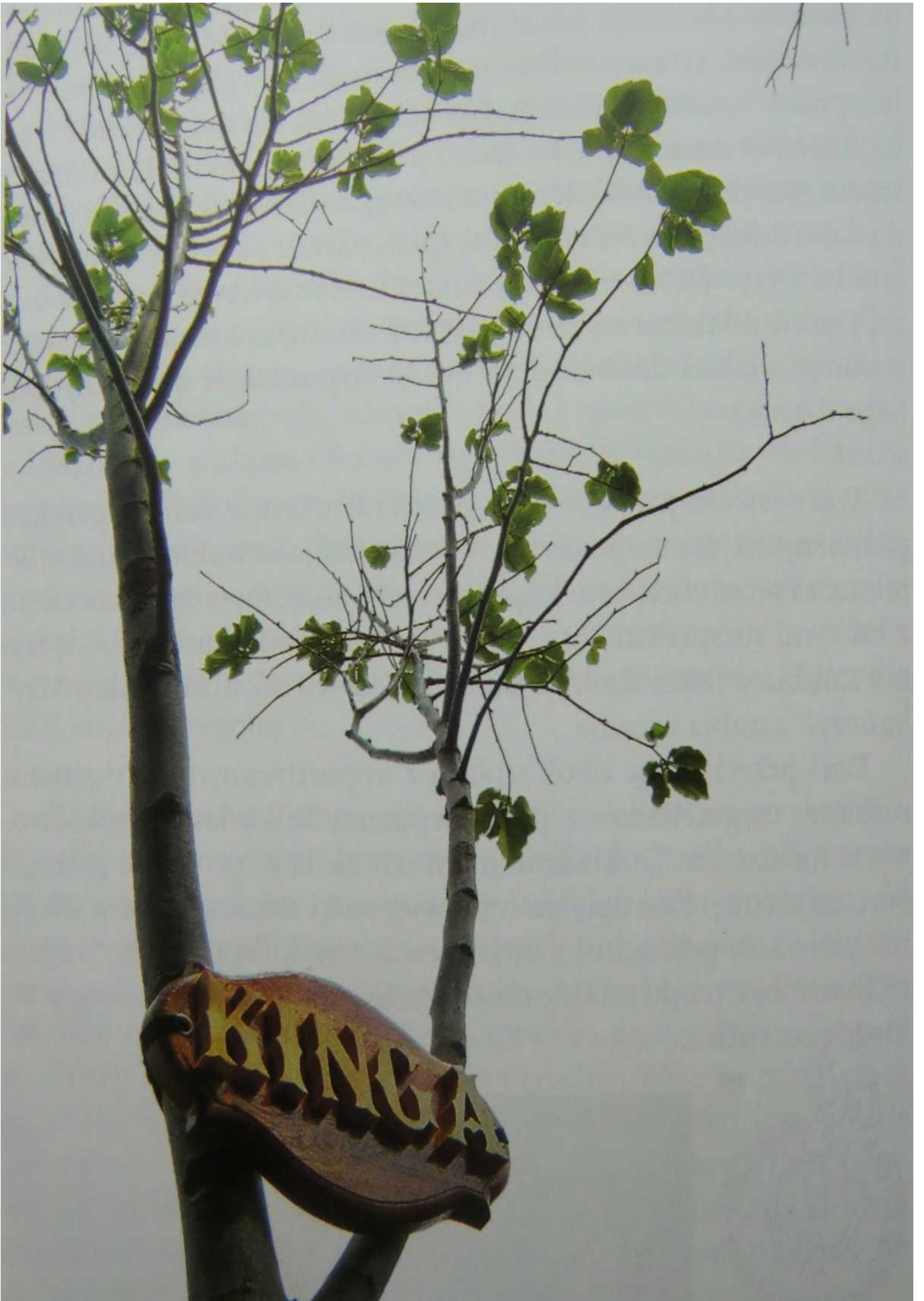
Wyjaśniłam rodzinie Malaiki, że mój przyjaciel z Ameryki będzie ją wspierał finansowo do czasu ukończenia szkoły. Trudno mi jednak przestać myśleć o innych dzieciach, które powinny chodzić do szkoły, a nie chodzą. U sąsiadów widziałam dwie dziewczynki, trochę młodsze od Malaiki. Jedna biega całymi dniami niemal bez ubrania, jak jakaś dzikuska, a druga - nieco starsza - opiekuje się swoim maleńkim braciszkiem nosząc go w chuście na plecach. Mieszkają jakieś pięć minut drogi od bezpłatnej, rządowej szkoły, a mimo to nie uczęszczają do niej. Dlaczego? Powód

jest prosty - szkoła, owszem, jest bezpłatna, ale rodziców nie stać na kupienie mundurka, książek i przyborów szkolnych. Kupiłam zatem materiał, zapłaciłam krawcowej za uszycie kolejnych mundurków, zdobyłam zeszyty, długopisy, ołówki i kredki, zapakowałam to wszystko do używanych tornistrów sprowadzanych z Europy, jakie udało mi się tanio kupić na ulicznym stoisku. Wydałam w sumie... jakieś dziesięć dolarów na wyposażenie do szkoły jednego dziecka.

Teraz jestem już w Akrze, podjęłam właśnie kolejny przekaz pieniężny od Jasona. Jason był tu wcześniej jako wolontariusz w bibliotece i teraz chce, bym kupiła coś jego znajomym oraz dzieciom, z którymi tu spędzał czas. Jak to ujął - przysłał mniej pieniędzy, niż zarabia w jeden dzień, a jednocześnie więcej, niż niejeden Afry-kańczyk zarabia rocznie...

Dziś przechodząc obok stoiska z importowanymi używanymi torbami, wygrzebałam z pokaźnej sterty kilka ładnych, kolorowych tornistrów. Dokładnie mam ich siedem, po około jednego euro za sztukę. Dokupię do nich wyprawki szkolne. Jestem więcej niż pewna, że gdy za kilka dni odwiedzę Malaikę przed wyjazdem z Ghany, bez trudu znajdę dzieci, które będą przeszczęśliwe z takiego prezentu.





PODZIĘKOWANIA

Dziękujemy wszystkim, którzy otworzyli swoje serca dla wędrującej z plecakiem dziewczyny. Kierowcom oraz wszystkim ludziom napotkanym przez Kingę po drodze, którzy sprawiali, że każdy dzień w Afryce był dla niej świętem. Dziękujemy za spontaniczne zaproszenia i czynienie Kingi natychmiast członkiem rodziny, za okazaną życzliwość i przyjaźń.

Dziękujemy ludziom z Burkina Faso - jednego z najbardziej przyjaznych krajów, jakie Kinga odwiedziła, a szczególnie mieszkańcom Oaudougodogu za to, że dzięki ich gościnności ich miasto uznawane jest za jedną z najprzyjaźniejszych stolic świata, oraz przyjaciółom z Gorom-Gorom za pomoc w zrealizowaniu „biało-wielbłądziego marzenia”.

DZIĘKUJEMY:

Chopinowi - za miłość i zrozumienie potrzeby podążania własną drogą.



Filipowi - za założenie

afrykańskiej strony: www.kingafreespirit.pl za pierwszy wpis do księgi gości: „To jest Magiczne Miejsce, które stworzyłem dla Ciebie, ponieważ cała jesteś pełna pięknej magii i to co robisz też jest magiczne...”



Asi z Holandii - za wieloletnią przyjaźń, za skok do Maroka, by ponownie z Kingą witać nowy rok.



Grace z Tajwanu - za chwile wspólnie spędzone z Kingą na kolejnym kontynencie - tym razem w Afryce.



Kati z USA - za niezliczone przypadki odnajdywania zagubionego kapelusika Kingi, porywanego przez wiatr, za najszcześniejszy czas właśnie w Afryce.



Jasonowi z Kalifornii - za przyjaźń, która miała początek 10 lat temu na wolontariackim obozie w Polsce.



Joannie z Ghany - za troskę i opiekę, za artystycznego flaminga przed biblioteką w Akrze, poświęconego Kindze.



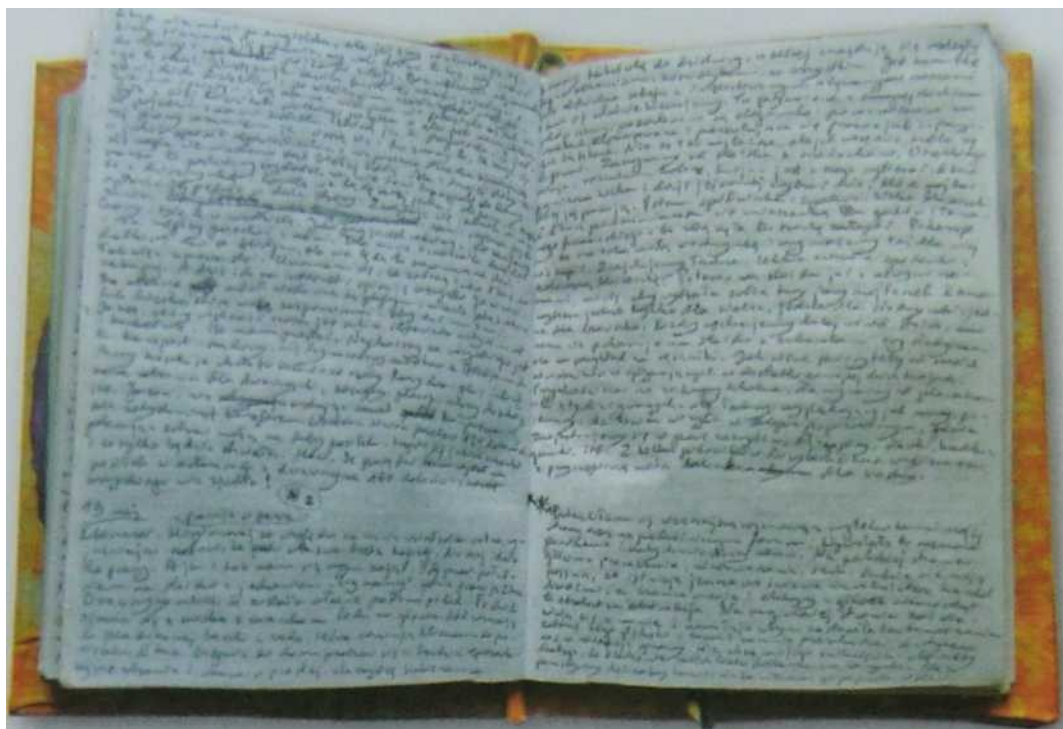
Polskiemu honorowemu konsulowi w Ghanie - za pomoc najtrudniejszych chwilach.



Basi Meder - za duchowe wsparcie i dzielenie się doświadczeniami z własnej afrykańskiej podróży, za piękną inicjatywę sadzenia drzewek „Kinga”.



Robertowi z Rzeszowa - za szczególną, pomoc w przepisywaniu pamiętników, uporządkowaniu całego materiału i wspólną podróż śladami Kingi na mapie satelitarnej.

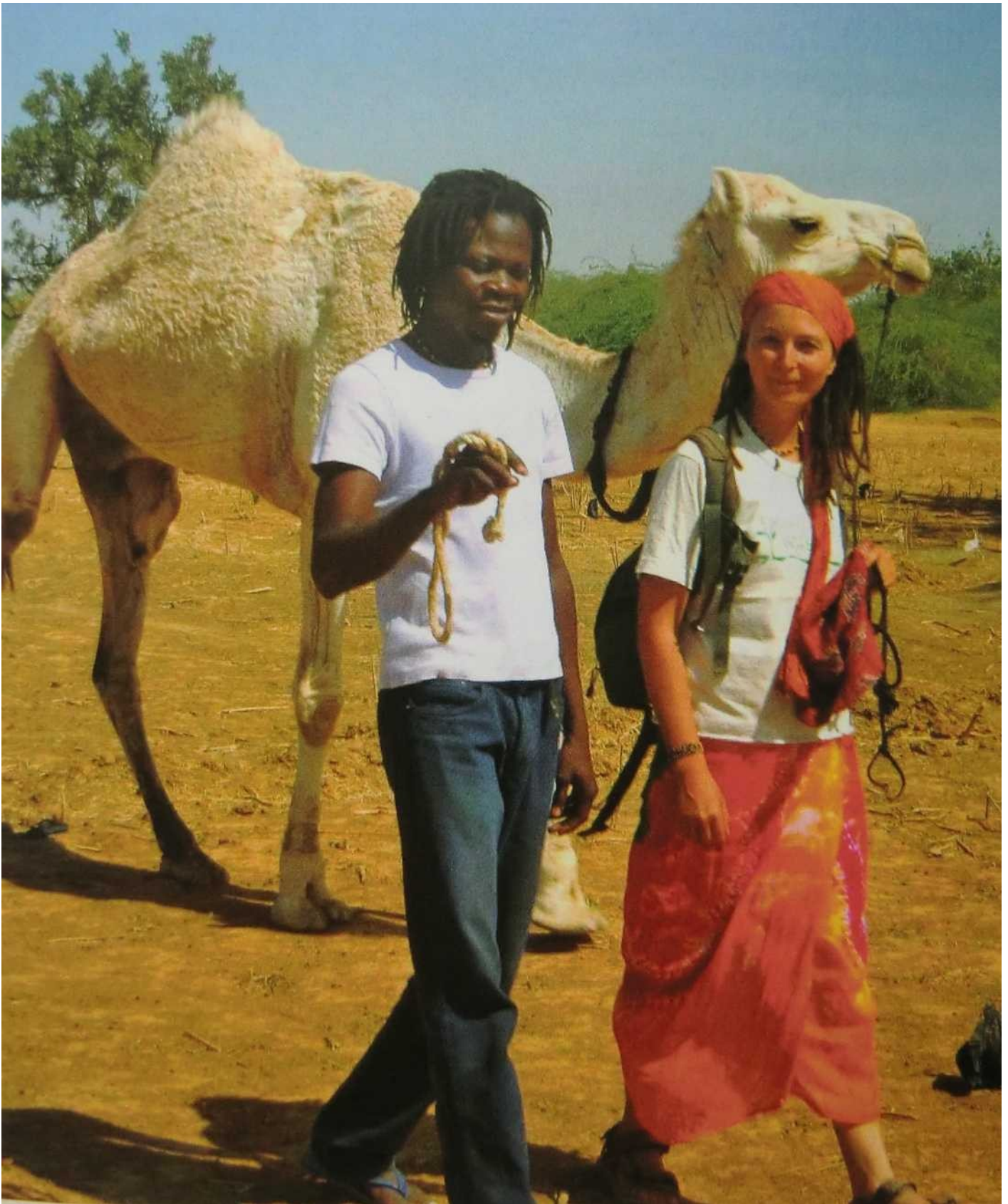


Dziękujemy również wszystkim, którzy śledzili losy Kingi poprzez stronę internetową i przeżywali razem i te szczęśliwe, i te najtrudniejsze chwile. Dziękujemy za pomoc, modlitwę, wpisy na Kingi stronie i osobiste listy, które były dla nas wielkim wsparciem oraz uświadomiły nam, jak ważne jest pokazywanie, że zrealizowanie nawet najbardziej niewiarygodnych marzeń jest możliwe.

Dziękujemy rodzinie, autostopowiczom z różnych stron Polski, przyjaciołom, którzy przyjechali z różnych zakątków świata, wszystkim którzy stworzyli niesamowitą atmosferę tego jednego, tak szczególnego dnia, tak bardzo smutnego, a zarazem pięknego, pełnego nadziei i miłości. Do dziś w uszach dźwięczy pieśń, skomponowana do słów poety: "Stojąc nad moim grobem nie płacz, bo przecież mnie w nim nie ma. Nie usnęłam na wieki. Znajdziesz * mnie w szumie tysięcy wiatrów..."

Rodzice Kingi

Z Burą w Gorom-Gorom



SPIS TREŚCI

ZNAJDZIESZ JĄ W SZUMIE TYSIĘCY WIATRÓW...

WSTĘP

CZEŚĆ I, EUROPA

16-19 PAŹDZIERNIKA

20-30 października

CZEŚĆ II, MAROKO

31 PAŹDZIERNIKA

01-03 LISTOPADA

04-08 LISTOPADA

09-14 LISTOPADA

22 - 29 LISTOPADA

30 LISTOPADA - 02 GRUDNIA

03 - 04 GRUDNIA

05 - 08 GRUDNIA

09 - 12 GRUDNIA

13 - 18 GRUDNIA

19 - 22 GRUDNIA

23 - 28 GRUDNIA

29 GRUDNIA - 03 STYCZNIA

CZEŚĆ III, MAURETANIA

04 - 10 STYCZNIA

11 - 16 STYCZNIA

CZEŚĆ IV, SENEGAL

17 - 18 STYCZNIA

CZEŚĆ V, MALI

19 - 24 STYCZNIA

25 - 28 STYCZNIA

29 - 30 STYCZNIA

31 STYCZNIA - 07 LUTEGO

CZEŚĆ VI, BURKINA FASO

08 - 12 LUTEGO

13 - 18 LUTEGO

19 - 25 LUTEGO

26 - 27 LUTEGO

CZEŚĆ VII, NIGER

28 LUTEGO – 02 MARCA

03 – 07 MARCA

08 MARCA

CZĘŚĆ VIII, ZNOWU BURKINA FASO

17 MARCA

CZĘŚĆ IX, MALI PO RAZ DRUGI

18 – 19 MARCA

20 – 25 MARCA

26 MARCA – 06 KWIETNIA

08 – 09 KWIETNIA

CZĘŚĆ X, Z POWROTEM W SENEGALU

10 KWIETNIA

CZĘŚĆ XI, GAMBIA

11 – 13 KWIETNIA

14 – 16 KWIETNIA

CZĘŚĆ XII, SENEGAL RAZ JESZCZE

17 – 19 KWIETNIA

CZĘŚĆ XIII, GWINEA BISSAU

20 – 24 KWIETNIA

CZĘŚĆ XIV, GWINEA

25 KWIETNIA

26 – 27 KWIETNIA

CZĘŚĆ XV, SIERRA LEONE

28 – 30 KWIETNIA

01 MAJA

CZĘŚĆ XVI, LIBERIA

05 – 06 MAJA

07 – 09 MAJA

CZĘŚĆ XVII, WYBRZEŻE KOŚCI SŁONIOWEJ

10 – 13 MAJA

14 – 15 MAJA

16 – 20 MAJA

CZĘŚĆ XVIII, GHANA

21 MAJA

AKUA IDZIE DO SZKOŁY

PODZIĘKOWANIA



